

Autobiografia

A close-up, profile photograph of a man's face, looking upwards and to the right. He is holding a lit cigarette in his mouth, and a plume of smoke is visible. The lighting is dramatic, highlighting the contours of his face against a dark background.

Andrzej
Iwan

SPALONY

Andrzej
Iwan
SPALONY

Spisał
Krzysztof Stanowski

BUCHMANN

Text ©2012 Andrzej Iwan, Krzysztof Stanowski
This edition © Buchmann Sp. z o.o., Warsaw 2012

Pomoc redakcyjna oraz wywiady

Tomasz Ćwiąkała

Redakcja

Rafał Sarna

Korekta

Katarzyna Sarna

Projekt okładki

Roman Tobjasz

Zdjęcie okładkowe

Grzegorz Lech (GPLartmedia.pl)

Skład

Typo 2 Jolanta Ugorowska

Koordinacja projektu

Marzena Baranowska **EUROGRAF**

ISBN 978-83-7670-563-7

Wydawca:

Buchmann Sp. z o.o ul.

Wiktorska 65/14, 02-587 Warszawa

tel/fax 22 631 07 42

www.buchmann.pl

Konwersja do formatu MOBI: Virtualo Sp. z o.o.

virtualo.eu

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

- [Dedykacja](#)
- [Słowo wstępne](#)
- [ROZDZIAŁ I](#)
- [ROZDZIAŁ II](#)
- [ROZDZIAŁ III](#)
- [ROZDZIAŁ IV](#)
- [ROZDZIAŁ V](#)
- [ROZDZIAŁ VI](#)
- [ROZDZIAŁ VII](#)
- [ROZDZIAŁ VIII](#)
- [ROZDZIAŁ IX](#)
- [ROZDZIAŁ X](#)
- [ROZDZIAŁ XI](#)
- [ROZDZIAŁ XII](#)

- [ROZDZIAŁ XIII](#)
- [ROZDZIAŁ XIV](#)
- [ROZDZIAŁ XV](#)
- [ROZDZIAŁ XVI](#)
- [ROZDZIAŁ XVII](#)
- [ROZDZIAŁ XVIII](#)
- [ROZDZIAŁ XIX](#)
- [ROZDZIAŁ XX](#)
- [ROZDZIAŁ XXI](#)
- [ROZDZIAŁ XXII](#)
- [ROZDZIAŁ XXIII](#)
- [ROZDZIAŁ XXIV](#)
- [ROZDZIAŁ XXV](#)
- [ROZDZIAŁ XXVI](#)
- [ROZDZIAŁ XXVII](#)
- [ROZDZIAŁ XXVIII](#)
- [ROZDZIAŁ XXIX](#)
- [ROZDZIAŁ XXX](#)
- [ROZDZIAŁ XXXI](#)

- [ROZDZIAŁ XXXII](#)
- [ROZDZIAŁ XXXIII](#)
- [Rozmowa z Lucjanem Franczakiem](#)
- [Rozmowa z Jerzym Fedorowiczem](#)
- [Rozmowa z Krzysztofem Budką](#)
- [Rozmowa z Bartoszem Iwanem](#)
- [Fotografie](#)

*Dla Basi, która to wszystko widziała,
przeżyła i zrozumiała*

Rocznie na całym świecie wydawane są setki piłkarskich książek. Cukierkowe autobiografie, często dyktowane przez zawodników, którzy dopiero co skończyli dwadzieścia lat i niczego jeszcze tak naprawdę nie widzieli i nie przeżyli. Ociekające fałszem wspomnienia, kontrolowane przez speców od PR-u, zatwierdzone przez menedżerów odpowiedzialnych za wizerunek, cenzurowane przez klubowych dyrektorów.

– A może napiszemy książkę? Wiesz, taką wesołą – zagaił kiedyś Andrzej Iwan.

I napisaliśmy.

Niewiele „Spalony” wzbudza we mnie wesołości. Kiedy słuchałem Andrzeja przez te wszystkie długie dni i noce, częściej dopadał mnie smutek niż byłem rozbawiony. Nie wiem, dlaczego postawił na szczerość totalną, nie wiem, jaki miał cel w tym, by odsłonić swoje najgłębiej skrywane tajemnice, by całkowicie obnażyć się przed ludźmi. Wiem, że bardzo chciał opisać wszystko. Wszystko.

Andrzeju, to był zaszczyt. Dziękuję, że mogłem spisać Twoją historię. Podziwiam Cię za odwagę.

Krzysztof Stanowski

**PIŁKARZ ROKU:
DYRYGENT
REŻYSER
TECHNIK
"ŚWIATOWIT"
czyli: **Andrzej
IWAN!****

Plebiscyty są termometrem piłki. Z dokładnością do jednego stopnia wskazują hostawę nastrojów, armopalię i antypalię kibiców, wreszcie klimat, w jakim ona się toczy. Ta nasza, ligowa i reprezentacyjna, w pewnym okresie spadła poniżej zera. Zwycięstwo w Yannisie

trafiło nas rozgrało. Rozgrało też Czytelników, oczekujących XXI Plebiscytu na „Piłkarsza roku”. Od razu poszły w górę akcje zdobywców brzośli. Andrzej Rudogo, obrodziły punktami kuponny z narciakami Wandzika, Cyronia, Fruska, Leśniaka Ich wyrokie pozycje zostały umocnione.

Ami drgnęła natomiast lekata Andrzej Iwana. On przewodził od początku, w pewnym momencie zbliżył się do niego Jacek Młynarczyk, ale na półmetku wszyscy było jasno. Eks-witlak — obecnie już nawet eks-uberszanie — uzyskał spory przewagę. **CIĄG DALSZY NA STR. 2**

Sport



22-28 grudnia 1987

Nr 251-253
Rok XLIII

PL ISSN 0137 9205

Nr indeksu 35643



ROZDZIAŁ I

LUNATYK

W mundialach w 1978 i 1982 roku uczestniczyłem jako piłkarz reprezentacji Polski, z turnieju w 1986 wyeliminowała mnie kontuzja. Mistrzostw świata w 2002 roku nie oglądałem w ogóle. No dobrze, widziałem kilka minut jednego meczu – ubrany w biały fartuch lekarz dał mi coś podejrzeć. Lekarz pracujący w zamkniętym ośrodku dla psychicznie chorych, w którym spędziłem długie dwa miesiące życia.

Jeszcze kilka tygodni wcześniej byłem kierownikiem Wisły, ale dzień przed meczem z Legią Warszawa – ubrany w klubowy dres, prosto ze zgrupowania – uciekłem do kasyna mieszczącego się w Bronowicach, w hotelu przy ulicy Armii Krajowej w Krakowie, gdzie upiłem się do nieprzytomności. Na Reymonta już nie wróciłem, ani dzień później, ani nawet miesiąc później. Do nikogo się nie odezwałem. Niemożliwa do okiełznania siła ciągnęła mnie w innym kierunku. Przypominałem lunatyka, który zmierza prosto ku przepaści i wiedziałem, że jeśli sam nie zdołam się ocknąć, to nikt inny mi nie pomoże. To był mój mecz – najtrudniejszy, przeciwko najbardziej wymagającemu rywalowi. Ja kontra ja. Andrzej Iwan, alkoholik i hazardzista.

Witajcie.

To nie będzie książka o triumfach, chociaż i one się zdarzały. Więcej znajdziecie tu upadków, bo moje życie naznaczone jest upadkami, po których nieporadnie próbowałem się pozbierać. Ale będzie to też książka z moim prywatnym happy endem. Dziś, kiedy patrzę w przeszłość, wiem jedno – mogło być gorzej. Upadałem, ale stoję. Tutaj, przed wami. Stoję odarty z tajemnic, obnażony, żebyście mnie wszyscy usłyszeli. Opowiem historię – swoją, swoich przyjaciół, swojej rodziny, swojego miasta, historię naszej piłki też. Może ku przestrodze, może dla samego siebie, dla pewnego oczyszczenia, dla wyrzucenia na zewnątrz tego całego syfu, który noszę w sobie. A może też dla rozrywki? Może ktoś z was po prostu się uśmiechnie? Dużo widziałem, bardzo dużo. Jeśli byliście kiedyś w wesołym miasteczku, a na pewno byliście, wyobraźcie sobie największy możliwy roller-coaster. Z nieba aż do piekła, i nie do końca z powrotem. Tak właśnie wyglądało moje pieprzone życie. Roller-coaster bez pasów, pędzący po torach, które gwarantowały mnóstwo adrenaliny, ale w gruncie rzeczy prowadziły krętą drogą donikąd.

W szpitalu leczyłem się z alkoholizmu. Dziesięcioosobowy pokój, czy raczej cela, w której było ciasno jak w. piłkarskiej szatni w przerwie meczu. Różnicę robiły trupioblade ściany i korytarze, po których powłóczyłym krokiem, ślamazarnie przemykali chorzy, otumanieni lekami na schizofrenię. Oni przerażali mnie najbardziej, balansowali na granicy między jawą i snem, ich psychika była spętana jakimiś niewidzialnymi farmakologicznymi łańcuchami. Mogłem wprawdzie wstać i wyjść, wypisać się, ale to by oznaczało, że przez kolejne pięć lat nie będę miał możliwości podjęcia terapii w tym miejscu.

Mógłbym nie przeżyć tych pięciu lat.

Do Kobierzyna, gdzie mieści się szpital, trafiłem na własną prośbę dokładnie 4 maja 2002 roku. Wcześniej musiałem odleżeć dwa tygodnie w szpitalu im. Stefana Żeromskiego, czekając aż w Kobierzynie zwolni się miejsce. Te dwa tygodnie to i tak niewiele – oferta specjalna, dla mnie, po znajomości. Inni, żeby dać się zamknąć w tym odizolowanym budynku, musieli czekać znacznie dłużej – niektórzy rok, niektórzy dwa lata. Pijak

z przeszłością piłkarską miał ciągle łatwiej. Nawet zamknąć w wariatkowie było go łatwiej.

Gdyby nie okoliczności, to mógłby być całkiem miły dzień – było ciepło, słonecznie, prasa żyła zbliżającym się meczem Polaków z Koreą Południową, a niektórym wydawało się nawet, że jedziemy po złoto, co – jak się później okazało – mogło sugerować, że na wycieczkę do domu wariatów powinno udać się wraz ze mną jeszcze kilka osób ze środowiska piłkarskiego. Tak sobie mogłem wtedy w żartach pomyśleć, tylko że... nie byłem w nastroju do żartów, a los piłkarskiej reprezentacji Polski miałem głęboko w dupie. Byłem sam. Całkowicie sam. I nie było mi do śmiechu. Kiedy po raz pierwszy przekraczasz progi oddziału zamkniętego dla chorych psychicznie, coś się w tobie zmienia raz na zawsze. Uświadamiasz sobie, jak daleko odpłynąłeś. Odpływałem od kilkudziesięciu lat. Odpływałem po morzu wódki. Nie widziałem już lądu.

Dlaczego zaczynam tę książkę w taki sposób? Ponieważ mam wrażenie, że całe moje wcześniejsze życie polegało na stawianiu kolejnych kroków, z których każdy przybliżał mnie do tego właśnie miejsca. Z kolei całe późniejsze życie miało polegać na stawianiu takich kroków, by nigdy więcej się tam nie znaleźć.

Przed i po.

ROZDZIAŁ II

STASZEK

Kobierzyn.

To jedno słowo mieszkańcom Krakowa mówi tyle, ile słowo Tworki warszawiakom. Na terenie ponad 50 hektarów, w parku, między starymi dębami, znajduje się kilka budynków szpitalnych, z których niektóre są całkiem ładne i urokliwe, ale jeden wyglądem i standardem od reszty znacznie odbiega – a przynajmniej odbiegał w 2002 roku. Oczywiście właśnie w tym jednym zostałem zakwaterowany. Sto metrów dalej, przez zakratowane okno, widać było gmach główny, pod który co tydzień podjeżdżały luksusowe bmw, mercedesy i audi. To półświatek załatwiał sobie lewe, żółte papiery.

Decyzja, że muszę skorzystać z fachowej pomocy szpitalnej, zapadła wcześniej w domu mojego przyjaciela, Staszka. Zdarzyło się tak, że miałem polecieć do Izraela i obserwować zawodników dla niemieckiego menedżera Wolfganga Voega. Niestety, w Warszawie przypadkowo spotkałem Janusza Atlasa – dziennikarskiego utracjusza – i... pamiętam tylko, że obudziłem się następnego dnia rano w hotelu „Marriott”, bez grosza. Skołowany, nie wiedząc, co tak naprawdę zaszło, zadzwoniłem na recepcję.

– Czy mój pokój jest już opłacony? – spytałem.

– Nie, proszę pana, jeszcze nie regulował pan rachunku – zaskrzeczało w słuchawce.

Nie to chciałem usłyszeć.

Zadzwoiłem do Staszka, przyjaciela, który miał klub piłkarski Spartak Wielkanoc-Gołcza – tam a to grywałem, a to garowałem, a najczęściej jedno i drugie. Staszek poprosił jakiegoś kumpla z Warszawy, by podrzucił mi pieniądze. Podrzucił. Problem w tym, że nie myślałem już o wyjeździe do Izraela, o obserwowaniu cudacznym piłkarzy, o których w głębi duszy bez oglądania wiedziałem, że do niczego się nie nadają. Myślałem tylko o alkoholu. Ruszyłem. Każdy kto w życiu chociaż raz „ruszył”, ten wie, co to znaczy.

Ścigaliście się kiedyś na światłach? Obok stoi samochód, rzut oka na kierowcę i już wiecie – trzeba się zmierzyć. On lekko wciska pedał gazu, żeby pobudzić silnik do wyższych obrotów, wy wgapiacie się w światło, które wkrótce ma zmienić się z czerwonego na zielone. Nikt nie myśli, że za sto metrów może stać policjant z radarem. Nikt nie analizuje konsekwencji. Ruszanie z piskiem opon ze świateł i „ruszanie” w alkoholowym ciągu jest podobne: chodzi o tę krótką chwilę uniesienia, emocji, o ten zastrzyk adrenaliny, o zafiksowanie, chociaż z góry oczywiste jest, że wkrótce będzie trzeba wyhamować. Żona uspokaja: „Nie ścigaj się z nim!”. Ale przecież mu nie odpuszczisz. Kiedy ruszasz, nie rozglądasz się na boki, nie dostrzegasz otaczających cię ludzi i mijanych miejsc. Wszystko jest tylko tłem twojego prywatnego wyścigu.

Przeniosłem się do hotelu „Polonia” i piłem. Piłem tyle, że pieniądze zorganizowane przez Staszka szybko się skończyły i tym razem nie stać mnie było na uregulowanie rachunku w kolejnym hotelu. W depozycie zostawiłem dowód osobisty i wsiadłem w pociąg. Z „Polonii” na Dworzec Centralny jest bardzo blisko – trasa wzdłuż Alei Jerozolimskich mija szybko, nawet jeśli ledwie stawiasz każdy kolejny krok.

W miejscowości Wielkanoc – jest tylko jedna taka w Polsce – w domu Staszka zaczęliśmy rozmawiać. W powietrzu unosił się zapach niestrawionej wody i wyniszczonych organów wewnętrznych proszących o litość.

– Musisz pojechać na detoks – przekonywał Staszek, z ledwością wytrzymując swąd.

Nie miałem siły się kłócić. Uznałem nawet, że pojedę tylko po to, by więcej o tym nie gadał. Był od kilku lat „suchym” alkoholikiem. Trzymał się dzielnie. Mówił, że nie może pić, bo upija się na smutno i jak się znowu upije na smutno, to się pewnie zabije. Wkrótce potem Staszek się napił.

Znaleźli go powieszzonego.

Zanim do tego doszło, zanim powiesił się w zapomnianej szklarni i zanim znalazł go wracający z włamania złodziej, Staszek podjechał pod mój dom, kazał poczekać w samochodzie, a sam poszedł wziąć od mojej żony jakieś rzeczy, w które mógłbym się przebrać. Tak zaczął się mój wieloletni romans z detoksem, trwający do dziś. Tak zaczął się rajd po szpitalach, z odcinkiem specjalnym w Kobierzynie, w 2002 roku. Stanisław chciał mi pomóc wyjść na prostą. Ja też chciałem pomóc jemu, ale czasami mam do siebie pretensje, że nie starałem się wystarczająco. Obwiniam się, że mógłbym zapobiec tej tragedii, jeśli tylko odpowiednio wcześniej zdołałbym ją przewidzieć, gdybym odczytał sygnały. Czy można przewidzieć samobójstwo przyjaciela? Pewnie tak. Pewnie, kurwa, tak.

Szpital w Kobierzynie czekał na mnie, zanim się jeszcze urodziłem. Decyzja o jego budowie zapadła w 1907 roku, a otwarty został dziesięć lat później. Nie wiem, czy już wtedy w mojej rodzinie występowała tendencja do wpadania w nałogi, ale nie mogę tego wykluczyć i nawet uważam to za bardzo prawdopodobne – wierzę, że geny mają w tej kwestii sporo do powiedzenia i są swego rodzaju przeznaczeniem, przed którym można uciec, o ile ma się dość upor, zawziętości i szczęścia. Nie miałem ani upor, ani zawziętości, ani pewnie szczęścia. Sala w Kobierzynie cierpliwie czekała na mnie od 1917 roku, a ja podążałem w jej kierunku, jak ćma do światła.

Mój ojciec był alkoholikiem, ja poszedłem jego śladem. Tak, Kobierzyn spokojnie sobie czekał. Mnie jeszcze nie było nawet w planach, ale rezerwację pokoju na bliżej nieokreśloną datę w XXI wieku już złożono.

Spakowanie rzeczy przed wyprawą do zachodniej części Krakowa nie zabierało zbyt wiele czasu, a to dlatego, że praktycznie niczego nie można było wnosić. Nawet posiadanie dezodorantu było zakazane, gdyż istniało poważne ryzyko, że któryś z pacjentów uzna taki dezodorant za miły zamiennik dla bardziej szlachetnych alkoholi.

I tu mała dygresja. Różne rzeczy ludzie piją – wykradają lekarzom jodynę i przepuszczają przez chleb, denaturat to już klasyk i w pewnych kręgach rarytas. W zasadzie osoby szczególnie dotknięte chorobą alkoholową przyjmują wszystko, co jest cieżką i może trzepnąć. Ja na szczęście nigdy tak daleko nie zaszedłem, nie pijałem nawet jabeczków. Stety czy niestety, normalna flaszka zawsze się znajdowała.

Najbardziej mnie zdziwił brat Kory Jackowskiej, tej z Maanamu. Niestety, już nie żyje. Otóż Andrzej wraz z kolegą pewnego razu wypili... płyn hamulcowy. Ale to jeszcze nic. Oni ten płyn hamulcowy wypili, a następnie wsiedli do auta i ruszyli. Nie wzięli pod uwagę, że tak naprawdę wypili hamulce i zupełnie nie mają jak się zatrzymać. Rąbnęli w przystanek autobusowy i stracili pracę. Potem jak Andrzej nie miał już pieniędzy i brakowało mu na ubrania, to zimą chodził w czerwonym płaszczu siostry, z wielkimi ozdobnymi guzikami. Wyglądałoby to śmiesznie, gdyby nie było takie straszne.

*Tysiące twarzy, setki miraży
To człowiek tworzy metamorfozy*

W Kobierzynie spotykało się różne osoby. Był na przykład profesor jednej z krakowskich wyższych uczelni.

– Jak wygląda twoje życie? – pytał go terapeuta.

– Piję od trzech lat minimum pół litra wódki dziennie. Zamykam się w gabinecie i piję. I normalnie pracuję.

Profesora dopadło delirium. Lekarze nie byli pewni, czy przeżyje, a nawet skłaniali się ku temu, że raczej mu się nie uda. Majaczył, widział różne atakujące go stwory, wyobraził sobie cały otaczający świat.

Oczywiście na trzeźwo. Bo tu muszę zaznaczyć jedną ważną rzecz: alkoholik nie ma problemów, kiedy pije. Alkoholik ma problemy, kiedy przestaje pić. Dlatego właśnie tak trudno jest się wyleczyć.

Nakręcono kiedyś film, „Żółty szalik” z Januszem Gajosem w roli głównej. Znam go na pamięć, bo to obowiązkowa część każdej terapii. I jeśli ktoś chce mnie zrozumieć, niech go po prostu obejrzy. Wtedy zrozumie.

...to pragnienie.

...to udawanie, tę maskaradę – kiedy wydaje ci się, że nikt nie wie o twoim problemie i robisz wszystko, by faktycznie nikt się nie dowiedział. A przecież cuchniesz wódą. Nawet jeśli wylejesz na siebie butelkę perfum, cuchniesz wódą. Obracasz swoje picie w żart, puszczasz oko, sugerujesz, że tak naprawdę nie musisz się napić. Ale musisz. Wydaje ci się, że inni kupują to przedstawienie, że ich wykiwałeś, zbajerowałeś uśmiechem czy gestem, ale jesteś przecież taki niezdarny, taki niewiarygodny.

...ten przyływ euforii, gdy alkohol trafia do żył, i tę bezsilność, tę wściekłość, że znowu okazałeś się słaby.

...ten paniczny strach przed trzeźwieniem, to chowanie alkoholu, gdzie popadnie, to przestawienie życiowych priorytetów, tę ciągłą, uporczywie powracającą myśl, że trzeba się napić – tu i teraz.

...te obietnice, których tak bardzo nie chcesz złamać i które łamiesz za każdym razem.

...to drżenie rąk, które trudno ukryć, gdy sięgasz po kolejnego papierosa.

...to upodlenie.

...te spojrzenia rodziny.

...te osoby wokół ciebie, którym z czasem brakuje sił, by dalej walczyć, ale które po raz kolejny znajdują gdzieś w sobie szaloną motywację.

„Żółty szalik” to film o mnie i o każdym alkoholiku. Kilkanaście lat życia w pigułce, wszystkie stany emocjonalne oddane w ciągu godziny. „Żółty szalik” to lustro.

Gajos brawurowo gra biznesmena, dyrektora wielkiej firmy, alkoholika. Ludzie w ogóle mają złe wyobrażenie o alkoholikach – to słowo podsuwa

im obraz biedaka spod sklepu monopolowego, a przecież tak naprawdę ta choroba atakuje przedstawicieli wszystkich szczebli drabiny społecznej. Są profesorowie, jak ten wspomniany, są piłkarze czy trenerzy, jak ja, są biznesmeni, pisarze, aktorzy. Pamiętam niektórych z Kobierzyna. Różni byli. Sylwek to blacharz, postawny, silny facet, na co dzień całkowicie normalny, ale dostawał małego rozumu za każdym razem, kiedy tylko się napił. Wtedy bywał niebezpieczny, zwłaszcza dla swoich bliskich – dochrapał się więc sądowego skierowania. Zdzisiek – terapeuta po przejściach. Jak zniknął na dwa tygodnie, to wiadomo było, że pije. Był naprawdę świetnym, najlepszym terapeutą – bo najlepsi to ci, którzy sami dosłownie i w przenośni liznęli tematu – ale czasami wpadał w ciągi. Kolejny facet, niestety imienia już nie pamiętam, w szpitalu poznał pacjentkę z oddziału kobiecego i chociaż tam nie mogli się za bardzo spotykać, bo groziłoby im wydalenie, to wyszli już jako para. Nie tak dawno natknąłem się na nich na cmentarzu, sprzedawali tam znicze. Powiedzieli, że wzajemnie się pilnują i odkąd wyszli z Kobierzyna, już nigdy nie wzięli alkoholu do ust.

„Żółty szalik” kończy się niedosłowną, ale jednak obietnicą, że to jest możliwe. Nie wiem, czy jest. Ta para pokazała, że tak. Na razie tak. Na razie.

Na razie.

Było w Kobierzynie trochę jak w wojsku. Poza dniem, w którym dopadł mnie „suchy kac” bywało nawet znośnie. „Suchy kac” polega na tym, że chce ci się pić aż do szaleństwa. Nagle budzi się w tobie szatan i jesteś w stanie rozszarpać każdego, kto mógłby dać ci alkohol, ale z jakichś niezrozumiałych dla ciebie powodów ociąga się z tym. Zabiłbyś dla kropli wódki. Z bezradności, że tej wódki nie ma, ze zwierzęcej frustracji – zabiłbyś dwa razy. Każda komórka twojego ciała domaga się wódki. Pocisz się, trzęsiesz, marzysz tylko o jednym, ozdrowieńczym łyyczku.

„Już spływa na mnie krystaliczny strumień homeostazy, czyli cudownej równowagi. Ach, pasterko moja płowa, napiłaś spragnionego, pasterko moja.” – mówi Gajos w „Żółtym szaliku” do swojej partnerki, gdy ta widząc jego stan, pozwoliła mu zamoczyć usta w koniaku.

Człowieka mającego „suchego kaca” lepiej omijać szerokim łukiem. Pech chciał, że akurat tego dnia w odwiedziny do Kobierzyna przyjechała moja rodzina i zrobiło się trochę niesympatycznie. Tak, mnie też musieli omijać. Miałem kryzys. Potem strasznie się tego zachowania wstydziłem, bo w całym szpitalu byłem jednym z niewielu szczęściarzy, którzy zawsze mieli oparcie w rodzinie. O ile opowieści mężczyzn nie robiły na mnie żadnego wrażenia, bo sam znałem wszystko z autopsji, o tyle historie kobiet, które porzucały dzieci i zostawiały je z jakimiś agresywnymi bydlakami, byle się tylko w spokoju napić, przerażały do żywego. Pytania, jak to jest móc przytulić córkę, dawały do myślenia.

Dlatego tym bardziej było mi głupio. Miałem rodzinę, miałem jej wsparcie, a czasami nie byłem tego godny.

Skoro napisałem, że na oddziale zamkniętym było jak w wojsku, to wiadomo, o co chodzi: czyszczenie kibli, mycie garów, wszystkie te prace, które już kiedyś wykonywałem w areszcie wojskowym, do którego trafiłem w styczniu 1979 roku (o czym jeszcze opowiem – bo to dopiero był koszmar). Poza tym mieliśmy zajęcia w podgrupach, różnego rodzaju terapie – zarówno ze Zdzichem, który o piciu wiedział wszystko, jak i z miłą dziewczyną po studiach, która o piciu też wiedziała wszystko, ale niestety z książek. Czyli nie wiedziała niczego. Nie wiedziała, jak to jest przepić wszywkę, co miało skończyć się śmiercią, a u mnie skończyło się utratą przytomności i czasowym niedowładem prawej ręki. Czasowym, bo po trzech dniach puścił i mogłem już pić dalej, bez skrępowania. Ta dziewczyna była miła, miała dobre chęci, ale podręcznik jej mówił, że jak napiję się, mając wszywkę, to umrę. A mnie doświadczenie mówiło, że nie umrę, tylko spadnę z krzesła, a potem hamulec zostanie zdjęty, więc nie mogłem jej traktować do końca poważnie. Nikt nie mógł.

Pamiętam pytania z tej terapii, wypracowania, które trzeba było pisać. Kiedy po raz pierwszy zorientowałaś się, że alkohol jest silniejszy od ciebie? Jakie przeżyłeś największe upokorzenie związane z alkoholem? Co najważniejszego w życiu przepadło ci przez alkohol? Chyba nikt się nie spodziewał, że swoje wypracowanie napiszę w formie książki. Być może tytuł powinien brzmieć: „Toksyczna miłość, czyli dlaczego nienawidzę

alkoholu i dlaczego nie mogę żyć bez niego”. Naprawdę: nienawidzę alkoholu. Nienawidzę nawet tego obrzydliwego smaku alkoholu. Jednak kojarzy mi się z przyjemnością, której nie jestem w stanie sobie odmówić. A potem ze strachem. Piję, bo boję się wytrzeźwieć. Piję, bo muszę. Wlewam w siebie to gównno, trzęsącymi się rękoma fascynata i degenerata.

Wychodziłem ze szpitala dla psychicznie chorych w dużo lepszym stanie. Nie wiem jednak, na ile ta terapia by mi pomogła, gdyby nie pomoc kolejnego przyjaciela – Adama Nawalki. Sądziłem, że po numerze, który wykręciłem w Wiśle, już nie znajdę pracy w piłce i zacznie się prawdziwe biedowanie, tymczasem Adam momentalnie zaproponował mi posadę drugiego trenera Zagłębia Lubin. Wróciłem do świata żywych. Do świata trzeźwych. I mogłem kupić sobie obiad. Tak niewiele i tak wiele.

ROZDZIAŁ III

GUMIOK

O alkoholu jeszcze będzie, ponieważ płynął w moich żyłach przez większość mego życia. W ogóle, dużo jeszcze będzie. Zanim jednak dojdziemy do tego, co się w tym życiu faktycznie wydarzyło, co się udało, a co spieprzyło, czuję się w obowiązku przedstawić. Zapewne część z was – czytelników tej książki – coś o mnie wie. Na przykład – że grałem w piłkę. Albo – że sprawiałem kłopoty natury wychowawczej. Że jestem z Krakowa.

Niemniej mam nadzieję, że trafiła się chociaż jedna osoba, która czyta te słowa i wciąż nie wie, kim, do licha, jest ten Andrzej Iwan. Spieszę wyjaśnić, skąd się wziąłem.

Jestem „gumiokiem”. Gumiok to mieszkaniec Nowej Huty. Dziś jest to jedna z dzielnic Krakowa, kiedyś natomiast był to żywy pomnik socjalizmu, w którym wykuwać miała się historia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Na wschodnich obrzeżach Krakowa zbudowano idealne socjalistyczne miasto, a jego punktem głównym stała się Huta imienia Włodzimierza Lenina. Właśnie dla przyszłych pracowników tego największego w kraju kombinatu metalurgicznego od podstaw projektowano osiedla, drogi, szpitale, sklepy – wszystko cyrklem i linijką.

Działo się w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku i właśnie wtedy – a dokładnie w 1959 roku – na świat przyszedłem ja. Dorastałem w centrum tego sowieckiego potworka.

Kraków wydawał się wówczas miastem odległym i nie było specjalnych powodów, by się aż tak daleko zapuszczać. Nowa Huta stanowiła obszar samowystarczalny. Wystarczała do tego, by w niej przyjść na świat, pracować, rozsławiać imię Lenina, a następnie w miarę godnie umrzeć. Zjeżdżali tu ludzie z całej Polski, byle tylko dostać kilka metrów kwadratowych na własność i robotę od świtu do nocy. Takich ambicji oczekiwano od idealnych mieszkańców idealnego miasta. Dlatego właśnie ze wsi do Nowej Huty przeprowadził się mój ojciec – z zawodu kolejarz. Jeśli zdarzy się wam stanąć w szczerym polu z powodu awarii torów, jeśli wasz pociąg nie daj Boże się wykolei albo jeśli po prostu będziecie zastanawiać się, dlaczego TGV przecina krajobraz Francji, a nie Polski, to być może należy wrócić właśnie do mojego ojca i jego kolegów. On to wszystko budował. A skoro tak, to nie mogło się udać.

Dla mnie to były beztroskie czasy. Bieganie, granie w piłkę, zabawy w Indian, kąpiele w gliniankach, a kilka lat później wycieczki do kina do Krakowa, najlepiej w czasie wagarów („Mały wielki człowiek” – pamięta ktoś ten film?). Na podwórku było nas kilku, może dziesięciu. Wszyscy w podobnym wieku, wszyscy z nadmiarem wolnego czasu. Chyba znam słowo, które najlepiej oddaje to, czym się wówczas zajmowaliśmy: grasowaliśmy. Grasowaliśmy po okolicy, szukając zajęcia, draki, rozrywki, kasy, emocji. Kasę można było wygrać, a emocje zawsze zapewniały bójki.

Kasa. Graliśmy w piłkę na pieniądze. Ja od małego miałem do tego dryg, więc w takich osiedlowych meczach zapewniałem wygraną, a w zamian byłem pod specjalną ochroną starszych i silniejszych kolegów. Pieniądze na „inwestycje” brałem od mamy. Mówiłem jej wprost: „Potrzebne są złotówki, bo gramy dziś mecz”. Czasami się przegrało, ale tylko czasami, więc szybko regulowałem swoje długi. Graliśmy też w zośkę, czyli kopaliśmy pompon obciążony ołowiem, po czym do dziś mam ślad na głowie, ale dzięki tej zośce wyrobiłem sobie technikę, a dzięki technice zwiedziłem świat – ktoś więc żałowałby tej małej blizny! No i grało się

w dmuchane – trzeba było trafić w monetę tak, by spadła na inną. Jak spadła – to już, obie monety twoje. Łatwo było wykosić kogoś na kilka złotych.

Emocje zapewniały wieczne bójki z „hotelarzami”. To była nasza osiedlowa rozrywka – bójki z robotnikami, którzy budowali czy rozbudowywali hutę i mieszkali w hotelach robotniczych. Nieustannie ich prowokowaliśmy. Oczywiście rodzice każdego z nas byli ze wsi, ale przed „hotelarzami” zawsze zgrywaliśmy miastowych, tych lepszych. I ich wyzywaliśmy, od wieśniaków też. Dlatego zdarzało się, że ktoś wracał na osiedle pocięty albo mocno poharatany. Właśnie z takiego hotelu robotniczego ktoś kiedyś wyrzucił przez okno butelkę. Butelka leciała, leciała i leciała, aż w końcu rozbiła się na głowie 16-letniej dziewczyny, idącej akurat ulicą. Trepanacja czaszki sprawiła, że dziewczyna musiała zakończyć karierę piłkarki ręcznej. Nazywała się Basia i została moją żoną.

Moje osiedle Na Stoku. Obok było drugie – Na Wzgórzach. Pomiędzy nimi – lasek. Wydawał mi się olbrzymi, gęsty niczym dżungla oraz pełen niebezpieczeństw i tajemnic. Dziś widzę, że to ledwie kilka rzadko zasianych drzewek, pośród których spokojnie płynie strumyk. Wzgórza z kolei są teraz w moich oczach tylko małym wzniesieniem, na które wchodzę bez oznak zadyszki. Ponad czterdzieści lat temu mógłbym przysiąc, że to miejsce idealne, by nakręcić film „Tylko dla orłów”.

Kiedy ogłaszano nasz osiedlowy „stan wojenny”, czyli kiedy ktoś ze Stoku miał aż za bardzo nie po drodze z kimś ze Wzgórz, lasek stanowił strefę graniczną, której lepiej było nie przekraczać. Naprawdę: lepiej było nie przekraczać. Leszka Sowę znaleziono zabitego w śmietniku. Mógł zostać dobrym piłkarzem – leniowaty, ale ze strasznym młotkiem w nodze. Czy więc lasek był gęsty, czy nie i czy Wzgórza były wzgórzami, czy też ledwie małym wzniesieniem – nie ma to żadnego znaczenia. Konflikty istniały naprawdę i miały straszliwe konsekwencje. Każdy z nas wiedział, którądy może się poruszać, a którądy lepiej nie.

Wszystkie zadymy zaczynały się nie w lasku, one się tam tylko kończyły. Zaczynały się natomiast w osiedlowym centrum, gdzie był pawilon usługowy z fryzjerem, sklepem i knajpą „Nowoczesną”. Na górze można

było zjeść obiad i się ochlać, a na dole tylko się ochlać – z tym że do każdego piwa podawano koreczek z żółtego sera, zawsze ten sam, stary i już brązowy. Pawilon stoi do dziś – a raczej straszy do dziś, zaniedbany i obdrapany. „Nowoczesnej” nie ma – tam, gdzie powstawały konflikty i gdzie narastały nieporozumienia, gdzie dawaliśmy sobie po gębach, gdy już byliśmy wystarczająco dorośli, posterunek ma straż miejska. Górny taras zdaje się być całkowicie niezagospodarowany, elewacji od dawna nikt nie remontował. Wokół wszystko wyładniało, bloki ocieplono i kiczowato pomalowano, chodniki wyłożono równą kostką, tylko „Nowoczesna” wyzionęła ducha.

Mieszkałem pod numerem 36, na pierwszym piętrze. Na lewo, zaraz po wejściu do mieszkania, był pokój, w którym gnieździłem się wraz z siostrą. Na prawo duży pokój, co dziś zwie się salonem. Tam oglądałem mecze mistrzostw świata w 1974 roku i pewnie tam postanowiłem, że pewnego dnia i mnie pochwali Jan Ciszewski. Pochwali na pewno.

Przed klatką stał trzepak. To na nim uczyłem się grać, ćwiczyłem technikę, zonglowanie, mierzyłem się z kolegami w siatkonogę. Trzepaki w całej Polsce nie służyły przecież do czyszczenia dywanów, ale do nawiązywania znajomości, przesiadywania z kumplami, rozmów z dziewczynami i przede wszystkim – do grania w gałę.

Dziś ktoś na ścianie obok przystemplował: „Zakaz gry w piłkę”. To po co jeszcze ten trzepak stoi?

Do szkoły miałem pod górkę, w sensie dosłownym, chociaż blisko – może ze sto metrów. Mieściła się na wprost klatki, więc niestety, mimo najszczęśliwszych chęci, nie dało się pomylić drogi i zabłądzić. Boisko – bardziej po lewej. Zamiast jednej z linii autowych był nasyp, z którego robiliśmy użytek niczym z bandy w hali. Jeśli dziś mówi się o atucie własnego boiska, to my właśnie z takiego atutu korzystaliśmy – wiedzieliśmy, jak należy kopnąć, by błyskawicznie przenieść akcję pod bramkę przeciwnika.

To w Nowej Hucie – socjalistycznej enklawie, w której miał nigdy nie powstać ani jeden kościół i nie zawisnąć ani jeden krzyż – spotkałem

swojego anioła. Stałem się piłkarzem za sprawą Mariana „Marysia” Pomorskiego. Nie zawsze, ale czasami zdarza się, że miarą człowieka jest jego pogrzeb. W przypadku trenera Pomorskiego tak właśnie było. Na jego pogrzeb przyszło mnóstwo osób, którym pomógł, wskazał drogę, poświęcił część życia. Iluż on piłkarzy wychował – Józek Szewczyk, Jasiu Surowiec, bracia Stolczykowie, Krzysiek Bukalski, Mirek Waligóra, Marcin Cabaj. Jak na A-klasowy klub Wanda, w którym pracował, dopóki zdrowie mu pozwalało, dorobek miał imponujący. Kiedy nagle zachorował i zaczął mieć problemy z chodzeniem, tąpnęło nim to niesamowicie. Chciałem odwiedzić go w domu, ale za żadne skarby nie chciał mnie zaprosić. Wstydział się, krępował. Zawsze był silny. W wieku prawie osiemdziesięciu lat zjeżdżał na nartach z Kasprowego. Takim chciał być zapamiętany.

Miał jakieś 170 centymetrów wzrostu i masywną sylwetkę, więc zawsze przypominał mi pitbulla. Ale miał też złote serce. Urodzony w Wilnie, były żołnierz Armii Krajowej, dziarski, energiczny, szlachetny. Pasjonat i hobbysta. Chodził po okolicy i szukał talentów. W plecaku zawsze nosił ciastka i czekoladę, żeby rozdawać wśród chłopaków, którzy w Nowej Hucie najlepiej grali w piłkę. A były to czasy, kiedy ciastka widzieliśmy tylko z okazji imienin lub świąt. Kiedy on zaczynał kogoś trenować, to było wiadomo: wyrośnie zaawansowany technicznie zawodnik, który będzie potrafił grać obiema nogami. Ja, dla przykładu, miałem dominującą prawą nogę, ale zdarzyło się po latach, że właśnie w prawej rozerwałem torebkę stawową i nie byłem w stanie odpowiednio ułożyć stopy do strzału, więc... zacząłem kopać na bramkę lewą. I tak się przyzwyczailem, że potem zupełnie nie robiło mi różnicy, którą nogą mam zagrać.

U „Marysia” nauczyłem się techniki. Kiedy byłem trampkarzem, na pięć strzałów z szesnastki trzy razy trafiałem w poprzeczkę – i to nie lobikami, bo lobikami byłoby za łatwo. Robiłem tysiąc „kapek” bez problemu, pewnie mógłbym i dwa tysiące, ale szkoda mi było czasu. Do tego – kiwałem się. Trener Pomorski chciał, byśmy jak najwięcej się kiwali, chociaż dzisiaj wielu idiotów tego dzieciakom zabrania – w efekcie od lat nie mamy w lidze prawdziwych dryblerów. W Wandzie trafiłem na

futbolowy uniwersytet. Gra głową, woleje, przewrotki, nożyce – wszystko. Ten człowiek, pozbawiony jakiegokolwiek piłkarskiego wykształcenia, był żołnierz, ulepił mnie jako zawodnika i wysłał w świat.

W świat. Kochałem „Marysia” i pewnie on kochał mnie, byłem jego oczkiem w głowie. Z każdego miejsca, do którego dotarłem, wysyłałem mu pocztówkę. Z mistrzostw świata w Argentynie – pocztówka. Z Hiszpanii – pocztówka. Gdziekolwiek wyjechałem z drużyną, do USA, Kuwejtu, Szkocji, Brazylii, Grecji czy Kolumbii, szedłem na pocztę. Raz zdarzyło się, że byłem bliski złamania tej zasady. W Monte Carlo na automatach przegrałem 90 franków, a że były to moje jedyne pieniądze, nie miałem za co kupić znaczka. Dlatego przywiozłem mu pocztówkę i wręczyłem osobiście. Zawdzięczałem mu wszystko. Wszystko.

Wiem, że te pocztówki – podobnie jak inne pamiątki związane z moją karierą – trzymał w klubie. Moje koszulki rozdawał najzdolniejszym chłopakom Wandy. Mówił: „Masz koszulkę od Iwana i graj jak on”. Pocztówki wyjmował z szafki i pokazywał młodym piłkarzom, ile świata mogą zobaczyć, w jaki sposób i w jakim towarzystwie. „Jak się będziecie starać, to też tak będziecie jeździć” – mówił. Nie wiem, ile ich uzbierał. Może pięćdziesiąt?

Z pewnością w jakimś stopniu zastępował mi ojca, nawet chodził na wywiadówki do szkoły. I całe szczęście, że akurat on chodził, bo od prawdziwego ojca niechybnie dostawałbym łomot. Od niego nie. Miał zasady, starał się odpowiednio mnie ukierunkować, odciągnąć od pokus, ale... znał życie. Później, kiedy już grałem w Wiśle, przyjeżdżał do mnie do domu z żoną i małym foksterierem. Jego żona uczyła w szkole i zawsze miała pretensje, że „Maryś” marnuje pieniądze na jakieś obce dzieciaki.

W Nowej Hucie liczył się tylko Hutnik, nie żadna tam Wanda. W Wandzie to się w piłkę można było pobawić, a przy okazji pobalować i pograć w karty. Natomiast poważniejszy futbol miał być gdzie indziej. Niespodziewanie jednak – dzięki Pomorskiemu – właśnie w Wandzie zebrała się paka mocna nie tylko w skali osiedla, dzielnicy czy miasta, ale... całego kraju.

W październiku 1973 roku Stal Mielec walczyła w Pucharze Europy z Crveną Zvezdą Belgrad. Mistrz Polski nie miał u siebie sztucznego oświetlenia, dlatego mecz miał się odbyć w Krakowie. Dzień wcześniej, mniej więcej w godzinie oficjalnego treningu, my – chłopaki z Wandy – graliśmy z Wisłą i to był mój pierwszy kontakt z wielkim futbolem. Wielkim, ponieważ pierwszy raz zagrałem przy światłach, pierwszy raz na świeżo skoszonej trawie i pierwszy raz dostałem za swój występ pieniądze. W takich warunkach po prostu chciało się fruwać. Grałem tak wspaniale, że trener trampkarzy Wisły, Henryk Stroniarz, przyszedł obejrzeć moją legitymację, by upewnić się, że naprawdę jestem taki młody. Ależ to był mecz! Wygraliśmy 3:1 – Wanda po raz pierwszy w historii pokonała Wisłę i to w dodatku na jej terenie. Trener Pomorski popłakał się ze szczęścia, a gdy już opanował wzruszenie, dał mi nawet nagrodę: 20 złotych.

Wszystko wydałem na papierosy.

Świat jest taki mały. Wszyscy spotykamy się, nawet o tym nie wiedząc. Mijamy się na ulicach, dworcach, stoimy w tych samych kolejkach, modlimy się w tych samych kościołach. Wtedy, w październiku 1973 roku, nie miałem jeszcze skończonych 14 lat, a obok trenowała Stal Mielec z Grzegorzem Lato i Henrykiem Kaspercakiem. Kto mógłby wtedy przypuszczać, że z Grześkiem dwa razy przyjdzie mi zagrać w finałach mistrzostw świata, a u Heńka zostanę kierownikiem drużyny? Ja, mały brzdąc, i oni, wielkie gwiazdy.

Dwa nieprzystające do siebie światy. Ten ich – taki hermetyczny. Ten mój – taki ograniczony. A jednak spotkaliśmy się wtedy i spotykaliśmy się później, już na równych prawach.

Chciałbym wam teraz opowiedzieć, że zawodnikom Stali wypadła piłka i że ją odkopnąłem. Wypadałoby wspomnieć, że Lato powiedział mi: „Trenuj mocno, masz talent, będziesz piłkarzem!”. Może nawet mógłbym udawać, że zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcie, tylko – pal licho – jakoś nie mogę go znaleźć wśród sterty staroci, które trzymam w piwnicy.

Ale nic takiego nie miało miejsca. Każdy poszedł w swoją stronę.

W 1975 Wisła Kraków zdobyła mistrzostwo Polski juniorów, ale jedyną drużyną w kraju, która mogła nawiązać z nią walkę, była Wanda Kraków.

My – kilku chłopaków z okolicy. Rywalizacja w lidze wojewódzkiej trwała do ostatniego meczu, a przecież „Biała Gwiazda” miała Nawałkę, Budkę, Targosza, Krupińskiego, Lipkę, Nowaka. Wspaniali piłkarze, niektórzy z nich powoli zaczęli wahać szatnię pierwszej drużyny, a nawet przebijali się do składu. Ostatecznie wiślacy wygrali na naszym boisku 2:1 i mogli walczyć o mistrzostwo całego kraju. Jednak w praktyce to mistrzostwo rozstrzygnęło się wtedy na Wandzie – gdybyśmy wygrali i startowali w mistrzostwach kosztem Wisły, tytuł byłby nasz.

Do ligi przebiłem się tylko ja. Gdzieś wyczytałem, że Tadek Pazdyka – o ile to nie zbieżność nazwisk – jest trenerem. Tadek stał w bramce. Kilka miesięcy w roku spędzaliśmy u niego w domu, na wagarach. Rodzice pracowali, chata wolna. Broniek Krawczyk chyba do tej pory gra w Wandzie jako stoper – zawsze prowadził sportowy tryb życia, w piwnicy miał nawet siłownię. Wysoko, bo do kadry województwa, zaszli bracia Filoskowie. Leszek „Małpa” Uniwersał miał niesamowity potencjał. „Małpa”, bo był sprawny jak małpa, ale przy tym imprezowicz nie z tej ziemi. W dzisiejszych czasach pół ligi by się o niego zabijało, a na balety jeździłby luksusową limuzyną. Na środku pomocy grał Andrzej Musiał – też wiedział, o co w piłce chodzi, i sporo mieliśmy z niego pociechy.

Rozgrywki były tak zaplanowane, że juniorzy jeździli na wyjazdy z seniorami, jednym autokarem. Dawało to świetną motywację, a jednocześnie służyło integracji. Co jednak wtedy najważniejsze – dostawaliśmy diety żywieniowe. Juniorzy po 18,50, a seniorzy po 37 złotych. Opłacało się zostać seniorem. Ja zostałem nim bardzo szybko, a dzięki rekomendacji „Lelka” momentalnie trafiłem też do grupy karcianej. „Lelek”, czyli dziewięć lat starszy Leszek Dworak, w ogóle otoczył mnie wielką opieką i stał się na długie lata przyjacielem rodziny – mojej mamy, żony, nawet dzieci. Brakuje mi go.

Kwestią czasu było, kiedy przejdę do Wisły Kraków, która miała na mnie „rezerwację”. Niemniej, kiedy skończyłem 15 lat, zaczęły się podchody innych klubów. Przyjeżdżali wysłannicy Hutnika Kraków, Cracovii, Unii Tarnów. Hutnik oferował ojcu robotę i on by pewnie na ten układ chętnie przystał, ale mama postanowiła porozmawiać z trenerem Pomorskim.

Powiedział: „Jak Andrzejowi zależy na futbolu, to niech idzie do Wisły, bo mają tam dobrych trenerów i grają fajną, techniczną piłkę. Odnajdzie się...”. Za pół roku byłem w Wiśle, która zapłaciła mnie – dzieciakowi – 65 tysięcy złotych, przy czym rodzice zarabiali wtedy po dwa tysiące miesięcznie. Mama założyła książeczkę oszczędnościową i sprezentowała mi kozuch.

Pamiętam bardzo dobrze jeszcze dwie sytuacje związane z „Marysiem” Pomorskim. Pierwsza miała miejsce po tym, jak nawywijałem w „Stylowej”, o czym jeszcze przeczytacie. Kiedy skończyła się moja dyskwalifikacja, od razu zagrałem bardzo dobry mecz. Po ostatnim gwizdku trener Pomorski przyszedł do mnie zapłakany. Tak strasznie bał się, że już nie będę grał. Tak bardzo mu ulżyło, że to jeszcze nie koniec.

No i druga, wymagająca dłuższej opowieści. Po finałach mistrzostw świata w 1978 roku miałem dostać od klubu mieszkanie. Było to tym istotniejsze, że urodziła mi się córka i po prostu na gwałt potrzebowałem nowego, własnego lokum. Tymczasem działacze Wisły nie traktowali mnie dostatecznie poważnie. Na pieńku z nimi miał też, legendarny niemal, Antek Szymanowski. Zgadaliśmy się, że... zmienimy klub w ramach tego samego resortu. Pojechaliśmy do milicyjnej Gwardii Warszawa, która z miejsca dawała nam wspaniałe warunki. Cokolwiek chcieliśmy – było! Mieszkanie? Oczywiście. Samochód? Wybierajcie. Pieniądze? Ile chcecie.

Oczywiście w Krakowie zawrzało. Wisła robiła wszystko, bym wrócił – obiecywała, przekonywała, namawiała. Nieskutecznie – byłem obrażony, a jak ja się obrażę, to trudno mnie potem udobruchać. Po kilku dniach wychodzę na trening Gwardii, patrzę, patrzę, a na koronie stadionu. Kurwa, trener Pomorski! Załatwili mnie!

– Andrzejku, wróć do Krakowa. Proszę cię. Będzie lepiej, wszystko się ułoży, dadzą ci mieszkanie.

Tego samego dnia wieczorem wróciłem. Nie mogłem mu odmówić. W Wiśle wiedzieli, że „Marysiowi” nie odmówię. O cokolwiek by poprosił – nie odmówiłbym! Zażyczyłby sobie pierdoloną gwiazdkę z nieba, a ja znalazłbym sposób, by ją ściągnąć.

Momentalnie znalazło się dla mnie mieszkanie i talon na samochód. A „Maryś” też na tym zyskał. Sprawa była nietypowa i trudna do załatwienia. Syn trenera, Artek, uciekł lata wcześniej do Austrii i Pomorski poprosił mnie, czy mógłbym porozmawiać z prezesem Wisły, Zbigniewem Jabłońskim, w tej sprawie. Mianowicie – chciał się z synem zobaczyć, co wymagało załatwienia dla Artura paszportu. Jabłoński pamiętał, kto sprowadził Iwana z Warszawy, i paszport czekał już dwa tygodnie później w konsulacie. Niemożliwe stało się możliwe. W dwa tygodnie! Byłem taki dumny, że mogłem pomóc.

W Gwardii Antek Szymanowski został sam. Trochę się naburmuszył, że Wisła walczyła o mnie, a o nim – wielkim Szymanowskim – nie pamiętała. Czasami ironizował:

– Syneczek zatęsknił, popłakał i pojechał do Krakowa.

ROZDZIAŁ IV

WIŚLAK

Do Wisły z Wandy Kraków ściągnął mnie pułkownik Leszek Snopkowski. Przez pierwsze trzy dni byłem tak stremowany, że... ani razu nie doszedłem na trening. Wychodziłem z domu, ale zamiast w prawo, skręcałem w lewo. Trzeciego dnia pojechałem do Chorzowa na mecz Polska–Argentyna, przegrany 1:2. O ile się nie mylę, Kazek Kmieciak strzelił wtedy gola z rzutu rożnego. Widziałem to z trybun. Widziałem piłkarza, z którym wkrótce przyjdzie mi grać. Kiedy tylko się zbiorę na odwagę i pójdę na trening.

Czwartego dnia pod mój dom podjechał radiowóz i zabrał mnie na stadion.

Dostałem trampkokorki. Niestety, niemal nie spełniały swojego zadania. Po błotnistej mazi zastępującej murawę ślizgałem się jak amator, a reszta piłkarzy podśmiewała się pod nosem. Marek Kusto kpił: „Patrzcie, następny talent przywieźli!”. Z czasem trema minęła i reszta zespołu mnie zaakceptowała. Adaś Nawałka zrobił mi miejsce koło siebie w szatni.

Sądziłem, że będę tylko terminował przy pierwszej drużynie, tymczasem ku mojemu zaskoczeniu dość szybko dostałem szansę debiutu. Ligą się jednak nie nacieszyłem, ze względu na awanturę, w jaką się wdałem na turnieju, w którym występowała juniorska reprezentacja regionu.

Pojechaliśmy wtedy na Puchar Michałowicza do Wrocławia. Poszło nam średnio, o piąte miejsce graliśmy z Białymstokiem i wygraliśmy 3:0. W czasie spotkania – jako że wtedy w juniorach nie było żółtych kartek – otrzymałem pięć minut kary za krytykowanie sędziego. Na boisko już nie wróciłem, bo w czasie tych pięciu minut skończył się mecz.

Poszedłem na środek i zagałem do Krzyśka Budki:

– Niezłe było sędziowanie, co?

Na co odezwał się arbiter, stojący za moimi plecami:

– Gówniarzu, jak cię kopnę w dupę!

Nie powinien tego mówić. Byłem zbyt nagrzany:

– Ty mnie kopniesz?! To ja cię kopnę! – I ruszyłem, a facet, koło trzydziestki, ale knypek, zaczyna uciekać.

Gdyby nie uciekał, pewnie nie byłoby sprawy. A tak zadziałał instynkt. On ucieka, to ja gonię (choć on na pewno widział to inaczej – on goni, to ja uciekam). Łapią mnie boczni sędziowie, łapie mnie Krzysiek. A tamten frajer ucieka dalej – prosto do szatni. No i uciekł. Zdążył się zamknąć od środka.

Całe szczęście, że zdążył. Pod goniec gonitwy byłem już tak rozemocjonowany, że niechybnie zapracowałem na dożywocie.

A tak, dostałem pół roku. Odwieszono mnie jednak szybciej, bo byłem potrzebny na mecz eliminacji mistrzostw Europy, z Bułgarią. Graliśmy w Tomaszowie Mazowieckim i po meczu z Krzyśkiem Budką tak się upiliśmy, że wylądowałem na komisariacie w Piotrkowie. Wtedy po raz pierwszy siedziałem w celi i byłem przerażony.

A ilekroć krzyknąłem, przychodził milicjant, otwierał kratę i dawał mi pałą w łeb.

Dwoił się i troił „Budkin”, żeby jakoś mnie z tej upiornej, zimnej celi wyciągnąć. Wreszcie zorganizował spotkanie z komendantem.

Błagałem:

– Niech pan nikogo nie informuje, bo to już będzie koniec. Już mi nie wybaczą. Dopiero co mnie odwiesili! Niech pan mnie ratuje.

Naprawdę błagałem. I ubłagałem.

W Wiśle zdążyłem jeszcze zagrać w końcówce sezonu w kilku meczach. U chłopaków z drużyny byłem coraz bardziej poważany, a to ze względu na moich kumpli z osiedla. Na przykład Heniek Maculewicz nie mógł dostać lamp do malucha, więc spytałem kolegów:

– Ej, nie da się czegoś załatwić?

Dzień później wyszedłem z bloku i oczom nie wierzyłem. Pierwszy maluch – bez lamp. Drugi – bez lamp. Trzeci – bez lamp. A kumple, z szelmowskimi uśmiechami, mówią:

– Mamy lampy dla wiślaków! – I trzymają je powiązane, dyndające jedna obok drugiej, pewnie razem ze dwadzieścia.

Młody się wkupił do zespołu!

Oczywiście była fala, ale niewielka, niezbyt uciążliwa. Musiałem podawać herbatę czy papierosy, trochę usługiwać, ale dość krótko, ponieważ trener Brożyniak szybko na mnie postawił, kosztem Janusza Krupińskiego i Michała Wróbla. Następowąła zmiana warty.

W Wiśle zaczynałem poznawać uroki dobrej zabawy. Pokazywano mi, na czym polega życie. Sporo już sam wiedziałem, ale... nie wszystko.

Pierwszego papierosa zapaliłem w wieku sześciu lat, a od ósmego roku życia paliłem już cały czas. Może nie nałogowo, bo to było dziwne palenie – ukrywało się fajki pod mostem, tam z kolegami szliśmy i na raz paliliśmy całą paczkę. Zdarzały się i tygodnie, gdy nie paliliśmy w ogóle, bo na przykład padało i nikomu nie chciało się zasuwać tak daleko. Papierosy więc były. Ale alkoholu nie piłem.

To znaczy... prawie nie piłem. Jak miałem 12 lat, wypłem ojcu pół wina, a potem dolałem wody i poszedłem do szkoły – tam usnąłem w ławce, ale nauczyciel na szczęście nawet nie zauważył. Zauważył ojciec – że mu wino nie smakuje – i zlał mnie pasem. Potem jeszcze spróbowałem jabcoka, co skończyło się tak, że sąsiadce mieszkającej niżej zarzygałem okna. To mnie na długi czas skutecznie wyleczyło z alkoholowych eksperymentów.

Tak mniej więcej do 25. roku życia mój organizm nie tolerował alkoholu. Miałem straszne kace, prawie zawsze połączone z wymiotami. Dlatego nie

piłem tak dużo. Po prostu – bawiłem się. Jak pojawiła się wódka, to w porządku, ale jak jej nie było, to trudno.

W drużynie trzymałem się z Krzyśkiem Budką, byliśmy jak bracia. Razem poznawaliśmy nocne życie – „Feniks”, „Kaprys”, „Pod Jaszczurami”, „Cracovia”, „Rotunda”. Woleliśmy kluby studenckie, bo na bramkach nie stali ubecy, ale jak trzeba było iść do ubeków, to też się chodziło. Wejście do „Feniksa” obstawiał Leon i zawsze spokojnie mnie informował:

– Możesz wejść, ale oczywiście zaraz zadzwonię do Wisły.

Tym sposobem punktował.

A ja mówiłem:

– Dobra, dzwoń. – I wchodziłem.

Jeśli ktoś jest ciekaw, jak „Feniks” wyglądał – nic prostszego, może pójść i sprawdzić. Przez lata nie zmienił się nic a nic. Na potrzeby książki odwiedziłem ten lokal raz jeszcze i jakież było moje zaskoczenie, gdy okazało się, że wewnątrz klimat jest dokładnie ten sam. Była środa, godzina dopiero siedemnasta. Wszedłem na moment i poinformowałem kelnera, że niczego nie zamówię, ponieważ „tylko wspominał”. Przyjął to ze zrozumieniem. Na parkiecie tańczyła podstarzała para, nieliczne zajęte stoliki okupywali dawni bywalcy. Chociaż wydaje się to nieprawdopodobne – zaniżałem średnią wieku. Z głośników leciały stare polskie przeboje, w rytm których pan przytulał panią. Dancing. Łoża – w samym kącie, po przeciwnej od wejścia stronie – którą okupowaliśmy jako wiślacy, pozostawała pusta. Może tęskniła? „Feniks” umrze, kiedy odejdzie z tego świata ostatni z jego dawnych klientów. „Feniks” jest stary i zmęczony. „Kaprys” już wyzionął – teraz w jego miejscu jest drogeria Rossmann. „Pod Jaszczurami” trzyma się mocno, ale i tam nie ma już chyba salki, którą nazywaliśmy „Małą Żyrafą”.

Balowanie zaczęło się za trenera Lencyka. Wygraliśmy pięć meczów z rzędu i nagle zarobiliśmy wielką kasę, co postanowiliśmy uczcić w restauracji „Staropolska”. Ustaliliśmy, że takie spotkania będziemy organizować raz na miesiąc. Tylko że wygrywaliśmy dalej i zaczęliśmy

biesiadować częściej – już nie raz na miesiąc, tylko raz na tydzień, aż w końcu przeszliśmy na cykl dzienny. Każdy powód dobry. Zdziśkowi Kapce nudzi się w chałupie – no to idziemy, całym zespołem. Pępkowe u mnie w domu, gdy urodziła się Kasia, trwało osiemnaście dni. Osiemnaście dni, podczas których gitary nie milkły nawet na moment.

Aby odpowiednio oddać klimat tamtej Wisły, postaram się wam opowiedzieć o wyjeździe na tournée do USA w 1977. Było już po sezonie, więc dzień przed wylotem pojechaliśmy do Warszawy, gdzie zaczęło się ostre imprezowanie (na tyle ostre, że redaktor Hurkowski pomylił popielniczkę z moją ręką) i puściły wszystkie hamulce. W sali odlotów zsunęliśmy stoliki jak na weselu, a na nich – „ucho” koło „ucha”, czyli ogromne butelki. Organizator wyprawy, Edward Mazur, ten, którego później ścigano w sprawie zabójstwa Marka Papiły, patrzył zszokowany:

– Panowie, przecież wy mieliście grać!

– Zagramy, zagramy! Niech pana głowa o to nie boli!

Był też z nami inny działacz, de facto z Cracovii, i jakoś nie został przez grupę zaakceptowany. Wkręcono go, że zwyczaj piłkarski jest taki, że kto pierwszy raz leci za Ocean, ten musi przejść chrzest. Oczywiście żadnego takiego zwyczaju nie było, ale jak inaczej pobić człowieka, żeby nie miał o to pretensji? Chrzest to jedyne rozwiązanie, by legalnie zastosować przemoc fizyczną. Dlatego został poinformowany o rytuale, a następnie dostał trzy tak piekielnie mocne strzały w tyłek, że – wybaczcie mi, proszę – zesrał się w gacie. Nie to, że wyolbrzymiam, że się zesrał, tylko zesrał się faktycznie.

No i graliśmy. Pierwszy mecz w Nowym Jorku przeciwko jakimś Portugalczykom. Później występowaliśmy w jakichś... halach po koniach, okrągłych, po rodeo, gdzie biegaliśmy między końskimi kupami. Albo w salach gimnastycznych. Normalne było tylko to pierwsze spotkanie.

Co tam się działo.

W Nowym Jorku jakiś kolega zabrał trzech najmłodszych w drużynie – mnie, Budkę i Nawałkę – do siebie do domu, czyli do jakiejś

portorykańskiej dzielnicy.

Mówimy:

– Słuchaj, ale my jutro mamy samolot do Chicago.

On na to:

– Spokojnie, odwiozę was!

Jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, rano najbardziej nadupcony był jedyny potencjalny kierowca, więc na dzień dobry mocno podpadliśmy. I komunikat z klubu: „Zakaz picia alkoholu do końca pobytu w USA”.

Ha! Jak w motelu w Chicago Kazek Kmiecik włożył klucz w drzwi, to zapomniał nacisnąć na klamkę i usnął oparty o ścianę. Adam Musiał z kolei poszedł spać z papierosem w ręku i jego pokój zaczął się palić. Zbyszek Płaszewski zaginął. Ale zaginął naprawdę – to znaczy na tyle, że zgłoszono jego zaginięcie na policji, bo nie przyszedł na mecz i nie zjawiał się na posiłkach. Okazało się, że... wynajął pokój na innym piętrze. Po trzech dniach z tego pokoju wyszedł i wyglądał, jakby wypalił całą trawkę stanu Illinois. „Mysza”, spokojny facet, zawsze chodził swoimi ścieżkami.

Dla Adama Musiała to był pożegnalny wyjazd, ponieważ Orest Lenczyk zapowiedział, że jeśli Musiał wypije w USA chociaż jeden kieliszek, to wyrzuci go z drużyny. A jak on miał nie wypić, jak był najbardziej lubianym naszym zawodnikiem w USA? Król folkloru, specjalista od ludowych przyśpiewek, mistrz ceremonii. Musiał się napić i musiał śpiewać. A potem musiał odejść.

Do Warszawy wracaliśmy jumbo jetem i starałem się, żeby działacze nie zauważyli mnie pijanego w samolocie. Kupowaliśmy wódkę i whisky w małych buteleczkach, dyskretnie. Niestety, zakołysało. Kiedy lądowaliśmy, nagły przechył rzucił mnie o parę dobrych metrów do przodu i zatrzymałem się... pod nogami kierownika sekcji. Popatrzył tylko na mnie, pokręcił głową i słowa nie powiedział.

Warszawa nas nie przyjęła z powodu mgły, ostatecznie wylądowaliśmy w Wiedniu, co tylko pogmatwało sprawę – trafiliśmy do hotelu, w którym minibarki nie były zamykane na klucz.

Dla nas tournée było nieprzerwaną, momentami zbyt ostrą imprezą, natomiast „Dziennik Polski” zamieścił następującą relację:

Wczoraj wieczorem powrócili do Krakowa z tygodniowej wyprawy do USA piłkarze Wisły. Na kontynencie amerykańskim krakowianie rozegrali trzy mecze. Najpierw, niemal tuż po wylądowaniu w ub... środę, zmierzyli się w Nowym Jorku z reprezentacją amatorskich klubów tego miasta. Zmęczeni podróżą wiślaczy zremisowali 0:0. Następne pojedynki rozstrzygnęła Wisła na swoją korzyść, choć odbyły się w specyficznych warunkach, bo w halach. W Chicago pokonała 9:3 drużynę złożoną z zawodników kilku klubów polonijnych, a następnie w Providence wygrała 6:3 z graczami z Chicago. Krakowianie nie napotkali na groźnych rywali, ale ich występ był wielkim przeżyciem dla miejscowej Polonii i dużym wydarzeniem sportowym.

Dużym wydarzeniem sportowym!

Gdybym miał sprecyzować tamtą Wisłę, powiedziałbym, że była to specyficzna ekipa, niespecjalnie zabiegająca o przyszłość. Atmosferę mieliśmy rewelacyjną, ale nie do tego, żeby podnosić umiejętności. Na bazie talentu, ale też atmosfery, potrafiliśmy sięgnąć po mistrzostwo Polski, ale później ta sama atmosfera spychała nas niżej i niżej – w efekcie aż do drugiej ligi. Ze śmiechu bolał brzuch, od tańca nogi, a od alkoholu głowa.

To były najwspanialsze lata.

ROZDZIAŁ V

LENCZYK

Ze wszystkich ludzi, którzy mieli do mnie słabość, największą miał chyba Orest Lenczyk.

Pamiętam na przykład, że 15 stycznia grało się wtedy o Puchar Wyzwolenia – chodziło o „wyzwolenie” z rąk Niemców przez marszałka ZSRR, Iwana Koniewa. Raz zdarzyło się, że dzień przed owym meczem miałem wesele, na którym oczywiście bawiła się cała drużyna. Spotkanie cieszyło się jednak sporym prestiżem i mimo opadów śniegu na trybunach zjawilo się 15 tysięcy kibiców. Huczna impreza nie była w smak Orestowi i trudno mu się dziwić – zamiast piłkarzy dysponował ledwie zipiącymi weselnikami, za których – jako trener – wziąć będzie musiał odpowiedzialność.

W dniu meczu trener stanął sobie cichutko pod ścianą i patrzył, kto jak wygląda. Minęło dwadzieścia minut, nic nie powiedział, tasował tylko wzrokiem kolejne osoby. W końcu w kolejce po sprzęt ustawił się Krzysiek Budka.

– Panie Stasiu, sprzęt!

– Krzysiewi sprzęt nie będzie potrzebny – odezwał się nagle dobrotliwym tonem Orest.

I Krzys już wiedział, że jest zbyt napruty nawet jak na grę w tym nieoficjalnym meczu. Jest zbyt napruty nawet na to, by zagrać wśród pijanych.

Ciężką miał pracę Orest Lenczyk, bardzo ciężką. Trafił do zespołu, którego nie dało się upilnować. Przyszedł po trenerze zamordyście, Aleksandrze Brożyniaku, i bardziej śruby dokręcić nie mógł. Zostały mu więc dwa wyjścia: niczego nie zmieniać albo poluzować. Gdyby nie zmienił nic, za chwilę by go zwolniono – po co drugi Brożyniak? Ale jak poluzował, to potem już nie był w stanie pozbierać tego wszystkiego do kupy. Rozbestwiliśmy się. Miał przerąbane. Kiedyś w Belgii po meczu trwała balanga na całego, jakiegoś Murzyna wysmarowaliśmy pastą do zębów, były śpiewy, krzyki, wrzaski. No, drużyna piłkarska, klasyka. W końcu przyszedł Lenczyk z pretensjami, a w drzwiach stanął Staszek Gonet:

– Co ty mi tu będziesz pierdolił?! Ja piłem, piję i będę pił, a ciebie to chuj obchodzi!

Najbardziej lubiliśmy wypadły na mecze do Trójmiasta. Nigdzie nie było takiego towarzystwa, takich knajp i takich dziewczyn jak tam. Przed jednym z meczów siedzieliśmy sobie w hotelowym pokoju w trójkę, z Andrzejem Targoszem i Adamem Nawałką. Zamówiliśmy jedną flaszeczkę, do snu. Ale ta jedna zamiast nas uśpić, to pobudziła. No to druga – dawaj! I w miasto – dawaj!

Z Adamem ruszyliśmy szukać mocniejszych wrażeń.

– Zmieńmy hotel! Po co będziemy wracać w środku nocy!

– No to wróćę po dowody osobiste.

Wracam, a tam już szef ekipy czeka przy recepcji.

– Pięknie, pięknie. Gdzie ten drugi?

– Jaki drugi?

– Dwóch was wyszło.

– Nie, sam poszedłem się napić.

Wszedłem po dokumenty i wyszedłem znowu, z Adamem wróciliśmy dopiero na śniadanie, chociaż wejście po schodach sprawiało już spore

problemy. Mimo to reszta drużyny przekonywała trenera Lenczyka, żeby nas jednak wystawił. Co ciekawe, łamał się. To jednak nie wchodziło w grę, naprawdę. Zamiast tytułu piłkarza meczu dostałem trzy miesiące dyskwalifikacji w zawieszeniu.

Moja więź z trenerem Lenczykiem jest jednak szczególna. Myślę, że on lubi osoby szczerze i takie, które nikomu nie obrabiają dupy. Takie, które nie udają. Grałem dla niego jako piłkarz i pracowałem jako asystent. Nasza znajomość jest szczególna jeszcze z jednego względu. Tak, trenerze, tak. Napiszę o tym. Wie pan, że to moja książka, i wie pan, że muszę napisać wszystko. Ja z kolei wiem, że będzie pan zły, ale zrozumie: ta historia ma dla mnie duże znaczenie.

W sezonie 1977/78 graliśmy znakomicie i wszystko wskazywało na to, że będziemy walczyć o mistrzostwo Polski. Właśnie wtedy, jesienią, Basia zaszła w ciążę. W klubie kilka osób wpadło w panikę, bo wymyślili sobie, że piłkarz po tym, jak weźmie ślub, pół roku ma gorsze. Zaczęło się więc przekonywanie:

– Andrzej, daj spokój, na cholerę ci żona? Żle ci jest, tak jak jest? Zaufaj starszym, żona to problem!

Nie skutkowało. Kasia w drodze. A dziecko musi mieć matkę i ojca.

Na Lenczyka naciskali działacze – zrób pan coś, zrób pan coś koniecznie! Zrób pan coś, bo jak on weźmie ślub, to nie zdobędziemy mistrzostwa! Pewnego dnia spotkaliśmy się w kawiarni „Literacka” przy ulicy Pijarskiej w Krakowie, tuż przy Rynku. Ja, Basia i Orest.

– Nie powinniście brać ślubu.

– Musimy.

– To naprawdę nie jest najlepszy pomysł.

– Trenerze, Basia jest w ciąży, dziecko potrzebuje rodziny.

Orest nie był sobą, denerwował się, kręcił, miotał. Aż w końcu, z wielkim trudem, zaczął precyzować myśli, z których wyklął się następujący wniosek:

– Powinniście usunąć to dziecko.

Czas stanął. Sugestia trenera zawisła w powietrzu.

Od razu zaznaczę: to były inne czasy, aborcję traktowano jako coś znacznie normalniejszego niż dzisiaj, niemniej tego rodzaju porada z ust trenera była co najmniej nietypowa i wciąż oznaczała zabicie dziecka.

Zapomniałem o tym zdarzeniu na długie lata. Musiało tych lat minąć chyba ze dwadzieścia, a może nawet więcej, kiedy Lenczyk zakłopotany wziął mnie na słówko:

– Andrzej, muszę ci coś powiedzieć.

– Tak?

– Muszę cię przeprosić. Od 1977 roku nie daje mi to spokoju. Nie wiem, jak mogłem coś takiego powiedzieć. Jest mi bardzo wstyd. Bardzo.

– Trenerze, niech trener da spokój. Przecież Kasia jest cała i zdrowa, nic się nie stało.

Gryzło go to. Przez tyle lat zżerało go sumienie.

Historia ta ma dalszą część, jak z jakiegoś tandetnego melodramatu.

– Tato, słuchaj się trenera Lenczyka, to ci wyjdzie na dobre – powiedziała mi kiedyś Kasia.

– Gdybym się go słuchał, to by ciebie na świecie nie było – odparłem, a potem opowiedziałem całą sytuację.

Kasia była wstrząśnięta. Ukuła przedziwny plan. Zgłosiła się do Janusza Koziola z „Gazety Krakowskiej” na praktyki i zapowiedziała, że ma zamiar zrobić wywiad z Orestem Lenczykiem. Zadzwoniła, umówiła się, ale nie wspomniała, że jest moją córką. Orest ją widział, kiedy była malutka, potem przez długie lata nie mieli żadnego kontaktu. Nie miał więc prawa podejrzewać, z kim tak naprawdę się umawia.

W końcu przyszedł dzień wywiadu.

– Panie trenerze, chciałabym zrobić wywiad dość nietypowy, nie tylko o piłce. Chciałabym porozmawiać o różnych życiowych sprawach.

– Dobrze, porozmawiajmy.

– Na początek chciałam się dowiedzieć, co pan sądzi na temat aborcji.

Lenczyka oblał zimny pot. Zaniemówił na kilka sekund, w oczach mieszała mu się panika z zakłopotaniem, niedowierzaniem i oczywiście zaskoczeniem. W końcu opanował się, przenikliwym wzrokiem spojrzał na Kaśkę i wypalił:

– Ty jesteś młoda Iwanówna!

Następnie wstał i objął ją, jak wnuczkę. I tak ją potem traktował – jak wnuczkę.

Kasia ma dziś z Orestem wspaniały kontakt. Gdy trzeba było się za mną wstawić, wielokrotnie ratowała mi dupę.

ROZDZIAŁ VI

PACZKA

Zanim opowiem wam historię Wisły widzianą od środka, musicie poznać jej bohaterów. Kto grał wtedy w zespole? Przeanalizujemy.

Przede wszystkim był Staszek Gonet, bramkarz, „minister edukacji”, jak na niego mówiliśmy. Wszystko chłopakom załatwiał: dyplomy, szkoły, paszporty. A dla niektórych zdobycie dyplomu było prawdziwym wyczynem. Jednego z kolegów wysłał na egzamin, a że zawodnik ten właśnie wrócił z Kanady, to przyjaźnie nastawiona komisja „wylosowała” mu następujące zagadnienie:

– Niech pan nam opowie. Na przykład niech pan nam opowie o Kanadzie.

A ten bystrzak na to:

– Za dużo nie widziałem, ale moim zdaniem jest tam wysoki stopień zadrzewienia.

– Bardzo dobrze, zdał pan.

Jasiu Adamczyk, „Ciapek”, kiedyś zapragnął zdobyć wyższe wykształcenie, ale nie był specjalnie rozgarnięty. Staszek powiedział mu:

– Słuchaj „Ciapuś”, dziś idziemy na kolację, będzie pani doktor Kwapulińska i jej mąż, profesor Toporowicz. Ty przez cały wieczór: ani

słowa! Na koniec tylko wstajesz i mówisz: „Ja płacę!”. Zrozumiałeś?

Przezywaliśmy go też „Biały”, bo był biały, jakby dotknięty bielactwem. Jego skóra nie tolerowała słońca. Bramkarzem był bardzo dobrym, chociaż mało efektywnym. Świetnie grał nogami, które miał najbardziej krzywe w całej lidze. Ale umiał się nimi posługiwać. Jak graliśmy w dziadka, to rzadko wchodził do środka, a z Antkiem Szymanowskim – który był strasznie szybki – wygrał zakład o to, kto szybciej przebiegnie 100 metrów. Mało kto w Polsce mógłby taki zakład wygrać.

Staszek znał wszystkich, wszyscy jego znali, był inteligentny, obyty, dowcipny. Niestety, jako jeden z niewielu spośród nas nie grał w reprezentacji. Mówiło się, że gdyby w końcu zrobił inżyniera, toby grał. Heniek Maculewicz zrobił i miał miejsce w kadrze u Jacka Gmocha.

„Biały”. Świetnie żył z gospodarzem, z Koziarskim – czyli z klubowym magazynierem. A że przesiadywał całe dni na Wiśle, to zrobił z niego króla strzelców ligi okręgowej. To były czasy, kiedy dziennikarze dzwonili do klubu i pytali o wynik.

– Halo?

– Witam, dzwonię z redakcji. Proszę mi powiedzieć, jaki był wynik rezerw Wisły?

– 4:1.

– A kto strzelił gole?

– Cztery trafienia Koziarskiego.

– O, dziękuję bardzo.

– Proszę.

I tak to Koziarski, magazynier, na koniec sezonu miał jakiś niesłychanie wyśrubowany wynik i prowadził we wszystkich klasyfikacjach. Koziarski – też fajny chłop. Smażył nam rybki. Kiedyś przyszliśmy do niego z karpem, wspaniale go przyrządził, ale strasznie się wkurzył, gdy na koniec powiedzieliśmy mu, że to był jego karp wigilijny.

Staszek Gonet stanowił nierozłączną parę z Adamem Musiałem. Pamiętam, że kiedy jeszcze nie grałem w Wiśle, razem z kolegą pojechałem na jej zgrupowanie do Bukowna – żeby po prostu zobaczyć słynnych zawodników. Wszyscy wtedy trenowali w normalnych koszulkach Wisły,

a Gonet i Musiał mieli naklejoną z przodu reklamę – etykietę „Żytniej”. Tak dla jaj.

Lata później mecz z Molenbeek. Holender Boskamp sfaulował Staszka Goneta. Jak to Adaś zobaczył – jeb! Przeciwnik z automatu dostał plombę od Musiała. Między innymi z tego powodu Wisła odpadła – bo grała w dziesiątkę, po czerwonej kartce. Adam zawsze stawał w obronie Staszka, bez względu na konsekwencje. Zadziałał instynkt. Gdyby to był „Ciapek”, czyli Janusz Adamczyk, to pewnie by jeszcze „Ciapkowi” Adaś poprawił.

Różnicę między Staszkiem i „Ciapkem” niech wytłumaczy ta historia. Kiedyś graliśmy z Lechem Poznań, bronił Jasiu Adamczyk. W pewnym momencie rzut wolny dla Lecha. Jasiu krzyczy do Szymanowskiego:

– Antek, Antek, prawo!

Antek nic.

– Antek, Antek, w prawo!!!

Antek nic.

– Antek, przesun się w prawo!!!

– Nie pierdol, kurwa! – odburknął Szymanowski.

Antek nie ruszył się, a ten z Lecha podbiegł, strzelił – i gol! Wtedy Orest Lenczyk zrozumiał, że Jasiu się nie nadaje i że zespół potrzebuje bramkarza z charyzmą.

Staszekowi Gonetowi wszyscy wypominali jeden mecz – z Malmö. Tworzyła się wtedy historia klubu, stawką był awans do półfinału Pucharu Europy. Gdybyśmy w tym półfinale byli, to w finale też! Każdy to powie: Wisła zagrałaby w finale, jako pierwszy polski zespół, gdyby nie ten pieprzony mecz z Malmö. Gdyby nie... gdyby nie Staszek. Na to spotkanie przyjechali wysłannicy z Niemiec, których przywiózł Rysiek Sarnat. Dla Goneta był to ostatni moment, żeby wyjechać za granicę. Nie, nie mógł puścić tego meczu. Więcej zarobiłby w Bundeslidze. Dla mnie to jasne, że „Biały” meczu nie sprzedał, mimo tych podłych plotek, a osobom, które lubują się w teoriach spiskowych, mówię: jeśli nie wierzycie w Staszka, uwierzcie w siłę pieniędzy. W Niemczech dostałby ich dużo więcej.

Po prostu słabo zagrał. Ale czy stoperzy grali lepiej? Też nie. Kto tam grał dobrze? Tak naprawdę? Nikt. Kozłem ofiarnym został jednak Gonet i sukcesywnie go odstawiano. Bronił albo Marek Holocher, albo Jasiu Adamczyk. Pół roku później Staszek – w wieku 30 lat – został asystentem trenera.

Widywaliśmy się w Niemczech na cyklicznych turniejach oldboyów w Hamm. Jeszcze trzymały się go żarty. Robił chłopakom kanapki z karmą dla kotów, a oni – niczego nie podejrzewając – chwalili:

– Jakie smaczne!

Jak już zjedli wszystkie puszki whiskasa, poprosił:

– Tylko mi tu nie miauczcie z zachwytu!

Jednak wyglądał coraz gorzej. Gdy „Biały” przyjechał po raz ostatni, już wtedy nie był biały, tylko żółty. Po powrocie zgłosił się do szpitala – żółtaczka. Tydzień później nie żył, ostatni żart opowiedział w wieku 46 lat. Pożegnaliśmy go tak, jakby sobie tego życzył. Najpierw klasycznie, w restauracji. A potem poszliśmy na cmentarz, gdzie siedzieliśmy na grobie i śpiewaliśmy piosenki. Był z nami Jasiu Nowicki, jego przyjaciel.

Skoro przegląd wiślackiej kadry zacząłem od Goneta, to teraz musi być **Adam Musiał**. Ten sam, który z Goneta zawsze się śmiał: „Jak przyjechałeś do Krakowa z Tarnowa, to do tramwaju pukałeś!”.

Adam to był wodzirej. Kiedy jeszcze chciałem się wkupić w łaski chłopaków, dzwoniłem do mamy (czyli do sąsiadki, która miała telefon i szła do mojego mieszkania przekazać wiadomość), żeby zrobiła pierogi. Adam pierogi uwielbiał, do tego szybko zakumplował się z moim ojcem. Śpiewał mu: „Łysych papą pokryjemy, to mistrzostwo zdobędziemy”. Ojciec był łyśy.

Po mistrzostwach świata w 1974 roku Szymanowski i Musiał kupili sobie beemki – dostali aż 60 procent rabatu, więc żal było z takiej okazji nie skorzystać. A że mowa o czasach, kiedy rynek w Krakowie był jeszcze otwarty dla ruchu kołowego, Adam praktycznie nie spał, tylko z dumą

jeździł po tym rynku z ręką za szybą (tzw. zimny łokieć) i obserwował ogródki. Ostatecznie zakup nie wyszedł mu na dobre. Trzy miesiące po mistrzostwach, na Wszystkich Świętych, jechał po pijaku do Wieliczki, chyba do dziewczyny. Droga była właśnie remontowana, nawierzchnia świeża, trochę piachu. Zniosło go w bok i wjechał pod tatrę. Całe szczęście, że złamał się fotel, w przeciwnym razie przecięłoby go na pół.

No i cały Adaś. Przyjechało pogotowie. Lekarka pyta:

– Może pan stanąć na prawej nodze?

Adam staje.

Lekarka:

– Może pan stanąć na lewej nodze?

A Adam na to:

– Proszę pani, nawet na chuju mogę stanąć!

Jednak od czasu tamtego wypadku ma ksywkę „Blacha”, bo w kilku miejscach właśnie blachą spajano mu kości.

I jeszcze jedna, podobna w gruncie rzeczy historia. Rozmowa na treningu.

Staszek Gonet:

– „Blacha”, po treningu idziemy na piwo.

Adam Musiał:

– Nie mogę, bo mam termin u dentysty.

Staszek:

– Daj komuś zęby, niech ci zawiezie. I chodź na piwo!

Bo Adam miał całą klawiaturę sztuczną.

Obrońcą był wspaniałym, niezwykle twardym i z wybitnym zmysłem taktycznym – Adasiowi Nawałce tylko krzyczał: „w lewo”, „w prawo”, „do środka”. Bywał brutalny, ale tylko wtedy, kiedy nie mógł sobie z kimś poradzić – czyli bardzo rzadko. Zazwyczaj był po prostu... szalenie zdecydowany. Nic dziwnego, że kibice go uwielbiali. Na Wiśle, na „dziesiątce”, śpiewało się:

*Przyszła do Adasia, w okno zapukała.
Otwórz mi, Adasiu, będę ci dawała.
Adaś jej otworzył, na ławie rozłożył,
dokładnie wyruchał i za drzwi wydmuchał.*

Gola, Wisłka gola, Adaś strzela i bramka jest!

*Poszła do trenera, złożyć zażalenie,
że ją Adaś kopnął w samo przyrodzenie.
Trener Wisły, Stroniarz, dokładnie wysłuchał,
rozłożył na ławie, jeszcze raz wyruchał.*

Gola, Wisłka gola, Adaś strzela i bramka jest!

Jeśli Gonet, to też **Jasiu Karwecki**, którego kupiono z Szombierek Bytom. Działacze zapowiedzieli, że potrzebujemy młodszego bramkarza niż Staszek i padło właśnie na Karweckiego. Jednak po jakimś czasie ze zdziwieniem zauważyliśmy, że on od Goneta nie jest młodszy, tylko starszy. Wprawdzie o dwa miesiące, ale jednak.

O Karweckim w lidze chodziły legendy, że straszny pijus i że w Bytomiu stracił prawo jazdy za jazdę po pijaku. Między innymi z tego względu chciał przyjść do Wisły – żeby mu ktoś pomógł na milicji sprawy pozalać.

Był nie do podrobienia. Kiedy Lenczyk nam go przedstawiał, powiedział spokojnym głosem:

– Jasiu, mam nadzieję, że nie będzie jak w Bytomiu.

A Karwecki na to ochoczo:

– Panie trenerze, trener Kostka stracił jedyne abstrynenta z zespołu!

Jeszcze tego samego dnia wynieśliśmy go razem z krzesłem, kompletnie pijanego, na środek ulicy.

„Sabała”. Z czasem dostał taką ksywkę, bo ciągle opowiadał bajki. Kłamał jak najęty, w każdej sprawie. Jak tylko Orest przyłapał chłopów

z flaszką, pytał:

– Dlaczego pijecie?

Wtedy zawsze wrywał się do odpowiedzi Jasiu. Wstawał i z dumą oświadczał:

– Córka mi się urodziła! – Córka rodziła mu się w Wiśle z pięć czy sześć razy, mimo że w rzeczywistości nigdy córki nie miał.

Łgarz nie z tej ziemi. I co najdziwniejsze – sam sobie wierzył!

Kiedyś nie przyszedł na trening, a że mieszkał koło mnie, myślałem sobie: „Pójdę i zapytam jego babci, co się stało”. Bo mu babcia syna pilnowała.

– Dzień dobry. Nie wie pani, co się stało z Jasiem?

– Właśnie telegram dostałam!

– I co tam jest?

– Pokażę panu!

Biorę telegram do ręki, a tam: „Droga babciu, nie przyjadę dziś do Krakowa, bo pod Olkuszem potrąciłem niedźwiedzia”.

Ech, Jasiu, Jasiu. Aparat nie z tej ziemi. Ile z nim było zabawy. Po meczu z Arką Gdynia wszyscy kupili ryby, żeby zabrać do Krakowa – razem kilka kilogramów tego było. Budzimy się w pociągu, a ryb nie ma. Karweckiego, a to był spory chłop, głód złapał i zjadł wszystkie. Przed tym spotkaniem powiedziałem:

– Czuję, że zagramy dobry mecz, ale Jasiu zapierdoli dwa gole.

Zagraliśmy świetnie i przegraliśmy 1:2, po dwóch babolach Karweckiego.

Prawo jazdy w Wiśle odzyskał tylko na chwilę, bo mu zaraz znowu zabrali. Miał niesamowite przyzwyczajenie – jak tylko wsiadał do samochodu, na początku wrzucał wsteczny. Bez względu na to, gdzie stał, zaczynał od wstecznego. I dzwon! I jeszcze jeden! Jasiu, jedziesz? Jadę! I wsteczny! I jeb w latarnię! Żałowała drogówka, że któryś służbista się pospieszył i Jasiowi prawko zabrał, bo takiego dawcy łapówek Kraków potem już nie widział.

Miał Karwecki jedną istotną wadę – jak się napił, to było mu absolutnie wszystko jedno. Cokolwiek miałyby się zdarzyć – jemu wszystko jedno. A za dowód niech świadczy taka historia. Wisła leciała na tournée do

Australii, specjalnie wyjechano do Warszawy dzień wcześniej. Mnie w autokarze nie było z przyczyn, które jeszcze opiszę, za to Jasiu był.

Kiedy koledzy już byli na drugim końcu świata, poszedłem do żony Jasia, bo miałem do niej jakąś sprawę. A tu nagle otwiera mi drzwi on.

– A ty co tu robisz? Nie w Australii?

– Pierdolę, nie jadę.

Potem poznałem kulisy tego jego „pierdolę, nie jadę”. W Warszawie w noc przed wylotem niektórzy troszkę podrinkowali, w związku z czym Jasiowi... było wszystko jedno. Budzą go rano i mówią:

– Wstawaj!

A on, że mu się nie chce.

– Lot za chwilę! – wołają.

A on, że jeszcze poleży.

Na śniadanie nie przyszedł.

– A gdzie Jasiu? – spytał Orest Lencyk.

– On już wczoraj mówił, że nie będzie głodny.

Budzili go na wszelkie sposoby, do tego stopnia, że polali gorącą wodą i trochę poparzyli. Ale i to nie zadziałało – nie poleciał. Sam, autokarem, który przywiózł Wisłę do Warszawy, odbył drogę powrotną.

Świat jest mały. Teraz Jasiu Karwecki mieszka w tym samym bloku co ja, dokładnie piętro niżej. Piętnaście lat się trzymał i nie pił. Aż się napił i stracił pracę, na dwa lata przed emeryturą. Jest w trudnej sytuacji. Dramatycznej.

Na bramce przez lata stał – a to etatowo, a to okazjnie – **Janusz Adamczyk**, „Ciapek”. Był to sympatyczny, pogodny chłopak, ale... ślepo wpatrzony w Staszka Goneta. Dla „Ciapka” Staszek był guru, a każde słowo wypowiedziane przez starszego kolegę – świętością. Bez szemrania wykonywał nawet najgłupsze polecenie. Może właśnie dlatego był „Ciapkiem”.

Staszek Janusza lubił, otaczał ojcowską opieką, ale też był na tyle sprytny, by nie dać się wygryźć ze składu. Kiedy więc obaj rywalizowali o miejsce w składzie, „Biały” wymyślał ćwiczenia, które... powodowały u jego konkurenta obniżkę formy – np. praca nad skocznością w piaskownicy, z obciążeniem, fatalnie wpływała na dyspozycję Adamczyka. Jednocześnie Adamczyk nie dostrzegał podstępów i robił wszystko, o co go proszono.

„Ciapek” był majątnym chłopakiem dzięki obrotnej matce, obdarzonej zmysłem do handlu. Dlatego zawsze miał dobry samochód, np. wzbudzającego zazdrość fiata 128 sport. Była to trzydrzwiowa maszyna, kojarząca się z amerykańskimi filmami i pościgami po ulicach San Francisco. Janusz szpanował nią jak tylko mógł, przez co stał się obiektem drwin. Ale sam na to zasłużył! Pewnego razu podjechał pod lokal „Cracovia”, gdzie na tarasie siedzieli inni piłkarze Wisły i dyskutowali na temat zbliżającego się spotkania z Celtikiem Glasgow. Dzień później czekał ich lot. Kiedy zobaczyli, że podjechał fiat 128 sport i ze środka na dziewczyny gapi się Jasiu, zawołali go:

– Chodź do nas! Na górę!

Adamczyk poprawił ciemne okulary, wyprostował się na fotelu, a następnie bardzo głośno, bardzo powoli i bardzo, bardzo wyraźnie krzyknął:

– Nie mogę! Jutro lecę! Do Anglii!!!

Jako że wtedy nikt do Anglii nie latał, okrzyk miał wywołać oczywisty efekt – ściągnąć na „Ciapka” spojrzenia wszystkich okolicznych niewiast.

Adamczykowi często docinano i z tego powodu... raz chciał się wyżyć na mnie. Był pierwszym piłkarzem, od którego usłyszałem bardzo ostrą reprimendę. Zdaje mi się, że Jasiu chciał wykorzystać moment i fakt, że jako nowy zawodnik mogłem jeszcze się nie zorientować, iż to z niego się śmieją, a nie on śmieje się z innych. Rozpaczliwie próbował zbudować swój prestiż, chociażby u juniorów. W czasie śniadania przed jakimś meczem na stole została jedna bułka. Sięgnąłem po nią i ugryzłem, a „Ciapek” wyskoczył jak oparzony:

– Zostaw to! Co ty sobie wyobrażasz! Nigdy więcej tak nie rób!

Było to irracjonalne. Miałem nigdy więcej nie jeść bułki? Siedzący obok Jurek Płonka popatrzył na Jasia spode łba i zgasił go:

– „Ciapek”, weźże się od młodego odpierdol.

Jasiu zrozumiał, że przedstawienie się nie udało i nigdy więcej nie próbował już stawiać mnie do pionu.

Życie osobiste miał Adamczyk mocno skomplikowane. Jego pierwsza żona była wielokrotną mistrzynią Polski w gimnastyce, a jej ojciec prominentnym działaczem Wisły. Kiedy Jasiu bronił dobrze, ów działacz biegał po gabinetach prezesów i mówił: „Patrzcie, jak mój zięć gra!”. Potem jednak Jasiu się z żoną rozwiódł i ten sam działacz zaczął go niesłychanie szkalować, czym wśród piłkarzy wzbudzał pogardę.

Niestety, Adamczyk jest przykładem, jak szybko człowiek może się zestarzeć i jak bezlitosny jest czas. Niezwykle sumiennie pracował z bramkarzami, aż nagle dopadła go choroba – zator. Kawalek po kawałku ucinano mu nogę, najpierw część stopy, potem całą stopę aż do kostki, wreszcie podudzie powyżej kolana.

Wielką postacią w historii Wisły i całej polskiej piłki był oczywiście **Antoni Szymanowski**. Spokojny, trochę wyniosły, cieszył się ogromnym szacunkiem. I z nim bywało jednak śmiesznie. Kiedy walczył o opaskę kapitana z Adamem Musiałem, postanowił ją sobie przyszyć do rękawa. A że strojów było mało i nikomu nie chciało się opaski odpruwać, to już u niego została. W rzeczywistości nie musiał jednak walczyć o prestiż, i tak wszyscy go podziwiali. Ja sam dałem swojej córce na drugie imię Paulina – tak nazywa się córka Antka. Chociaż był typem samotnika, kumplowaliśmy się – co dla wielu osób było większą zagadką niż Trójkąt Bermudzki.

Był też w Wiśle jego brat, **Henryk Szymanowski**. Teraz właśnie pozwalam sobie na to, czego Heniek nienawidził – robię z niego zaledwie brata Antka. Ale cóż począć – on od tego nie ucieknie, zawsze był w cieniu. Miał pseudonim „Pluto”, był trochę przymulony i ciągle marudził. Jak mu

mówiłeś „cześć”, to zastanawiał się, czy odpowiedzieć. Malkontent nie z tej ziemi. I chłopak bez historii.

Kapitałnym obrońcą, uczestnikiem mistrzostw świata, był też **Henryk Maculewicz**. Fajny chłopak, niesamowicie ambitny, ale czasami trudno było za nim nadążyć. Ukończył AGH w Krakowie i czasami wydawało mu się, że faktycznie jest inżynierem. Kiedy dochodzi do spotkania z prezesem klubu, zawsze zawodnicy mają takie same pytania: „Ile dostaniemy za wygrany mecz?”, „Jaka będzie premia za mistrzostwo?”. Tymczasem w Wiśle mieliśmy stały punkt programu. Nagle Heniek wyskakiwał:

– A co z budową nowego stadionu?

Patrzyliśmy się po sobie z niedowierzaniem.

Przezywaliśmy go „Koniem”, ponieważ miał straszne kopnięcie. Ale siłę miał nie tylko w nodze: ileż było śmiechu, kiedy wyrwał hamulec ręczny w maluchu. Tak sobie myślę teraz, że tę siłę mógł mieć od jedzenia steków. Jak Wisła poleciała do Australii, Heniek narzekał:

– Ciągłe do jedzenia tylko steki, steki i steki! Rzygam już tymi stekami!

Na to przychodzi organizator i mówi:

– Niech więc każdy zamawia, co chce.

A Heniek:

– Ja poproszę stek.

Oczywiście dużo się uczył. Kiedy chodziliśmy na Królewską do „Dniepru”, Heniek wpadał zdyszany z książkami.

– Są mi potrzebne na uczelnię – tłumaczył, ledwie łapiąc oddech.

– Ale napijesz się z nami?

– Sześć pięćdziesiątek, poproszę!

Jeszcze ich nie wypił, a już składał kolejne zamówienie. Nie miał czasu. Musiał pędzić na uczelnię, do domu, na spotkanie, w tysiąc różnych miejsc. Dlatego szybko zamawiał i szybko wypijał. Następnego dnia prosił:

– Zadzwońże do Kini i powiedz, że byłem u ciebie.

Do domu też się widocznie nie wyrobił.

W czasie zgrupowań mieszkał zawsze ze Zbyszkim Płaszewskim, tym który się zgubił w USA. Woda i ogień. Ciągłe się kłócili, w sposób całkowicie niepodrabialny. „Mysza” mówił:

– To jest szklanka.

A Maculewicz:

– Nie, bądźmy precyzyjni. To jest szkło w postaci szklanki.

Szeroko żył zawsze. Był czas, kiedy z „Maculem”, „Kapą” i jednym doktorem z AGH jeździliśmy na ryby. Zwykle chcieliśmy odbić na Zakopane, do Łopusznej, ale z reguły nawet nie udawało nam się wyjechać z Krakowa. Jak dojeżdżaliśmy do stadionu Cracovii, pierwszy litr już był za nami. Zatrzymaliśmy się, Heniek wchodził do baru i mówił:

– Sześć razy kieliszek koniaku!

Kelnerka na to:

– Proszę pana, to jest drogi koniak, bardzo drogi.

– Trzy butelki w takim razie!!!

Nigdy nie akceptował, że coś mogłoby być dla niego niedostępne. Z Wisły wyjechał do ligi francuskiej, gdzie dorobił się strasznych pieniędzy. Do Krakowa przyjeżdżał mercedesem 500 SL, a taki miał w całym mieście jeszcze tylko Stanisław Lem. Oczy nam wychodziły na wierzch. No i miał gest. Kiedy pojechaliśmy do Francji z reprezentacją, Heniek zaprosił nas na bankiet i wydał kilka tysięcy franków na drinki w modnym paryskim klubie – wszyscy byliśmy zszokowani tą rozrzutnością. Ale cieszyliśmy się, że w końcu komuś z naszej paczki się udało. Chociaż jemu! Chociaż on został światowcem! Gdy ze swoim francuskim klubem przyjechał do Krakowa, zamawiał grzanki z kawiolem, na co Kazek Kmiecik – rzuciwszy okiem – obruszony wypalił:

– Ja chleba z makiem jeść nie będę!

Życie Maculewicza nabrało rozpędu i barw, ale – gdy patrzę na to z dzisiejszej perspektywy – chyba byliśmy drużyną przeklętych.

Po zakończeniu kariery „Macul” wyjechał do Gabonu na kontrakt trenerski. Ostatniego dnia, gdy miał lecieć do Paryża, na terenie lotniska potrąciła go wojskowa ciężarówka. Przeżył, ale zmiażdżyło mu nogę, doznał też poważnego urazu głowy. To pozostawiło trwałe ślady. Dziś

zapomina fakty, nie poznaje ludzi. Kiedyś nie palił, a dziś – 60 fajek dziennie. Mieszka w Krakowie z jakąś panią, stoją razem na targowisku. Nie żyje mu się łatwo, ale nie narzeka. Może nie pamięta, co miał kiedyś? Ot, taki gorzki żart.

Gonet nie żyje, Heniek Maculewicz schorowany i na uboczu. Kolejnym przeklętym z naszej paczki okazał się **Zbigniew Płaszewski** – uważam za cud, że jeszcze żyje, bo w myślach już się z nim żegnałem. Rak, wycięte węzły, nie ma krtani, ale nauczył się mówić przeponą. Po zakończeniu kariery nie wiodło mu się najlepiej. Próbował zaczepić się w Austrii, jeździł taksówką. Popijał, potem był lekomanem. Nawet prosił mnie, żebym załatwił mu recepty na relanium. Kiedy potrzebował pieniędzy, starałem się mu pomóc – sygnalizowałem problem Wiśle, co jakiś czas dla Zbyszka grały „Orły Górskiego”.

A kiedyś to był bardzo elegancki i szybki zawodnik. Jeden z brzydszych, jakich poznałem, ale na boisku wspaniale elegancki.

Do tego stopnia, że w czasie gry nigdy go nie widziałem spoconego. Pocił się chyba... tylko ze strachu.

Pewnie mało kto wie, że jak Zbyszek przechodził z Hutnika Kraków do Wisły, to przez miesiąc siedział w ukryciu w pałacu w Paszkówce pod Krakowem. W domu ciągle nachodziło go wojsko – brakowało mu zaledwie miesiąca, by nie podlegać pod pobór, a wojskowa Legia koniecznie chciała go mieć u siebie. Siedział więc w tej Paszkówce cichutko jak mysz pod miotłą – tak bardzo chciał zostać w Krakowie.

Jego kariera w Wiśle zakończyła się po aferze „Okęcie II”. Wyjątkowo pechowa sprawa. Lecieliśmy na zgrupowanie do Jugosławii i jeszcze na lotnisku trochę przyjęliśmy. Pytało się wtedy klubowego lekarza: „A dla zabicia strachu, można?”. Odpowiadał: „Nawet zalecane!”. Wszystko byłoby w porządku, ale... z powodu awarii zawrócono nas na Okęcie. Ze strachu, już prawdziwego, napiliśmy się jeszcze bardziej – tak bardzo, że

Kazek Gazda się porzygał i działacze postanowili zostawić go w Polsce. Zbyszek ujął się za kolegą i został potraktowany bardzo ostro.

Pierwszym w zespole chłopakiem spoza Krakowa był pochodzący z Żywca **Marek Motyka**. Jego transfer był dla nas lekkim zaskoczeniem, ponieważ na prawej obronie mieliśmy dwóch Szymanowskich i „Marcyś” – przy całej swojej piłkarskiej klasie – zdawał się całkowicie zbędny. Z czasem został jednak bardzo ważnym ogniwem zespołu i obronił się przed zarzutami, że jest człowiekiem Oresta. Początkowo postrzegaliśmy go właśnie w ten sposób, co nie ułatwiało mu aklimatyzacji. Swoje dorzucał też Antek Szymanowski, żartując z Marka – swojego konkurenta – w sposób dość złośliwy. Po meczu z Odrą Opole mówił na niego „Bolcek”, ponieważ skrzydłowy z zespołu przeciwnika, Bolcek właśnie, niemiłosiernie wkręcał naszego „Marcysia” w ziemię.

Sporo było z Marka śmiechu, sporo drwin, ale jako osoba z zewnątrz musiał przez to przejść. Sam też dolewał oliwy do ognia przeróżnymi nieprzemyślanymi posunięciami czy wypowiedziami. Jako pierwszy piłkarz zaprosił na ślub krakowską telewizję. Z tej okazji nakręcono film, przeprowadzono wywiady. Krysia powiedziała, że kocha Marka, ponieważ „przywozi jej ciuszki”.

Próbował się wkupić, ale początkowo bez specjalnego powodzenia. Chrzest mu wyraźnie nie wyszedł. W czasie zgrupowania w Kamieniu postawił dwie wódki na całą drużynę i jeszcze poprosił o butelki, żeby odebrać kaucję. Oczywiście dostał w związku z tym straszny łomot, a później ksywę „Szkot”. Przewisko to utrzymywało się jeszcze, gdy Marek w czasie rozgrzewek przed meczami rozgrywanymi na Wiśle – w korkach, getrach, po prostu w kompletnym stroju – zbiegał z murawy w kierunku bramy wejściowej na stadion i tam, stojąc pośród zdziwionych kibiców, prosił, aby za darmo wpuszczono jego rodzinę.

Oczywiście wkręcaliśmy go notorycznie. Przypomina się lot reprezentacji do Brazylii, kiedy dano nam do wypełnienia dokumenty.

„Number of flight/cruzeiro” – napisano na druczku. Marek drapie się po głowie:

– Co tu wpisać?

– Przelicz, ile masz pieniędzy w kieszeni, i wpisz.

Niestety, wkrętka nie do końca się udała, ponieważ Leszek Lipka za wcześnie buchnął śmiechem. Później „Marcyś” wziął od Leszka kartkę, by zerznąć z niej wszystko, słowo w słowo. Wpisał nawet „Leszek Lipka” jako swoje imię i nazwisko. To zamotanie na wyższym nawet poziomie niż wtedy, gdy Kazek Deyna wpisał „Legia” zamiast „Górnika” w rubrykę „zawód”, zrzynając od zawodnika Górnika Zabrze, który górnikiem był faktycznie.

Marek, Mareczek. Wielki chłop. Zdrowy, silny jak tur. Tę siłę miał wrodzoną, a nie wytrenowaną. Jadł za ośmiu. Kiedyś na stołówce Orest Lenczyk mówi do niego:

– Marcyś, ty musisz zacząć jeść!

„Marcyś” na to, z pełnymi ustami:

– Przecież jem.

– Nie, ty nie jesz, ty żresz.

Smakoszem jest do dziś – w ogóle nie stołuje się w domu, posiłki zawsze jada w restauracjach. W Krakowie zna wszystkie i śmiało mógłby napisać przewodnik kulinarny.

Ubaw mieliśmy też na treningach – ogłaszaliśmy zawody, kto założy Markowi więcej siatek. Udawało się to nawet Heńkowi Maculewiczowi, a „Marcyś” był chyba jedynym przeciwnikiem, którego Heniek potrafił podziurawić. Później w szyderstwie zapędziliśmy się tak bardzo, że na basenie przepływaliśmy między nogami Marka. Przypomina mi się też mecz ze Śląskiem Wrocław, w którym Marek chciał się popisać swoją siłą. Miał taki zwyczaj, że na chwilę odpuszczał piłkę i czekał na przeciwnika, by doszło do starcia bark w bark. Wtedy – niczym wielki, stojący na tylnych łapach niedźwiedź – mógł pokazać, kto tu rządzi. Mirek Pękala ze Śląska okazał się jednak sprytniejszy i kiedy „Marcyś” wyhamował, Mirek nadstawił kolano, idealnie trafiając w „czwórkę”, tuż przy kości. Dyskretnie, jednym ruchem obalił nam kolegę. Marek próbował jeszcze

grać i tym jego wysiłkom przyglądaliśmy się z ogromnym rozbawieniem. W praktyce nie mógł nawet stanąć na kontuzjowanej nodze. Kulał jak trafiony John Wayne. Tak wtedy na niego mówiłem: John Wayne.

Jeśli po części przedstawiłem go jako pierdołę, to muszę teraz sprostować: Marek był zawodnikiem i człowiekiem godnym szacunku. Śmiech to zdrowie, więc i z niego się śmialiśmy, a on w pewien sposób wysyłał sygnały, że na to przyzwala. Piłkarsko rozwinął się w stopniu ogromnym, rozegrał ponad 200 meczów dla Wisły, zaliczył też kilka spotkań w reprezentacji kraju. Dziś – z pewnymi przerwami – zarabia na życie jako trener.

Niestety, jego też muszę zaliczyć do klubu przeklętych. My, starzy wiślacy, zawsze trzymamy kciuki, żeby „Marcyś” miał pracę, ponieważ wszystko, co zarabiał jako szkoleniowiec, wydawał na lekarstwa dla córki, u której stwierdzono guza mózgu.

Podziwiam Marka za to, z jaką klasą potrafi się w tej sytuacji odnaleźć.

Teraz dopiero opowiem wam niezłą historię. Niezłą, chociaż wówczas byłem śmiertelnie przerażony. Bohaterem opowieści będzie **Jan Jałocha** – piłkarz, który zawsze czerwienił się na widok trenera Brożyniaka. Miał naprawdę przerąbane.

Wchodzi Brożyniak, Jasiu czerwony. Brożyniak patrzy, że Jałocha czerwony, więc mówi:

– Jasiu, paliłeś!

– Trenerze, wcale nie!

Ale Brożyniak zawsze wiedział swoje i wlepił mu karę.

Janek na co dzień był z tych, których określa się sformułowaniem „ani be, ani me”. Jednak kiedy się napił, był nie do zatrzymania. Największy problem z nim mieliśmy, kiedy napił się tylko odrobinę. Okazało się niestety, że wcześniej od dawna niczego nie zjadł. Rzecz działa się w czasie zgrupowania reprezentacji.

To były Indie, Puchar Nehru. Siedzieliśmy tam już drugi tydzień, a Jasiu niczego nie jadł. „Nie smakuje mi” – mówił. Mnie smakowało, kwestia gustu albo odwagi. Możliwe, że Jałocha chciał się odchudzić, ponieważ na tym punkcie miał fioła, trochę nawet podpadał pod bulimika. Gdyby ktoś zwrócił mu uwagę na zbyt duży brzuch, Janek spędziłby na kiblu kolejny miesiąc.

No to teraz oczami wyobraźni przenieśmy się do Indii. Konkretnie jesteśmy w Kalkucie, ogromnym mieście położonym w delcie Gangesu, pełnym dramatycznych kontrastów. Pięćdziesiąt metrów od hotelu, na ulicy, umierają ludzie. Codziennie wieczorem jeździ trupiarka – coś jak nasza śmieciarka, ale zamiast śmieci zbiera zwłoki tych, którzy nie przetrwali trudów dnia. W Kalkucie mieliśmy dobre warunki, w Delhi pierwszy raz widzieliśmy budynki z zewnętrznymi windami i wodospadami w środku. Ale i tu, i tam woń luksusu miesza się z natrętnym smrodem rozkładających się ciał.

Do Kalkuty przybili polscy marynarze, więc pada hasło:

– Idziemy do nich na bankiet!

– Ja nie idę – mówię, bo nogę miałem w gipsie i nie uśmiechało mi się zasuwanie o kulach po statku.

W tamtym czasie czytałem bardzo dużo książek, a jedną z moich ulubionych była „Igła” Kena Folletta. Po przeczytaniu przekazałem ją Jaśkowi.

No i właśnie. Po pewnym czasie Jasiu wraca z bankietu. Widzę, że jest prawie całkowicie trzeźwy, ale zachowuje się dziwnie. Jak zupełnie obca osoba. Mówi:

– To nie jest fair.

– Co?

– To nie jest fair.

– Janek, co nie jest fair?

– To nie jest fair. W czasie wojny wszystkie chwytysą dozwolone.

Patrzy na mnie wzrokiem pełnym nienawiści i jednocześnie zimnym. Patrzy na mnie tak, że cały truchleję, chowam się w sobie. Cedzi przez zęby:

– Widziałeś moją twarz!

Jego twarz? Dlaczego bredzi? I nagle olśnienie. Momentalnie zdaję sobie sprawę, że Jan Jałocha – reprezentant Polski w piłce nożnej i jednocześnie mój kolega z pokoju – doznał pomieszania zmysłów i mówi do mnie cytatami z „Igły”. Wydaje mu się, że jest Faberem, niemieckim szpiegiem, który musi zabić wszystkich mogących go zdekonspirować. To już nie są żarty – naprawdę się boję. On ni to szykuje się do ataku, ni to przesuwa w stronę okna, żeby w ten sposób uciec i uniknąć pojmania przez Anglików. Jesteśmy na piątym piętrze, więc jego skok przez okno nie byłby najlepszym wyjściem z sytuacji. W końcu dochodzi do krótkiej szamotaniny, ale udaje mi się uwolnić i wydostać z pokoju. Prawdopodobnie nawet o kulach byłbym w stanie pobić owładniętego schizofrenią Janka, ale nie chcę tego robić. Kuśtykam więc w stronę pokoju lekarzy, którzy też wymigali się z wycieczki na statek.

– Doktorze, Jasiu zwariował!

– Jak to, zwariował?

– Zwariował!

Wystarczyło na mnie popatrzeć i wszelkie dalsze tłumaczenia stają się zbędne. Doktor Soroczko momentalnie orientuje się, że sprawa musi być rzeczywiście poważna.

Soroczko wpada do pokoju.

– Widziałeś moją twarz! – krzyczy Jasiu.

– Co? O czym mówisz? No, widziałem! To znaczy. Nie, nie widziałem!

– Widziałeś moją twarz. W czasie wojny wszystkie chwytły są dozwolone.

Jan Jałocha cały buzuje. Kwestią sekund jest, kiedy rzuci się Soroczce do gardła. Na szczęście doktor szybko się orientuje i ucieka z pokoju, zamykając drzwi na klucz. Zza nich słyszymy straszliwe wrzaski.

Jak z nieba spadają nam masażyści – kolejna grupa wracająca ze statku. W kilka osób jesteśmy już w stanie wejść do Jasia i w sposób dla niego w miarę bezpieczny obezwładnić go. Wije się, krzyczy, że go zdemaskowaliśmy i teraz będzie musiał nas zabić, więc przywiązujemy go do łóżka. Drobną ilość alkoholu na wygłodzony organizm zadziałała

w sposób, jakiego nikt nie mógł się spodziewać. Jasiu leży teraz z każdą kończyną przywiązaną osobno i nie jest w stanie nawet podrapać się po tyłku. Leży tak kilkanaście godzin.

Później znowu nie chodził na posiłki. Jeść już chciał, ale było mu wstyd. Puchar Nehru wygraliśmy, pokonując w finale Argentynę. W nagrodę dostaliśmy sygnety z białego złota, z wielkim kamieniem. Miną ze dwie dekady, gdy – zrozpaczony i pogrążony w hazardzie – będę szukał pieniędzy, by cokolwiek wrzucić do automatów. Pójdę do jednego lombardu, drugiego – sygnety okaże się nic niewartym kawałkiem metalu.

Jeszcze jedna, chociaż już znacznie słabsza historia kojarzy mi się z Jankiem. Zgrupowanie z Zakopanem, luźniejszy dzień. Poszedłem do pokoju do niego i do Michała Wróbla. Zrobiło się już późno, a oni uznali, że mnie... nie wypuszczą. Mówię:

– Wypuście, naprawdę, tak będzie lepiej.

A oni, że nie. Że mam zostać.

Ostrzegam:

– Jak nie wypuście, wyrzucę wasze ubrania przez okno.

– A to wyrzucaj!

A to wyrzuciłem.

Rano szefowa COS-u, pani Możdzeniowa, otwiera okno, a jej oczom ukazują się gacie, koszulki, skarpety, spodnie – wszystko, co mogło zawisnąć na drzewie. Informuje nas:

– Nie doniosę o waszym pijaństwie, jeśli rozładujecie dwanaście ton węgla.

A przecież ostrzegałem!

Jednym z najlepszych strzelców w historii ekstraklasy jest **Kazimierz Kmieciak**. Pochodził z Węgrzc Wielkich i wydawało się, że karierę zwiąże z Cracovią. Tak by pewnie było, gdyby... jego ojciec nie pracował jako funkcjonariusz milicji. Kiedy na komendzie dowiedzieli się, że ma

utalentowanego syna, kazali mu przenieść go do Wisły – albo zostanie wypieprzony z resortu. Ojciec zmusił więc Kazka do tego „transferu”.

Kazek był specyficzny, chociaż wszyscy go szalenie lubili – między innymi dlatego, że strzelał niemożliwe liczby bramek, czym wygrywał nam mecze. Otwarty na innych człowiek, serdeczny, chociaż w towarzystwie trochę boi się odezwać i niespecjalnie uczestniczy w dyskusjach. A jak już się odezwał to... tak jakby piał. Dlatego przezywaliśmy go „Kogut”.

Normalnie spokojny i wyważony. Wyższy bieg wrzucał dopiero po alkoholu – przeistaczał się wówczas w króla życia, choć był to król bez tego całego dworu, bez giermków i świty. Chadzał własnymi ścieżkami. Pytaliśmy go:

– Idziesz z nami?

A on na to:

– Nie dam rady, ktoś na mnie czeka.

Kolejny jego pseudonim: „Ktoś”. Ktoś zawsze na niego czekał, ale później jechaliśmy z chłopakami do „Dniepru” i wpadaliśmy na Kazka, który jednak był zawsze sam, bez jakiegoś „ktosia”.

Na boisku – autorytet. Jeśli zagrałeś mu piłkę w okolicy szesnastki, zawsze trafiał. Bywało to momentami... irydujące, bo postrzelać chciał sobie każdy. Kazek jednak podawał rzadko, a jeśli już podawał, to w taki sposób, by wyrzucić cię na bok – czyli tak, by i tak piłka musiała wrócić do niego. Nie wiem, czy robił to specjalnie, czy podpowiadał mu to instynkt, ale nawet w grze zespołowej w ostatecznym rozrachunku wychodził z niego egoista. Może z tego powodu ze śmiechem wspominam sytuację, jak Kazek uderzył na bramkę w Zabrze i jak głupi cieszył się z gola, a nie zauważył, że piłka stanęła w błocie tuż przed linią.

Snajperem był wyborynym. Czasami strzelał piękne bramki, ale zazwyczaj całkiem brzydkie, oparte na sprycie i intuicji: do końca czekał na reakcję bramkarza i do ostatniej chwili był w stanie zmienić decyzję, w który róg posłać piłkę. Uważam, że treningi z Kazkiem bardzo dużo dały innemu wspaniałemu napastnikowi – Tomkowi Frankowskiemu. Z drugiej strony podejrzewam, że Tomek i Maciek Żurawski pamiętają głównie

treningi biegowe z Kazkiem, któremu po prostu nie sposób było dotrzymać kroku. Straszliwie ich zajeżdżał.

Okazję, by poznać się lepiej, mieliśmy podczas. najcięższego w moim życiu leczenia – w sanatorium w Krynicy. Miałem 17 lat i żadnego leczenia nie potrzebowałem, ale zasada była następująca: idziesz do lekarza, on wypisuje, jakie zabiegi są wskazane (na przykład: siarka i borowina). Na miejscu szło się po odpowiednie pieczętki do głównego lekarza sanatorium – i tyle. W praktyce żadnej siarki i borowiny nie było, tylko garowanie. W drugim czy trzecim dniu razem z Krzyśkiem Budką zaciągnęliśmy zasłony, licząc, że nie zostaniemy obudzeni. Niestety, zapukano w okno:

– A wyście co, kurwa, spać tu przyjechali?

I trzeba było pić. Do dziś nienawidzę soku pomarańczowego, bo mam wrażenie, że czuję w nim wódkę.

Wracając z Krynicy, Kazek nie wyrobił się na moście i rozbił swoją mirafiorkę – auto, na które mogli pozwolić sobie nieliczni. W drużynie śmialiśmy się, że najbardziej zdenerwował się ojciec Kazka, ponieważ – nie mogąc trzymać alkoholu w domu – dwie flaszki ukrył przed żoną w aucie. Nie dojechały, bo kiedy nasz snajper poszedł szukać pomocy, ktoś mu ogołocił bagażnik. Takie czasy!

Ta historyjka jest wstępem do kolejnej, znacznie ciekawszej – związanej z zamianą granatowej mirafiorki na białego malucha. Jakoś wkrótce mieliśmy lecieć do Stanów, na zgrupowanie, którego przebieg już wam nakreśliłem. Była zima, strasznie sroga. Jako że stanowiliśmy niesamowicie zgrany zespół, spotykaliśmy się nawet w trakcie urlopów, żeby najpierw pograć w piłkę i potrenować, a potem zabalować. Dzień w dzień.

Tuż przed tournée odbyły się kolejne zajęcia na Wiśle. Najpierw boisko, a potem... filmy porno, które dostarczał właśnie Kazek (podobnie jak i projektor!). Miał odpowiednie dojścia i podobne seanse organizowaliśmy regularnie. Akurat wtedy opił się niesłychanie. Patrząc – z kieszeni wystają mu kluczyki od malucha. Hmm. W tamtych czasach bez samochodu nie było łatwo dostać się ze stadionu do Huty. Na Rynku były dwa postoje taksówek – jeden dla „normalnych” pasażerów i drugi właśnie dla osób

podróżujących w moim kierunku. I na tym drugim ustawiali się najbardziej cwani kierowcy.

Kiedy zobaczyłem te kluczyki, naszła mnie ogromna chęć odwiezienia Krzyśka Budki do domu. Problemów nie trzeba było szukać, nasuwały się dwa aż nadto oczywiste. Po pierwsze, jak wszyscy byłem pijany. Po drugie, nigdy wcześniej nie siedziałem za kierownicą i po prostu nie potrafiłem jeździć. Dokładnie to samo – w dwóch punktach – mógł powiedzieć o sobie „Budkin”.

Mieliśmy po kilka promili, a na ulicy szklanka. Potwornie zimno i potwornie ślisko.

Wiedziałem, że trzeba wcisnąć sprzęgło. Nie uchroniło mnie to od zahaczenia o barierkę. Słyszałem tylko, jak jadąc, zrywam karoserię. Następnie nie trafiłem w bramę. Dzwon.

– Kurwa, teraz ja cię wiozę! – oznajmił Krzysiek.

No to zawiózł, ale tylko do drugiej bramy, w którą przyładował z równym wdziękiem, z jakim ja walnąłem w pierwszą.

– Krzysiek, nie umiesz jeździć. Zamiana!

Jeszcze nie wyjechaliśmy z terenu stadionu, a już zawadziliśmy o barierkę i przyładowaliśmy w dwie bramy. Czułem jednak, że dalej będzie już lepiej i że damy radę dojechać do Huty.

Niestety, wypadaliśmy z drogi na najbliższym zakręcie i wjechaliśmy w sklep.

I teraz najzabawniejsze.

Jest 1977 roku, zima jak skurwysyn, biało. My wjeżdżamy w sklep, a z niego wychodzi... najprawdziwszy Murzyn. Wokół biało, a przed nami – dwoma pijakami – staje jedyny czarnoskóry człowiek, jakiego kiedykolwiek widzieliśmy w Krakowie. I już nie wiemy, czy to jakieś omamy, czy rzeczywistość.

Stoimy więc jak wryci i się gapimy.

– Murzyn.

– No, Murzyn.

– Ale Murzyn?!

– No.

Nagle z tyłu dobiega do nas Kazek Gazda:

– Widziałem, że jedziecie! Zabierzcie i mnie! Do Witkowic mnie zabierzcie!

– Kazek.

– Zabierzcie! Jak inaczej dojadę?

– Kazek, spójrz na samochód. Jest rozwalony. Mieliśmy trzy wypadki na stu metrach.

– E tam, rozwalony, na pewno jeszcze pojedzie! – szukał nadziei Gazda. Aż w końcu zamilkł, stanął jak wryty i wymamrotał: – Murzyn?

Z Kazkiem Kmieciem spotkaliśmy się w autokarze wiozącym nas do Warszawy. Wcześniej Staszek Gonet załatwił wszystko tak, aby naprawiony maluch czekał, jak tylko wrócimy z USA. W związku z tym Kazek się nawet nie denerwował. Zagadywał tylko:

– Co tam, rajdowcy?

Wróćmy do piłki. Jedyne, czego Kazek Kmieć może żałować, to tego, że nie za wiele znaczył w reprezentacji. Konkurencję miał jednak najmocniejszą w historii naszego futbolu – Szarmach, Lato, Lubański, Gadocha. On zawsze był tym czwartym albo piątym. Na finały MŚ w 1978 roku nie pojechał, mimo że w formie był wybornej – w ciągu pięciu sezonów cztery razy zdobywał tytuł króla strzelców. Co ciekawe, nie zabrał go trener Gmoch, który później wziął go do Grecji – i tam bardzo przypadli sobie do gustu. Nic dziwnego, skoro Kmieć pomógł mu zdobyć puchar kraju.

Nie tak dawno Kazek stał się ofiarą polityki. Jako zawodnik był na etacie w SB. Teraz obcięli mu część emerytury.

Skoro Kmieć, to musi być i **Marek Kusto**. Człowiek zagadka, ponieważ mam wrażenie, że mało kto zna go naprawdę i wie, że to jest... przeaparat! W telewizji wypada nudno, wiele osób mnie zagaduje: „Kusto? Ten nudziarz? Ty się z nim kolegujesz?”.

A to nie nudziarz, tylko facet, z którym można śmiać się od rana do wieczora – o ile znajdziemy się w zaufanym, zamkniętym gronie. Poza tym, faktycznie, jest to chłop spokojny, rozważny, a jego życie potoczyło się dość równo, bez nagłych upadków i bez spektakularnych wzlotów (nawet jak wyjechał z Polski, to był wierny jednemu klubowi – belgijskiemu KSK Beveren, z którym święcił triumfy). Piłkarz znakomity i chociaż nie strzelał zbyt wielu goli, to jest podwójnym medalistą mistrzostw świata – czym mało kto w Polsce może się pochwalić. Może tylko pluć sobie w brodę, że za szybko odszedł z Wisły i z tego powodu nigdy nie został mistrzem Polski. Co warte podkreślenia – odszedł do Legii, co stanowiło ewenement. W transferze maczał palce jego ojciec, wojskowy, któremu zapewne przybyła jedna gwiazdka na pagonach.

Moim zdaniem Kusto byłby asystentem Franciszka Smudy w reprezentacji Polski, gdyby nie to, że Franek musiał wywiązać się z pewnych obietnic wobec Włodzimierza Małowiejskiego i jego syna, Huberta. Małowiejski to wykładowca w szkole trenerskiej PZPN. Marek jednak Franka dalej lubi, a już na pewno ich żony bardzo się przyjaźnią.

Podobnie jak Kusto tak i **Zdzisław Kapka** jest medalistą mistrzostw świata, z tą różnicą, że Kusto w 1974 roku wszystkie mecze przesiedział na ławce, a Kapka zagrał kwadrans w ostatnim spotkaniu, z Brazylią.

„Kapa” to świetny kumpel, któremu kilka osób postanowiło zarzygać życiorys, kolportując plotki o jego współpracy z SB. Zdzisiek na pewno nie współpracował, tylko był na etacie – Wisła była milicyjnym klubem, czy się to komuś podoba, czy nie. W Górniku Zabrze piłkarze dostawali etaty jako górnicy, w Legii mogli dosłużyć się stopnia porucznika, a w Wiśle trafiali na listę płac Służby Bezpieczeństwa. Kiedy czytam, jak kibice „Białej Gwiazdy” nie przebierają w słowach i obrażają Zdziśka, to aż mi się nóż w kieszeni otwiera. Przecież mowa o jednym z niewielu zawodników w historii, który całą karierę spędził przy Reymonta. Kapka jest

wychowankiem Wisły i w Wiśle zakończył karierę, po drodze rozgrywając ponad 300 meczów ligowych i strzelając w nich 93 gole.

Człowiekiem z innej bajki był **Adam Nawalka**. Do pewnego momentu mieliśmy te same zainteresowania – balety i zabawy. Różnica między nami i w ogóle różnica między Adamem oraz resztą zawodników była taka, że on nie potrzebował żadnych dodatkowych bodźców i potrafił fantastycznie bawić się bez alkoholu. W polskiej piłce stanowił awangardę. To był pierwszy prawdziwy profesjonalista – nikt tak nie podchodził do zawodu jak on. Dbał nawet o odpowiednie żywienie. Pewnie innych troszkę by to drażniło, gdyby Adam swój styl próbował narzucać. Ale tego też nie robił.

To była niesprawiedliwie krótka kariera. Na mistrzostwach świata w 1978 roku grał kapitalnie i przez niektóre media został nawet wybrany do jedenastki turnieju. Później poleciał na chwilę na festiwal młodzieży na Kubę, a jak tylko wrócił, praktycznie z marszu, kazano mu grać. Niestety, organizm się zbuntował, coś mu strzeliło.

I koniec. Po piłkarzu.

Po pierwszym urazie posypały się kolejne. Dochodziło do tego, że Adam kładł się spać zdrowy, a budził kontuzjowany. Spał napięty jak struna, wystarczyło, że źle się poruszył i... trach. Miał problemy z biodrem, z kolanami. Czułem, że to jakaś kpina: my robiliśmy wszystko, by zniszczyć organizmy, ale one dzielnie się broniły, natomiast Adam starał się poświęcić piłce, a pociechę z niego mieli nie kibice, lecz lekarze.

Oczywiście walczył, wydłużał swoje granie, jak tylko mógł, ale nie był w stanie nawiązać do klasy, jaką prezentował w 1978.

Po karierze wyjechał do Stanów, gdzie pracował przy ścinaniu drzew. Robota niezła, do tego szybko nauczył się języka. Sprowadził też za ocean żonę, co wydało się nam niespotykane, bo Polonusi rzadko szukali dodatkowych kosztów. Później, po zjednoczeniu Niemiec, przebranżowił się – ściągał trabanty z silnikami od volkswagena polo. Szło mu to wspaniale. Otworzył sklep z jeansami, z kosmetykami. Aż wreszcie – co za

szczęście – wziął się za trenerkę. Jako że mieszka w Rudawie, to zaczął od pobliskiego Świt Krzeszowice. Stamtąd wzięła go Wisła. Bogusiowi Cupiałowi Adam pasował – robił dobre wrażenie, był zawsze elegancki, miał dobre maniery i świetnie mówił po angielsku. Kiedy już odszedł, posypał się wiślacki skauting. To Adaś wyszukał Brożków, Nawotczyńskiego, Strąka. Można powiedzieć, że na rynku młodzieżowej piłki nożnej Wisła dzieliła się łupami z Amiką Wronki. Adam jest wymarzonym szkoleniowcem dla młodszych zawodników, przywiązuje wielką wagę do indywidualizacji treningu. Zdaje mi się, że byłby świetnym trenerem kadry U-21.

Ja i Adaś zawsze szliśmy pod rękę. Odkąd tylko przyszedłem do Wisły, trzymaliśmy się razem. To trener Brożyniak zdecydował, że mamy dzielić pokój i później Adam – chociaż sam był młody – wprowadzał mnie do drużyny. W reprezentacji też mieszkaliśmy razem. No i imprezowaliśmy razem, jeszcze z „Budkinem”. Oni dwaj byli kawalerami, ja szybko wziąłem ślub, ale żona dziwnym trafem o nasze wspólne eskapady nie miała pretensji do Adama, tylko zawsze do Krzyśka. W nim widziała sprawcę wszystkich nieszczęść. Chyba wyobrażała sobie, że gdyby nie Krzysiek, to ja z Adamem siedzielibyśmy w bibliotece.

Ale tak to już jest, że Adasia Nawałkę lubili wszyscy. Nawet moja żona, gdy wracaliśmy po nieprzespanej nocy.

Dodać muszę, że w „Nawałkę” jak w obrazek wpatrzony był **Piotr Skrobowski** – kolejny błyskotliwy zawodnik, któremu kontuzje zniszczyły karierę.

Najbliższą mi osobą był **Krzysztof Budka** – czyli „Budkin” albo „Dziunia”. Przychodził do mnie na osiedle, ponieważ – jak mi się zdaje – imponowali mu moi kumple, rzezimieszki. Był zabójczo przystojny, wysoki, ze śniadą cerą. Dziewczyny za nim szalały. Wszystko robiliśmy razem, chociaż w słowie „wszystko” zawierały się największe idiotyzmy,

jakie człowiek może wymyślić. Pomysły wpadały nam do głowy co sekundę i większość z nich była fatalna. Kiedyś w trzy osoby całkiem spontanicznie pojechaliśmy do Warszawy odwiedzić dziewczynę Krzyśka. Ja napruty – z tyłu. Kumpel – też napruty – jako pilot. No i Krzysiek jako kierowca – napruty najbardziej. W dzisiejszych czasach nie ujechalibyśmy pięciu kilometrów, ale wtedy przemierzyliśmy trasę z Krakowa do Warszawy, spychając pozostałe samochody na pobocze.

Dojechaliśmy na miejsce – Moniki nie ma.

– Krzysiu, to ty nie zadzwoniłeś, czy ona będzie?

– Nie.

I wróciliśmy.

To był bardzo utalentowany piłkarz. Wzorował się na Beckenbauerze, był elegancki, rozważny. Lubił podawać zewnętrzną część buta, żeby popisać się wyszkoleniem technicznym. W kadrze pograł tylko trochę – przegrywał rywalizację ze Żmudą, Gorgoniem, Szymanowskim, później z Janasem. W kierunku piłki popchnął go wujek, Ryszard. Matka Krzyśka zmarła bardzo wcześnie, wychowali go właśnie wujek oraz babcia. Tak naprawdę nazywał się Wróbel, a nazwisko miał po Ryśku – znakomitym zawodniku z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Ryszard Budka był wymagający, surowy, a „Dziunia” darzył go wielką estymą.

W praktyce stanowiliśmy rodzeństwo. Z wielkim znawstwem wpadaliśmy razem w kłopoty i z jeszcze większym się z nich wygrzebywaliśmy. Czasami zastanawiałem się, jak by się wszystko potoczyło, gdybyśmy na siebie nie wpadli i czy osobno nie zrobilibyśmy większych karier, ale nie chcę tak myśleć – zbyt wielki sentyment mam do tej naszej durnej młodości. Nie zamieniłbym jej na nic innego. Nie zamieniłbym jej na żadne trofea, gole czy statuetki.

Braliśmy życie garściami.

Kiedyś jechaliśmy taksówką przez miasto. Gdzieś w okolicach alei Słowackiego stanęliśmy na światłach i poznało nas dwóch stojących nieopodal chłopaków. Z przyczyn dość niezrozumiałych – może byli kibicami Cracovii – rzucili się na nasz samochód z pięściami, krzycząc:

„Kurwy z Wisły!”. W efekcie sami wylądowali na pogotowiu, co nie umknęło uwadze prasy – „dwóch znanych piłkarzy pobiło dwóch niezidentyfikowanych mężczyzn”. Na szczęście tamci zachowali się honorowo i nie wnieśli żadnej sprawy, do czego ich zresztą przekonaliśmy pieniędzmi. Namierzyć ich pomógł kierownik Wisły, który miał dostęp do listy wszystkich przyjętych tego dnia do szpitala.

Boże, ileż ja wydałem pieniędzy, by uniknąć konsekwencji bójek!

Z „Budkinem” i Zdzichem Kapką poszliśmy raz do „Feniksa”. Zdziśkowi miało rodzić się dziecko, więc w pewnym momencie zostawił nas samych. Kiedy wyszliśmy przed lokal, zaatakowało nas dwóch typów – jeden drobny, drugi bydlak. Drobny przywalił mi w twarz i przestawił nos, ale szybko został spacyfikowany. Podnoszę głowę, patrzę, a ten drugi, bydlak, znęca się nad Krzyskiem. Dodatkowy problem polegał na tym, że Krzysiek po meczu ligowym miał rozoraną rękę. Rzuciłem się więc na wielkoluda, trzymam go, duszę, ale wyrywa się i wiem, że za moment będzie po nas. Krzyczę:

– „Budkin”, kop go!

A „Budkin” kopnięcie miał bezlitosne.

Ja trzymam, Krzysiek kopie – jakby wybijał piątkę. Bum, bum, bum!

Ku naszemu przerażeniu te ciosy nie robią na przeciwniku wrażenia.

– Krzysiek, kop go dalej, bo jak się wyrwie, to po nas!

No to Krzysiek kopie. Pach! Bum! Pach!

Uratował nas gwizdek milicji. Podjechał gazik, założono nam kajdanki. O dziwo, milicjant nie poznał nas, tylko naszego przeciwnika.

– Panie Miśkowiec, to pan? Z takimi chłopaczkami?

Stanisław Miśkowiec – medalista mistrzostw Polski w boksie, waga ciężka, zawodnik Wisły Kraków. Zostaliśmy kolegami.

Dodać trzeba też o Krzysku, że jak szedł na pierogi, to zamawiał nie podwójne, jak niektórzy, tylko „posiódme”. Dogadać się potrafił w każdym zakątku świata (w Bombaju prosił o jajka, wyjąc „kukuryku!”, a miód zamawiał, mówiąc „bzzzzz”). Byłby dyrektorem Wisły u Bogusława Cupiała, gdyby nie jedna niefortunna wypowiedź. Stwierdził, że Cupiał jest tak bogaty, iż jego pieniądze nigdy się nie skończą. Jakoś chwilę wcześniej

porwano syna Zbigniewa Urbana i Cupiał przestraszył się, że ktoś, kto opowiada publicznie o jego majątku, może mu narobić kłopotów. „Budkin” został przegnany, więc w wywiadzie dodał, że właściciel Wisły otacza się laikami. W efekcie ogłoszono go persona non grata – dostał zakaz wstępu na stadion. Obraził się na nas, starych wiślaków, że nie stanęliśmy w jego obronie.

Miał kłopoty z sercem, dzisiaj prowadzi spokojne życie.

Z naszego pokolenia – rok starszy od Krzyśka i dwa lata starszy ode mnie – był **Andrzej Targosz**. Zawsze będę kojarzył go ze zgrupowania, w czasie którego spał nie w łóżku, tylko obok – na podłodze. A to dlatego, że na łóżku miał rozłożony towar do handlu.

W latach siedemdziesiątych to był jeden z największych talentów w Wiśle. Niestety, w czasie obozu w Bułgarii „Biała Gwiazda” grała sparing z Akademikiem Sofia. Wtedy z Bułgarami w sparingach nie było gry w piłkę, tylko rżnięcie. Andrzejowi złamali nogę – wisiała mu tak, jak lata później Marcinowi Wasilewskiemu, trzymając się tylko na skarpecie. Psychicznie już się nie pozbierał. Wrócił do piłki, ale trząśł się za każdym razem, gdy widział zbliżającego się przeciwnika.

Ach, z Targoszem kojarzy mi się jeszcze jeden sparing. Sędziował go Jerzy Goś, później szef sędziów. W ogóle nie umiał gwizdać, był pierdołowaty, niezdecydowany. W pewnym momencie nie wytrzymałem i wrzasnąłem:

– Ty baranie!

On się odwraca, wyciąga kartkę i już chce mi pokazać czerwoną, a ja błyskawicznie do Targosza:

– Ty baranie, do ciebie, kurwa, mówię!

Goś zdębiał, ale Andrzej Targosz jeszcze bardziej. Patrzył na mnie jak na wariata. Przedstawienie się jednak powiodło, ponieważ zmieszany arbiter schował kartkę z powrotem do kieszeni.

Targosz był też posiadaczem jednego z niewielu w Polsce samochodów (jedyne?), który wjechał w kościół Mariacki. Na imprezie „Pod Jaszczurami” był właśnie Andrzej, Janusz Krupiński i Jacek Nowak z rezerw. Balowali ostro i tak jak ja kiedyś chciałem odwiedzić Budkę do domu, tak Janusz chciał odwiedzić Jacka. W tym celu podwędził kluczyki Targoszowi, gdy ten wyszedł do toalety.

Efekt przejazdu był podobny: wjechali w ścianę zabytkowego kościoła.

Bohater poprzedniej historii – **Janusz Krupiński** – zmarł trzy lata temu. Palił jak smok, po dwie paczki dziennie. Miał niezwykle silne ręce, stąd ksywa „Kilof” – wkręcał śruby palcami tak mocno, że śrubokręt nie był potrzebny. To on strzelił gola w 89. minucie meczu z FC Brugge.

Mistrzem dryblingu w Wiśle był **Michał Wróbel** – tyczkowata budowa ciała, ale kiedy kiwał się, to miałem wrażenie, że trybuny falują w rytm jego zwodów. Ludzie zginają się to w lewo, to w prawo. Przeciwnicy przed meczami mówili: „Wyciąć Wróbla i po kłopotcie”. Jemu zazdrościłem dryblingu, Maculewiczowi siły strzału, a Kmiecikowi wyrachowania i rzutów wolnych.

Nie zazdrościłem za to Wróblowi żony. Wszyscy wiedzieliśmy, że „lata po mieście”. Trwała raz odprawa przed którymś z meczów, wszystko zostało omówione, poza stałymi fragmentami gry.

– No to na boisko! – krzyknął trener.

– A rogi? – spytał Michał.

– Rogi zostaw w szatni! – odparł Budka, więc wszyscy, z wyjątkiem Wróbla rzecz jasna, buchnęliśmy śmiechem.

Michał to był straszny nerwus, nawet na stare lata. Graliśmy sobie hobbystycznie (choć nie za darmo) w klubie Kuchnie Izdebnik. Przed jego pierwszym meczem uczulałem:

– Michał, tylko proszę, nie dostań dzisiaj czerwonej kartki. Będą cię prowokować.

– Nie ma sprawy, Andrzejku, wytrzymam!

Wróbel chodził cały spięty, żeby tylko tej kartki nie dostać. Pilnował się, pilnował, powtarzał sobie w głowie, że nie tym razem, aż – jeszcze przed meczem – sędzia zwrócił uwagę:

– Proszę włożyć koszulkę w spodenki.

A Michał – jakby porażony atakiem, którego się nie spodziewał – wybuchł:

– Już się kurwa, chuju, nie masz do czego przypierdolić?!

I dostał czerwoną przed pierwszym gwizdkiem.

Teraz mieszka w Stanach i z bardzo poważnych kłopotów wyszedł na prostą.

Największą pociechą w drużynie był **Kazimierz Gazda** – nasza maskotka. Był mile widziany w każdej grupie – i u starych, i u młodych. Może dlatego, że częściej grał w karty niż w piłkę. Z Kazkiem Kmiecikiem kłócił się, który z nich urodził się bliżej Krakowa.

W końcu, rzutem na taśmę, wygrał Gazda, bo ogłosił, że urodził się w karetce.

Śmialiśmy się z niego cały czas, ale to dosłownie – cały czas, chociażby dlatego, że beznadziejnie mówił po polsku. On sobie jednak nic z tego nie robił, tylko sam śmiał się najbardziej. Kiedyś, gdy wszyscy turlaliśmy się po podłodze ze śmiechu, Gazda niespodziewanie wypalił:

– Co wy się ze mnie śmiejecie, jak poza mną i Kapką, to nie ma chuja w tej drużynie!

No i konsternacja. „Kapa” nie wiedział, jak się zachować, bo trudno było stwierdzić, czy akurat usłyszał komplement, czy – będąc zaliczonym do jednego grona z Gazdą, w dodatku grona chujów – wręcz przeciwnie. W końcu uznał, że chyba należy poważnie rozważyć opcję numer dwa i rozdrażniony wykrzyknął:

– Weźże się ode mnie odpierdol!

A w szatni, jak to w szatni, znowu salwa śmiechu.

My się z Kazka śmialiśmy, ale to wszystko było szalenie życzliwe. Lubiany był do tego stopnia, że jak w Sewilli ruszaliśmy w miasto, to... nieśliśmy go nad głowami, jakby na drzwiach. A to dlatego, że w Sewilli był wtedy straszny syf, a Kazek panicznie bał się szczurów, które co chwilę przebiegały pod nogami. Z powodu tej fobii chciał zostać w hotelu, ale wiadomo – taka opcja nie wchodziła w grę. No to go nieśliśmy. Widzieliście kiedyś drużynę piłkarską, która idzie ulicami miasta i niesie jednego z zawodników?

Gazda to był model. Jak przyjechałem do niego po sylwestrze, to drzwi otworzyły mi dwa czerwone ślepią, bo okazało się, że jeszcze się impreza dobrze nie zaczęła, a Kazek już dwa razy dostał od jakiejś kobiety szpilką – raz w lewe oko, raz w prawe. Ze śmiechem wspominam też sytuację, kiedy zanosilo się na zmianę trenera i dzień przed meczem Pucharu Ligi z Zagłębiem Sosnowiec dostaliśmy wypłatę. Mieliśmy zwyczaj, że w dniu wypłaty – nazywaliśmy to dniem Matki Boskiej Pieniężnej – szliśmy na Sienną, do „Staropolskiej”. Ruszyliśmy w składzie: ja, Gazda, Budka i Garlej, wtedy zawodnik Gwardii. Nie do końca wiem, co się działo później. Każdy z nas obudził się w innym, dziwnym miejscu, przy czym Garlej świadomość odzyskał... na trybunie honorowej na Wiśle. W spotkaniu zagraliśmy, a ja strzeliłem trzy gole.

Nie można nie wspomnieć o tym, że Kazek Gazda praktycznie nigdy nie strzelał goli i Staszek Gonet powiedział nawet, że jak już Kazek strzeli, to on kończy karierę. No i Kazek strzelił – jedną z najważniejszych bramek w historii klubu. Przegrywaliśmy z Lechem Poznań, najgroźniejszym rywalem w walce o mistrzostwo. Gazda wszedł w końcówce i wyrównał, dziś wiele osób uważa, że ta bramka w praktyce przesądziła o mistrzostwie Polski dla Wisły. Wtedy Staszek Gonet – bardzo honorowo – ogłosił, że kończy karierę i za cholerę nie chciał dać się przekonać do zmiany decyzji, ale w końcu uległ. Nawet Gazda go za tego gola przeproszał i błagał, by Gonet dalej stał w bramce.

Końcem Kazimierza Gazdy w Wiśle okazała się wspomniana wiślacka afera na Okęciu. Aby dostać wcześniejszą emeryturę, Kazek poszedł do pracy i z czasem drogi jego i pozostałych chłopaków z paczki zaczęły się rozchodzić. Z czasem przestał odbierać telefony – podobno dlatego, że otrzymywał od kogoś pogróżki. Ale graliśmy jeszcze razem w Spartaku Wielkanoc.

Oczywiście byli wśród nas też grzeczni chłopcy. **Leszek Lipka** nie pił alkoholu i nie palił papierosów. Niesamowicie inteligentny, tworzył nierozłączną parę z Krupińskim, chociaż był jego całkowitym przeciwieństwem. Mieliśmy z nich uciechę, ponieważ Leszek ciągle pakował kolegę w maliny. Kiedy Krupiński rozwiązywał krzyżówki, „Lipa” – zachowując kamienną twarz – podsuwał mu najbardziej absurdalne hasła. W stylu: „państwo w Afryce, pięć liter, na K”. Leszek na to śmiertelnie poważnie:

– Korea.

Na boisku był – nie boję się tego napisać – genialny. Genialny, ale niewykorzystany. Debiutował w reprezentacji Polski jeszcze u Kuleszy, ale u Piechniczka za dużo nie pograł, bo ten nie lubił piłkarzy, którzy więcej myślą, niż rzucają się po trawie. A Leszek nie był szczególnie pracowity, za to kiedy już miał piłkę przy nodze, wybierał najlepsze rozwiązania. Może też zabrakło mu trochę charakteru, przebojowości, może za duży był z niego milczek. Gdybym jednak miał go porównać do któregoś z późniejszych piłkarzy, uznałbym, że to był wczesny Robert Pires. Gdy patrzyłem na styl biegania Francuza, widziałem „Lipę”.

W każdym razie to właśnie Leszek Lipka przeprowadził fantastyczną akcję w meczu z FC Brugge – perfidnie założył siatkę reprezentantowi Belgii i po chwili trafił na 2:1, co uratowało ten dwumecz.

Działa w piłce, w małych klubikach. Towarzysko zupełnie zniknął, zerwał kontakty.

Z nas wszystkich najkrócej w lidze, za to najdłużej w ogóle, grał chyba **Bogdan Sysło**. Wielkie serce właśnie do grania, no i do grzania – dlatego miał pseudonim „Gąbka”. Jeden z najlepszych w Krakowie ekspertów od bukmacherki.

Dość dobrze zapowiadał się **Wojciech Gorgoń**, wszystkich w promieniu pięciu metrów potrafił poharatać wślizgami. Strzelał gole od święta, ale raz mu się udało – z Cracovią. Niestety, po pierwsze przegraliśmy 1:2, a po drugie – co gorsza – kibice uważali, że ten mecz sprzedaliśmy. Wielkiej radości więc ten gol mu nie dał. Wojtek po zakończeniu kariery wyjechał do Austrii, gdzie został sędzią międzynarodowym. Jego syn, Alexander, został piłkarzem i występuje w pierwszym składzie Austrii Wiedeń.

W 1983 roku dołączył do nas **Marek Banaszek**. Warszawiak. Już wtedy rozpadała mu się rodzina, więc w Krakowie zamieszkał w hotelu i schodziły się do niego panienki z całego miasta. „Banan” miał tylko jeden problem – wszystkich wokół chciał żenić, praktycznie rozdawał obrączki. Dzięki niemu poznałem chłopaków z Lady Pank – wprawdzie nie byłem fanem tego zespołu, ale moja 4-letnia córka już tak i jak Panasewicz z Borysewiczem przyjechali do Krakowa, to Marek zaaranżował spotkanie.

Piłkarsko był bardzo dobry, ale w Wiśle nie poszło mu najlepiej. Miewał świetne mecze, ale... jak ja wchodziłem na boisko, automatycznie przestawał istnieć. Było to tyleż niewytłumaczalne, że grałem wówczas straszną kichę i naprawdę sztuką było zaprezentować się gorzej ode mnie. Nawet było mi pod tym względem „Banana” żal – był to przecież kumpel, członek naszej paczki „kabaretowej” (od lokalu „Kabaret”, do którego chodziliśmy w dużym gronie, między innymi z Jurkiem Fedorowiczem, kiedyś aktorem, a dzisiaj posłem).

Z czasem nasze drogi się rozeszły. Gdy „Banan” nie miał się gdzie podziąć, rękę wyciągnęła Gwardia Warszawa – klub, któremu dał najwięcej. Tam zaoferowano mu pracę z młodzieżą i mieszkanie w hotelu. Jednego dnia nie stawiał się na zbiórkę przed meczem juniorów i chłopcy znaleźli go w pokoju martwego. Podobno wylew, ale dużo słyszałem hipotez i – jako że znałem Marka – nie wykluczam samobójstwa.

Na bramce przez moment stał **Marek Holocher**. Przeżywaliśmy go „Banks”, ponieważ fizycznie podobny był do słynnego angielskiego golkipera – Gordona Banksa (też taki lekko spuchnięty). Świetnie zapowiadał się w juniorach, ale potem kariery nie zrobił. Na boisku bywał ospały. Musiał dostać w łeb, by się ocknąć i zacząć bronić. Do tego nie umiał grać nogami, co jednak w tamtych czasach nie było wielką wadą. Kiedy już na stare lata – jako trener – przekopał połówkę boiska, uczczono to, nadając mu pseudonim „Janikowski” – od polskiego kopacza w NFL (futbol amerykański).

„Banksik” ożenił się z siatkarką i śmialiśmy się, że to dlatego jest taki ospały – miał duże pole do obrobienia.

Pretensje o brak miejsca w składzie miał zawsze **Jerzy Kowalik** – a przecież nie łapał się z przyczyn czysto sportowych. Z czasem to chyba zrozumiał i poszedł szukać szczęścia w gorszych klubach. Obrotny gość. Był trenerem, działaczem, radnym. Ale nie należał do najbardziej lubianych w zespole. Nierozważnie zorganizował wesele w ten sam dzień co Piotrek Skrobowski. W efekcie wszyscy poszli do Piotrka, a na wesele Jurka – dla przyzwoitości – wysłaliśmy delegację, która miała wypić kielicha i wrócić.

Czasami do furii doprowadzał mnie **Janusz Nawrocki**. Pseudonim „Docent”, ponieważ od zawsze wyglądał, jakby miał 60 lat – przygarbiony, z przerzedzonymi włosami, chodzący w filcowych kapciach. Od zawsze był też przemądrzały. Raz wnerwił mnie do tego stopnia, że kiedy wracaliśmy z Malmö, chciałem go wyrzucić z promu za burtę, co mi się na szczęście nie udało.

ROZDZIAŁ VII

MISTRZ

Od 1950 roku Wisła Kraków nie potrafiła wygrać ligi. Dość niespodziewanie szansa na to narodziła się w sezonie 1977/78, kiedy na dzień dobry wygraliśmy pierwsze pięć meczów, ze świetnymi przeciwnikami – pokonaliśmy Stal Mielec, Górnika Zabrze, Widzewa Łódź, Legię Warszawa i Zawiszę Bydgoszcz. Dopiero w szóstej kolejce po raz pierwszy straciliśmy punkty – po remisie 0:0 w Sosnowcu. W pierwszej rundzie nie przegraliśmy żadnego meczu, naszym pogromcą okazała się dopiero Legia (już w spotkaniu rewanżowym, w grudniu).

Dla wszystkich było to zaskoczeniem, ponieważ sezon wcześniej zajęliśmy dopiero dziewiąte miejsce. Skąd więc nagle ta eksplozja formy? W Krakowie dawało się odczuć narastające podniecenie – Wisła może być mistrzem.

Pierwszy mecz – ten ze Stalą – był wolny, raczej nudny i zanosilo się na bezbramkowy remis, ale w całej końcówce podanie Leszka Lipki wykorzystał Kazek Kmiecik. W drugim spotkaniu ograliśmy 3:2 w Zabrzu Górnika, a ja strzeliłem trzeciego gola – było to moje pierwsze trafienie w sezonie. W Łodzi, gdzie spodziewano się, że wreszcie przegramy, rozegraliśmy znakomity mecz – 1:0. Bajka trwa. Kto ją przerwie? Legia? Była na dobrej drodze. W 39. minucie warszawiacy wyszli na prowadzenie,

ale wyrównaliśmy po dwudziestu sekundach. Wreszcie w końcu przeprowadziłem akcję, a w polu karnym wyciął mnie Smuda. Do dziś nie może mi tego zapomnieć i ciągle powtarza:

– Kurwa, udawałeś!

A ja nie udawałem, tylko Smuda kiepsko grał. Karny ewidentny.

Pojechaliśmy do Bydgoszczy. To był pierwszy sezon Zawiszy w lidze, nie wiedzieliśmy, jak dojechać na stadion. Patrzymy, idzie ulicą jakiś typ.

– Ej, nie wiesz, którądy na Zawiszę?

– Wiem.

– To pokaż!

– Ja też tam idę, pojedę z wami.

No i wzięliśmy gościa do autokaru. Faktycznie, pokazał nam drogę, szybko dojechaliśmy.

Jakiś czas później stoimy w tunelu, szturchamy się, zaczepiamy, pokazujemy dyskretnie palcem, patrzymy po sobie zmieszani – w Zawiszy w podstawowej jedenastce jest chłopak, który jechał z nami autokarem i pokazywał drogę na stadion! Nawet się nie zająknął, że jest piłkarzem i że będziemy grać przeciwko sobie. Nazywał się Stefan Majewski.

Warunki do grania zastaliśmy świetne – 40 tysięcy ludzi na trybunach i dobra piłkarska pogoda. Zwyciężyliśmy 2:1. Do przerwy prowadzili gospodarze, ale ja wyrównałem w drugiej połowie, a Kapka poprawił.

W pierwszych dziewięciu kolejkach zagrałem dziewięć razy, od pierwszej do ostatniej minuty. Pierwsze spotkanie opuściłem w dziesiątej kolejce, z przyczyn zdrowotnych. No i jak zawsze – przez własną głupotę. Przed pucharowym spotkaniem z GKS-em Tychy, które odbyło się między dziewiątą i dziesiątą serią spotkań, wdawałem się na osiedlu w bójkę i niestety napoczęty kiedyś w bijatyce z bokserami nos tym razem rozsypał się kompletnie. Lenczyk zastanawiał się – brać mnie do Tychów czy nie? Ostatecznie wziął, ale w piątej minucie zderzyłem się z Gdawcem i z nosa zostały wióry – odłamki kości wyciągano mi pompką. Miałem wrażenie, że przez dziurki wyciągną mi także gałki oczne. Gdyby obok leżał pistolet, strzeliłbym sobie w łeb.

Później nastąpiła seria meczów bez historii, chociaż ewidentnie straciliśmy impet. Tak jak na początku rozgrywek wszystko wygrywaliśmy, tak później zaczęliśmy wszystko remisować i... zanotowaliśmy osiem remisów z rzędu. Przy dzisiejszym systemie punktowania, gdy za zwycięstwo przyznaje się aż trzy punkty, byłby to problem, na szczęście wtedy każdy punkcik należało cenić. Osiem remisów i... porażka na Legii.

Tamto spotkanie pamiętam z dwóch powodów.

Po pierwsze – przy stanie 1:0 dla Legii zobaczyłem najlepszą interwencję w życiu. Napieraliśmy straszliwie, akcja za akcją, w końcu włączył się Heniek Maculewicz i doskonale uderzył. Wtedy Leszek Ćmikiewicz wyszedł w powietrze, by zablokować piłkę, ale gdy ta go minęła, momentalnie – jak kobra – obrócił się i wybił wpadającą do siatki piłkę perfekcyjnymi nożycami. Było to tak genialne zagranie, że chciałem przed nim uklęknąć i pocałować mu buta, ale nie wypadało – był z przeciwnej drużyny.

Drugim powodem, dla którego ten mecz pamiętam, był Waldemar Tumiński – rywal, który przez całe spotkanie ciskał mnie w zasy śniegu i powtarzał: „Dawaj, kurwa, wstawaj, kurwa...”. Tumiński – człowiek, który urodził się po to, by zabijać na boisku.

Zaczął się rok 1978. Na dzień dobry mamy Zawiszę i przez moment jest trochę nerwowo, bo przegrywamy, ale później dopadamy rywala, wyrównujemy, a na kwadrans przed końcem ja trafiam na 2:1. Wciąż jesteśmy liderem, za nami Lech, Śląsk i Legia. W drugim meczu znowu uderzam i remisujemy 1:1 w Bytomiu. Ciągłe mamy pierwszą lokatę. Ważna jest następna kolejka, kiedy nasi przeciwnicy przegrywają, a my jesteśmy lepsi od Zagłębia Sosnowiec. Przewaga znowu topnieje, gdy przegrywamy we Wrocławiu – przy 45 tysiącach widzów – 1:3 ze Śląskiem.

I – jak to u mnie – nie może zabraknąć pijackiej historii.

Wróciliśmy z Wrocławia i kilku chłopaków zniknęło. Poszli do „Las Vegas”, czyli knajpy przy Lasku Wolskim. Ciężko było tam dojechać.

Ciężko... Ale dojechać trzeba! Zmówiliśmy się z Heńkiem Maculewiczem. Już się zapewne zorientowaliście, że ilekroć gdzieś jechaliśmy, kierowca był zalany w trupa. Tak było i wtedy, bo Heniek miał 2,5 promila, a moje doświadczenie w jeździe samochodem polegało na tym, że raz wjechałem w sklep, z którego wyskoczył Murzyn.

Do „Las Vegas” jechało się pod górkę, bardzo krętą drogą. Kwestią czasu było, kiedy wypadniemy. Oczywiście przyładowaliśmy w jakiś dom. No to jeb! A Maculewicz do mnie:

– Jakby co, to ty prowadziłeś!

Sprytnie to wymyślił. Dostałem ataku śmiechu, którego nie mogłem opanować. A do „Las Vegas”, rzecz jasna, nie dotarliśmy.

Z Lechem Gazda strzelił gola na 1:1 – o czym już pisałem. Gdyby nie ten gol, poznaniacy zrównaliby się z nami liczbą punktów, a tak ciągle pozostawaliśmy liderem.

Po meczu z Pogonią, który wygrywamy 2:0, poznaję Jana Nowickiego – chwali mnie. Zaczynamy od piwka w saunie, potem jedziemy gdzieś na działki, bo Jasiek lubi takie raczej podłe klimaty – spelunki, plener, las, działki. Od tamtego meczu jesteśmy kolegami. Często przychodził do mnie i mówił:

– Andrzejku, jaką dziewczynę poznałem!

– A jaką?

– No, nazywa się tak i tak.

– No to siemasz, szwagier!

Wtedy robił się pochmurny, z każdym kolejnym razem coraz bardziej. I pytał:

– Ją też?!

Przed spotkaniem z Odrą ja i Marek Motyka mieliśmy przysięgę w wojsku i wszyscy zastanawiali się, czy znajdzie się hełm na ogromny łeb „Marcysia”. W Opolu przegraliśmy 0:1 i „Marcyś” został „Bolckiem”. W tabeli prowadziliśmy, ale tylko jednym punktem przed Lechem i dwoma przed Śląskiem. Do końca sezonu – trzy mecze. Na szczęście w następnej

serii spotkań poznaniacy i wrocławianie zremisowali swoje spotkania, a my pokonaliśmy Szombierki 4:0 (hat-trick Kazka Kmiecika).

No to zostały dwa mecze. W przedostatniej kolejce przegraliśmy w Chorzowie 0:2, po sprzedanym meczu.

Dobrze przeczytaliście: po sprzedanym meczu.

Zwycięstwo dawało Ruchowi utrzymanie. My mieliśmy w ostatniej kolejce mecz z Arką, a to był wygodny przeciwnik, więc szliśmy na pewniaka – wygrana dawała nam tytuł mistrza Polski. Sam w temat handlu nie byłem wprowadzony, ponieważ przebywałem na zgrupowaniu kadry juniorów (zdobyliśmy brązowe medale mistrzostw Europy do lat 18) i ściągnięto mnie na sam mecz. Chyba tylko po to, żeby... ktokolwiek szarpał. Biegałem więc jak głupi i czułem, że cała drużyna ze mnie kpi. Czułem się jak imbecyl. W szatni zrobiłem awanturę. Byłem gówniarzem, miałem 19 lat, ale nie miałem oporów, by skakać do gardła starszyźnie. Wtedy najwidoczniej zapadła decyzja, że trzeba gówniarzowi coś odpalić.

Po kilku dniach kolega z drużyny przyniósł mi 60 tysięcy złotych, co było ogromną sumą – miesięcznie zarabiałem 8 tysięcy. Jasna sprawa, że w zespole byli zawodnicy zatrudnieni na kilku etatach i zarabiali nieporównywalnie lepiej, ale 60 tysięcy robiło wrażenie.

Co tu kryć – strasznie się z tym chujowo czułem i strasznie chujowo czuję się z tym do dziś. O ile w samo ustawienie meczu z Ruchem nie byłem wtajemniczony, o tyle tych pieniędzy mogłem nie brać. Gryzło mnie, męczyło, miałem i mam ogromne wyrzuty sumienia. Ale czy bym wziął drugi raz – nie wiem. Może tak? Łatwo napisać: nie, nie wziąłbym! A może jednak bym wziął? W końcu było już po meczu, a wyniku nie dało się odwrócić. Kasa poszła, została rozdzielona, punkty puszczone. Mogłem co najwyżej pozwolić na to, by zarobili wszyscy oprócz mnie. W myślach dyskutowałem sam ze sobą – a to się biczowałem, a to cieszyłem, że zespół o mnie pamiętał. Ale, kurwa, od 19. roku życia przestałem być czysty. Czy tego chciałem, czy nie, zostałem wciągnięty w głąb szamba zwanego dumnie „pierwszą ligą”. Kochałem Wisłę miłością pierwszą, do szaleństwa i gardziłem tymi, którzy mogliby ją sprzedać. Gardziłem... sam sobą.

To, że nie mogłem spać, wyszło mi na dobre. Tej samej nocy do mojego pokoju w hotelu... wszedł złodziej! To prawie tak samo groteskowe jak Murzyn wyskakujący ze sklepu. Leżę, rozmyślam, zastanawiam się, mówię sobie, że się skurwiłem, aż nagle przez okno wchodzi złodziej, by te pieniądze – zarobione na sprzedanym meczu – zabrać. Zdążył buchnąć... dziękę kolegi, który spał na łóżku obok.

W tym miejscu od razu muszę wspomnieć – jako piłkarz Wisły sprzedałem jeszcze jeden mecz, a przy jednym ułatwiłem kontakt zainteresowanym stronom. Szczegóły poznamie później.

Wreszcie ostatnia kolejka, w której niestety – ze względu na zgrupowanie kadry juniorskiej – nie mogłem wziąć udziału. Wiślacy byli pewni siebie, ale w przerwie ta pewność trochę uleciała – tylko 0:0. I tak jak mecz z Ruchem był sprzedany, tak mecz z Arką – a raczej jego drugą połowę – na wszelki wypadek trzeba było kupić. Nie była to standardowa piłkarska transakcja, bowiem do Gdyni – zamiast pieniędzy – powędrował na stałe Adaś Musiał. Wiosną był do Arki tylko wypożyczony, a po zdobyciu mistrzostwa oddano go na stałe – dokładnie w przerwie.

W takich właśnie okolicznościach Wisła sięgnęła po pierwszy od 1950 roku tytuł mistrza Polski. Podłych? Gdy w kolejnych latach bardziej wgłębiłem się w ligowe kulisy, zrozumiałem, że mógł to być jeden z najczyściej zdobytych tytułów w dziejach. W tym zgniłym kraju, w tej zgniłej lidze.

ROZDZIAŁ VIII

KORUPCJA

Zdaję sobie sprawę, że korupcja to temat, który elektryzuje i porusza do żywego. Nie ma też już żadnej tajemnicy w tym, że mecze się kupowało i sprzedawało na potęgę. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych mówiłem o tym głośno, między innymi w wywiadzie dla „Super Expressu”, jednak podobne zwierzenia przechodziły bez echa. To aż śmieszne, że wszyscy obudzili się z głębokiego snu tak późno i tak rozgorączkowani. Sam grałem w ekstraklasie w dwóch klubach – Wiśle i Górniku – i wiem, że oba nie były czyste. Gdybym grał jeszcze w czterech, to wiedziałbym, że następne cztery też nie są czyste.

Bo to nie kluby sprzedają i kupują mecze, ale ludzie, zwykli ludzie. A ci są wszędzie tacy sami. Mają swoje problemy, mają potrzeby, bywają zachłanni, chciwi i lubią iść na łatwiznę. Kupić da się każdego – to kwestia ceny lub okoliczności. Ci, którzy mówią, że nigdy nie zagraliby w ustawionym meczu – ci są właśnie najmniej wiarygodni. Ci jako pierwsi upychaliby kasę do skarpety. Do nich się dzwoni z propozycjami.

Liga była i będzie zgniła, bo liga to ludzie kuszeni pieniędzmi. W latach komuny korupcja była tym większa, że krążyły pieniądze „niczyje”, zakładowe. Któż nie chciał ułatwić sobie życia, posiłkując się „niczyją” kasą? Na lewo załatwiano mięso, benzynę, papier toaletowy. I mecze też.

Wisła – w moim odczuciu – była czysta na tyle, na ile można było być czystym. Wyobraźmy sobie ligę jako bal w strojach wieczorowych. „Białą Gwiazdę” postrzegam jako eleganckiego mężczyznę, który prezentuje się schludnie i to pomimo tłustej plamy na kołnierzyku, śladów po sałatce na nogawkach i ubłoconych butów. Obok przecież przemykają cuchnący, wysmarowani kałem od stóp do głów żule. Nie twierdzą więc, że Wisła nie sprzedawała czy nie kupowała – twierdzą, że działo się to niezmiernie rzadko. Właśnie dlatego mistrza Polski mieliśmy w tamtych latach tylko raz.

Myślę, że nie byliśmy dość skoncentrowani na piłce, żeby kupować mecz za meczem. Gapiliśmy się na dziewczyny, a nie na ligową tabelę.

Mecz z Ruchem był sprzedany, ale bez mojej wiedzy. Mecz z Arką załatwiony – ale nawet nie było mnie w Krakowie. Nie chcę jednak udawać świętego. Inspiratorem sprzedania meczu Gwardii Warszawa byłem ja sam. Co ciekawe – przypadkiem strzeliłem wtedy gola i zremisowaliśmy, ale remis dla przeciwników też był w porządku.

Nie chciałem wtedy pieniędzy i nie dla pieniędzy namówiłem chłopaków, by puścić spotkanie. Chodziło o coś zupełnie, ale to zupełnie innego. Pieniądze i tak się mnie nie trzymały, więc ich nigdy nie potrzebowałem (jedyne, co mogłem z nimi zrobić, to przehulać). Wówczas trenerem Gwardii był Aleksander Brożyniak – człowiek, który wprowadzał mnie do Wisły, kiedy miałem kilkanaście lat, trener, u którego debiutowałem w lidze. Postawił na mnie w sposób zdecydowany, odważny i wiedziałem, jak wiele mu zawdzięczam.

Wtedy, przed meczem z Gwardią, przyszedł do mnie i poprosił:

– Andrzej, pomóż, bo mnie zwolnią. Jak przegram ten mecz, to mnie zwolnią.

Pomogłem.

Czasami wstyd mi z tego powodu. Czasami nie.

Najciekawiej było przy okazji spotkania, które obrosło legendą. Śląsk Wrocław walczył z Widzewem Łódź o mistrzostwo Polski. W ostatniej

kolejce to właśnie my – jako rywal Śląska – rozdawaliśmy karty. Mogliśmy przebierać w ofertach – czy wchodzimy w układ z Łodzią, czy z Wrocławiem.

Wtedy też znalazłem się początkowo poza obiegiem informacji, ponieważ na mecz przyjechałem oddzielnie – z powodu kontuzji. A pamiętać trzeba, że to nie były czasy telefonów komórkowych, więc jeśli nie byłeś na miejscu, niczego nie mogłeś się dowiedzieć – nikt ci przecież listu ani pocztówki słać nie będzie.

Sezon 1981/82. Liderem jest Śląsk i całe miasto szykuje się do wielkiej fety, malowane są transparenty, zamówiony ogromny, wystawny bankiet. Jednocześnie trwają podchody. Wiemy, że Śląskowi będzie zależeć, byśmy nie odwalili żadnego numeru i grzecznie przegrali. Z kolei Widzewowi zależy jeszcze bardziej, byśmy zagrali najlepszy mecz w życiu. Dodatkowo dysponuje mocnymi argumentami: dolarami za sprzedaż Zbigniewa Bońka do Juventusu.

Łatwiej jest za kasę przegrać niż wygrać – to jasne. Wejście w układ wymagający odpuszczenia meczu gwarantuje powodzenie, a dogadanie się z konkurencją to zawsze ryzyko.

Mnie tym bardziej zależy, aby to właśnie łodzianie byli mistrzem, ponieważ mam zastąpić Bońka. Zostaję już nawet zameldowany na Piotrkowskiej w Łodzi, transfer zdaje się być przesądzony. Rozmawiam więc z chłopakami w hotelu „Novotel” i proszę:

– Bierzmy dolary od Widzewa i grajmy normalnie. Rozwalimy tę imprezę!

Chodzę i nastawiam wszystkich na grę fair. Mam w tym interes, to jasne jak słońce. Wolę jednak taki interes niż kasę od Śląska, która zresztą była śmiesznie niska. Rywale najwyraźniej uznali, że pokonają nas tak czy siak i dają nam ochłapy, większość gotówki przeznaczonej na kupno meczu zachowując dla siebie.

W hotelu w zaufanym gronie rozmawiamy z trenerem o składzie. Zależy nam, by wystawił odpowiednich zawodników i by w bramce stanął Adamczyk, a nie Gaszyński czy Holocher. W drużynie ustalamy: warunki Śląska są absolutnie nie do przyjęcia.

Oczywiście Śląsk odpowiednio się zabezpiecza. Sędzia Alojzy Jarguz dyktuje dziwny rzut karny – Wójcicki fauluje Nawalękę, tymczasem Jarguz stwierdza, że było dokładnie odwrotnie.

– Panie Alku, no taki karny? – pytam.

– Nie mogę jaj robić – odpowiada przepaszająco.

Powstaje zamieszanie, kilku zawodników kłóci się z arbitrem. Widzę, że w tym czasie Zdzisiek Kapka podchodzi do Adamczyka i coś mu mówi na ucho. Wzbudza to mój niepokój, więc podbiegam do „Ciapka” i pytam:

– Co Zdzisiek ci powiedział?

– Żebym szedł w lewo.

– To idź w prawo.

Pawłowski uderza słabo, przekonany, że sprawa jest już załatwiona. Kolejkę wcześniej zmarnował „jedenastkę” i teraz chce zostać bohaterem. Piłka leci oczywiście w prawy róg i – ku zdziwieniu wielu obserwatorów – właśnie tam rzuca się „Ciapek”.

Na stadionie zaczyna się robić nerwowo. „Paweł” – Pawłowski – lata i niemal płacze. Zapewnia, że Śląsk dołoży pieniądze, licytuje, podbija stawki i prosi, byśmy się nie wygłupiali. Strasznie jest upierdliwy.

– Zbierzcie całe złoto, jakie macie, obrączki, do tego oszczędności. Wszystko. I przynieście na ławkę jako zastaw – mówię mu, tak dla jaj.

On rozhisteryzowany, widzi, że kpię. Nie dość, że ciągle jest 0:0, to on nie wykorzystał karnego. Chciał się zapisać jako bohater, a przejdzie do historii jako ten, który wszystko spieprzył. Najpierw nie umiał kupić meczu, a potem nie umiał zdobyć gola z jedenastu metrów. Kompletny nieudacznik. Bardziej niż na złoty medal, zasłużył na Order Uśmiechu – tak nas wszystkich rozbawił.

W końcu gola zdobywamy my, po uderzeniu Piotrka Skrobowskiego – ładnym, z powietrza. Śląsk rzuca się do ataku i oferuje coraz więcej, ale my się już tym meczem dobrze bawimy. Wprawdzie nie ufamy sobie nawzajem, wiemy, że mamy w swoich szeregach dwóch czy trzech kretów, ale robimy swoje. Adamczyk wpada w trans i pokazuje refleks. Ewenement – mecz o tytuł, gospodarze mają u siebie sędziego i jeszcze dwóch albo trzech piłkarzy z zespołu przeciwnego, a jednak przegrywają. Stadion kipi.

Połączenie rezygnacji, wściekłości, frustracji i niedowierzania. W powietrzu czuć obłąd.

Po meczu rzucają się na nas małżonki piłkarzy Śląska, jakby chciały nam wydrapać oczy. Hola, hola, a co to za pierścionki na palcach? Trzeba było przynieść na ławkę! Ha! One drą te mordy – że jesteśmy oszustami, że sprzedawczykami! Mistrzem zostaje Widzew, który płaci nam za zwycięstwo we Wrocławiu, ale sporo odzyskuje od Ruchu, który utrzymuje się w lidze i płaci łodzianom. Transakcja wiązana: na cztery drużyny, trzy się cieszą, tylko Wrocław płacze. Mirek Pękala i Tadek Pawłowski do dziś są rozżaleni – że niby ich skręciliśmy. Moim zdaniem to Pawłowski chciał skrócić kasę, która teoretycznie miała iść na całą Wisłę i zaangażował tylko małą grupkę od nas. Jak to się mówi – chytry traci dwa razy.

Na najbliższym zgrupowaniu kadry Zbyszek Boniek zarządził przywitanie i jednocześnie podziękowanie – było tam paru chłopaków z Widzewa, ale ze Śląska chyba tylko Roman Wójcicki. Ale i on akurat przechodził do łódzkiego klubu, więc nie sprawiał wrażenia specjalnie przybitego.

Z tego samego sezonu pamiętam zabawne zdarzenie – graliśmy z Motorem Lublin u siebie, dla nas był to mecz bez stawki, a dla nich o życie. Motor chciał, byśmy im to spotkanie puścili. Zdecydowaliśmy: puszczamy. Mówimy jednak:

– Grajcie na maksa, bo nie możemy wyjść na idiotów przed kibicami. My wam odpuścimy, ale musi to wyglądać na mecz, który wyszarpaliście.

Mecz się zaczyna, oni grają na stojąco, bez zęba. Czekaają, aż się perfidnie podłożymy. Już dopisali sobie dwa punkty.

Na boisku żądamy:

– Ej, zaczynjcie zapierdalać, tak jak się umawialiśmy.

Na nic te nasze ponaglenia. My, mimo że nie chcemy grać, jesteśmy lepsi. Wprawdzie pozwalamy im strzelić gola, ale widowisko jest aż zbyt żałosne.

Schodzimy do szatni, Motor prowadzi 1:0. W przerwie decydujemy:

– Dość tego, oddajemy kasę!

– Jak to? Dlaczego? – Przeciwnicy są w szoku.

– W chuja waliliście, transakcja odwołana.

W drugiej połowie ładujemy im pięć goli. Pięć goli! Skrzyknęliśmy się w szatni:

– Jedziemy z nimi!

I jazda była taka, że popamiętali na długo. Pięć goli w ciągu 45 minut. Może i chcieliśmy ten mecz sprzedać, ale... mieliśmy swoją godność. Mimo wszystko – mieliśmy. Może resztki godności, na pewno ledwie resztki – ale coś tam jeszcze zostało. Jeśli w Motorze grali tacy frajerzy, którzy nie potrafili grać nawet w kupionym meczu – won z ligi, obszczymury.

Zwracam uwagę na sprawozdanie z tego meczu, napisane dla „Tempa” przez Jan Frandoferta:

To, co działo się na murawie wiślackiego stadionu w trzech pierwszych kwadransach, nawet patrząc przez różowe okulary, trudno było nazwać futbolem w 1-ligowym wydaniu. Można jeszcze zrozumieć, że broniący się goście, walcząc desperacko, wybijali piłkę byle dalej od własnej bramki, ale od gospodarzy należy wymagać nieco więcej. A tymczasem właśnie wiślakom uciekała piłka, nie potrafili przeprowadzić dynamicznej i przemyślanej akcji. Przecierałem oczy, nie poznawałem krakowian od meczu, w którym rozprawili się z Gwardią 6:1.

Efekt bezmyślności i bezradności wiślaków na tle przeciętnego rywala był taki, że w 17. min Skrobowski, po kornerze Lipki, wyręczył napastników i głową skierował piłkę w poprzeczkę. Natomiast w 34. min Motyka tak niefortunnie wybijał piłkę i to 2-krotnie, że przechwycił ją Grzanka i ułokował w samym okienku. Tylko w kornerach (po 45 min gry) rezultat był korzystny dla gospodarzy i wynosił 7:1.

Po przerwie do 57. min nic nie wskazywało na... zmianę obrazu widowiska i wyniku. Dopiero wówczas po rzucie wolnym egzekwowanym przez Lipkę Skrobowski popisał się jeszcze efektowniejszą niż przed przerwą główką i zmusił Opolskiego do kapitulacji. Gol ten poderwał gospodarzy do walki. Zrozumieli, że trzeba włożyć w grę trochę sił i więcej biegać. W 72. minucie Nawalka – który po 1,5-rocznej przerwie, od 46. minuty zastąpił

wyjątkowo bezradnego w tym dniu Nawrockiego – wystawił w uliczkę Iwana, ten przekazał piłkę dalej do partnera, lecz Suder z bliska strzelił prosto w bramkarza. Na szczęście dla wiślaków w 50 s później – po akcji Sudera z Kowalikiem – piłkę otrzymał Iwan i lekko, ale precyzyjnie skierował ją do pustej bramki. Było więc już 2:1.

Goście, widząc widmo porażki, odkryli się. Była to woda na młyn gospodarzy, którzy teraz wreszcie w przyzwoitym stylu przeprowadzili kilka energicznych i pokazowych akcji. W 78. min Suder wystawił Kapkę, który podwyższył wynik na 3:1. W minutę później – za rękę na polu karnym, zawinioną przez Dębińskiego – Kapka skutecznie egzekwował jedenastkę. Nie na tym koniec, bo w 85. min ten sam zawodnik po raz trzeci skierował piłkę do siatki rywali, odnotowując klasyczny hat-trick.

Mecz jakby był... wyreżyserowany. Najpierw kaleczono piłkę, doprowadzając do szewskiej pasji kibiców, aby w końcowych jego fragmentach zadowolić nawet najwybredniejszych koneserów. Zasłużył więc chyba na tytuł: *Dramat... z happy endem.*

Bardzo celne spostrzeżenia. Ale ostatni akapit. Nawet autor nie przypuszczał, że słowa o reżyserowaniu to nie żadna wymyślna metafora, tylko szczerą prawdą. Ten mecz był w połowie wyreżyserowany.

Skoro jesteśmy przy Motorze... Zwyczaje w lidze były przeróżne. Trenerem Lublina był wówczas Bronisław Waligóra, natomiast najbardziej kojarzył mi się on jednak z Widzewem. Miał niecodzienne metody. Kiedy jechało się na wyjazd do Łodzi, Waligóra potrafił przez całą noc wydzwaniać do hotelu, byle tylko co chwilę cię budzić (a najlepiej, abyś w ogóle nie usnął). Jeśli to nie skutkowało, przysyłał... dziewczyny. Kiedyś leżymy w pokojach, aż tu nam się w gości pakują jakieś piękności – nasłane właśnie przez Waligórę. Z kolei kierownik drużyny, Wroński, był mistrzem kamuflażu i z kupowania meczów uczynił sztukę. Wiedział nawet, gdzie piłkarze przeciwni jadą na ryby i zjawiał się tam z wędką. Mistrz w swoim fachu.

Wybitną organizacją mógł pochwalić się Górnik. Tam wszystko było dopięte na ostatni guzik do tego stopnia, że... piłkarze o nic nie musieli się

już martwić. Nawet nie wiedziałem, czy dany mecz jest skręcony, mogłem się tylko domyślać – najczęściej po zachowaniu sędziów. W czasach kiedy grałem w Zabrze, skład był potwornie silny (trzy mistrzostwa Polski w trzy lata), więc ta pomoc nie była niezbędna, ale w kluczowych momentach dało się ją wyczuć. Na przykład.

Gramy mecz z Zagłębiem Lubin. Sławomir Wałowski ciągle łapie mnie za koszulkę na klatce piersiowej w taki sposób, że wyrywa mi włosy z klatki. Zrobił to raz, drugi raz.

Mówię mu:

– Jeszcze raz wyrwiesz mi włosy z klatki, to ci przypierdolę i złamię nos. Mija kilka minut, a on znowu mnie tam łapie. I znowu wyrywa.

No to ja, żeby być słownym – bum! Wyprowadziłem cios, Wałowski leży na ziemi, wyje, krew mu tryska z nosa. Musi być czerwona kartka – nie ma innego wyjścia. Jestem z tym całkowicie pogodzony – jak Zidane lata później po przyładowaniu Materazziemu w finale mistrzostw świata.

Tymczasem sędzia Janusz Eksztajn – późniejszy szef sędziów w PZPN – podbiega do mnie i troskliwie pyta:

– Panie Andrzeju, co się stało?

– Przypierdolił mi! – wyrywa się z odpowiedzią broczący krwią przeciwnik.

– Ale to... ale... – arbiter sprawia wrażenie zakłopotanego – ale to chyba przypadkiem? – pyta, spoglądając błagalnie w moim kierunku.

– Oczywiście, że przypadkiem – odpowiadam.

– To dobrze, bo w przeciwnym razie musiałbym panu pokazać czerwoną kartkę.

I już, po sprawie.

Nie chcę umniejszać sukcesów Górnika, ale mam wrażenie, że tam mało zostawiano przypadkowi. Sędziami opiekowały się trzy osoby: Oster, agent stacji benzynowej, u którego arbiter w tamtych siermiężnych czasach mógł zatankować bez płacenia, Jan Losza, który niegdyś przed meczem w hotelu „Warszawa” banknotami czyścił sobie buty i kierownik drużyny – był nim

albo Władek Kowalik, albo Edek Socha. Z tego powodu przypominam sobie tylko jeden mecz, który mnie – jako zawodnikowi Górnika – źle by prowadzono. W 1985 roku z Legią – w Dniu Wojska Polskiego. Na wysokości zadania stanął arbiter Krzysztof Czemarmazowicz.

Sędziowie... Nie zwracałem na nich szczególnej uwagi, gdy grałem w piłkę, ale kilku oczywiście pamiętam.

Znanym arbitrem został Wojtek Rudy – od początku pasował nam na sędziego, ponieważ miał zacięcie do pieniędzy. Dla mnie był to jednak przede wszystkim kolega z reprezentacji i rywal z Zagłębia Sosnowiec. Raz jedno z drugim się zabawnie połączyło. Kadra Antoniego Piechniczka poleciała do Bukaresztu, gdzie absolutnie – ale to absolutnie – nie było co robić. Nawet jeść nie było co – jedynie marynowane przekąski ze słoików. W związku z tym po meczu, jak się już pewnie domyślicie: piliśmy. Rudy (tak w ogóle to brunet) wyraźnie się oszczędzał i wyraźnie angażował, abym ja skończył popijawę w stanie jak najgorszym. Dolewał, popędział, zachęcał. W sobotę Wisła miała grać mecz ligowy z Zagłębiem Sosnowiec, którego Wojtek był kapitanem. Uznał, że spicie mnie znacznie zwiększy szanse na sukces.

No i mnie spił. A ja strzeliłem dwa gole.

– Dobrze mnie, Wojtusi, przygotowałeś. Musimy to kiedyś powtórzyć – zażartowałem.

– To jest, kurwa, niemożliwe!

Wojtek cwaniakiem okazał się też w późniejszej działalności, więc capnęła go prokuratura. Jego, jak i wielu innych.

Najgorszych sędziów pamiętam do dziś...

Tadeusz Ignatowicz – straszny drukarz. W 90. minucie meczu z Motorem wymyślił naszym przeciwnikom rzut karny. Leszek Iwanicki ustawił piłkę na jedenastym metrze, a ja byłem tak wkurzony, że podszedłem i mu ją wykopałem – za co otrzymałem żółtą kartkę. Za chwilę powinienem dostać czerwoną, bo obraziłem się i zszedłem z boiska, co oczywiście jest

zabronione, ale „sprawiedliwość” i tak mnie dopadła – zostałem zawieszony na cztery mecze.

Alojzy Jarguz – zawsze będę mu pamiętać finał Pucharu Polski z 1979 roku, chociaż wtedy nie grałem z powodu zawieszenia. Prowadziliśmy z Arką 1:0, byliśmy zdecydowanie lepsi, graliśmy rewelacyjnie. Wydawało się, że nie możemy tego spotkania przegrać. Ale mogliśmy – dwa gwizdki wystarczyły, by zrobiło się 2:1.

Andrzej Libich – przemądrzały gość z wielkim nosem. Kiedy kręcił mecze, rósł mu jak u Pinokia. Libich był sędzią Ruchu Chorzów, co raz odczułem na własnej skórze. Leszek Wrona w polu karnym złapał mnie wpół i po prostu cisnął mną o ziemię, jakby był całkowicie spokojny, że sędzia nie zareaguje. Ku mojemu zdziwieniu, faktycznie – nie zareagował. Wpadłem w szal i Libicha obrażałem aż uszy puchły, za co kara mogła być tylko jedna: czerwona kartka. On się jednak przestraszył, że brak karnego plus jeszcze czerwona dla mnie to byłoby zdecydowane przegięcie i że mógłby mieć problemy, więc dał mi... żółtą. A po jakimś czasie, podczas piłkarskiego bankietu, podszedł do mnie i powiedział:

– Wiesz, nie sądziłem, że to był taki ewidentny karny...

Wiesław Karolak – przebiłem mu wszystkie opony w samochodzie. Haniebnie przekręcił Wisłę w Wałbrzychu, gdzie przegraliśmy aż. 1:5. Prowadziliśmy 1:0, strzeliłem gola i grałem naprawdę jeden z lepszych meczów w karierze, ale on grał jeszcze lepszy. Kręcił nas, w ogóle się z tym nie kryjąc. Kiedy więc po spotkaniu zobaczyłem jego samochód, poszedłem do restauracji, wziąłem nóż i wróciłem na parking, by podziurawić koła.

Krzysztof Perek, ale to już czasy o wiele późniejsze... W Lubinie po meczu wyszedłem na papierosa przed budynek klubowy. On skorzystał z okazji i zapytał z wyrzutem:

– Co wy, nie macie pięciu tysięcy na sędziego?

Sędziowie sędziami, ale większość spotkań była, jest i będzie ustawiana w gronie piłkarzy – żaden sędzia nie zagwarantuje ze stuprocentową pewnością odpowiedniego wyniku, podczas gdy zawodnicy mogą to zrobić. Jednak sporadycznie pojawiają się problemy.

Nigdy nie zapomnę też zakończenia sezonu 1986/87. Górnik był już mistrzem, w przedostatniej kolejce graliśmy w Mielcu ze Stalą. Stal broniła się przed spadkiem, więc oczywiście chciała ten mecz kupić i oferowała niezłe pieniądze. Jednocześnie przyjechał do nas na stadion Rudolf Bugdoł, dzisiaj wiceprezes PZPN, i zaproponował sporą kwotę od Ruchu, byle tylko w Mielcu Górnik wygrał. „Niebiescy” byli wtedy jedną nogą w drugiej lidze: albo oni, albo Stal – ktoś leci. Poszliśmy do Jana Szlachty, który w Zabrze pociągał za wszystkie sznurki i który nam, piłkarzom Górnika, przychyliłby nieba.

– Panie prezesie, Ruch daje pieniądze, Stal daje pieniądze. Nie wiemy, co robić, bo pan Ruchu nie lubi, prawda? Niech pan decyduje!

– Jak nie lubię Ruchu, tak niech się utrzymają. Wygrajcie w Mielcu.

Myślę, że spore znaczenie mógł mieć fakt, że honorowym prezesem Ruchu był wicepremier rządu, Manfred Gorywoda. Szlachta, jako wytrawny polityk, a wtedy też minister górnictwa, wolał go mieć po swojej stronie.

Zapadła decyzja – gramy o kasę z Ruchu, spuszczaamy Mielec.

W meczu Stal walczy i spotkanie jest niebezpiecznie wyrównane. Niebezpiecznie, bo jeśli skończy się remisem, to wyjdziemy na największych frajerów – ani nie weźmiemy kasy od jednych, ani od drugich i jeszcze podpadniemy Szlachcie. Tak piętnaście minut przed końcem mówię do Bedryja, obrońcy Stali:

– Janek, weź mnie wytnij, zrób karnego, dobrze zapłacimy!

– No co ty, przecież mi chałupę spalą!

– Nikt ci nie spali.

– Nie ma szans! Nie ma szans! Nie wyszedłbym żywy!

Jak nie, to nie. Mija kilka minut, dostaję piłkę, wchodzę w pole karne i... nawijam Bedryja. A on – kosa! Sędzia gwizdże – karny. Janek się za łeb trzyma, a ja patrzę na niego z politowaniem:

– Widzisz, głupku, teraz ci chałupę spalą, a tak byś przynajmniej miał od nas na nową!

Dobrze, na razie dość o korupcji. Kręcone mecze jeszcze się na pewno pojawią, gdy będę opisywał następne sezony.

ROZDZIAŁ IX

ARGENTYNA

Jak to jest w tej kadrze?

– Świetnie. Gmoch jest świetny. Będziesz zachwycony.

– Mówisz?

– Naprawdę. Ma amerykańskie metody.

Amerykańskie! Adam Nawałka przekonywał mnie, że wyjazdu na pierwsze zgrupowanie reprezentacji Polski nie muszę się obawiać. A dzięki amerykańskim metodom zostanę lepszym piłkarzem.

Półtora roku zajęło mi przeskoczenie z amatorskiej Wandy Kraków do reprezentacji – tej z Deyną, Latą, Szarmachem, Tomaszewskim, Gorgoniem i Lubańskim. Przez kilka miesięcy uczestniczyłem w zgrupowaniach, ale meczów nie rozgrywałem. Mój debiut wstrzymywały idiotyczne przepisy: gdybym miał za sobą grę w pierwszej reprezentacji, nie mógłbym występować w kadrze U-18, która szykowała się do rozgrywanych w Polsce finałów mistrzostw Europy.

Między innymi z tego względu reprezentacja zaczęła mnie szybko irytować. Z jednej strony cieszyłem się, że trafiłem do takiego grona (co tu kryć, dumny byłem jak cholera!), ale z drugiej strony. Warszawa, hotel „Solec”, przygotowania do wylotu na spotkanie z ZSRR. „Nie możesz grać,

nie możemy cię spalić”, usłyszałem. Dodatkowo moja głowa krążyła gdzieś po Krakowie – akurat byłem strasznie zakochany i każdy wyjazd, nawet na kadre, miał w sobie coś z katongi. W tym momencie muszę zaznaczyć, że Gmoch faktycznie pierwsze wrażenie robił doskonałe, w sposób niekonwencjonalny próbował znaleźć wspólny język z każdym zawodnikiem. Jako że ja byłem osobą bardzo niekonwencjonalną, to i sposób dotarcia do mnie taki musiał być.

– Ja jestem nożownik z Pruszkowa – oświadczył mi trener kadry. Wiedział, że jestem z Nowej Huty i że sprawiam pewne problemy wychowawcze, więc postanowił zaimponować mi sposobem, w jaki trzymał nóż. Patrzyłem więc zdziwiony, jak selekcjoner wywija mi kosą przed oczami. Dzisiaj myślę, że to głupie, a wtedy myślałem: równy facet.

To zresztą typowe w przypadku Gmocha. Sporo było sytuacji, z których dzisiaj się śmieję lub o których obecnie myślę wręcz z zażenowaniem, a wtedy. Wtedy to było takie inne. Takie... amerykańskie?

W czasie treningów Jacek siadał na trybunach z wielką tubą, przez którą nas instruował. Niecodzienny widok – trener z tubą (dzisiaj to byłby megafon), wydzierający się na piłkarzy. Innym razem wzywał na rozmowy i... nagrywał wszystko na dyktafon.

– Jakie masz potrzeby?

– Ja...

– Poczekaj, tylko włączę „start”!

Patrzyliśmy na to z lekkim niedowierzaniem. Trener pytał nas o byle co, ale zawsze korzystał z dyktafonu. Po co? Chyba tylko po to, by pokazać, że ma dyktafon – w tamtych czasach był to rarytas, dostępny głównie w SB. Jacek jednak nagrywał wszystko i wszystkich, rzekomo wynosząc organizację w kadrze na inny, niedostępny wcześniej poziom. Jego poprzednik, Kazimierz Górski, ani nikogo nie nagrywał, ani nie używał tuby, a jednak był uwielbiany. Gmoch chciał się prezentować jako przeciwieństwo Górskiego – nie jak naturszczyk, lecz profesjonalista z pełnym ekwipunkiem, uzbrojony w całą wiedzę świata. Przeprowadzał nam też badania – nie wiem, czy były to testy na IQ, czy chciał zgłębić naszą psychikę, ale dostawaliśmy szablony z pytaniami w stylu: „Która

figura geometryczna nie pasuje do pozostałych?”. Oczywiście eksperyment nie miał prawa przynieść jakichkolwiek efektów, ponieważ wielu piłkarzy zamiast odpowiadać grało w kółko i krzyżyk: stawiali znaczki nawet bez czytania. Nie przeszkadzało to Jackowi wszystkie te prace zbierać, a potem dogłębnie analizować.

Na zgrupowaniach było więc ciekawie i... coraz dziwniej. W Rembertowie Jacek tak chciał wszystkim zaimponować, że – podpuszczany przez starszyznę – zjadł ślimaka. Samo w sobie nie byłoby to szokujące, ale on zjadł tego ślimaka żywego i ze skorupką.

Szpanowanie, takie nierozważne i nazbyt czytelne, bez dozy samokrytycyzmu, miał zresztą we krwi. Jednego razu Kazimierz Deyna uderzał na bramkę, ale nieskutecznie.

– Kazek, nie tak! Uderz wewnętrznym podbiciem! – krzyczał Gmoch, który piłkarzem był przecież całkiem drewnianym i kopał nie piłkę, ale innych – po nogach.

Deyna tylko rzucił okiem w jego kierunku, a następnie stanowczo, chociaż z domieszką flegmy i pogardy, odpowiedział:

– Ty mnie nie ucz, jak się kopie piłkę.

Początkowo – takie mam wrażenie – Jacek Gmoch nie za bardzo we mnie wierzył. Owszem, powoływał jako wyróżniającego się ligowca, ale trochę na doczepkę i z obowiązku. Sytuacja zmieniła się dopiero w czasie obozu w Kuwejcie, gdzie jako kadra zmierzyliśmy się z miejscowymi klubami. Tym razem mogłem się pokazać, ponieważ nie były to oficjalne spotkania, liczące się w rejestrze FIFA. Dwa razy wchodziłem na boisko z ławki, dwa razy strzelałem po dwa gole, czym Gmocha zafascynowałem. Wtedy, pewnie jako pierwszy spośród wszystkich, dowiedziałem się, że pojedą na mundial. Wiosną ze względu na mistrzostwa Europy U-18 nie mogłem być przy pierwszej reprezentacji, więc w praktyce wyjazd na finały MŚ zapewniłem sobie właśnie w Kuwejcie.

– Do mistrzostw nie będę cię już powoływał na zgrupowania, będziesz naszą tajną bronią w Argentynie. Teraz musimy cię schować – poinformował mnie trener.

Zgrupowanie przed wylotem na mistrzostwa świata w 1978 roku mieliśmy... równocześnie w Warszawie i Rembertowie. Jacek opracował już plan pobytu w Argentynie i wyliczył, ile czasu – tam, w Ameryce Południowej – będzie trwał przejazd z hotelu do ośrodka treningowego, a następnie przeszczepił to na polski grunt. Wyszło mu, że powinniśmy spać w „Solcu”, a trenować właśnie w Rembertowie.

Jak się łatwo domyślić – było to całkowicie bez sensu.

W Argentynie mieszkaliśmy w hotelu w Rosario, natomiast cały dzień spędzaliśmy w Jockey Clubie pod miastem – tak sobie to Gmoch wymyślił. W efekcie opuszczaliśmy hotel nawet nie bladym świtem, tylko tak wcześnie rano, że w zasadzie w nocy – jeszcze było ciemno. Jechaliśmy niewyspani, głodni – bo bez śniadania – prosto do Jockey Clubu, z którego wracaliśmy dopiero po kolacji, bardzo późno. Za dnia błakaliśmy się po ośrodku, który był wprawdzie imponujący – bo i golf, i minigolf, i pingpong, i bilard, i oczywiście boiska do piłki nożnej – ale gdzie nikt nie miał własnego kąta. Złota klatka, którą każdy miał ochotę rozwalić. Zżerała nas nuda, a wiadomo – gdzie jest nudno, tam pojawiają się kłótnie, ludzie stają się rozdrażnieni i podminowani.

Jacek Gmoch jakby tego nie dostrzegał i tylko podsycał negatywne emocje – np. organizując obowiązkowe leżakowanie. O ile wiem, jest to metoda stosowana w przedszkolach, ale jeśli jesteś młodym trenerem i nakazujesz leżakowanie Lubańskiemu, Deynie czy Lacie, to... nie ma prawa się to skończyć dobrze.

Atmosfera zaczęła siadać. Ośrodek był tak duży, że zespół z łatwością dzielił się na grupki i niektórzy zawodnicy w ogóle się nie widywali. Coraz bardziej dawało się odczuć podziały, których symbolem stał się chrzest. O ile ja zostałem potraktowany normalnie, o tyle Zbyszek Boniek oberwał zdecydowanie zbyt mocno.

Bońka grupa starszych piłkarzy nie akceptowała, ponieważ w pewien sposób burzył ustaloną wcześniej hierarchię, miał jawne pretensje, że nie gra w pierwszym składzie, i nie krył się ze swoimi ambicjami – nawet w czasie treningów wprost mówił Gmochowi, że nie akceptuje roli rezerwowego. W dodatku zabierał głos na wszystkie poruszane tematy, a co

gorsze – zazwyczaj miał rację. Młody gówniarz, który z butami wszedł między „Orły Górskiego”, irytująco dobry i irytująco inteligentny.

Z tego powodu chrzest był niemiły. O ile mnie potraktowano normalnie, dając trzy czy cztery zwykłe klapsy, o tyle w przypadku Bońka tak naprawdę doszło do rękoczynów. Gdy się tylko nadstawił, Gorgoń, Tomaszewski, Deyna i ktoś jeszcze wyprowadzili tak soczyste ciosy, że dupa bolała od samego patrzenia. Ręce lądowały na Bońku, jakby ktoś sztachetą chciał ubić robaka. Aż pobladłem. To miała być nauczka, przestroga, sygnał, że w kadrze nie dochodzi do zmiany warty i że Boniek nie staje na czele żadnej rewolucji. Zbyszek wstał ze łzami w oczach. Odwrócił się i wycharczał:

– Myślałem, że to będzie zabawa, a nie zemsta.

I wyszedł.

Rzecz jasna, Boniek – „Murzyn”, „Rudy”, potem „Zibi” – nie spokorniał. Buzowała w nim krew, gdy w końcu zaczął grać i strzelił dwa gole Meksykowi, rozochocił się jeszcze bardziej i jeszcze większą miał motywację, by starych trepów zepchnąć z pierwszych stron gazet.

14 czerwca w kluczowym meczu Polska grała z Argentyną. Przy stanie 1:0 dla gospodarzy argentyński napastnik Kempes rzucił się w bramce i robinsonadą godną najlepszych golkeeperów wybił piłkę zmierzającą do siatki. Nie dostał czerwonej kartki, ponieważ przepisy wtedy jeszcze stanowiły inaczej, natomiast my otrzymaliśmy rzut karny.

Kazimierz Deyna kontra Ubaldo Fillol. Deyna – medalista mistrzostw świata i igrzysk olimpijskich, żywa legenda futbolu, zawodnik rozgrywający swój setny mecz w reprezentacji kraju. I właśnie wtedy podszedł do „Kaki” młody, nieokrzesany, napędzany ambicją Boniek i powiedział:

– Kaziu, jak się boisz strzelać, to ja uderzę.

Jak się boisz strzelać, to ja uderzę...

Te słowa mogły Deynę zabolec bardziej niż Bońka ciosy spadające w czasie chrztu. Może nie zabołały od razu, jednak w momencie, gdy Kazek strzelił źle, w lewy róg bramki, ale zdecydowanie zbyt blisko środka

i w taki sposób, że Fillol obronił – wtedy właśnie musiały piec niczym gorące żelazo przystawione do piersi. Jeśli się boisz. Nikt inny nie odezwałby się do Deyny w ten sposób. Mógł to zrobić tylko „Murzyn”. Nie wiem, czy chciał Kazka wyprowadzić z równowagi, czy faktycznie – z dobrego serca – zaoferował pomoc i sądził, że uderzy lepiej, ale raczej zdawał sobie sprawę, że takich słów na boisku się nie wypowiada. Jeśli istnieją jakieś niepisane zasady, to jedną z nich jest: nie wywołuj niepewności u zawodnika, który szykuje się do wykonania jedenastki. Jeśli dodatkowo jesteś „kotem”, nie waż się w ten sposób odzywać do starego. 22-letni Boniek, wbijając szpilkę 31-letniemu Deynie, te reguły ostentacyjnie złamał. Tak samo jak reguły życia w zespole złamał Deyna, spuszczając Bońkowi bezlitosne lanie w czasie chrztu.

Nie byliśmy drużyną.

Nikogo, kto był wewnątrz zespołu, ta sytuacja nie zszokowała. O ile początkowo w kadrze Gmocha wszystko mi się podobało, o tyle później im bardziej w nią wnikałem, tym podobała mi się mniej. Starsi zawodnicy ewidentnie coś do trenera mieli, zapewne dlatego, że pamiętali go z czasów Kazimierza Górskiego, gdy Gmoch był asystentem. Kpili, dogryzali, podśmiewali się po kątach albo w sposób jawny. Janek Tomaszewski z treningów zbiegał jako pierwszy, ruszał do restauracji, gdzie Gmochowi... wbijał wykałaczki w kajzerki. Później wszyscy tylko czekali na moment, kiedy selekcjoner weźmie gryza i... jak dobrze ugryzie, to zawyje z bólu. Kiedy relacje między Gmochem i Tomaszewskim zepsuły się już na dobre, „Tomek” krzyczał:

– To przez te wykałaczki, tak?!

Moim idolem od dziecka był Włodzimierz Lubański. W każdym wywiadzie podkreślałem, że wzoruję się na nim. Trener Pomorski jeszcze w Wandzie pokazywał mi Lubańskiego. Mówił:

– Bądź jak on. Zobacz, jak gra prawą nogą. Zobacz, jak gra lewą. Zobacz, jak uderza głową.

Lubański był piłkarzem kompletnym, może tylko czasami za bardzo unikał bezpośredniego kontaktu z przeciwnikiem – z tego względu po

meczu z Manchesterem City nazwano go „Białym Aniołem”. Górnik grał w białych strojach, które na skutek potwornego błota u każdego zawodnika zamieniły się w czarne. U każdego, poza Włodkiem.

Cóż, miał klasę, był elegancki. W tamtym akurat meczu – do przesady.

Całą podróż do Argentyny spędziłem, grając z nim w pokera. Nie mogłem uwierzyć – nie tak dawno byłem na trybunach w czasie meczu z Luksemburgiem, w którym Lubański strzelił pięć goli, a teraz siedzieliśmy razem i „Luban” zdawał się brać mnie pod opiekę. Graliśmy w karty jak starzy koledzy, chociaż ja ukradkiem spoglądałem na Włodka jak na tego złotego chłopaka, którego uwielbiał cały kraj. Na podwórkach nikt nie chciał być Latą, nikt nie chciał być Szarmachem. Albo Lubański, albo Deyna. Dla mnie wybór był oczywisty – Lubański! Chciałem go zapytać o tyle rzeczy. Miałem w głowie tyle jego boskich goli, o których marzyło mi się porozmawiać. Ale nie mogłem, nie wypadało. Byliśmy przecież obaj piłkarzami reprezentacji. Dlatego po prostu grałem z nim w pokera, udając równie dorosłego. Chyba chciałem, aby lot do Argentyny trwał jak najdłużej.

Zdaje mi się, że Lubański w 1978 roku nie był należycie traktowany – ani przez trenera, ani przez resztę zespołu. Gmoch wziął go dla świętego spokoju, ale nie dawał odczuć, że na Włodka liczy. Starsi piłkarze spoglądali z zazdrością – „Luban” już od trzech lat grał za granicą, był najbogatszy i z innego świata. Dumny. Jednocześnie sukcesy z 1974 roku nie były jego udziałem, więc zgaduję, że w głowach kilku osób zakiełkowała myśl: on nie jest nam do niczego potrzebny. Na swój sposób burzył wcześniejszy ład, a także spychał niektórych graczy w cień. Spychał jeszcze przed wejściem na boisko. Wystarczyło, że był. On, Włodek. Jeśli mężczyźni dawali swoim synom na imię Włodzimierz, to przecież nie ze względu na Lenina (wcześniej) czy Smolarka (później). Włodek był jeden. Włodka kochano.

Bolało mnie, kiedy widziałem Lubańskiego wyobcowanego. Zdawało mi się, że piłkarz tak doskonały powinien mieć specjalne względy i wyobrażałem sobie, że mój idol zawsze traktowany jest w sposób wyjątkowy. Tymczasem on o należną mu pozycję nie zabiegał, a inni nie

wyrywali się, by go uhonorować – co byłoby z korzyścią dla zespołu. Była to więc kadra, w której pod górkę mieli dwaj wielcy piłkarze z dwóch różnych pokoleń: i Lubański, i Boniek.

Dzisiaj nie znam ani jednej osoby, która turniej z 1978 roku wspomina pozytywnie. Prawdopodobnie Polska dysponowała wówczas najsilniejszym składem w historii – bohaterowie sprzed czterech lat byli jeszcze dość młodzi, by grać na najwyższym poziomie, a jednocześnie przybyły posiłki: Lubański, Boniek, Nawalka... Sztuką było to spieprzyć, ale jakoś się udało!

Pierwszy mecz obejrzałem – wraz z piątką innych piłkarzy – z trybun. Niedawno odgrzebałem zdjęcie, na którym stoimy w komplecie w czasie treningu wyrównawczego. Trzech po lewej jeszcze żyje, trzech po prawej już niestety nie____A ten pierwszy mecz – z Niemcami. Gmoch nakazał zachowawczy styl gry i ze stromych trybun River Plate obejrzałem wyjątkowo nudne spotkanie – gdybym nie bał się, że ta stromizna mnie wchłonie i że runę w dół, to prawdopodobnie bym usnął. Jacek – chociaż jego odprawy były bardzo precyzyjne – nie do końca chyba rozpoznał siłę przeciwnika i nie zorientował się, że Niemcy mieli najgorszy skład w historii. Należało z nimi wygrać. Niemniej, remis przedstawił jako swój sukces, a po meczu stanął przed rozczarowanym zespołem i oświadczył:

– Przeszedł telegram gratulacyjny z Polski. Towarzysz Gierek gratuluje wam postawy.

W drugim meczu, z Tunezją, wreszcie zadebiutowałem w reprezentacji – w 59. minucie przy stanie 1:0 zmieniłem Andrzeja Szarmacha. Całe spotkanie udało nam się wygrać, ale marne, jednobramkowe zwycięstwo nie zostało pozytywnie odebrane, co tylko podkreślało złe emocje. Przed ostatnim grupowym spotkaniem przyciśnięty do ściany Gmoch dokonał zmian, wstawiając w podstawowej jedenastce między innymi Zbyszka Bońka i mnie. Boniek strzelił dwa gole, Deyna jednego, wygraliśmy 3:1, a ja zszedłem z boiska w 79. minucie na skutek lekkiego urazu kręgosłupa, nie spodziewając się, że już ani razu w tych mistrzostwach nie wystąpię. Na osłodę pozostał mi tytuł najmłodszego uczestnika imprezy.

Dlaczego więcej już nie wystąpiłem? Nie wiem.

A dlaczego Gmoch powiedział przed jednym z meczów Markowi Kuście: „Jeśli dziś będzie rzut karny, to strzelasz”, a potem odesłał go na trybuny? Też nie wiadomo.

Czemu z Argentyną zagrał na środku obrony pomocnik, Henryk Kasperczak, a nie Gorgoń? No właśnie, nie wiadomo!

Z jakiego powodu w dwóch ostatnich spotkaniach Kukła stanął w bramce kosztem Tomaszewskiego? Znowu zagadka.

Za Gmochem trudno było nadażyć. Tak mącił, że drużyna czuła się skołowana. Wszystkie niepokoje się nawarstwiały i atmosfera z każdym dniem gęstniała. Jacek nerwowo reagował na krytykę, wikłając się w jakieś głupie konflikty. Jednego dnia Janowi Ciszewskiemu, legendarnemu sprawozdawcy Telewizji Polskiej, w porywie wściekłości wykrzyczał:

– Pamiętaj, kuternogo, że samoloty z Buenos Aires latają codziennie!

To było nieludzkie. Ciszewski częściowo nie miał jednej nogi, a Gmoch czuł się na tyle mocny, że sugerował, iż może nawet wpłynąć na ścisłe kierownictwo telewizji. I być może – mógł! W kadrze mówiło się, że to Gmoch wyrzucił Kazimierza Górskiego w 1976 roku, gdy Polska zajęła „zaledwie” drugie miejsce na igrzyskach w Montrealu. Miał to zrobić dzięki układom z partią, a w szczególności z towarzyszem Zdzisławem Żandarowskim. Wierzę, że tak było. Jacek wielokrotnie w moim towarzystwie o Górskim mówił: „ten prostaczyna”. Przypisywał sobie wszystkie zasługi za rok 1974, sugerując, że głupek Górski nie poradziłby sobie sam i że tak naprawdę spił śmietankę.

Niesnaski wywoływała też sprawa firmy Interminex, z którą powiązania miał inny członek PZPR, Maciej Szczepański – szef Radiokomiteu. Rezerwowym piłkarzom kadry nakazano tachać na ławkę rezerwowych torby z nadrukiem Interminex i eksponować je przed kamerami. Starsi piłkarze mieli jednak pretensje o rozliczenia – ich zdaniem ktoś przywłaszczył sobie znaczną część pieniędzy i wskazywali właśnie na Gmocha. Niektórzy zdenerwowani byli tak bardzo, że wręcz odmawiali korzystania z feralnych toreb.

Dla mnie pieniądze, które zarabiał się w kadrze i tak były kosmiczne. W 1982 roku za awans do finałów MŚ dostaliśmy po 100 tysięcy złotych, co można chyba uznać za równowartość dzisiejszych 100 tysięcy. Nie znam stawki za rok 1978, bo w eliminacjach nie grałem, ale pewnie chodziły zbliżone sumy. Kto by się jednak przejmował złotówkami – dolary! Mieszkanie kosztowało 3 tysiące dolarów, a my za zwycięstwo dostawaliśmy 800 „zielonych”, natomiast za remis – 400. Najwidoczniej starsi zawodnicy lepiej orientowali się w stawkach i mieli świadomość, że ktoś na boku przytula jeszcze więcej.

Jeśli więc nie kłócono się o kwestie piłkarskie, to dyskutowano o pieniądzach – a to tych z firmy Interminex, a to tych z premii. Sprawa toreb miała zresztą ciąg dalszy, ponieważ Gmoch po mistrzostwach musiał wyjechać z kraju i wyładował w Norwegii – mówiło się, że właśnie na skutek nie do końca jasnych rozliczeń.

Wróćmy do turnieju. Po wyjściu z pierwszej grupy trafiliśmy do... kolejnej – taki to był wówczas regulamin. Tym razem była to jednak grupa śmierci, bo oprócz nas znalazła się w niej Brazylia, Argentyna (gospodarz) i Peru. Co mecz graliśmy w innym zestawieniu, przeciwko Argentynie oczywiście też. Najdziwniejsza wydała się wszystkim rozgrywka z Kaspercakiem. Gmoch poinformował nas, że grać będziemy dołem i że dlatego właśnie Heniek – pomocnik, z inklinacjami ofensywnymi – zagra na środku defensywy. Skutek był opłakany, ponieważ już w 16. minucie głową bramkę strzelił nam Mario Kempes, a zanim uderzył, futbolówka przeszła nad Kaspercakiem. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić – nad Gorgoniem by nie przeszła.

Ale Gorgoń siedział koło mnie, na trybunach stadionu w Rosario. Wiedział, że Gmoch już go nie przywróci i zamawiał piwo za piwem. Plastikowe kubki wały nam się pod nogami.

Ostatecznie skończyło się wynikiem 2:0 dla Argentyny. Deyna nie strzelił karnego, a Jacek Gmoch po latach – gdy spotkaliśmy się w Grecji – stwierdził, że mecz był przez reprezentantów Polski sprzedany. Rzekomo takie informacje miał mu przekazać jeden z Argentyńczyków, którego

Gmoch miał pod sobą w Panathinaikosie. Czy to prawda? Oczywiście bzdura jak dla mnie. Gmoch po prostu był jednym z tych trenerów, którzy nigdy nie przegrywali meczów tak po prostu. Albo zawinił sędzia, albo piłkarze sprzedali. Gdyby nie te dwa warianty, zapewne wygrałyby wszystkie możliwe spotkania. Był zbyt genialny, żeby dać się pokonać. Nigdy nie popełniał błędów.

Zostawały dwa mecze w grupie – z Peru i z Brazylią. Z Peru wygrać trzeba było i oczywiście wygraliśmy, chociaż w marnym stylu. I nawet ta wygrana uwypukliła podziały w zespole. Być może starsze osoby pamiętają, a młodsze mogą sprawdzić w internecie, w jaki sposób „Diabeł” Szarmach cieszył się ze zwycięskiego gola – wbitego efektywnym szczupakiem, po podaniu Laty. Otóż nie cieszył się w ogóle. Stanął z rozłożonymi rękoma, jakby pytał wszystkich:

– I co? I co teraz? Gdzie byłem przez całe mistrzostwa? Kto powinien grać, do kurwy nędzy, i dlaczego nie grałem ja? Czy Gmoch to widzi? Czy mu głupio? „Szczęka”, głupio ci?

Po marnym 1:0 z Peru nasz trener nabrał dziwnego wigoru i wyczuwało się, że wierzy w ogranie Brazylii i awans do strefy medalowej. Mrzonki! Na boisku Brazylijczycy grali z nami we flippery i chociaż do przerwy było 1:1, to w rzeczywistości chyba nawet na to końcowe 1:3 nie zasłużyliśmy.

Czar prysł, bajka się skończyła – Jacek wiedział, że już nie dorówna „prostacynie” Górskiemu i że wróci do Polski jako ten, który doprowadził do klęski najlepszą kadrę w dziejach kraju. W szatni ciskał butami, butelkami, odzieżą, walił głową w metalowe szafki, wrzeszczał, przeklinał, prawie beczał. Trener uderzający z rozpaczą głową w szafki nie może cieszyć się uznaniem wśród zawodników. Zachowywał się bez klasy.

W początkowej fazie znajomości w Jacka Gmocha byłem zapatrzony. I może nawet było tak do końca mistrzostw, a dopiero odpowiedni dystans pozwolił mi spojrzeć na wydarzenia z 1978 roku inaczej. Dziś zdaje mi się, że wykpiwany przez Jacka Górski potrafił drużynę scementować wewnętrznym spokojem, natomiast Gmoch wprowadzał chaos, z którego niestety nic się nie urodziło. Koncepcji miał może i sto, może nawet sto dobrych, ale na żadną nie potrafił się zdecydować, nie ufał ludziom, a oni

nie ufali jemu i sobie wzajemnie. Natłok myśli sprawił, że brakowało mu klarownej wizji. Jeśli gdzieś ukształtował się jakikolwiek ład – przychodził Jacek i dokonywał zmian. Zmian, których nikt nie potrafił pojąć.

Koniec, po mistrzostwach. Pojechaliśmy jeszcze do Buenos Aires, by obejrzeć finał. Finał, w którym mieliśmy przecież zagrać. Zamiast tego przez dwa dni zalewaliśmy robaka, śpiąc za dnia i wychodząc tylko w nocy, by zadawać sobie retoryczne pytanie:

– Dlaczego?

Tam, na rauszu, ostatkiem entuzjazmu poderwał się z krzesła Gmoch i zakrzyknął:

– Ja wam jeszcze pokażę!

Ale nikt nawet nie podniósł głowy.

W finale ani nie zegraliśmy, ani go nie obejrzeliliśmy. Ktoś na czarnym rynku sprzedał przeznaczone dla nas bilety.

ROZDZIAŁ X

PUCHARY

Mistrzostwo Polski zdobyte w 1978 pozwoliło nam się pokazać w Europie. Wisła była już drużyną szanowaną, ponieważ w 1976 roku w Pucharze UEFA wyeliminowała Celtic Glasgow ze słynnym Kennym Dalglishem w składzie, jednakże pierwszy raz przystępowała do rywalizacji z innymi mistrzami krajowymi.

Zacząło się od FC Brugge.

Przeciwnik z najwyższej półki. Dzisiaj ta nazwa nie robi wielkiego wrażenia, ponieważ czas nie obszedł się łaskawie z belgijskim futbolem (z naszym zresztą też nie). Niemniej należy pamiętać, że w 1976 roku Brugge zagrało w finale Pucharu UEFA, a w 1978 – czyli tuż przed meczem z nami – w finale Pucharu Mistrzów! Wtedy na stadionie Wembley lepszy okazał się Liverpool, wygrywając bardzo nieznacznie – 1:0. Zanim Belgowie prowadzeni przez słynnego Ernsta Happela znaleźli pogromcę, zdążyli wyeliminować Panathinaikos, Atletico Madryt i Juventus Turyn. Osobom nie do końca zorientowanym w ówczesnej sile belgijskiego futbolu warto też zwrócić uwagę, że reprezentacja tego kraju w 1980 roku awansowała do finału mistrzostw Europy i dopiero po dramatycznej końcówce (gol w 88.

minucie) przegrała z Niemcami. Przeciwno Wiśle wystąpiło kilku zawodników, którzy później zrobili furorę na Euro.

Nie byliśmy więc faworytami.

Już początek okazał się dziwny – mecz się nie zaczął, a... dokonaliśmy pierwszej zmiany. Trener Lenczyk wymyślił manewr, którym chciał wprowadzić zamęt w zespole przeciwnika. W protokole meczowym wpisał, z numerem dziewięć, a więc jako napastnika, Adama Nawałkę. Adaś był jednak kontuzjowany i w ogóle nie było mowy, by zagrał. Plan był taki, że później jego się wykreśli, wpisze kogo innego – i będzie można zaczynać. Po Belgach, którzy niewątpliwie kojarzyli nazwisko „Nawałka” z zakończonych nie tak dawno mistrzostw świata, oczekiwano, że zrobią ze strachu pod siebie i rozdygotani łatwo dadzą się pokonać. Niestety, trener Lenczyk nie wiedział, że podobne kombinacje nie są dozwolone i na kontuzjowanego Adama trzeba było wykorzystać pierwszą ze zmian.

Nie minęło pół godziny, a już przegrywaliśmy 0:2. Tym razem oryginalny postanowił być nie szkoleniowiec, ale nasz bramkarz – Stasiu Gonet. Spontanicznie opracował nowy wariant ustawiania muru: podzielił chłopaków na dwie grupy i jeden kawałek muru miał zasłaniać lewy słupek, a drugi kawałek – prawy. Natomiast w środku była wielka dziura, ale tym akurat zamierzał zająć się osobiście „Biały”. Cokolwiek poleci – on złapie. Dwa mury, z założenia blokujące dwa rogi bramki, w praktyce nie blokowały jednak żadnego. Julien Cools podbiegł do piłki i po prostu zdobył gola – zapewne najłatwiejszego w życiu, jeśli liczyć uderzenia z rzutów wolnych.

Gonet więcej nie opracowywał nowinek taktycznych.

Od początku do końca graliśmy kizkę i Belgowie – niewątpliwie mający lepszą drużynę – zasługiwali, by prowadzić kilkoma golami. Na szczęście dla nas piłka nie zawsze jest sprawiedliwa i w 80. minucie z rzutu różnego nie najlepiej dośrodkował Michał Wróbel, ale piłka po kilku chwilach trafiła na szesnasty metr do Zdzisława Kapki, a on trafił do siatki. 1:2 – ten wynik dawał nadzieję przed rewanżem.

Brugia to piękne miasto, ze względu na przecinające ją kanały przez niektórych porównywana do Amsterdamu, przez innych do Wenecji. Może

właśnie dlatego klub zorganizował wycieczkę dla naszych żon i narzeczonych – wprawdzie zostały zakwaterowane w innym hotelu, ale do Belgii przyleciały, mogliśmy się z nimi spotkać i po meczu spokojnie porozmawiać. Z czasem większość chłopaków odłączyła się od partnerek i wybrała wolność. Nie skończyło się to dobrze. W jednym z pubów wiślacy grali w piłkarzyki z miejscowymi o butelkę drogiej whisky. Nie wzięli pod uwagę, że mogą przegrać, a nie mieli przy sobie dość pieniędzy, by wywiązać się z zakładu. Kiedy zaczęło robić się naprawdę nerwowo i niebezpiecznie, uznali, że najlepszym rozwiązaniem będzie ewakuacja. Zerwali się więc i uciekali uliczkami Brugii, zostawiając za sobą biednego redaktora Andrzeja Szeląga z krakowskiego oddziału TVP. Andrzej – niestety – ani nie biegał tak szybko jak zawodnicy, ani nie miał odpowiedniego obuwia. Do pubu przyszedł... w klapkach.

Wyjście na miasto w klapkach okazało się cholernie kosztownym błędem. Szelągowi założono kilkadziesiąt szwów. Belgowie pocięli mu twarz żyletką.

W meczu rewanżowym znowu lepsi byli przeciwnicy. Strzeliliśmy gola jako pierwsi, ale rywale zaraz po przerwie wyrównali. Ja zszedłem po pierwszej połowie – nie byłem w stanie nic dać drużynie, a ze względu na kontuzję w ogóle nie powinienem grać. Lenczyk chciał mnie nawet odesłać na trybuny – i bardzo słusznie – ale go uprosiłem, by dał mi spróbować. Spotkanie z Brugge było zbyt prestiżowe, bym miał je odpuścić bez walki. Jednak tę walkę przegrałem. W lidze można było grać na pół gwizdka, z naciągniętym mięśniem, ale na tle perfekcyjnie przygotowanych Belgów nie miało to najmniejszego sensu.

Przegralibyśmy ten dwumecz, gdyby nie kapitalny zryw Leszka Lipki w 82. minucie. Ruszył prawie że od środka boiska, pierwszego przeciwnika minął rozegraniem perfekcyjnej klepki, a drugiemu puścił piłkę między nogami. Cały rajd sfinalizował spokojnym, technicznym uderzeniem w długi róg. Na osiem minut przed końcem stan rywalizacji był remisowy.

Szcście uśmiechnęło się do nas ponownie w 89. minucie. Tak jak w pierwszym meczu ewidentnie kiepsko wykonany rzut różny dał nam gola, tak historia powtórzyła się przy Reymonta. Tym razem piłka spadła

pod nogi Janusza Krupińskiego, który w zamieszaniu zdążył wystawić stopę i zmylić bramkarza.

Kolejnego rywala, Zbrojovki Brno, nie baliśmy się w ogóle, chociaż zapewne z niewiedzy. Teraz sobie myślę, że trochę jednak bać się powinniśmy. Był to mistrz Czechosłowacji, a więc kraju, który dwa lata wcześniej zdobył mistrzostwo Europy, a dwa lata później trzecie miejsce na kontynencie. Dodatkowo Czechosłowacja w 1980 roku sięgnęła po olimpijskie złoto. W kadrze Zbrojovki – co jasne – nie brakowało reprezentantów i już z tego względu powinniśmy czuć respekt. Niepoważna dziś nazwa wtedy znaczyła o wiele więcej, a prestiżu drużynie dodawała też osoba trenera. Na ławce siedział legendarny Josef Masopust, najlepszy piłkarz Europy z 1962 roku.

Prasa tak komentowała losowanie:

Zbrojovka będzie z pewnością niezwykle trudną przeszkodą do pokonania. Gra bowiem zdecydowanie i nie demonstruje sztuki dla sztuki, choć pod względem wyszkolenia technicznego nic jej nie można zarzucić. Osobiście wolałbym, gdyby krakowianie wylosowali za przeciwnika Austrię Wiedeń, Malmö FF, Bohemians, AEK, SK Lillestrøm, a nawet Lokomotiv czy szkockich Rangersów. Ale też trudniejszą przeszkodą byłiby piłkarze Dynamo Kijów, Realu Madryt, 1. FC Köln czy PSV.

Nie, nie czuliśmy respektu – tak mi się przynajmniej zdaje, o ile mogę mówić za wszystkich. Siłę czerpaliśmy... z radia. Na mecz do Brna ruszyliśmy autokarem dwa dni wcześniej i już na miejscu, w hotelu, przyklejeni do odbiornika słuchaliśmy relacji z konklawe. „Habemus papam” – mamy papieża. Kiedy Karol Wojtyła ogłoszony został biskupem Rzymu, poczuliśmy wewnętrzne ciepło i energię, która musi wystarczyć do wyeliminowania Zbrojovki. Tego dnia, przy tym radiu nie było dla nas rywala. Gdyby mecz odbywał się w pięć minut po tym, jak z komina w Watykanie uniósł się ku niebu biały dym, wygralibyśmy z każdym. Z każdym. Fruwaliśmy nad ziemią.

Dwa dni później Zbrojovka postawiła twarde warunki. Najpierw my strzeliliśmy jednego, później oni dwa z problematycznych rzutów karnych,

następnie my jeszcze jednego – 2:2. Mecz był kapitalny, szybki, niezwykle wyczerpujący. Przeciwnicy łączyli technikę z bardzo dobrą organizacją i przede wszystkim niezwykłym przygotowaniem fizycznym. To było pasjonujące i wyniszczające 90 minut. Kiedy sędzia skończył spotkanie, wycieńczeni padliśmy na murawę. Ale dopóki piłka była w grze, biegaliśmy jak oszaleli – od jednego pola karnego, do drugiego. Ryszard Kulesza, selekcjoner reprezentacji Polski, był zachwycony poziomem i zapowiedział, że po raz pierwszy od czasu mistrzostw świata powoła mnie do kadry. Imponującą partię rozegrał Lipka, a remis – cudownym strzałem z rzutu wolnego – dał nam Maculewicz. Wszystko to na oczach kibiców, którzy przyjechali z Krakowa, a także, nieszczęsnych widzów. Nieszczęsnych dlatego, że telewizja pokazała jedynie drugą połowę spotkania i to nie w całości (transmisję przerwano jeszcze przed końcem).

Rewanż przebiegał spokojnie aż do 77. minuty, kiedy Zbrojovka wyrównała na 1:1 i zrobiło się nerwowo: byliśmy o bramkę od odpadnięcia z rozgrywek, ale też trzynaście minut dzieliło nas od awansu do ćwierćfinału Pucharu Mistrzów. Trzynaście minut, które bez specjalnych problemów przetrwaliśmy. Jeszcze wtedy nie spodziewałem się, że więcej już w tej edycji nie zagram – „Stylowa”.

Malmö. Przeklęty marzec 1979 roku. Pierwszy mecz oglądam z trybun, drugi w telewizji. Zaczyna się nieciekawie, bo w Krakowie szybko tracimy gola, ale dzięki bramkom Adama Nawałki i Kazka Kmiecika ostatecznie wygrywamy 2:1. Kazek trafia dopiero pięć minut przed końcem. Wszyscy uważamy, że mimo tych męczarni Wisła jest lepszą drużyną i że wylosowanie Malmö było wygraną na loterii. Na rewanż zespół jedzie spokojny.

Tam dzieje się rzecz niebywała. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie widziałem drużyny, która posypałaby się jak domek z kart.

Do przerwy – względny spokój, 0:0. Później Kmiecik trafia na 1:0 i Wisła tak naprawdę jest już nie jedną, ale dwiema nogami w półfinale Pucharu Mistrzów. Żeby odpaść, musiałyby stracić trzy gole w ciągu 30 minut. Tak się nie dzieje. Traci nie trzy gole w ciągu 30 minut, ale cztery

gole w ciągu 24. „Biała Gwiazda”, chociaż była lepsza i chociaż każdy piłkarz wewnętrznie czuł, że misja została wykonana, nagle zostaje porażona. Źle gra Staszek Gonet, źle interweniują obrońcy. Wszystkich ogarnia niewytłumaczalny paraliż.

Zamiast meczu oglądam festiwal błędów. Siedzę przed telewizorem blady jak ściana.

66. minuta – 1:1.

72. minuta – 1:2. Remis w dwumeczu, będzie dogrywka.

83. minuta – 1:3. Po nas. Lenczyk ściąga Goneta, który maczał palce we wszystkich trzech golach i zastępuje go Holocherem.

90. minuta – 1:4. Koniec.

Ten mecz siedzi w każdym wiślaku do dziś. Mieliśmy lepszy zespół, mieliśmy też bezpieczny wynik. W 1979 roku w finale Pucharu Mistrzów powinna zagrać Wisła Kraków – jako pierwszy i jedyny jak dotąd polski klub. Austria Wiedeń, na którą trafiło Malmö w półfinale, nie stanowiłaby dla nas wyzwania. Dopiero Nottingham Forest w finale – z trenerem Cloughem, z bramkarzem Shiltonem czy z napastnikiem Trevorem Francisem – byłby od nas lepszy. Ale to tylko jeden mecz. W jednym meczu wszystko może się zdarzyć. W jednym meczu faworyt może wpaść w dołek i podejmować rozpaczliwie próby wygrzebania się na powierzchnię. W jednym meczu każdy może wygrać z każdym.

O czym Wisła przekonała się w przeklętym marcu 1979 roku w Malmö.

ROZDZIAŁ XI

„STYŁOWA”

Spróbujmy uporządkować fakty. Opowiedziałem już o sezonie, w którym Wisła Kraków sięgnęła po mistrzostwo Polski, natomiast napomknąłem też, że z powodu pewnych problemów nie polecałem z drużyną do Australii (do Japonii zresztą też nie) oraz nie wystąpiłem w ćwierćfinale Pucharu Mistrzów z Malmö. Jesienią 1978 rozegrałem trzynaście meczów i... potem już – do końca sezonu – ani jednego. Dopiero po najbliższych dwóch rozdziałach będziecie mieć pełny obraz młodego Andrzeja Iwana – chłopaka, który w szalonym 1978 roku najpierw zdobył mistrzostwo kraju, brązowy medal mistrzostw Europy do lat 18, a potem zagrał w finałach mistrzostw świata i był wtedy najmłodszym uczestnikiem turnieju. Chłopaka, który miał pokonać wszelkie piłkarskie granice, ale postanowił, że zanim to zrobi, nacieszy się życiem na tyle, na ile to możliwe.

Rok 1978 był jak z bajki, ale ktoś kompletnie spierniczył zakończenie. To znaczy, bądźmy precyzyjni – zrobiłem to ja sam, jako niekwestionowany mistrz autodestrukcji. W efekcie zapaskudziłem sobie życiorys i wyhamowałem karierę.

Dlaczego nie polecałem z Wisłą na zgrupowanie do Australii? Nie dlatego, że – jak Jasiowi Karweckiemu – nie chciało mi się wstawać.

Chciałoby się. Oj, bardzo by się chciało zobaczyć ten kontynent – a jak się miało okazać, była to jedyna okazja w karierze.

Wszystko przez słynną zadymę w restauracji „Stylowa”, w której rzekomo wybiłem kelnerkom zęby, chociaż tak naprawdę, żeby im zęby wybić, najpierw musiałyby im je uprzednio wstawić. Niestety, użębienie było dla tych kobiet tylko mglistym wspomnieniem, zanim jeszcze w „Stylowej” wypilem pierwszą lampkę.

Ale ktoś zęby rzeczywiście stracił i nie byłem to ja. Teraz poznacie jedyną prawdziwą wersję historii, o której przez długie lata krążyły legendy.

Jak już wspomniałem, jesteśmy w roku 1978. W Polsce trudno cokolwiek kupić, nam – piłkarzom Wisły – jednak się to umożliwiał. Raz na tydzień przyjeżdża na stadion ciężarówka wypełniona mięsem. No to trzeba brać, ile tylko ręce uniosą.

Trwa przerwa w rozgrywkach, ale... codziennie spotykamy się na „zajęciach w podgrupach”. Z żoną umawiam się, że mięso przyniosę do teściowej. Jednak najpierw razem ze Zbyszkiem Płaszewskim idziemy do „Dniepru” pić araraty, czyli jakiś ormiańskie siki, których nigdy więcej już w ustach nie miałem. Jako że trunek nam nie posmakował, stwierdzamy konieczność zmiany lokalu. Po drodze do moich teściów, jakieś 200 metrów od ich mieszkania, była „Stylowa” – stylowa tylko z nazwy, oczywiście. W rzeczywistości był to lokal, od którego zionęło głęboką komuną, mieszczący się przy alei Róż – nieopodal pomnika Lenina. Lenin na cokole był ciężki, zwałisty i z przybraną pozą, jakby... właśnie ze „Stylowej” wyszedł. Ktoś kiedyś położył pod nim zardzewiały rower, dziurawe buty i napisał na kartce: „Masz tu rower, stare buty, wypierdalaj z Nowej Huty”.

My wchodzimy, a tam... sami znajomi. No to jedna kolejka, druga, Zbyszek mnie trochę zbałamucił, bo miałem przecież iść do domu. Nagle postanawiam wyjść, jednak nie mogę – przy szatni widzę, jak kelnerki robią sobie ze mnie jaja, chowają mi rękawiczki, pokazują palcami, śmieją się. A raczej – wyśmiewają. A ja chcę, kurwa, wyjść!!!

Natychmiast!!!

Dostaję pijackiej furii. Krzyczę, wyzywam, robi się gęsto, kelnerki dzwonią po milicję – a może nie musiały dzwonić, tylko mundurowych przyciągnęły odgłosy awantury? Tak, pewnie nawet dzwonić nie musiały. Trudno o gorsze miejsce na rozbój – tuż przy pilnowanym pomniku Lenina, przy samym placu Centralnym – miejscu, w którym odbywały się liczne państwowe uroczystości.

Mój szal trwa. W końcu wściekły biorę kufel piwa i rzucam prosto w ścianę. Chcę oczywiście w kelnerkę, ale nie trafiam. Ona, przerażona, chowa się za barem, inne wybiegają na zaplecze. Wpadam tam i ja, chcąc którąś dorwać. Biegam jak lis po kurniku.

Potem wszystko dzieje się błyskawicznie. Gumowe pałki, pięści, moje ciosy, ich uniki, ich ciosy, moje uniki, obustronne mordobicie, kopniaki. Zostaję skuty i zabrany na posterunek, mieszczący się sto metrów od mieszkania teściowej. A tam poprawka. Pałowanie takie, jakiego nigdy później nie przeżyłem. Skurwysyny w mundurach, zomowcy wybijają mi barki tak bardzo, że do dziś mam z nimi kłopoty i nie wszystko mogę robić – czuję to manto, mimo że minęło ponad trzydzieści lat! Mam poważne zasiniaczenia, rozcięcia, zgniecenia, urazy wewnętrzne. Wyżywają się na mnie, znęcają.

Tracę przytomność i budzę się w celi, z rękoma skutymi za plecami, cały siny. Przyjeżdża w końcu pułkownik Snopkowski – ten sam, który zawiózł mnie na pierwszy trening Wisły – żeby mnie wyciągnąć. Niestety, popełnia taktyczny błąd – zamiast najpierw mnie zabrać, kieruje kroki do komendanta. Oczywiście rzuca hasło:

– Rozkuć go natychmiast.

Ale... No właśnie.

Stoi koło mnie dwóch milicjantów. Jeden mnie rozkuwa, drugi mówi:

– I co teraz, frajerze?

– Pierdol się.

On na tę uwagę bierze zamach, a ja – że już mam znowu uwolnione ręce – czuję przyływ zwierzęcej energii i wybijam mu zęby, a potem leję drugiego i kończy się tak, że obaj znajdują się w ciężkim stanie, a na mnie

rzuca się gromada zomowców i znowu dostają taki łomot, że ledwo stoję na nogach, broczę krwią, a rękoma nie jestem w stanie nawet poruszyć.

Pułkownik wyprowadza mnie skatowanego. Co ciekawe, przed komisariatem rzuca się jeszcze na mnie mąż którejś z kelnerek i zaczyna mnie dusić, co już pachnie absurdem. W końcu to Nowa Huta. Jadę do domu.

– Rany boskie, jak ty wyglądasz!

Żona na mój widok prawie mdleje. Taksówka i razem z ojcem do szpitala. Ale zanim dojechaliśmy, dowieziono tam tych wszystkich pobitych przeze mnie milicjantów (tych pobitych naprawdę i tych, którzy tylko udawali i załatwiali lipną obdukcję). Na ich widok tym razem szajba odbija tacie. A że kiedyś trenował boks, to się zaczyna rzeźnia numer pięć. On ich, oni jego, ganiecie po szpitalu, zawierucha, tłuczone szkło, przewracane meble i krzyki.

Przez następne dni siedzę w domu. Nie jestem w stanie ani się umyć, ani się ubrać. Jednak przede wszystkim martwię się czym innym – czy sprawa wyjdzie na jaw? Pewnego dnia przychodzi kolega z gazetą w ręku. Nie musi się odzywać. Posępna mina zdradza wszystko: napisali!

Lawina rusza. Wszystkie pieniądze zarobione na mistrzostwach świata w Argentynie wydaję na łapówki. Daję kelnerkom, żeby przestały kwękać. Daję milicjantom. Jeden jest w porządku, mówi: „Jestem kibicem, daj tylko na nowe zęby i na flachę, to będziemy kwita...”. Z drugim, z tym, co miał wstrząśnienie mózgu, problem jest większy, lepiej się targuje. W końcu ustalamy kwotę.

Ale prasa robi show.

Do kelnerek jeździ Basia, ja załatwiam sprawę z milicjantami – tak się podzieliliśmy, taktycznie. A potem czytam w gazecie wywiad z jedną z tych kobiecinek, w którym ona opowiada, że jak niby w wizjerze zobaczyła Iwana, to prawie ataku serca dostała.

Jeszcze wtedy nie wiem, że prawdziwe problemy dopiero nadchodzą. Okazuje się, że ci pobici w ZOMO odrabiają wojsko, a że i ja formalnie byłem w tym czasie żołnierzem w służbie czynnej, więc podpadam pod sąd wojskowy. Prezes Wisły, pan Jabłoński, robi się w tym momencie bezradny.

No i problem.

Jedyne, co Wisła załatwia, to – dzięki majorowi Betlejewskiemu – że będę sądzony jako żołnierz garnizonu krakowskiego, a nie gliwickiego, pod który formalnie podchodzę. To mnie ratuje. Jakiś czas później, do mojej celi – do czego dojdę – przychodzi prokurator Bafia, któremu podlegają Gliwice i mówi:

– Masz szczęście, skurwysynu, bo ja bym ci wjechał pięć lat.

Już wtedy wiem, że nie żartuje. Już wtedy jestem naprawdę przerażony. Czyżbym po raz pierwszy w życiu miał ponieść konsekwencje? Jak szybko się w piłce pojawiłem, tak szybko mogę przepaść, zrzucony gdzieś do wojskowych lochów.

ROZDZIAŁ XII

WINNETOU

Przyjechała po mnie czarna wołga.

– Kiedy Andrzej wróci? – spytała Basia.

– Jeszcze dziś, na pewno – odpowiedział pułkownik Michaliszyn.

Ku mojemu zdziwieniu samochód zatrzymał się pod jednostką, a kiedy wysiadłem, zawrócił i odjechał. Stałem skołowany i naiwnie myślałem: „Może pojechali się napić i zaraz po mnie wrócą?”.

Wyobraźcie sobie tę sytuację dzisiaj – jestem piłkarzem reprezentacji Polski, najmłodszym zawodnikiem mistrzostw świata, do tego mistrzem kraju z Wisłą. Nie skłamię – jestem gwiazdą, materiałem na megagwiazdę. I nagle czarna wołga przywozi mnie pod jednostkę wojskową, gdzie mam usłyszeć wyrok.

Nauczyłem się regułki: „Szeregowy Iwan melduje się do raportu karnego”.

– Wejść!

– Dowódca kompanii kapitan Szkudlarek melduje szeregowego Iwana do raportu karnego!

Teraz miała być moja kwestia. Nie zdążyłem jej nawet wypowiedzieć, bo dowódca jednostki, pułkownik Król, na mój widok tylko się skrzywił,

zupełnie jakby patrzył na największy kawałek łąjna, jaki kiedykolwiek widział, a następnie ryknął:

– Coście wy mi tu, kurwa, Winnetou przyprowadzili?! Wypierdalać!

Po kilku minutach byłem już łysy jak zapałka, a długo zapuszczane włosy zamiatano z podłogi.

– Szeregowy Iwan melduje się do raportu karnego! – wykrzyczałem ile sił w płucach.

– Ile mam, tyle dam! Odmaszerować!

„Ile mam, tyle dam”, czyli kara będzie maksymalna. Tylko co to oznacza? Ile on tak naprawdę „ma”? Ile może? Na ile pozwoli mu góra? Kto o mnie walczy? Kto mnie wyciągnie? Kiedy?

Dorwał mnie jeszcze Szkudlarek.

– Jak nie chcesz stracić wszystkiego, co zabrałeś, to lepiej daj mi. Tam ci ukradną wszystko przy zdaniu rzeczy prywatnych – ostrzegł.

Zinterpretowałem jego słowa tak, że tam mnie okradną, a on może mi pomóc. Nie sądziłem, że wybór jest zupełnie inny: albo okradną mnie tamci, albo Szkudlarek. Dałem wszystko Szkudlarkowi i nigdy w życiu już go nie widziałem. Pojechał na urlop.

Tak zaczął się koszmar. Styczeń 1979 roku, zima stulecia. Siarczyste mrozy, nawet do – 30 stopni Celsjusza, śnieg zasypujący miasta i wsie, paraliżujący transport drogowy i kolejowy. Czytałem później, że temperatura w mieszkaniach spadała do 7 stopni. A ja – zamknięty w brudnej, małej i kiepsko ogrzewanej celi – na ile stopni mogłem liczyć? Praktycznie cały czas sam, bo jak ktoś się nawet na chwilę trafił, to zaraz wysyłali go dalej w Polskę, np. do Orzysza. Można było porównać tę jednostkę do najbardziej podłego hotelu w kraju – wynajmowanego na godziny, w najlepszy razie na jedną noc. A ja zostałem w nim zameldowany na stałe.

Pobudka przed piątą rano, o piątej do roboty. Wtedy też składana i zamykana na kłódkę (przypinana do ściany) była deska spełniająca funkcję łóżka – aż do wieczora skorzystać można było tylko z jednego z trzech przymocowanych do podłogi taboretów. Zostały rozmieszczone

w taki sposób, by siadając na jednym, nie dało się na drugim np. rozłożyć nóg. Na posiłki chodziłem w butach bez sznurówek, bo sznurówki mi zabierano, i pod bronią. Ale w zasadzie chodzić nie musiałem, bo jak mnie tam prowadzili, to już wszystko było zjedzone. Skręcało mnie z głodu, mdliło. Niezasklepienie rany nie pozwalały myśleć o głodzie albo było na odwrót: głód nie pozwalał myśleć o niezasklepionych ranach.

Praca oczywiście nie za przyjemna – chociaż zaczęło się niby nie najgorzej, bo od mycia okien.

– A jakiś płyn jest? – pytam.

– Tu się tak okien nie myje! Pasta do zębów, gazeta i wcierać!

Miałem niesprawne ręce, ciągle jeszcze wybite barki. Bolało potwornie przy każdym ruchu, ale wcierałem, bo za plecami stał sadysta, porucznik Szmidt, który nie tylko z nazwiska bardziej pasował do obozów koncentracyjnych. On znęcał się psychicznie, a obok był jeszcze wartownik gotowy w każdej chwili do mnie strzelić.

A potem od okien przeszedłem do czyszczenia kibli, terakoty szczoteczką do zębów, wykuwania lodu kilofem (z wybitymi barkami!) i odśnieżania jednostki. Każdego dnia od piątej rano, kiedy dygotałem z zimna, przy życiu trzymała mnie tylko jedna myśl – że wkrótce mnie wypuszczą. A potem przychodziło zwątpienie – a jeśli przesiedzę tu całą służbę? Przecież został mi jeszcze rok i trzy miesiące. Pierwszego dnia czułem się mocny, drugiego dnia trochę mniej, aż z czasem popadłem w rozpacz. Zdarzało się, że płakałem – z bezsilności i przerażenia.

– Nie wytrzymam tu psychicznie, powiedz w Wiśle, że jeśli nie wyciągną mnie w ciągu tygodnia, to zrobię coś głupiego i dopiero będzie problem – powiedziałem Basi podczas widzenia.

Ale nie wyciągali.

W czasie jednego z widzeń, podyktowałem Basi list. Sam nie byłem w stanie pisać, ze względu na okaleczone ręce. Kazałem jej nabazgrać: „Jeśli nie wyciągniecie mnie, to odjebię taki numer, że o Wiśle będzie głośno”. Ten greps przekazałem judoce, który szedł na przepustkę. Miał go zanieść do klubu.

Po dwóch tygodniach sądziłem, że wychodzę, a to było tylko przeniesienie z aresztu do plutonu szkolnego. Całe szczęście, że trafił się tam były dowódca BOR-u, który po pijaku się z kimś postrzelał, więc zesłali go do tej właśnie jednostki. To oczywiście było robotą poniżej jego ambicji, więc generalnie wszystko miał gdzieś. Jemu jedynemu znęcać nadę mną nawet się nie chciało. Dawał karabin i mówił:

– Postrzelaj sobie.

Ale lepiej strzelałem na boisku.

Z każdym dniem załamywałem się coraz bardziej, siadała mi psychika, po 20 dniach byłem zdruzgotany. Przyjechał pułkownik Budziłowski i swoim rosyjskim akcentem poinformował:

– Żołnierzu, możesz wyjść, jeśli przejdiesz do Gwardii Warszawa, w przeciwnym razie odsiedzisz całą służbę.

Ponad rok.

Zgodziłem się, ale na szczęście w porę „polityczny” powiedział mi, że Wisła działa i w ciągu tygodnia powinna mnie wydostać. „Politycznego” poznałem, kiedy doszły go słuchy, że jestem w jednostce maltretowany. Pytał, czy może mi pomóc, ale postanowiłem, że ani Szmidta, ani nikogo innego kapować nie będę. Zacisnę zęby i wytrzymam. Chociaż niewiele brakowało, żebym nie wytrzymał.

Raz jeszcze was proszę – wyobraźcie to sobie dzisiaj. Byłem na szczycie, aż nagle – kompletnie zapomniany – wylądowałem w jednostce karnej, gdzie od piątej rano myłem zasrane kible, zaszczane podłogi i kilofem kruszyłem lód. Wszystko to robiłem, będąc w stanie fizycznym uprawniającym do ciepłego, szpitalnego łóżka i całodobowej opieki. Ogolony na zero, ciągle z widocznymi śladami pobicia, wygłodzony, wyziębiony, odarty z resztek godności. To był szok. Sądziłem, że świat należy do mnie i że będę po prostu brał, na co mam ochotę. Zderzenie z rzeczywistością było – w przenośni i dosłownie – bardzo bolesne.

Wyjście z jednostki nie stanowiło końca problemów. Czekał mnie rok sportowej dyskwalifikacji. Wyrok sądu piłkarskiego tak właśnie brzmiał: za zachowanie niegodne sportowca dwanaście miesięcy bez gry w piłkę. Przychodziłem na treningi, a czasem... a czasem mi się nie chciało. Coraz

częściej mi się nie chciało. Wiedząc, że przez rok nie będę mógł zagrać w żadnym meczu, traciłem motywację i tylko sporadycznie wyrażałem zainteresowanie futbolem. Popijałem, zastanawiałem się nawet, czy nie skończyć ze sportem. I być może nawet bym skończył, gdyby prezes Jabłoński nie załatwił skrócenia dyskwalifikacji do sześciu miesięcy. On traktował mnie jak syna, nawet czasami powtarzał mi, że... mam podobny charakter do jego potomka i dlatego ma do mnie słabość. W głębi duszy Jabłoński był miękki. Między innymi dlatego sam wyleciał z milicji w Krakowie – niby dostał awans do kryminalnej w Warszawie, ale tak naprawdę była to kara, ponieważ nie zablokował powstawania związków zawodowych na własnym podwórku.

Ech.

Pieprzona „Stylowa” – przepadły mi mecze z Malmö w Pucharze Mistrzów (może awansowalibyśmy do półfinału, gdybym wystąpił?), przepadło pół roku grania, wyjazd do Australii, a także wyjazd do Japonii. Przez głupie kelnerki, które postanowiły schować mi rękawiczki.

Na stadionach potem swoje musiałem odcierpieć. „Damski bokser” – skandowano. Albo weselsze: „Już za chwilę, za chwileczkę Iwan jebnie kelnereczkę”. Nikt nie wiedział, że lałem się z milicjantami, a nie z kelnerkami. Raz w Bytomiu już po meczu podbiegł do ogrodzenia chłopak, splunął mi w twarz i krzyknął:

– Ty damski bokserze!

Nie wytrzymałem, przeskoczyłem przez płot.

– Zaraz zobaczymy, czy damski!

A ten w nogi. I wpadł na zomowców, prosto w ich objęcia. Chętnie go przyjęli.

To był dla mnie okres frustracji. Muszę przyznać, że raz uratował mnie Stefan Majewski, z którym na co dzień nie nadawałem na tych samych falach. W meczu Wisła – Legia doszło między nami do jakiegoś starcia, obaj upadliśmy na ziemię. I po chamsku, specjalnie kopnąłem go w twarz.

Nie było innej możliwości – sędzia biegnie i szuka czerwonej kartki, a ja już zastanawiam się, czy znowu dosuną mi jakąś dyskwalifikację na kilka miesięcy. Na ile? Na trzy, na sześć? Na dwanaście?! W razie czerwonej

kartki pokazanej w takich okolicznościach było to bankowe – wylecę co najmniej na pół roku, recydywa. W momencie gdy ten kutas w stroju sędziego wyciągnie kartkę, moja kariera zawisnie na włosku.

Jednak Majewski nagle podnosi się z ziemi i rusza do arbitra:

– Spokojnie, panie sędzio, przypadek, nic się nie stało.

Za to go szanuję. Śmiałem się z niego, że nie umie grać w piłkę – raz w szatni zonglował piłką i po trzecim podbiciu stracił tackę z herbatą i poparzył kilku chłopaków. Ale wtedy, na Łazienkowskiej, zachował się fantastycznie.

Bijatyka w „Stylowej” skończyła się źle nie tylko dla mnie – dla kelnerek również. Kilka miesięcy później – w kwietniu 1979 roku – doszło do nieudanej próby wysadzenia pomnika Lenina. Masywna konstrukcja przetrwała dwa potężne wybuchy (Lenin zamiast przewrócić się, stracił piętę), ale prezes Jabłoński wykorzystał pretekst i... w ramach zemsty za złe potraktowanie mnie doprowadził do zwolnienia całej obsługi lokalu. Teoretycznie – ale przecież tylko teoretycznie – pracujące trzydzieści metrów od pomnika kelnerki mogły coś wiedzieć o planach eksplozji.

ROZDZIAŁ XIII

MECZE

Zanim zostałem zdyskwalifikowany, w sezonie 1978/79 zagrałem w jednym meczu, który szczególnie zapadł mi w pamięć. Jednocześnie jest to mecz, który stanowi dowód, jak porąbaną ekipę mieliśmy.

W Pucharze Polski podejmowaliśmy Pogoń Szczecin i w 48. minucie po dwóch moich golach prowadziliśmy już 2:0. Jakoś wkrótce po drugim trafieniu sędzia podyktował dla nas rzut karny, który oczywiście miałem zamiar wykonać – pojawiła się szansa na hat-tricka. Ku mojemu zdziwieniu piłkę przechwycił Zdzisiek Kapka.

- Zdzichu, daj mi strzelić, będę miał hat-tricka.
- Nie, ja słucham zaleceń trenera.
- Nie rób jaj, dawaj piłkę.
- Nie mogę, trener mnie wyznaczył.

I tu zaczyna się dialog niczym z podwórka, a ma przecież miejsce na boisku, podczas poważnego meczu w poważnych rozgrywkach. Rozmawiają dwaj reprezentanci kraju.

- To zobaczysz, że kurwa, nie strzelisz! – krzyczę wściekły.
- Tak? – nie może uwierzyć rozdrażniony „Kapa”. – A zakładasz się?!
- Zakładam się!

Zdzisiek ustawił piłkę, odmierzył kroki, podbiegł i... nie strzelił, a ja ucieszyłem się jak dzieciak, nawet bardziej niż bramkarz Pogoni. Był to jeden jedyny raz, gdy czułem ogromną satysfakcję, że mojemu koledze coś się nie udało, a Wisła nie strzeliła bramki. Od razu uspokajam – wygraliśmy to spotkanie 2:1.

Dwa pierwsze gole strzeliłem też wtedy w lidze, w meczu z Lechem. W poznańskim zespole grał wtedy Józek Szewczyk, wychowanek Wandy Kraków. Wyszło mi przeciwko niemu niesamowite zagranie. Później udało mi się je powtórzyć tylko raz w życiu, w Kolumbii. Generalnie jestem fanem wszelkich sztuczek, a tę akurat podpatrzyłem w 1977 roku u słynnego Brazylijczyka Rivelino. Polegała na tym, że gdy masz przeciwnika na plecach i dostajesz piłkę, wykonujesz lekki kop fałszem, ale ze wsteczną rotacją. Obrońca rusza do piłki, ty go puszczasz, tymczasem piłka przelatuje obok niego i wraca do ciebie.

Józka замуrowało:

– Andrzej, jak ty to zrobiłeś?!

Niestety, trick jest zabójczo trudny, dodatkowo należy wykonać go w określonych warunkach – na maksymalnie tępej, suchej trawie.

Sztuczki, ach te sztuczki...

Lubowałem się z zakładaniu kanałów, aż popadłem w przesadę i na boisku dawało się wyczuć, jakiego zagrania szukam. Jednak dzięki temu nawykowi zdobyłem najładniejszą bramkę w karierze – aż żałuję, że w meczu sparingowym (z Górnikiem Zabrze). Graliśmy praktycznie na lodzie, a nie na trawie, co dla akcji miało spore znaczenie. Pamiętam jak dziś: biegnę w stronę bramki, wpadam w pole karne i widzę przed sobą rozkraczonego obrońcę, a za nim rozkraczonego bramkarza. A co tam! Spróbuję!

Błyskawicznie posłałem mocną piłkę po ziemi – przeleciała najpierw między nogami obrońcy, a potem między nogami bramkarza stojącego dziesięć metrów dalej. Żaden z nich nie drgnął.

Moją mocną stroną były też strzały z woleja, gra klatką piersiową i głową. Klatką mogłem odegrać, gdzie chciałem, mogłem też skleić piłkę uderzoną przez kolegę z zamiarem zdobycia gola – kiedyś mi się to nawet udało na tyle, że zamiast kolegi, strzeliłem ja. A głową. Rozpaczałem, że ze mnie taki knypek. Gdybym miał 187 centymetrów, to w powietrzu nie miałbym sobie równych w Polsce, a może w Europie. Może. Na pewno! Głową grałem – wierzcie mi – arcydobrze. Miałem wszystko – timing, siłę, precyzję, wyczucie. Nabiegałem, jak trzeba, i waliłem, jak trzeba. Tylko ten wzrost – marniutki.

O zamiłowaniu do gry głową, klatką i do strzałów z woleja może sporo powiedzieć Andrzej Czyżniewski, bramkarz Bałtyku, któremu zawsze strzelałem piękne bramki. I było właśnie jedno spotkanie, w którym skompletowałem wspomniane elementy. Najpierw uderzyłem „Czyżykowi” z 20 metrów głową w samo okienko, a jakiś czas potem przyjąłem piłkę na klatkę piersiową i jednocześnie wystawiłem ją sobie do strzału nożycami. Zanim piłka upadła na ziemię, sieknąłem na bramkę – tę próbę niestety Czyżniewski w nadzwyczajny sposób wyłapał.

Przyglądający się temu z bliska „Kapa” z niedowierzaniem pokręcił głową i stwierdził, że nigdy w życiu czegoś podobnego nie widział.

To były nieliczne pozytywne momenty tamtego sezonu, a dla mnie – tamtej połówki sezonu. Wisła miewała dobre mecze, ale coraz częściej miewała niedobre. Sezon 1978/79 zakończyliśmy dopiero na trzynastym miejscu, a więc upadek mistrza Polski był bolesny. Lencyk miał problemy, by ściągnąć lejce wesołej ekipie, w efekcie został zwolniony i następne rozgrywki zaczęliśmy już z Lucjanem Franczakiem na ławce – byłym tancerzem baletu, uzdolnionym też głosowo. Nikt w historii Wisły nie potrafił tak śpiewać arii jak on.

Franczak pozwalał grać, bawić się piłką i za jego czasów prezentowaliśmy najbardziej efektowny futbol. W listopadzie 1979 rozegraliśmy najlepszy wiślacki mecz – najlepszy w dziejach, moim zdaniem. Rozgromiliśmy Lecha Poznań 5:1, chociaż mogło być wyżej, bo po 65 minutach prowadziliśmy 4:0. Byliśmy tego dnia nieosiągalni i niewykrywalni. A wychodziło nam nawet więcej niż to możliwe. Właśnie

w tym meczu popisałem się najlepszym zagranieniem w życiu – jednakże całkowicie przypadkiem. Ktoś posłał długą piłkę w moim kierunku, ale trochę niedokładną. Wskoczyłem z nogą wysoko uniesioną, aby przechwycić piłkę i w takim powietrznym wślizgu trafiłem ją podbiciem. Cały wic polegał na tym, że piłka – nie wiem czemu – praktycznie przykleiła mi się do stopy. Leciałem, leciałem, a świdrujący w powietrzu but jakby zassał futbolówkę. Takiego przyjęcia nie powtórzyłbym nigdy w życiu, chociażbym próbował przez kolejne dwadzieścia lat.

Dla odmiany w meczu z Górnikiem zanotowałem największy kiks. Miałem do pustej bramki ledwie kilka metrów i wystarczyło puknąć piłkę, a tymczasem jak przyłożyłem, to przez kolejne dwie sekundy zastanawiałem się: doleci do zegara czy nie?

W meczu z Odrą Opole odniosłem kontuzję, o której już wcześniej wspominałem – to ta kontuzja pozwoliła mi stać się lepszym piłkarzem.

Aż żałuję, że doznałem jej tak późno! W 20. minucie wyskoczyłem do piłki i lekko szturchnął mnie Wojtek Tyc. To wystarczyło, żebym źle spadł i coś chrupnęło w kostce. W przerwie specjalnie nie ściągałem buta, ponieważ byłem pewny, że jeśli go zdejmę, to już nie włożę z powrotem. Noga wręcz się z niego wylewała, puchnąc na wszystkie strony. Potraktowano mi ją chlorkiem i grałem dalej, a nawet... strzeliłem gola.

Po spotkaniu pojechałem na „znieczulanie” do Zdziśka Kapki i tak znieczulaliśmy całą noc. Jednak na drugi dzień bałem się, że efekt będzie tragiczny i... kontuzja skończy się amputacją. Noga nie przypominała nogi, tylko bezkształtny kawał mięcha. Granie przez 70 minut z rozerwaną torebką stawową i naderwanymi więzadłami nie było mądre, ale – już chyba wiecie – jeśli coś jest niemądre, to ja to właśnie robię.

Ostatecznie z nogą nie było jednak aż tak źle – wprawdzie wsadzono mi ją w gips i przepadł mi wyjazd z kadrą do Argentyny, ale po miesiącu mogłem wrócić na boisko. Żałowałem tej Argentyny, bo nie zmierzyłem się z rok ode mnie młodszym Diego Armando Maradoną.

To, że wróciłem, nie znaczyło, że byłem zdrowy. W tym właśnie rzecz – prawą nogą nie mogłem mocno kopać, strzały prostym podbiciem zdawały

się wykluczone, dlatego zacząłem walić lewą. Prawą kiwałem, podawałem, robiłem jakieś proste rzeczy, natomiast powoli stawałem się zawodnikiem z dominującą lewą nogą. Myślę, że gdyby nie to, gdybym nie stał się tak uniwersalny na skutek urazu, nie osiągnąłbym takiego poziomu.

Kontynuujemy rajd po spotkaniach godnych kilku zdań.

Ostatni mecz sezonu 1980/81 – ustawiony, ale bezgotówkowo. Nam remis dawał wicemistrzostwo, Górnik Zabrze o nic już nie walczył. Efekt tego porozumienia mógł być komiczny. Graliśmy spokojnie, w poprzek i do tyłu, na przetrzymanie wyniku 1:1. Już w doliczonym czasie gry piłkę miał Jasiu Adamczyk, nasz bramkarz. Sędzia wziął gwizdek do ust, ale nie zdążył zakończyć meczu – „Ciapek” wybił futbolówkę tak nieszczęśliwie, że trafił w odwróconego napastnika Górnika, Leszka Brzezińskiego.

Patrzyłem na to przerażony. Piłka po odbiciu się niechybnie wracała w stronę bramki, ale dla Adamczyka znajdowała się zbyt wysoko. Leciała łukiem wykluczającym skuteczną interwencję. Pozostało patrzeć: wpadnie czy nie? Gdyby wpadła – koniec meczu, 1:2, w tabeli pięć klubów miałyby po 36 punktów. Jakimś cudem piłka jednak spadła na poprzeczkę i ześlizgnęła się po niej za boisko. Uff.

W tamtych rozgrywkach długo mieliśmy szansę na mistrzostwo, ale wszystko zaważyło się na dwie kolejki przed końcem. Widzew – w samej końcówce spotkania z Motorem – dostał śmieszny rzut karny od sędziego i wygrał 2:1. Nawet w tamtych czasach – co było rzadkością – prasa pisała o kuriozalnej decyzji i kpiła z arbitra. My natomiast zaważyliśmy spotkanie w Mielcu – przegraliśmy 3:5, a hat-tricka przeciwko nam zanotował Henryk Janikowski, ojciec sławnego dwie dekady później Sebastiana. Ta porażka bolała niesłychanie, bo przecież nastąpiła zaraz po fantastycznym meczu z Widzewem – wygranym przez nas 3:2, po dwóch moich bramkach, w tym jednej – tej decydującej – na pięć minut przed końcem. Łodzianie prowadzili z nami do przerwy 2:1, ale w drugiej połowie nacieraliśmy z pasją i rozmachem – do dziś wspominam spotkanie z czerwca 1981 roku jako jedno z najlepszych (lepsze niż np. 6:3 z Widzewem rok wcześniej, kiedy po sześciu minutach było 3:0 dla nas). Graliśmy wówczas

najładniejszą piłkę w lidze i na trzy kolejki przed końcem zajmowaliśmy drugą lokatę z punktem straty do lidera.

Dopiero Mielec nas pogrzebał.

Kolejne mecze za kadencji Franczaka (sezon 1981/82), które wryły mi się w pamięć...

W Łodzi zremisowaliśmy z Widzewem 1:1 i w szatni prawie pobiłem się z Kazkiem Kmiecikiem. Wyszliśmy we dwóch na Młynarczyka, stałem na piątym metrze, przed pustą bramką. Kazek – jak już wcześniej pisałem – podawał tylko w ostateczności, ale – do cholery! – to była ostateczność. Zamiast mi zagrać, uderzył, a „Młynarz” obronił.

Z Gwardią Warszawa wygraliśmy u siebie 6:1. Jesienią w Warszawie było 2:2 i Darek Dziekanowski zrobił się bardzo butny – zapowiadał zwycięstwo w Krakowie.

– Na pewno was ogramy, na luzie – mówił mi.

– Wy? Minimum 3:0 dla nas. Minimum – powtarzałem.

– Zakład?

– Zakład. Że minimum trzema wygramy.

Mecz miał więc podwójną stawkę, bo trzeba było utemperować chłopaka. Strzeliłem pierwsze dwa gole, potem dołożył Kapka i dwa Michał Wróbel. Po 60 minutach – 5:0. Dziekanowski odpowiedział honorową bramką, ale Lipka jeszcze poprawił na szóstkę.

Darek przyszedł ze skwaszoną miną:

– Andrzejku, przeliczyłem się.

Jednego gola wbitego Gwardii pamiętam, jakbym strzelił go wczoraj – las nóg był gęsty na tyle, że trudno byłoby się precyzyjnie przeliczyć nawet piłeczkę tenisową. Tymczasem udało mi się znaleźć odpowiedni korytarz i poślana po ziemi piłka przeszła tuż obok nóg blokujących mnie obrońców i wpadła do siatki, niczym tocząca się kula bilardowa prosto do luzu.

To był w ogóle okres ładnych bramek, bo mniej więcej w tamtym czasie zabawiłem się też z defensywą Pogoni. Przekładałem piłkę tak długo, aż bramkarz Szczech wraz z jednym z obrońców wyslizgał całe pole karne. Robiłem zamach w lewo – leciał. W prawo – leciał. Zamiast strzelać, zatrzymywałem piłkę i beczelnie tyrałem go to na jedną, to na drugą

stronę. Aż w końcu zamachnąłem się po raz ostatni i gdy Szczech wybił się, uderzyłem dokładnie w to miejsce, w którym wcześniej stał.

Przepraszam, to było zuchwałe.

W tamtym sezonie – który kończył się opisanym wcześniej meczem ze Śląskiem Wrocław – nie chciałem zostać... królem strzelców. Pewnie w tym momencie kilka osób puka się w głowę i sędzi, że fantazjuję, ale to szczerza prawda. Na dwie kolejki przed końcem wbiłem gola numer 14 i... nie ucieszyłem się jakoś szczególnie. Postanowiłem nawet, że jeśli w dwóch następnych meczach stanę przed wyborem – uderzać na bramkę czy podawać, to będę podawał. Rywalizacja o koronę wydawała mi się wyjątkowo niepoważna, ponieważ ani jeden zawodnik w ekstraklasie nie zdobywał tylu bramek, ile powinien. Mam być królem strzelców z piętnastoma golami, skoro dwa sezony wcześniej Kazek Kmiecik strzelił dwadzieścia cztery? Uznałem triumf z tak marnym dorobkiem za wstydlivy i podjąłem decyzję, że jeśli nadarzy się okazja, aby wymigać się od nagrody, to się wymigam. Ostatecznie królem został Grzegorz Kapica z Szombierek Bytom – szesnaście trafień.

W czasie sezonu 1981/82 Franczaka zastąpił Wiesław Lenzion. Stało się to w okolicznościach, o które Franczak miał do Lenziona pretensje. W czasie jednej z narad z milicyjną wierchuszką, padły zdania, że „drużynę toczy wrzód”. Lenzion miał wstać i powiedzieć: „Ja bym ten wrzód natychmiast przeciął”.

Wszystkich trenerów z Wisły wspominam z sympatią – Brożyniaka, Lencyka, Franczaka, Lenziona, Durnioka i Zientarę. Najwięcej dał nam Brożyniak, najładniej graliśmy za Franczaka, mistrzostwo zdobyliśmy za Lencyka. Lenzion natomiast sprawiał wrażenie pociesznego.

Sporo wcześniej – kiedy ja byłem jeszcze szczawikiem, a Lenzion asystentem pierwszego trenera – kadra poleciała na zgrupowanie do Jugosławii. W tym samym miejscu na obozie przebywała też Wisła. Jak można było się domyślić, padło hasło – integracja. Wraz z resztą zawodników z reprezentacji poszliśmy do hotelu wiślaków. W pokoju siedział z nami trener Lenzion. Wpadł na pomysł:

– Słuchajcie, zróbmy tak. Ponieważ Krzyśka Budki jeszcze nie ma, to ja ukryję się toalecie, a wy polejecie mu alkohol. I jak już się napije, to go spytacie, co by zrobił, jakby nagle wszedł trener Lenzion. I ja wejdem! Zaskoczę go! Fajne?

No, fajne.

Lenzion schował się w kiblu i zza uchylonych drzwi obserwował, jak Budka wchodzi do pokoju, siada z nami, wreszcie bierze łyk alkoholu.

– Ty, „Dziunia”, a co byś zrobił, gdyby tu nagle wszedł trener Lenzion i zobaczył, że pijesz alkohol? – spytał Kazek Kmieciak.

„Dziunia” rozparł się w fotelu, przeciągnął i wreszcie spokojnie, z dozą pogardy w głosie odparł:

– Trener Lenzion to mi może zrobić faję.

Stojący za drzwiami toalety szkoleniowiec poczerwieniał i zawstydzony, upokorzony, z opuszczoną głową przemknął w kierunku wyjścia. Nie był mistrzem robienia dowcipów – mieliśmy kolejny tego przykład. Ilekroć chciał z kogoś zrobić jaja, obrywał rykoszetem.

Z Lenziona śmialiśmy się nie tylko my, śmiali się też kibice – a to dlatego, że nasz trener był... dzielnicowym na Azorach. W czasie meczów słychać było:

– Dzielnicowy! Dzielnicowy do ataku!

ROZDZIAŁ XIV

OKĘCIE

Afera w „Stylowej” sprawiła, że do reprezentacji Polski wróciłem dopiero w marcu 1980 roku, gdy trenerem był Ryszard Kulesza (wprawdzie wcześniej powołał mnie na spotkanie ze Szwajcarią, ale wtedy nie wszedłem nawet na sekundę). Wspominam tego trenera z wielką sympatią i mam wrażenie, że pod jego wodzą w 1982 roku reprezentacja osiągnęłaby co najmniej tyle samo, co prowadzona przez Antoniego Piechniczka. Co najmniej.

Niestety, wszystko rozwaliła afera na Okęciu.

Z Kuleszą było śmiesznie, spokojnie, komfortowo – był to jeden z tych trenerów, który chętnie oddawał władzę, jeśli widział, że drużyna bez niego funkcjonuje odpowiednio dobrze. Starał się więc nie zwracać uwagi Bońkowi, bojąc się kontry, a i przed daniem wskazówek pozostałym piłkarzom miał pewne opory. Ktoś zapytał: „Co to w takim razie za trener?”. Otóż był to człowiek budujący atmosferę, dzięki której chciało się na zgrupowania przyjeżdżać i chciało się później grać. Nie dawał nam, jako szkoleniowiec, dodatkowego impulsu, ale miałem wrażenie – być może mylnie – że wcale tego impulsu nie potrzebowaliśmy. Po prostu zbierał faktycznie najlepszych piłkarzy i dbał, by się wzajemnie lubili. To niby mało? Kiedy wiele lat później selekcjonerem został Wojciech Łazarek, to

miałem tak serdecznie dość patrzenia na jego gębę, że aż poszedłem do znajomego lekarza i poprosiłem:

– Zapakuj mi nogę w gips!

– Ale przecież jesteś zdrowy.

– Wiem, ale potrzebuję gipsu. Nie chcę jechać na zgrupowanie. Nienawidzę Łazarka.

Za czasów Kuleszy – i chyba tylko za jego czasów – przyjeżdżałem z przyjemnością. Jeśli nam, piłkarzom, nie odpowiadała taktyka, którą nakreślił, to nie było problemu – po prostu ją zmienialiśmy. Przypomina mi się mecz z listopada 1980 roku, kiedy po raz pierwszy w historii (i jak dotąd – jedyny) ograliśmy reprezentację Hiszpanii. Rzecz działa się na stadionie w Barcelonie, a mnie już w pierwszej połowie udało się strzelić na 1:0. W przerwie meczu Kulesza zarządził głęboki odwrót i grę rozważną, jeśli się da, to z kontrataku – ale to dopiero w sprzyjających okolicznościach i raczej rzadko. Już w tunelu Boniek ogłosił swoją koncepcję:

– Gramy inaczej, atakujemy. Wygrywamy z Hiszpanią na wyjeździe. Wiecie, co to znaczy? Wygrać tutaj z Hiszpanią, to jest coś! Dlatego po prostu strzelmy im kolejnego gola. Stać nas na to. Zaatakujmy!

Drużyna zaczęła nabierać wiary. Starsi piłkarze podchwycili słowa Zbyszka i przekrzykiwali się:

– Wcale nie są tacy mocni! Zaatakujmy. Nie z takimi wygrywaliśmy.

Zamiast więc się cofać, dalej graliśmy otwarty mecz, na własnych warunkach. Niestety, w samej końcówce straciliśmy gola na 1:1.

Czy nas to podłamało? Nie. Zaatakowaliśmy raz jeszcze i wbiliśmy bramkę na 2:1, znowu po moim uderzeniu. Dzień później hiszpańska prasa informowała: „Czterech piłkarzy ograło Hiszpanię – Boniek, Iwan, Skrobowski i Młynarczyk”.

Kulesza o grę wbrew zaleceniom nie miał pretensji, w ogóle nigdy nie miał pretensji. Tkwi mi przed oczami (a raczej w uszach) odprawa przygotowująca nas do spotkania z Belgią. Trener stał przed nami i swoim dobrotliwym, niemal przeproszającym, cienkim głosem tłumaczył:

– Oni myślą, że my się na nich rzucimy. Ale nie, my będziemy sprytniejsi. My się cofniemy do obrony i kiedy oni zdziwieni podejną pod

nasze pole karne, wtedy ich skontruujemy!

– Ożeż ty, kurwa, strategu pierdolony – odezwał się nagle głos z tyłu.

Obejrzałem się, a tam czerwony Władek Żmuda – wielki milczek, który jednak kiedy coś już powiedział, to powiedział; głos miał tubalny i szeptać nie potrafił. Chciał mruknąć pod nosem, tylko do siebie, ale nie wyszło – jego słowa rozniosły się po całej salce, wprawiając Kuleszę w lekkie (ale tylko lekkie!) zakłopotanie.

Sporo z tamtych lat pamiętam – na przykład pierwszy mecz pod wodzą Kuleszy, z Węgrami. To wtedy zaczął się mój niepokój związany z lataniem i chyba wtedy Józek Młynarczyk uznał, że na trzeźwo latać nie będzie już nigdy. 14 marca 1980 w okolicach Okęcia rozbił się wracający z Nowego Jorku samolot linii lotniczych LOT „Mikołaj Kopernik”, na którego pokładzie podróżowała między innymi Anna Jantar. Niecałe dwa tygodnie później właśnie z Okęcia odlatywaliśmy do Budapesztu. Warunki fatalne – dzień był mglisty, wietrzny i nieprzyjemny. Ledwo unieśliśmy się z pasa startowego, jakby oderwanie kół było nadmiernym wysiłkiem dla silników maszyny, a później w powietrzu trzepały nami tak wielkie turbulencje, że w myślach żegnałem się z życiem. Każdy kolejny wstrząs przygotowywał mnie na to, że podzielimy los nieszczęsnych pasażerów „Mikołaja Kopernika”. Szczęśliwe lądowanie uznałem za cud i drugą szansę.

Zastanawiałem się po czasie: czy „Młynarz” puściłby taką szmatę na Węgrzech, gdyby nie feralny lot? Chodził rozdygotany, ale czy miało to wpływ na tak złą interwencję? Czy... jedno Okęcie można połączyć z drugim? Na trzeźwo nikt już latać nie chciał.

No właśnie.

Afera na Okęciu, grudzień 1980 roku. Nikt do tej pory nie napisał prawdy – dlaczego stało się to, co się stało i dlaczego czterech piłkarzy zostało zdyskwalifikowanych, a trener Kulesza wyrzucony?

Jak to zwykle bywa – przez kobietę.

Dziennikarz Wojtek Zieliński, dziś już niestety świętej pamięci, ożenił się z kobietą z przeszłością. A pisząc bez ceregieli – z prostytutką, znaną na mieście, wśród piłkarzy również. Niestety, pewnego dnia zwiła mu do

Włoch i kontakt się urwał. Wojtek szalał z zazdrości, niepokoił się, koniecznie chciał swoją żonę wyśledzić, a w tamtych czasach nie było to proste – nie mógł przecież tak po prostu wsiąść w samolot i polecieć do Włoch. Wtedy – w grudniu 1980 roku – ubzdurał sobie, że jest blisko – na tropie! Miesiąc wcześniej Widzew Łódź grał w 1/16 Pucharu UEFA z Juventusem w Turynie i już sam ten fakt wystarczył Wojtkowi, by przypuszczać, że niektórzy zawodnicy mogą coś o jego wybrance wiedzieć. Może chciała się z nimi spotkać? Było to możliwe – znała ich, a oni znali ją. Zieliński usiadł z Józkiem Młynarczykiem na krawężniku przed hotelem i wypytywał:

– Spotkaliście się? A kto ją spotkał? Na pewno coś słyszałeś.

I polewał, wierząc, że Józek coś wie, tylko nie chce powiedzieć. Alkohol miał rozwiązać mu język, zadziałać jak serum prawdy.

– Proszę cię, powiedz, co wiesz.

– Wojtek, nic nie wiem.

– Wiesz! Ja wiem, że wiesz! No, jeszcze po jednym.

Józek, niestety, nie miał pojęcia, co się z żoną Wojtka dzieje, ale zanim zdołał to stanowczo stwierdzić, był już całkiem uchłany. Z Zielińskim czy bez niego, i tak przed lotem by się napił, ale sędzę, że o kilka łyków wcześniej powiedziałby sobie „dość”.

Prawdopodobnie afery w ogóle by nie było, gdyby nie. Staszek Terlecki – co jest paradoksem, bo to właśnie on na skutek powstałego zamieszania nigdy już w reprezentacji nie zagrał. Sęk w tym, że na lotnisku nietrzeźwych stawiało się wielu piłkarzy – w tym ja, oczywiście – chociaż Młynarczyk nawalony był zapewne w stopniu najbardziej zauważalnym. Wystarczyło zaledwie poprosić dziennikarzy: „Nie filmujcie Józka, pił cały wieczór z Wojtkiem Zielińskim”.

Terlecki, zamiast zareagować w ten sposób (skoro już koniecznie chciał reagować), zaczął skakać po lotnisku jak oparzony i wrywać dziennikarzom kable. Zamiast ich uspokoić – tylko rozsierdził. Darł się:

– Nie filmujcie! Nie filmujcie!

Narobił takiego rabanu, że sprawy pod dywan już się zamieść nie dało. Oczy wszystkich zwrócone były na Staszka. Nie filmujcie? Ale kogo?

Pijanego? A kto jest pijany? Młynarczyk? Naprawdę?

Na Malte – przez Rzym, gdzie mieliśmy spotkanie z Janem Pawłem II – polecieliśmy w komplecie. Liczyliśmy, że wizyta u Ojca Świętego pozwoli zapomnieć o całej sprawie, ale nic takiego nie nastąpiło. Od meczu z Malta odsunięty został Młynarczyk oraz ci, którzy najgłośniejszą się za nim wstawiali – czyli Boniek, Żmuda i Terlecki.

Po powrocie do Polski zdyskwalifikowano ich, a Ryszarda Kuleszę zwolniono.

Tak kończył się dla mnie rok 1980 – najlepszy w reprezentacyjnej karierze. Zdobyłem wtedy aż dziewięć goli, co dało mi tytuł najlepszego strzelca reprezentacji europejskich, dzięki czemu Jupp Derwall kilka miesięcy później powołał mnie do kadry Europy na mecz z Czechami (PZPN, może bojąc się o to, że narobię wstydu, zamiast mnie wysłał Bońka – rozważna decyzja). Trzy trafienia zaliczyłem w spotkaniu z Kolumbią, po dwa z Hiszpanią i Algierią, po jednym z Boliwią i Irakiem. Kto wie, może żałoby tak dalej, gdyby Kulesza utrzymał posadę.

A wszystko przez żonę Zielińskiego. Niespełna dwa lata później Budka Suflera nuciła przebój:

*Nie wierz nigdy kobiecie,
dobrą radę ci dam...*

ROZDZIAŁ XV

PIECHNICZEK

Cóż to była za udręka – Piechniczek. Nie lubiłem go, jeszcze zanim się poznaliśmy. Macie tak czasami, prawda? Oceniacie kogoś z dystansu, nawet nie musicie podchodzić. Wiecie, czy jest z waszej bajki, czy nadajecie na tych samych falach i czy to jest facet, z którym chcielibyście znaleźć się w jednym przedziale pociągu relacji Rzeszów–Szczecin. Ja bym pociągnął za hamulec awaryjny i poszedł piechotą.

Antoni Piechniczek nie spełniał ani jednego warunku, byśmy mogli znaleźć wspólny język. Wszystkie sygnały, które wysyłał, były sprzeczne z moimi. Kiedy został selekjonerem, powiedziałem tylko:

– O kurwa.

Miałem awersję do apodyktycznych trenerów.

Grać dla Piechniczka nie chciałem do tego stopnia, że gdy powołał mnie po raz pierwszy, poinformowałem, że z powodu kłopotów rodzinnych nie przyjadę. On się jednak uparł, że mam stawić się chociaż na kilka dni i – niestety – nic do gadania nie miałem. Wtedy zrozumiałem, że zamiast opowiadać o nieistniejących kłopotach, lepiej pakować nogę w gips. Pod gips nikt nie zajrzy, z gipsem na trening nie zagoni, gipsu nikt nie zbagatelizuje.

Wykańczały mnie zgrupowania – fizycznie i psychicznie. Zimą dwa obozy organizował klub i dwa obozy kadra. Nie było nawet kiedy przepakować walizki. Krew mnie zalewała na myśl o chodzeniu po górach, a zimowe zgrupowania reprezentacji właśnie na tym głównie polegały – na zdobywaniu okolicznych szczytów. W dodatku Piechniczek był tak poważny, taki seriozny, że wiało od niego chłodem bardziej niż na tych pieprzonych wierzchołkach Beskidów. Nie uśmiechał się nigdy i czasami zastanawiałem się, czy w ogóle w jego twarzy wykształciły się mięśnie odpowiedzialne za mimikę. Atmosfera była tym gorsza, że brakowało nam chłopaków z Okęcia, a czuliśmy, że kara na nich nałożona nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością.

Pierwszy mecz Piechniczka był taki, jaki był on sam i jakie były jego zgrupowania – smutny. W Rumunii, gdzie syf był jeszcze większy niż w Polsce, przegraliśmy 0:2. Na myśl o kadrze chciało mi się rzygać. Kiedy stawałem na boisku i grano hymn, byłem w siódmym niebie, ale to był jedyny moment uniesienia. Samą informację, że zostałem powołany, przyjmowałem niezmiennie z odrazą i późniejszymi mdłościami.

Czas tylko pogłębiał odruchy wymiotne. Za Piechniczka mieliśmy między innymi zgrupowanie we Francji w okolicach Auxerre. Była to totalna prowizorka, bo na mecz jechaliśmy do Brestu, oddalonego o 800 kilometrów. W autokarze można było znieść jajko. Piechniczek dalej się nie uśmiechał – ale wtedy akurat mu się nie dziwiłem, bo wkurwieni byli wszyscy, więc uśmiech na jego twarzy w takim momencie potraktowałbym jako dowód ewidentnej i ciężkiej choroby psychicznej, a to zmusiłoby mnie do salwowania się ucieczką.

Na swoje nieszczęście – byłem w formie. Zastanawiałem się, jak się z kadry wymigać, a trener wlewał mi truciznę do ucha:

– Liczę, że pomożesz mi wygrać te eliminacje.

Eliminacje to wielkie słowo – w grupie były raptem trzy drużyny: Polska, NRD i Malta. Chodziło więc o to, by jak najwięcej goli nastrzelać Malcie, o ile z NRD zanotuje się zwycięstwo u siebie i porażkę na wyjeździe. Poszło jednak lepiej, niż sądziliśmy: Szwabom dokopaliśmy

dwa razy – 1:0 w Chorzowie i 3:2 w Lipsku. We wszystkich czterech spotkaniach – chcąc nie chcąc – rozegrałem 327 minut na 360 możliwych.

Zgrupowanie kadry było też w lecie, nawet jebanego sylwestra Piechniczek musiał zorganizować wspólnie z piłkarzami. Nie chciał dać ani jednego dnia wolnego, byśmy nie musieli patrzeć na jego smutną facjatę.

Tyle spraw mnie wtedy irytowało. Zgrupowania, nadęcie, chłodna atmosfera, brak chłopaków z Okęcia, a do tego głupie powołania – bo moim zdaniem nie powoływano wtedy najlepszych piłkarzy, nie wszyscy mieli równe szanse. Janek Tomaszewski za czasów Piechniczka – po meczu z NRD – skończył reprezentacyjną karierę. Już w szatni ogłosił, że więcej nie chce być wzywany. Leszek Lipka, kumpel z Wisły, został bez powodu skreślony, pod górkę mieli Dziekanowski czy Okoński, czyli piłkarze technicznie bajeczni. Tymczasem spotykałem na kadrze zawodników słabych – np. Tadka Dolnego z Górnika Zabrze. Głową potrafił zagrać na 60 metrów, ale w piłkę gra się głównie nogami, czego robić nie potrafił. Pan z brzuszkiem. Kiedyś, dużo wcześniej oczywiście, przyjechałem na kadrę juniorów i to było moje pierwsze centralne zgrupowanie. W Poznaniu witałem się z chłopakami po raz pierwszy w życiu, podawałem im rękę. Mówiłem:

– Andrzej jestem, Andrzej, Andrzej, witam, Andrzej. – Aż doszedłem do Dolnego: – Dzień dobry, panie kierowniku!

Nie żartowałem – naprawdę sądziłem, że to działacz. Miałem wtedy 15 lat, on 16, a już wyglądał na podstarzałego.

Za kadencji Piechniczka, jeszcze przed finałami mistrzostw świata w 1982 roku i przed wybuchem stanu wojennego, jeden mecz miał szczególną historię. W październiku 1981 roku raz jedyny w historii pokonaliśmy aktualnych mistrzów świata na ich terenie – poleciliśmy do Argentyny, gdzie w Buenos Aires po golach Buncola i Bońka wygraliśmy 2:1. Nie to jest jednak ciekawe (choć to też!) – ciekawe są okoliczności, w jakich szukaliśmy kogokolwiek, kto stanie w bramce.

Powołanych zostało dwóch golkiperów: Młynarczyk i Kazimierski, natomiast Mowlik miał stanowić zabezpieczenie na wypadek, gdyby

któremuś z kolegów coś się stało. Całej tej trójce wystawiono wizy i żadne podmiarki na ostatnią chwilę nie wchodziły w grę.

Nikt jednak nie przewidział, że z całej trójki nie będzie mógł lecieć ani jeden. Kazimierski odpadł z powodu kontuzji, a Mowlík, który miał go zastąpić – z przyczyn rodzinnych. Został tylko „Młynarz”. Teoretycznie nie powinien to być żaden kłopot, ale w praktyce w dniu odlotu sytuacja zrobiła się dramatyczna – Józka nie ma! Do Łodzi została wysłana specjalna grupa z Warszawy, która w czasie strajków pacyfikowała szkołę pożarnictwa. Rozkaz był jasny – znaleźć Młynarczyka. Ugasić pożar! Kto go ostatni widział? No właśnie, nikt. Gdy mecz ligowy się skończył, „Młynarz” zapadł się pod ziemię. Agenci chodzili po całej Łodzi i pytali:

– Gdzie on jest?

Łazili po znajomych, po rodzinie.

– Czy był u pana Józef Młynarczyk?

– Nie widziałem go, odkąd mecz się skończył.

– Wie pan, gdzie możemy go znaleźć?

– Sam się znajdzie, jak to on.

– Ale my musimy już!

– Już to się nie da, panowie.

Jakoś się jednak dało.

Odnalezienie go nikomu humorów nie poprawiło. Józek nie tyle schował się, co raczej... zapijał ból. W meczu Widzewa doznał otwartego złamania palca, o czym jednak nikomu nie powiedział, tylko zamelinował się i pił, żeby chociaż trochę przestało go boleć. Gdybym nie widział tego na własne oczy, tobym nie uwierzył: Młynarczyk ze złamanym kikutem zamiast do lekarza przywleczony został na zgrupowanie kadry. Zalany w trupa. Niemal nieświadomego przeprowadzono przez kontrolę graniczną, a potem zapakowano w samolot rejsowy.

No to pięknie! Lecimy na mecz z mistrzami świata z jednym tylko bramkarzem – pijanym i ze złamanym palcem. Palec zabandażowano i usztywniono, ale – do cholery – ciągle był złamany! Ten facet kwalifikował się do szpitala, a tymczasem siedział obok mnie w samolocie i albo wył z bólu, albo bełkotał.

– O kurwa, o kurwa, jak boli, jak boli, o chuj, jak boli.

– Napij się może?

– Yyyyyyyyy. Eeeeeee – mamrotał pół godziny później, o ile nie usnął.

Na pokładzie trwały zabiegi, by postawić Józka na nogi. Niestety, w miarę znośnie czuł się jedynie w stanie silnego upojenia. Ilekroć alkohol puszczał, zaczynał zwijać się i wydawać jęki. Ratowanie sytuacji zastrzykami niewiele dawało, ponieważ wódka osłabiała ich działanie.

– Co z nim robimy? – zastanawialiśmy się w czasie lotu.

– Na razie musi pić.

Młynarczyk był więc odpowiednio podlewany, dopiero na miejscu powoli zaczęto odstawiać mu alkohol i stosować coraz więcej środków przeciwbólowych. Musieliśmy go pilnować, by sobie nie gołnął. Mimo wszystko, jeśli już ma stanąć w meczu z Argentyną z otwartym złamaniem palca, to woleliśmy, żeby był względnie trzeźwy – nawet gdyby miało go kurewsko boleć. Powiedzieliśmy też sobie, że będziemy robić wszystko, by przeciwników nie dopuszczać do strzałów, ale podobne założenia miewa się przed każdym meczem. A tutaj, jak na złość, przeciwnik był najlepszy z najlepszych. Mistrz świata.

Nie będę tej opowieści przedłużał – wygraliśmy 2:1, a Józek kilka piłek obronił, gola nie zaważył, złapał, co miał złapać! Takich twardzieli w piłce już nie ma. Dzisiaj po złamaniu paznokcia zawodnicy upadają na wypielegnowaną trawkę i rozpaczliwie machają w stronę ławki: „Pomocy, pomocy, lekarza! Złamałem paznokcie!”. Na szczęście, paznokcie łamią sobie rzadko – dba o to... manicurzystka.

Niedługo po powrocie z Argentyny – 13 grudnia 1981 roku – ogłoszono w Polsce stan wojenny. Jako kadra pojechaliśmy na tradycyjne zgrupowanie do Wisły, gdzie Piechniczek miał dom i gdzie widocznie musiał napalić w kominku. Zastanawialiśmy się – co dalej? Jak będą wyglądały przygotowania do mistrzostw świata i czy w ogóle w mistrzostwach wystąpimy? My, zawodnicy z klubów resortowych, dodatkowo stresowaliśmy się możliwością powołania do milicji lub wojska. Brano bokserów i judoków. Piłkarzy na szczęście oszczędzono. Ktoś uznał,

że nie nadajemy się nawet do pilnowania obiektów partyjnych. Niemniej to był ten moment, kiedy dziękowałem Bogu: „Jak dobrze, że nie postarałem się o etat w MO!”.

W przeszłości z mieszkania Krzyśka Budki obserwowaliśmy pałowania w Nowej Hucie. Taką mieliśmy rozrywkę: „Patrz, jak się leją! A patrz tam! Ja cię! Ale mu przywalił!”. Siedzieliśmy z nosami wciśniętymi w zimną szybę i analizowaliśmy uliczne starcia. W 1981 roku podobne widoki już nas tak bardzo nie bawiły.

Zastanawiam się teraz, czy któryś z nas, piłkarzy reprezentacji, był antykomunistą – takim prawdziwym, zadeklarowanym. Przypominam sobie... jednego – Staszka Terleckiego. Jego ojciec był bodajże historykiem i opozycjonistą, co zaszczerpił rodzinie. Staszek mieszał się więc w jakieś ruchy studenckie. No i – co istotne – od zawsze miał coś z głową. Zdawało mi się, że patrzył na wszystkich wokół i myślał sobie: „Co za kretyni!”. Natomiast wszyscy inni patrzyli w tym samym czasie na niego i mówili: „Co za kretyn!”. Był więc kolosalny rozdźwięk między tym, jak samego siebie postrzegał Terlecki i jak postrzegali go inni. W 1980 roku poleciliśmy na tournée do Brazylii, gdzie był z nami pułkownik Henryk Celak z komendy MO. Autokar gdzieś na chwilę się zatrzymał, wysiedliśmy na papierosa, a Staszek zerwał dwa duże liście i przyłożył sobie do głowy w ten sposób, że wyglądał jak osioł z wielkimi uszami, po czym zwrócił się do Celaka:

– Taki jest model dzisiejszego milicjanta!

Zastanawiałem się, czy to jeszcze odwaga, czy już głupota. Pozostali zawodnicy do walki z komuną zbyt wyrywni nie byli. Tak jak władza była łasa na sukcesy piłkarzy, tak piłkarze – i sportowcy ogólnie – łasi byli na pochwały władzy. Przy odpowiednich chodach wszystko mogłeś załatwić. Samochód był wtedy marzeniem wielu osób, ale czekało się na niego latami – o ile w ogóle było na co czekać. Na zgrupowaniach reprezentacji wystarczyło jednak pójść do Henryka Loski, o czym się kiedyś przekonałem. Siedziałem w jego pokoju, by załatwić formalności związane z jakimś wyjazdem, gdy nagle w drzwiach zaczęli stawać starsi zawodnicy:

– Panie Heniu, mogę ten talon prosić?

A pan Heniu otwierał szufladę, gdzie talonów miał gruby plik i którymi prawdopodobnie w pojedynkę dałby radę zaparkować na Placu Defilad w Warszawie.

Jeśli więc któryś z piłkarzy stwierdzi, że walczył wtedy z komuną, to powiem:

– Ty hipokryto! Walczyłeś, a z kieszeni wypadały ci talony na auta.

W czasie stanu wojennego nie mogliśmy rozgrywać meczów międzypaństwowych, dlatego mierzyliśmy się jedynie z drużynami klubowymi. W Niemczech – gdy wracaliśmy z treningu – obsługa hotelowa zostawiała nam w pokojach prezenty – siatki z kosmetykami, proszki do prania, owoce. Innym razem dawano nam bony o wartości 150 marek, które wykorzystać mogliśmy w miejscowym domu towarowym. Kapitałiści kusili przedstawicieli bloku wschodniego: „Patrzcie, jakie mamy luksusy, zostańcie! Uciekajcie z Polski! Mówcie wszystkim, że komuna jest zła i że zaraz upadnie!”.

Wiosną 1982 roku do mistrzostw szykowaliśmy się we Włoszech, gdzie zagraliśmy z reprezentacją Mediolanu, złożoną z zawodników Interu i Milanu, a także z Romą. Mediolan ograliśmy 2:1, natomiast z Romą wynik był remisowy – 2:2. Później w Hiszpanii wygraliśmy z Athletikiem Bilbao i Celtą Vigo. Na San Mamés, stadionie w Bilbao, pierwszy raz poczuliśmy atmosferę mundialu. Nasz hotel oddalony był od tego obiektu zaledwie o dwieście metrów, dlatego poszliśmy piechotą: zwyczajnie, między ludźmi, czując wszystkie spojrzenia i słysząc śpiewy.

Czerwiec 1982 roku. Nastął czas mistrzostw. Tak naprawdę, w ogóle nie powinno mnie tam być.

W marcu w meczu ligowym doznałem kontuzji mięśnia dwugłowego. Czas mijał, a mięsień cały czas bolał, coraz bardziej i bardziej. Ilekroć przyjeżdżałem na zgrupowanie reprezentacji, informowałem trenera:

– Nie mogę grać.

– Andrzejku, spokojnie, wszystko jest dobrze. – To była jedyna odpowiedź. Zamiast wolnego, dawano mi zastrzyk przeciwbólowy i puszczano na boisko.

Grałem jedną nogą i w miejscu. Działo się jednak coś dziwnego i niewytłumaczalnego, ponieważ niemal w każdym sparingu strzelałem gole. Mówiłem Piechniczкови:

– Jestem kulawy, już nie mogę, boli mnie!

A on na to:

– Jak nie możesz, skoro strzelasz gole?

I znowu zastryk.

Trenowałem nawet nie na pół gwizdka, nie robiłem żadnych sprintów, w czasie meczów powinienem być cieniem samego siebie, ale... wychodziły mi rzeczy, które nie wychodziły innym. Przyjmowałem trudną piłkę na klatkę i waliłem z woleja. Gol! Wszystko siedziało, bez wysilania się. Im mniej chciałem, tym lepiej szło.

Piechniczek zacierał ręce.

Oczywiście chciałem jechać na te mistrzostwa – z przyczyn prestiżowych, a także finansowych, bo to była jedna z niewielu okazji, by zarobić dolary. Niemniej wiedziałem, że coś jest ze mną nie tak.

O ile w lidze mogłem to zakamuflować, o tyle czułem, że tutaj zacząłem balansować na linie. Selekcjoner chyba myślał, że zmyślam i migam się od ciężkiej pracy, a dodatkowo w tych podejrzeniach umocniły go badania wydolnościowe – tylko że one polegały na jeżdżeniu na rowerku stacjonarnym, do czego mięsień dwugłowy nie za bardzo był mi potrzebny. Wydolnościowo wypadłem świetnie.

Sprawa była jasna – będę miał miejsce w podstawowym składzie reprezentacji. To tylko kwestia liczby zastryków. Jeśli nie dam rady zagrać po jednym, to zagram po dwóch. Jak nie po dwóch, to po trzech.

Z Włochami w pierwszym meczu fazy grupowej mistrzostw świata zremisowaliśmy 0:0. Wystąpiłem w pierwszej jedenastce i grałem do 70. minuty, kiedy poczułem niepokojące ukłucie w mięśniu. Poprosiłem o zmianę. Piechniczek chłodno rzucił:

– Na Kamerun masz być zdrowy!

– Trenerze, nie będę zdrowy. Boli mnie, blokuje, coś jest z moją nogą bardzo nie w porządku.

– Doktor cię zbada, będziesz w porządku.

Doktor Janusz Garlicki nie zarządził żadnego badania USG, jedynie dotknął mnie, obmacał i wydał diagnozę:

– Nic tu, Andrzejku, nie ma. Możesz ewentualnie coś czuć od rwy kulszowej. Dostaniesz witaminy!

Istny dom wariatów.

W drugim meczu mistrzostw, z Kamerunem, zaraz na początku – w 5. minucie – usłyszałem coś jak huk, jakby ktoś strzelał z wiatrówki, może był to dźwięk podobny do trasku łamanej gałęzi. Popatrzyłem w stronę trybun, sądząc, że to stamtąd doszedł dziwny odgłos i... w tym momencie upadłem bezwładnie na ziemię, a następnie moje ciało przeszył potworny ból. Wiedziałem już, że źródła trasku nie muszę szukać wśród kibiców na trybunach, ale we własnej nodze – to był mięsień dwugłowy. Zerwał się nie przy przyczepie, ale na środku, co oznacza, że zrywał się sukcesywnie przez kilka miesięcy – miliony włókien pękały jedno po drugim – aż w końcu trzymał się na drobnej wiązce włókienek. Od marca powinienem się leczyć, zamiast tego eksploatowano mój organizm ponad miarę. Było pewne, że mięsień będzie nadrywał się i nadrywał, aż w końcu strzeli. Ale liczone, że zanim strzeli mięsień, to wcześniej kilka goli strzeli Andrzejek. A potem – chuj z nim! Dlatego dajmy mu zastrzyk przeciwbólowy!

Skurwysyny.

Zniesiono mnie do szatni, gdzie – nie słysząc żadnych odgłosów z trybun (ha, może dlatego, że nic się nie działo) – leżałem pozostawiony sam sobie. Aż do końca meczu. Leżałem, gapiałem się w sufit, a ból uniemożliwiał nawet przekręcenie się na drugi bok. W jednej minucie stałem się niepotrzebnym kawałkiem gówna. Nie przysługiwał mi nawet doktor. Kulawego konia chociaż by zastrzelili. Na mnie szkoda było kul. Noszowi pyrgnęli mnie w jakimś kącie, otrzepali ręce – i już. Radź sobie sam, człowieku.

Mówiłem sobie w myślach:

– Niech się mecz skończy, wtedy się mną zaopiekują. Ktoś przyjdzie.

Naiwne to było z mojej strony, bardzo naiwne. Nikt nie zabrał mnie do szpitala, nikt mi się nie przyjrzał. Zapakowano mnie wraz z resztą piłkarzy do autokaru i zawieziono do hotelu. Garlicki – zde gustowany faktem, że nie

partycypuje w premiach meczowych – nie miał głowy do leczenia kogokolwiek, o czym boleśnie (oj, bardzo boleśnie!) przekonał się też Janek Jałocha. On z kolei w 26. minucie meczu z Peru dostał piłką w jaja tak mocno, że... na sześć kawałków pękło mu jądro. Teraz to on leżał w szatni, sam jak palec i on został zawieszony do hotelu, gdzie miał radzić sobie w pojedynkę.

Janek snuł się korytarzami niczym upiór, blady jak ściana, skręcało go z bólu przy każdym, nawet najbardziej rozważnym ruchu. Mówił lekarzowi, że sika krwią, a lekarz na to:

- Przejdzie! Witaminki weźmiesz i przejdzie!
- Panie doktorze, zawieźcie nas do szpitala.
- Najbliższy jest w Barcelonie.
- To przecież niedaleko.
- 50 kilometrów.
- To przecież niedaleko!!! – krzychałem bezsilnie.
- 50 kilometrów.
- Ja pierdolę, niedaleko! Chodzić nie mogę, Janek sika krwią!
- Mogę wam dać witaminki.

Krew w moczu mogła oznaczać, że pojawił się poważny problem z nerką, ale Garlicki nawet nie kiwnął palcem. Piechniczek – też nie. Nie interesowali go ludzie niezdolni do występu.

Mecz z Peru, kiedy Jankowi pękło jądro, odbywał się 22 czerwca, natomiast finał mistrzostw świata – 11 lipca. Sami więc policzcie, ile nieprzespanych z bólu nocy zaliczył ten chłopak, zanim przyleciał do Polski, gdzie przeszedł operację zszycia jądra. Pomyślcie, ile razy w myślach musiał przeklinać trenera i lekarza.

Pomyśleliście?

No to ja przeklinałem o kilka dni dłużej.

Cała moja sportowa kariera zawisała na włosku. W Hiszpanii nikt nie zainteresował się tą kontuzją, podobnie jak kontuzją Janka i złamaną nogą Piotрка Skrobowskiego (on ze złamaną nogą na mistrzostwa pojechał, ale nie dawano mu wiary i mówiono, że ból ustąpi). Nikomu nie przyszło do głowy, by obejrzał moją nogę prawdziwy lekarz w prawdziwej klinice.

Mało tego – czułem się jak pasożyt, który nie wiadomo czemu w ogóle się w tej Hiszpanii znalazł i nie wiadomo czemu je posiłki przysługujące zawodnikom. Zbierałem nienawistne spojrzenia trenera – czyżby ten matoł dalej sądził, że symuluję?!

Chyba tak.

Garlicki opowiadał mediom, że... na mecz z ZSRR będę gotowy, natomiast Piechniczek nakazał wyjść na trening. W nodze miałem dziurę, w którą mieściła się pięść, a Piechniczek kazał wyjść na trening! „Jak nie będzie ci coś pasowało, to zejdziesz” – mówił, a ja mu chciałem wrzasnąć, że już mi, kurwa, nie pasuje, bo zostałem inwalidą!

Do Polski wróciłem blisko miesiąc po zerwaniu mięśnia. Jak się okazało – operacja była konieczna, ale w ciągu. 72 godzin od trzasku. Żaden z chirurgów nie chciał podjąć się operacji i żaden nie dawał mi szans na powrót do sportu. Jeździłem po całym kraju – Warszawa, Lublin – prosząc kolejnych specjalistów, by poświęcili mi trochę czasu. Ktoś wreszcie polecił Piekary Śląskie. Dopiero tam wyznaczono termin zabiegu.

Teraz trzymajcie się mocno.

W Piekarach podchodzę do recepcji. Siedzący tam mężczyzna najwyraźniej mnie poznał.

– A pan do niego? – rozchmurzył się.

– Tak, do niego – odpowiadam, sądząc, że zaprowadzi mnie do lekarza, który miał mnie tego dnia pokroić.

– No to proszę za mną. Taka historia, taka historia.

Wchodzimy do salki. Na samym jej środku, na metalowym łóżku leży. Waldemar Matysik. Oczy ma otwarte, ale jakby niczego nie widział. Gapi się w sufit. Włosy rozczochrane i sterczące, niby przesyte prądem pod wysokim napięciem, twarz wykrzywiona dziwnym grymasem, ręka zapakowana w gips. Mówię do niego, ale nie reaguje.

Waldek? Waldek! Przypomina roślinkę lub też nieboszczyka, któremu jednak nikt nie powiedział, że nieboszczyki nie oddychają. Matysik z tymi wybałuszonymi gałkami sprawia przerażające wrażenie.

„Lot nad kukułczym gniazdem”.

Zwariował.

Waldek – kolega z reprezentacji – w meczu o trzecie miejsce z Francją był tak wycieńczony, że w przerwie musiał opuścić boisko. Odwodniony organizm zareagował drastycznie: chłopak doznał poplątania zmysłów i teraz leżał przede mną w rozpaczliwym stanie. Cały czas się zastanawiałem – to jakiś żart? Przecież wracaliśmy z mundialu razem i jeszcze wtedy wszystko było w porządku. To ja byłem tym chorym, nie on!

Ale to nie żart. Waldek zwariował, a rękę miał w gipsie, ponieważ godzinę wcześniej wyskoczył ze szpitalnego okna. Dopadła go psychoza, mająca związek z pogrózkami, które otrzymywał jeszcze przed mistrzostwami.

Rok czasu nie grał w piłkę, zmiany w głowie cofały się bardzo powoli i jeszcze długo zachowywał się nienormalnie. Na tyle nienormalnie, że ludzie przed nim uciekali, bali się, w najlepszym razie woleli ignorować. Nikt w towarzystwie Matysika nie czuł się komfortowo. Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś zagramy razem. Ale zagraliśmy – kilka lat później w Górniku. Różnieliśmy w karty i w myślach pytałem sam siebie: „Czy to możliwe, że on się wylizał? On, ta roślinka z Piekar Śląskich? Człowiek, który resztkę sił spożytkował na to, by rzucić się przez okno na asfaltowy chodnik?”.

Był kolejną ofiarą mistrzostw.

Kiedy po mundialu Piechniczek dyskutował sławę i przemierzał Śląsk, pozdrawiając z okien wdzięcznych mu ludzi, ja przez 50 dni leżałem w szpitalu. Pierwsze 25 dni non stop na plecach, z nogą włożoną w specjalną szynę. Sikałem przez cewnik i srałem pod siebie. Czytasz to, Antek? Srałem pod siebie, bo ty nie reagowałeś, gdy mówiłem, że jestem kontuzjowany. Srałem pod siebie, bo ty wolałeś, bym wziął „blokadę” i strzelił gola, zanim wyląduję w szpitalnym łóżku.

Wylądowałem.

Dumny?

Oczywiście miałeś to gdzieś. W prasie powiedziałaś, że odwiedziłaś mnie w szpitalu. Ciekawe! Akurat chyba musiałem gdzieś wyjść. Ale zaraz, zaraz. Przecież nie mogłem. Przecież nie byłem w stanie!

Umarł mój teść i nawet nie byłem na pogrzebie. Koledzy z Wisły zajechali do szpitala, wracając z meczu ligowego, przywieźli też moją żonę, która – mimo upału – stawiała się cała w czerni.

– A nie gorąco ci? – spytałem.

– Tata umarł – odpowiedziała.

– To dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Bo byś wyszedł ze szpitala na pogrzeb i nigdy byś się nie wyleczył. Musisz być zdrowy, Andrzejku.

Jesień straciłem, do gry wróciłem wiosną. Miałem chyba mocny organizm, ponieważ kontuzja goiła się... jak na psie. Warunkiem chirurga było, żeby moją rehabilitację przeprowadził doktor Wielkoszyński, który dokładnie rozpisał wszystkie ćwiczenia. Jako życiowy lekkoduch oczywiście ani jednego nie wykonałem, o czym – jasna sprawa – Wielkoszyńskiego wolałem nie informować. Tymczasem on zachwycał się:

– Cóż za postępy! Ależ sumiennie pracujesz!

A ja nawet na tę kartkę od niego nie spojrzałem.

Miałem żal do Piechniczka, wszyscy trzej mieliśmy – ja, Jałocha i Skrobowski. Potraktował nas jak piłkarzy jednorazowego użytku – nadających się tylko na śmietnik w momencie, gdy już niczego nie mogą dać z siebie na boisku. Gdybym go wtedy spotkał, wsadziłbym mu ten medal głęboko w gardło – żeby się nim udławił. Dosłownie. Tak bardzo chciał być nowym Górskim, tak bardzo pragnął krążka – wcisnąłbym mu więc go w przełyk i niech charczy.

ROZDZIAŁ XVI

MEDAL

Po drugim meczu mistrzostwa świata w Hiszpanii oglądałem z perspektywy trybun lub... basenu, nad którym łaskawie pozwolono mi się wylegiwać. Byłem jednak cały czas z chłopakami, słuchałem odpraw, wiedziałem, co się dzieje, i chociaż lat minęło już trzydzieści, co nieco pamiętam. Raz nawet odegrałem sporą rolę i miałem wpływ na skład podstawowej jedenastki – gdy kariera reprezentacyjna Młynarczyka stanęła pod znakiem zapytania. Ale po kolei...

W pierwszym meczu, z Włochami – remis 0:0. W porządku. W drugim, z Kamerunem – remis 0:0. To już nie było w porządku. Dochodziły do nas plotki, że jeszcze w czasie turnieju – przed decydującym spotkaniem z Peru – dojdzie do zmiany trenera i Piechniczka zastąpi Zientara. O ile Piechniczka nie lubiłem, a Zientarę tak, o tyle – jak wszyscy – odbierałem tego typu zakusy jako zamach na drużynę – tym bardziej, że działacze wspominali też o odsunięciu niepokornego wobec nich Bońka, co już nie miało prawa spotkać się z czyjąkolwiek akceptacją.

To był zespół „Piechnika” i jako trener miał prawo poprowadzić go do samego końca – czy to ku klęsce, czy ku sukcesowi. On decydował, kto ma grać i jeśli stawiał na Bońka – miał prawo. Kiedy w meczu z Peru

„Murzyn” strzelił gola, pobiegł w stronę trybuny zajmowanej przez polskich notabli i pokazał im: „Taki chuj!”. Wynik 5:1 przesądzał, że w czasie mistrzostw nikt na krzeselko Piechniczka nie wskoczy i że Bońka nikt z podstawowego składu nie ruszy.

Z dzisiejszej perspektywy jestem gotów przyznać, że moja kontuzja mogła wyjść zespołowi na dobre. Prawdopodobnie grałbym – mimo niesprawności – w każdym meczu w podstawowym składzie, blokując z przodu miejsce Zbyszkowi. Kiedy jednak wypadłem, właśnie on przesunięty został wyżej, co okazało się strzałem w dziesiątkę. Myślę, że sam Boniek zaproponował taką zmianę Piechniczekowi. Trener prowadził bardzo długie odprawy – trochę gorsze niż Gmoch, moim zdaniem sztampowe i nudnawe, nie potrafił tak jak Gmoch modulować głosu – ale wcześniej spędzał godziny na indywidualnych rozmowach z zawodnikami. Zdaje mi się, chociaż rozmowy były w cztery oczy, że Zbyszek umiejętnie manipulował Piechniczkiem, dyskretnie podsuwając mu pewne rozwiązania, do innych nachalnie go przekonując. Charyzmie Bońka – już wtedy sprzedanego do Juventusu Turyn – mało kto mógł się oprzeć, a selekcjonera do tego wąskiego grona raczej bym nie zaliczył. Kiedy więc dziś „Murzyn” mówi, że tak naprawdę kadre prowadził Piechniczek, ja sadzę, że czaruje – w rzeczywistości Piechniczek, chociaż może całkiem nieświadomie, realizował pomysły podsuwane mu w czasie tych indywidualnych pogadań. Inspirację mógł czerpać tylko od Bońka – asystentów wybrał nienarzucających się, łagodnie ujmując, czyli Benia Blauta i Bogusława Hajdasa. Ten drugi, chociaż sympatyczny, znany był z jednego – niebywałego słuchu, co wykorzystywał przy podsłuchiwaniu.

Z Belgią znowu wygraliśmy – 3:0, po trzech bramkach Zbyszka. Śmiałem się w duchu, ponieważ przy pierwszej Janusz Kupcewicz chciał strzelać, ale piłka przelała mu się na zewnętrzne podbicie i zamiast strzału wyszedł doskonały przerzut do Buncola – ten zgrał głową do Bońka, a Boniek trafił. Gdyby Kupcewicz wiedział, jak akcja się zakończy, pewnie w ogóle nie zdecydowałby się na jakiegokolwiek zagranie. Nie stanowiło wielkiej tajemnicy, że „Murzyna” nie lubił i że czuł się zazdrosny. Był zaledwie trzy miesiące starszy od Zbyszka i jeszcze w juniorach cieszył się

znacznie lepszą opinią. To Kupcewicza uznawano za największy talent, to on miał stać na czele nowej generacji. Tymczasem role się odwróciły i w czasie mistrzostw Janusz sprawiał wrażenie trochę obrażonego, nie do końca pogodzonego ze swoją pozycją – gorszą, niż zakładał.

4 lipca Polska grała z ZSRR. Tu zaczyna się tajemnica mundialu – historia, której jak dotąd nikt nie opowiedział.

Organizacja naszego pobytu w Hiszpanii od początku szwankowała. Na pierwsze treningi – w La Coruñi – musieliśmy wchodzić przez płot. Prawdziwe problemy zaczęły się po przeprowadzce w okolice Barcelony. Tam niestety obiekt nie posiadał klimatyzacji, co owego upalnego lata stanowiło istną zmołę. Piłkarze całymi nocami wiercili się z boku na bok, nie mogąc usnąć chociaż na sekundę. Owijali się mokrymi prześcieradłami, ale i to niewiele dawało: po kilku minutach prześcieradło schło i przestawało chłodzić. Trudno się było zdecydować – czy lepiej okno zamknąć, czy otworzyć? I tak źle, i tak niedobrze. Człowiek czuł się lepki i brudny. Gdziekolwiek słychać było bzyczenie much.

Jeszcze w Porto Cobo (obok La Coruñi) z Józkiem Młynarczykiem zaczęliśmy grać w karty, ale to było tylko wstępem do partii, którym oddawaliśmy się w dusznych pokojach w Barcelonie. Graliśmy cały dzień i całą noc. A potem znowu – cały dzień i całą noc. Mnie było wszystko jedno – ze względu na kontuzję albo wylegiwałem się na basenie, albo popijałem whisky wraz z masażystami oraz innymi wyautowanymi zawodnikami, albo właśnie – jak wtedy – rąbałem w pokera.

„Młynarz” miał zacięcie do kart. Niestety, łatwiej przychodziło mu do nich usiąść, niż później wstać. Początkowo graliśmy tylko w wolnych chwilach, a potem – cały czas.

– Sto dolarów – licytowałem, widząc, że w rękach układał mi się strit.

– Sto pięćdziesiąt! – stanowczo przebił Józek i z nerwów zaciągnął się papierosem.

– Dwieście – podbiłem raz jeszcze.

– Sprawdzam! Co masz, „Groźny”?

– Strita.

– Kurwa, a ja trójkę...

I tak rozdanie po rozdaniu, Młynarczyk tracił pieniądze. Im więcej ich tracił, tym dłużej chciał grać. Im dłużej grał, tym bardziej się wkrecał. Zaczęliśmy ciąć jeszcze przed meczem z Peru, natomiast między spotkaniami z Peru a Belgią i zwłaszcza później między Belgią i ZSRR karty pochłonęły nas totalnie. Kiedy w nocy zamiast spać, Józek chciał rozdawać, trochę się zdziwiłem. Gdy następnego dnia zamiast iść na trening, ciągle licytował – byłem zdziwiony podwójnie. Ale w sumie, nie moja sprawa. Co mnie obchodzi, czy Młynarczyk trenuje, czy nie? Niech się dla odmiany Kazimierski i Mowlik trochę wykażą.

Drużyna trenowała, my graliśmy dalej.

Józek nie brał pod uwagę zakończenia partii, dopóki się nie odkuje. Ale z każdym rozdaniem oddalał się od celu. Kiedy następnego dnia znowu nie pojawił się na treningu, przyszedł do naszego pokoju zaniepokojony Piechniczek.

– Józek... – zagadał nieśmiało do swojego pupilka.

– Spierdalaj stąd!!! – wydarł się na całe gardło „Młynarz”, jednoznacznie dając do zrozumienia, że priorytety się trochę zmieniły: poker ważniejszy od piłki nożnej.

Piechniczek uszanował prośbę i spierdolił. Bezszelestnie.

Jeśli piłkarz bez usprawiedliwienia opuszcza jedną jednostkę treningową – dochodzi do skandalu, często zakończonego usunięciem z zespołu. W czasie tak wielkich turniejów podobne sytuacje nie mieszczą się w głowie. Przed zbliżającym się meczem ze Związkiem Radzieckim Młynarczyk nie trenował już dwa dni i miał dość kiepskie alibi. Na pytanie, co robił, mógł odpowiedzieć tylko w jeden sposób: „Razem z «Groźnym» graliśmy w karty, piliśmy alkohol i paliliśmy papierosy...”. W przypływie szczerości powinien też dodać: „Spaliśmy tylko wtedy, kiedy zmorzyła nas szkocka”.

1 lipca – na trzy dni przed spotkaniem ze Związkiem Radzieckim – zrozumiałem, że żarty się skończyły. Popielniczka, w której pety przestawały się mieścić, stanowiła dowód, jak długo już gramy.

Młynarczyk od dwóch dni nie trenował, prawie nie spał, tylko grał. Czasami strzelił krótką drzemkę, ale wystarczył drobny szmer, by zerwał się na równe nogi. Wtedy otwierał zmęczone, zaczerwienione oczy i warczał: „Potasuj!”. Kiedy ja już prosiłem o przerwę, nie chciał słuchać: „Rozdajemy!”. Nie będę udawał – pasowało mi to. Nie mogłem grać w piłkę, to chociaż pograłem w karty. Czas mijał szybciej i noga bolała jakby troszeczkę mniej.

W czasie jednego z posiłków trener poprosił mnie:

– Powiedz, żeby przestał.

Odparłem:

– Pana nie słucha, a mnie posłucha?

Próbowałem jednak wpłynąć na kolegę z pokoju.

– Józek, wiesz przecież, że masz mecz.

– Pierdolę to, nie gram. A teraz rozdawaj!

Mistrzostwa świata w piłce nożnej stały się dla Józka sprawą drugorzędną – znacznie bardziej interesowała go rozgrywka ze mną. Żyłka hazardzisty nie pozwalała Józkowi skoncentrować myśli na futbolu, widział tylko asy, dziesiątki i walety, układające się w układy: trójki, strity, karety. Widział też zeszyt, w którym zapisywaliśmy aktualny bilans – nie był dla niego korzystny.

Młynarczyk to był (to jest!) facet z krwi i kości – ulegał wszystkim męskim rozrywkom i to na sto procent. Kiedy grał w piłkę, to nawet ze złamanym palcem – a i tak bronił najlepiej. Kiedy oddawał się innym uciechom, nie upilnowałaby go nawet najlepsza ochrona (co zresztą miało miejsce w czasie tamtych mistrzostw: Józek, aby wymknąć się z obstawionego stróżami hotelu pod Barceloną, wyskoczył z okna, wpadł w krzaki i mocno się podrapał, ale do miasta dotarł). Gdy siadał do kart, czas nie miał znaczenia.

W końcu zdecydowałem: muszę po prostu szybko przegrać, co wygrałem, ponieważ w przeciwnym razie Józek nie zagra z ZSRR, a wtedy narobi kłopotów sobie i drużynie. Jeśli przegramy, na kogo będzie? Na „Młynarza” i na mnie. Powiedzą: „Iwan rozprowadził bramkarza, nie ma dla niego powrotu do kadry”. A dla Młynarczyka – recydywa po Okęciu,

nigdy więcej nie zostanie powołany. Dlatego rozdanie po rozdaniu, konsekwentnie, zacząłem moczyć.

– Dwieście dolarów! – zaczynałem.

– Czteryście!!!

– Sprawdzam.

– Co masz, „Groźny”?!

– Parę czwórek.

– Ja mam parę dziesiątek!

Musiałem przegrywać w sposób niezbyt ostentacyjny, ponieważ w przeciwnym razie „Młynarz” – człowiek honorowy – był skłonny obrazić się na dobre. Bóg jeden wie, co by mu wówczas strzeliło do głowy. Na szczęście odrabianie strat pochłonęło go tak bardzo, że niczego nie spostrzegł i zdołał wyjść niemal na zero (zachowałem sobie 900 dolarów). Wtedy, usatysfakcjonowany, z wyraźną ulgą poszedł się przespać, by następnego dnia wyjść na trening, a 4 lipca o godzinie 21.15 stanąć w bramce reprezentacji Polski. Oczywiście nie puścił gola, dzięki czemu Polska awansowała do półfinału mistrzostw świata kosztem znienawidzonych Rusków.

Wolałem już Młynarczykowi gry nie proponować.

W półfinale niestety przegraliśmy z Włochami 0:2, po dwóch bramkach Paolo Rossiego – włoskiego snajpera wyborowego, który turniej zakończył z sześcioma golami, jako król strzelców. Rossi miał w ogóle w mundialu nie grać, ale w ostatniej chwili skrócono mu dwuletnią dyskwalifikację przyznaną po aferze „Czarnego Totka” – na nasze nieszczęście. Ten zadziorny, sprawny, zawzięty brunet nie grzeszył warunkami fizycznymi, ale i tak przepychał się z obrońcami i niejednokrotnie wygrywał z nimi walkę o pozycję. Pierwszą bramkę wbił nam nogą, po dośrodkowaniu z rzutu wolnego, a drugą głową, po wspaniałym podaniu Bruno Contiego.

Byliśmy dużo gorsi i wynik 2:0 dla Italii należało przyjąć ze spokojem. Nikt jednak nie wie, czy spotkanie potoczyłoby się tak samo, gdyby na dwie minuty przed końcem meczu z ZSRR żółtej kartki nie otrzymał Boniek. Niestety, przeciwko Włochom nie mógł wystąpić, a mocnego

zastępcy na ławce nie mieliśmy. Piechniczek puścił na boisko Włodzimierza Ciołka, by w przerwie się z tej decyzji wycofać i delegować na murawę Andrzeja Pałasa. Ani Ciołek, ani Pałasz nie byli w stanie dać zespołowi zbyt wiele. Pałasz – zdaniem reszty drużyny – w ogóle na mistrzostwach nie powinien się znaleźć, ponieważ po prostu nie był wystarczająco dobry i nie zasługiwał na powołanie. To był poziom ligowca, dobrego ligowca, ale nic więcej. Gdybyśmy zamiast niego mieli Mirosława Okońskiego – to co innego. „Piechnik” jednak Okońskiego nie cierpiał.

W drugim półfinale Niemcy toczyli pasjonującą walkę z Francją. W 17. minucie Littbarski trafił na 1:0, mocnym, plasowanym strzałem zza pola karnego, zaskakując bramkarza, który jeszcze nie pozbierał się po poprzedniej interwencji. W 26. minucie z rzutu karnego wyrównał Michel Platini. Emocje sięgnęły zenitu, gdy w 60. minucie niemiecki bramkarz, Harald Schumacher, bestialsko zaatakował Patricka Battistona – wybił mu zęby i doprowadził do poważnych uszkodzeń głowy. Lekarze jeszcze na boisku podali zawodnikowi tlen.

Wynik 1:1 utrzymał się do końca regulaminowego czasu gry, co oznaczało dodatkowe 30 minut. Nikt jeszcze nie wiedział, że czeka nas prawdopodobnie najbardziej emocjonująca dogrywka w historii futbolu. W ciągu ośmiu minut, po dwóch magicznych golach, Francuzi wyszli na prowadzenie 3:1 i telewizorze na całym świecie byli już pewni: „Trójkolorowi” w finale. Jednakże pewnie już tamtego dnia Gary’emu Linekerowi kielkowała w głowie myśl, którą wypowiedział lata później: „Piłka nożna to taka gra, w której za piłką biega dwudziestu dwóch mężczyzn, a na koniec wygrywają Niemcy”. Genialna definicja futbolu sprawdziła się 8 lipca na stadionie w Sewilli. W 102. minucie dogrywki na 2:3 uderzył Rummenigge, a w 108. zawodnik, na którego natknę się sześć lat później w VfL Bochum – Klaus Fischer. Remis 3:3 oznaczał rzuty karne, w których 5:4 zwyciężyli Niemcy.

Jak sądzę, to spotkanie miało ogromny wpływ na to, że dwa dni później Polska w meczu o trzecie miejsce wygrała z Francją 3:2 – z Francją, która po horrorze z Sewilli nie zdołała się psychicznie odbudować i przeciwko nam wystawiła rezerwy. Ci najważniejsi zawodnicy – z Platinim na czele –

w myślach szykowali się do wielkiego finału, a nie do walki z Polską o najniższy stopień podium. Nie twierdzę, że w normalnych okolicznościach nie wygralibyśmy z tym rywalem, ale jest dla mnie jasne, że mieliśmy przeciwko sobie zespół psychicznie zdewastowany i mocno przetrzebiony. Cieszyłem się, gdy jedną z bramek strzelił Andrzej Szarmach. Podobnie jak w 1978 roku znowu musiał coś udowodnić. Znowu grał przeciwko trenerowi, a nie dla niego.

Trzecie miejsce – za które przypadał srebrny medal (za drugie był srebrny pozłacany) – było bez wątpienia olbrzymim sukcesem. Nie zmienia to faktu, że Piechniczek wciąż – jak mi się zdaje – czuje kompleks Kazimierza Górskiego. Ma żal, iż mówi się o „Orłach Górskiego”, a nie o „Orłach Piechniczka”. Kiedyś nawet próbował stworzyć konkurencję oldboyom pana Kazia i założył Polską Kadre Gwiazd, ale szybko został spacyfikowany przez niektórych zawodników. Dla mnie wyższość zespołu Górskiego, którego byłem tylko kibicem, nad zespołem Piechniczka, w którym z kolei grałem, nie podlegała dyskusji. Nie ten styl, nie ta klasa, nie ten poziom.

W tym miejscu muszę dodać ważną adnotację. Dzisiaj bardzo cieszę się, że byłem członkiem medalowej ekipy; mecz ze Związkiem Radzieckim – w tamtych dniach, w czasie trwania stanu wojennego, przy powiewających na trybunach flagach „Solidarności” – to historia naszego futbolu. Do dziś przed oczami mam tłumy witające nas po turnieju – ta drużyna, drużyna Antoniego Piechniczka, dała ogromną radość całej Polsce i zasłużyła na wielkie uznanie. Mam mnóstwo szacunku dla kolegów, którzy ten sukces wyszarpali. Mimo wszystko, zauważyliście pewnie, że opisuję ten mundial bez euforii, nawet bez entuzjazmu, a wręcz z goryczą. Starłem się oddać słowami, co wtedy czułem ja – młody chłopak, któremu z powodu kontuzji świat się zawalił i który chciał być gwiazdą mundialu, ale nie mógł nią zostać. Prawda jest taka, że wtedy nie odczuwałem żadnej radości. Odczuwałem ból w nodze. I odczuwałem wściekłość na trenera.

Teraz mi przeszło. Szkoda, że te historyczne mecze śledziłem w takim markotnym nastroju.

ROZDZIAŁ XVII

REPREZENTANCI

Różni byli trenerzy reprezentacji i różni byli też piłkarze. O niektórych z nich napisałem już sporo wcześniej – jak chociażby o Bońku – więc nie będę się powtarzał. W tym rozdziale postaram się podzielić kilkoma spostrzeżeniami dotyczącymi najważniejszych zawodników, których spotkałem w kadrze – od roku 1978, przez 1982, aż do końca kariery – a którym nie poświęciłem dość miejsca w poprzednich rozdziałach.

Legendą polskiego futbolu stał się **Kazimierz Deyna**. Chudy, patykowany piłkarz o wspaniałej wizji gry, boiskowej inteligencji i specyficznej, rzadko spotykanej charyzmie. „Kaka” nie musiał niczego mówić, by i tak go... słuchano. Mógł się nie odzywać całymi dniami, ale było jasne, że kiedy wreszcie zabierze głos – wszyscy inni powinni zamilknąć. Są zawodnicy, którzy pozycję w drużynie zdobywają krzykiem, inni wzmacniają się dzięki docinaniu, jeszcze inni starają się mieć zdanie na każdy temat. Deyna najchętniej milczał.

Można było z nim porozmawiać twarzą w twarz, ale w gronie kilku osób starał się unikać jakichkolwiek dyskusji. Czasami wystarczyło, że spojrzał,

a już było wiadomo, że zrobiłeś coś, co nie spotkało się z jego akceptacją.

Jeszcze zanim trafiłem do kadry, będąc ligowym nowicjuszem, w meczu Wisły z Legią założyłem mu siatkę i pobiegłem dalej. Kiedy po chwili wracałem w kierunku własnej bramki, Kazek spokojnie popatrzył mi w oczy i pogroził palcem. Przekaz był jasny – więcej tak nie rób, bo nie wypada. Nie wypada puszczać Deynie piłki między nogami. Gówniarskie popisy. Raz jeden zrobiło mi się na boisku głupio z powodu udanego przecież dryblingu.

Deyna dzielił pokój z Władkiem Żmudą, innym milczkiem. Śmialiśmy się z tego, żartowaliśmy, że w czasie zgrupowania mówią do siebie „Cześć!” na samym początku i „No to cześć!” na końcu. Niemniej słowa nie były im potrzebne, by się świetnie rozumieć.

Żał mi się zrobiło „Kaki” w Argentynie, po niewykorzystanym rzucie karnym. I znowu nie musiał nic mówić – wystarczyło popatrzeć mu w oczy, by wiedzieć, jak bardzo jest zdruzgotany. Z Polski zaczęły docierać informacje, co dzieje się w wielu miastach – gdzie na murach wypisywano wrogie Deynie napisy, obrażano go, grożono. Nikomu się nie żalił, ale wszyscy wiedzieliśmy, że to koniec i że więcej w reprezentacji Polski nie zagra. Cała jego kariera była pełna tęsknoty za powszechną akceptacją. I ilekroć zdawało mu się, że swój cel osiągnął, spotykały go zachowania haniebne. A to gwizdy na Stadionie Śląskim, gdy strzelił Portugalii gola prosto z rzutu różnego, a to ataki po mistrzostwach w 1978 roku. Tak wiele zrobił dla polskiej piłki, a mimo to kochała go jedynie Warszawa. Może uosabiał cechy, które przypisywano Legii? Był bardzo dobry, ale też jakby trochę niedostępny, noszący głowę wysoko i dumnie.

Wielkim oryginałem był i jest **Jan Tomaszewski**, bramkarz absolutnie wybitny. Osoby, które dawnych czasów nie pamiętają lub nie chcą pamiętać, czasami odbierają mu zasługi. Mówią: „On miał tylko jeden udany mecz w karierze, z Anglią na Wembley!”. A to przecież piramidalna bzdura. Z Anglią broniał momentami niesamowicie, ale też bardzo

szczęśliwie – kilka razy źle się zachował, źle obliczył lot piłki, jednak za każdym razem udawało mu się odkręcić wszystko na swoją korzyść. Wtedy był jeszcze jakby trochę chaotyczny, nadpobudliwy, ale już w czasie mistrzostw świata w 1974 była od niego wielka klasa.

Lubił upokarzać napastników. W czasie treningów strzeleckich udawał, że już schodzi z bramki, a lecącą piłkę odbijał, odwracając się i zmierzając w stronę słupka, od niechcienia i niby przypadkiem. Inne uderzenia przyjmował na klatkę piersiową, szelmowsko uśmiechając się pod nosem.

– Tak chcesz mi strzelić? Za lekko!

Sam strzelał wspaniale – często po treningach brał piłkę i katował innego golkipera, kierując uderzenie dokładnie w to miejsce, w które chciał. Znał tricki, które często okazywały się zbyt trudne dla zawodników z pola, np. fantastycznie strzelał krzyżakiem, co mnie zawsze sprawiało problemy. Tomaszewski ćwiczył refleks, grając w pingponga, oczywiście na pieniądze. Najchętniej podpuszczał redaktora Ciszewskiego, który – jako hazardzista – nie potrafił racjonalnie oszacować swoich szans i zawsze podejmował wyzwanie. „Tomek” dawał mu fory, np. prowadzenie piętnastoma punktami, ale potem i tak z łatwością wygrywał, bo przecież Ciszewski nie miał jednej nogi i wystarczyło zagrać mu trochę do boku, by nie miał szans przemieścić się na czas.

Sympatyczny i uśmiechnięty facet, w dodatku na poziomie. Zanim po raz pierwszy powołano mnie do kadry, strzeliłem mu pięknego gola. Było to w ósmej kolejce sezonu 1977/78. Trwała wspaniała seria spotkań Wisły bez porażki, ale wydawało się, że... passa właśnie się kończy. W 88. minucie spotkania z ŁKS-em przegrywaliśmy 0:1. Wtedy z niezwykle ostrego kąta uderzyłem lewą nogą, a piłka poleciała zdumiewającą trajektorią i wpadła dokładnie tam, gdzie chciałem. Gdy chwilę później sędzia zakończył mecz, Tomaszewski – ten wielki Tomaszewski, którego popisy z wypiekami na twarzy oglądałem przez lata – podszedł do mnie i powiedział:

– Naprawdę pięknie mi strzeliłeś. Gratuluję. W ogóle się nie spodziewałem takiego uderzenia.

Ja, młody szczawik, pękałem z dumy – nie dość, że pokonałem owianego legendą bramkarza, to jeszcze on mnie objął i skomplementował. Chciałem

się rozejrzeć, czy wszyscy kibice to widzą!

Przypomniała mi się ta scena, gdy wiele lat później jako piłkarz Górnika Zabrze wygrałem mecz z Jagiellonią w Białymstoku. Tomaszewski bawił się wtedy w dziennikarza i zaprosił mnie do pomeczowej rozmowy.

– Z łatwością dzisiaj wygraliście – powiedział.

– Bo dzisiaj już nie ma takich bramkarzy jak ty! – zachichotałem.

Tomaszewskiego określiłbym mianem... towarzyskiego indywidualisty. Sam sobie był sterem, okrętem i żeglarzem, aczkolwiek w towarzystwie czuł się komfortowo i nie stronił od kontaktu z innymi. Należał do każdej grupy i... równocześnie nie należał do żadnej. Miał jeden popisowy numer, którym potrafił rozbroić zespół. Nie wiem dokładnie, jak to robił, ale nieprawdopodobnie szybko liczył palce, gdy graliśmy w marynarza. A graliśmy często – aby wytypować tego, kto ma zapłacić rachunek w knajpie. „Tomkowi” wystarczyła sekunda i już wiedział, ile palców sam ma pokazać, tak żeby płacić musiał najbardziej skąpy spośród nas wszystkich – Antek Szymanowski.

Śmieję się z tego do dziś. Jak graliśmy w marynarza z Tomaszewskim, zawsze płacił Antek. Bez wyjątków. Nie to, że płacił czasami, albo że raz na tydzień padło na kogoś innego. Zawsze, po prostu zawsze po portfel musiał sięgnąć Szymanowski, co skutkowało całym przedstawieniem: wściekał się, mamrotał, narzekał, każdym mięśniem twarzy okazywał, jak bardzo takie rozstrzygnięcie nie jest mu na rękę. A Janek zaśmiewał się do rozpuku.

Wszystko robił szybko. Kiedy kończył się trening, inni jeszcze nie zdążyli otrzeć potu z czoła, on już wchodził do szatni. Gdy wracaliśmy, otrzepując korki z błota i trawy, on już wychodził spod prysznic i zaczynał się ubierać. Nie tracił czasu. Pędził też po polskich drogach – kiedy przyjeżdżał na zgrupowanie kadry, specjalnie nie zabierał się wraz z innymi zawodnikami z Łodzi, tylko samemu siadał za kółkiem i wciskał pedał gazu do samej podłogi.

Gmochowi wbijał wykałaczki w kajzerki, natomiast z kadry Piechniczka wypisał się dość szybko – kiedy zrozumiał, że zakochany w Młynarczyku trener nie ma zamiaru traktować go z właściwą estymą.

Na mistrzostwa w 1978 roku pojechało jeszcze dwóch bramkarzy – **Zygmunt Kukła** i **Zdzisław Kostrzewa**. Niestety, życie obu nie potoczyło się szczęśliwie. Kukła zachorował na raka krtani, dziś z ledwością się porusza i mówi. Był innym bramkarzem niż „Tomek”, świetnym, ale troszkę flegmatycznym. Dzięki nawykom z piłki ręcznej, potrafił błyskawicznie zareagować w bramce, by po chwili znowu sprawiać wrażenie znudzonego i powolnego. Trzeci bramkarz, Zdzisław Kostrzewa, zginął tragicznie. W Australii, gdzie pracował, wciągnęła go maszyna i poszatkowała jak mięso na tatar.

Spośród wszystkich zawodników spoza Krakowa najbliższym trzymałem się z innym bramkarzem, **Józefem Młynarczykiem**. Sporo już o nim napisałem – czy to przy okazji meczu z Argentyną (złamany palec), czy z racji afery na Okęciu, czy to relacjonując naszą grę w karty. Nie chciałbym jednak, by Józek został sprowadzony do roli wiecznego balangowicza, pociągającego whisky z za pazuchy. Przede wszystkim – był to kapitalny bramkarz, lepszy nawet od Tomaszewskiego. Przewyższał „Tomka” grą na przedpolu i błyskawicznym wprowadzeniem piłki do gry. W latach osiemdziesiątych był to numer popisowy Widzewa – „Młynarz” wybiegał nawet na czternasty metr, gdzie łapał piłkę, a następnie wyrzucał ją daleko, aż do Smolarka, rozpoczynając w ten sposób zabójczy kontratak. Wyrzut miał piękny, z za głowy aż do pełnego wyprostowania ręki – jakby ciskał oszczepem.

Jest między nami aż sześć lat różnicy, lecz mimo to poznaliśmy się w czasie wspólnych wyjazdów z reprezentacją młodzieżową – a to dlatego, że przepisy pozwalały wtedy także na grę zawodnika spoza limitu wiekowego. Myślę, że polubiliśmy się, ponieważ... często strzelałem mu ładne bramki. Z tego powodu Józek nabrał do mnie szacunku. Nie da się też ukryć, że mieliśmy podobne charaktery – lubiliśmy alkohol, czasami hazard i długie, nocne rozmowy w oparach dymu.

Dobrze czuliśmy się w swoim towarzystwie. Często, gdy grałem w Łodzi, zostawałem dzień dłużej tylko po to, by posiedzieć sobie z Józkiem, pogadać i pośmiać się. To w ogóle były inne czasy niż teraz – wszyscy ligowi piłkarze znali się wzajemnie i szanowali. Kiedy jechało się do Warszawy, trzeba było się spotkać z legionistami, w Łodzi – z widzewiakami, a w Poznaniu – z lechitami, gdzie balety były szczególnie udane. Rywalizacja sportowa wcale na tym nie cierpiała. Tumiński z Legii rzucał mnie w zasypany śniegu, ale kilka godzin później nalewał drinka. Co stało się na boisku, zostawało na boisku.

Młynarczyk był mistrzem zapadania się pod ziemię. Znikał nagle, niepostrzeżenie i na długo. Przed meczami, po meczach. Raz zdarzyło mi się, że jako reprezentant kraju dostałem brawa za przegrany mecz. To było spotkanie z Portugalią we Wrocławiu, kiedy dzięki porażce Polski do finałów mistrzostw Europy w 1984 nie zakwalifikował się Związek Radziecki. Razem z Józkiem poszliśmy na dyskotekę, co skończyło się klasycznie: „Młynarz” przepadł jak kamień w wodę i odnalazł się tuż przed spotkaniem Widzewa ze Spartą w Pradze. Wtedy akurat nie zanotował najlepszego spotkania i łodzianie przegrali aż 0:3. Jak to mawiał Zbyszek Boniek: „Którego polskiego piłkarza najtrudniej zatrzymać? Józka Młynarczyka!”.

Kolejny bramkarz – **Jacek Kazimierski**, pierwszy playboy stolicy, wyluzowany warszawiaczek, który żył w zbyt szarych dla siebie czasach. Ale na ile mógł, na tyle dodawał im kolorytu.

Jest stare piłkarskie powiedzenie, że dwie pozycje w zespole zawsze obsadzone są przez ludzi niespełna rozumu – bramka i lewe skrzydło. Jacek w młodości grał na skrzydle i zgaduję, że musiało być właśnie lewe. W czasie zgrupowania kadry juniorów opowiadał kiedyś mnie i Krzyśkowi Budce:

– Grałem na skrzydle i... nagle w pobliskim kościele zabiły dzwony. Wtedy poczułem powołanie. Zrozumiałem, że muszę grać na bramce.

Czyli świr.

W Legii zaczął bronić, gdy miał 19 albo 20 lat i, o ile się nie mylę, był wtedy na swojej pozycji najmłodszy w lidze. Imponował sprawnością, siłą, a i technicznie sprawiał solidne wrażenie. Wydawało się nawet, że zrobi większą karierę. Trochę mi głupio, ale tylko trochę, ponieważ sam przyczyniłem się do tego, że Jacka usunięto z Olympiakosu Pireus. W meczu Górnika z Grekami uderzyłem nieźle, ale... chyba jednak do obrony. Jacek puścił, co mu wypominano.

Rozmawiać można było z nim godzinami. Do Jacka – niczym do Don Juana – w młodości lgnęły dziewczyny, a on niezbyt stanowczo się bronił. Słuchaliśmy więc opowieści o jego miłosnych podbojach, a były to opowieści barwne i – co najważniejsze – dozwolone od lat 18.

Za samotnika z pewnością uchodził **Jerzy Gorgoń** – co się później potwierdziło, gdy wyjechał do Szwajcarii i zerwał kontakt z dawnymi kolegami. Był w porządku i dla młodych, i dla starych, ale najbardziej lubił, gdy nie zawracano mu głowy. Czasami miałem wrażenie, że z chęcią skończyłby karierę, lecz trzymała go przy piłce ewentualność wyjazdu za granicę – a wyjechać można było dopiero po skończeniu 30 lat. Dlatego właśnie w Górniku dogrywał do trzydziestki trochę z obowiązku i bez specjalnego zaangażowania, nabierał masy, tracił sportową sylwetkę. Kiedy mecz się nie układał i kiedy widział, że napastnicy przeciwnego zespołu są aż nazbyt dysponowani – po prostu schodził z boiska.

Na wielką sławę zapracował sobie **Grzegorz Lato**, trzykrotny uczestnik finałów mistrzostw świata. Chciał być ważny w życiu zespołu i cieszyć się takim poważaniem jak Deyna lub później Boniek, ale w praktyce ważny był tylko na boisku. Poza nim starał się zabłysnąć prostymi dowcipami, z których faktycznie czasami można było się pośmiać, ale tylko czasami. Jako lidera nie traktował go nikt. Niby próbował tłumaczyć młodszym

zawodnikom pewne sprawy, by chociaż w ich oczach ugruntować swoją pozycję, lecz dało się wyczuć, że po prostu brakuje mu charyzmy.

Bazował na szybkości i przede wszystkim na ruchliwości. Tak naprawdę Lato nie miał typowego, piłkarskiego gazu, a przewagę nad obrońcami wypracowywał sobie tym, że ciągle znajdował się w ruchu. Kiedy oni dopiero startowali do piłki, on już był w pełni rozpędzony. Dodatkowo potrafił utrzymać tempo biegu na długim dystansie. Po piłkarsku byłem od niego szybszy – wygrywałem wyścigi na 10 czy 15 metrów, jednak na 60 metrów nie miałbym z nim żadnych szans.

W 1982 roku zauważyłem, jak wielkie postępy Lato zrobił po wyjeździe z Polski. Jeszcze cztery lata wcześniej zdawał się być piłkarzem w pewnych kwestiach ograniczonym, natomiast wtedy nabrał niesamowitej piłkarskiej ogłady, wyrobił też się technicznie, co dowodzi, że na naukę nigdy nie jest za późno. Udowodnił to między innymi golem w meczu z Peru, kiedy bramkarz wybiegł do niego poza pole karne, a Grzesiek spokojnie posłał piłkę po ziemi tak, że zatoczyła łuk obok przeciwnika i wpadła w sam środek.

Świetny kontakt miałem z **Andrzejem Szarmachem**. „Diabeł” zawsze był facetem równym, niewywyższającym się, podchodzącym do piłki nożnej i do samego siebie bez przesadnego zadęcia. Żałuję, że w obu turniejach MŚ, na które razem pojechaliśmy, był zawodnikiem tak naprawdę odstrzelonym. Z Jacka Gmocha śmiał się i kpił bezustannie, gdyż nie mógł wyrzucić z pamięci, że „Szczęka” był jednym z asystentów Kazimierza Górskiego. Myślę, że w ogóle starsi piłkarze nie byli w stanie zaakceptować Gmocha z tego właśnie powodu – czuli, że dokonał on zamachu na uwielbianego przez nich szkoleniowca. Gmoch to wiedział i próbował otoczyć się gronem innych zawodników, ale chcąc nie chcąc do „Orłów Górskiego” musiał wrócić. Z kolei Piechniczek od początku był „Diabłowi” niechętny, a ten – zdając sobie z tego doskonale sprawę – trenował na pół gwizdka i z przymusu, bez satysfakcji.

Dziwiłem się Piechniczкови. Szarmach jako lis pola karnego był fenomenalny – w reprezentacji Polski zdobył 32 gole, trafiając częściej niż w co drugim meczu, a między rokiem 1973 i 1986 tylko raz mu się zdarzyło nie strzelić dwucyfrowej liczby bramek w sezonie ligowym. Mało tego – w latach 1981 i 1982 wybierano go najlepszym zawodnikiem ligi francuskiej: najpierw strzelił 16 goli, a potem 24. Dziś trudno sobie wyobrazić, by zdobywca 24 goli we Francji nie miał pewnego miejsca w naszej reprezentacji. Piechniczek jednak Szarmacha nie lubił i niezrozumiale forował przeciętnego Pałasza.

O ile w 1982 roku Szarmach odegrał trzecioplanową rolę (ale zdobył gola w meczu o trzecie miejsce), o tyle cztery lata później Piechniczek w ogóle go na mundial nie zabrał. A przecież i wtedy „Diabeł” prezentował się wybornie – w wieku 36 lat strzelił 26 goli dla drugoligowego EA Guingamp.

Cztery starty w finałach MŚ zanotował **Władysław Żmuda**, czym zapisał się w historii światowej piłki. Rzadko odzywał się na boisku, jeszcze rzadziej poza nim. Mimo to trafiliśmy do tej samej grupy bankietowej i zdarzało nam się razem wyrwać na miasto. Był dobrym kompanem, pogodnym, choć cichym.

Najpoważniejszym ze wszystkich zawodników reprezentacji z 1978 roku był **Henryk Kasperczak**. Już wtedy zachowywał się jak trener i wydawał mi się taki... stary. Miał 32 lata, ale mentalnie – 48. Rozważny, spokojny, nawet posiłki jadł powoli i ostrożnie. Jeśli o czymś chciał rozmawiać, to najchętniej o dzieciach. Dla mnie to był inny świat.

Mówiliśmy na niego „Szalony kojot”, ponieważ biegał jak Indianin z tej bajki, nienaturalnie wysoko unosząc kolana. Oczywiście była to ksywka do wewnętrznego użytku i chyba nigdy do uszu Heńka nie doszła.

Na tych samych falach nadawałem z **Pawłem Janasem**. Był to dobry obrońca, skuteczny, ale dość surowy technicznie. Z tego powodu, ale także dlatego, że Paweł był taki „kanciasty”, sztywny, Andrzej Strejlau w czasie odpraw w Legii mawiał podobno:

– W obronie „Drzewo”, dalej... – „Drzewo” to był właśnie Janas.
Lubiłem go i lubię – normalny, bardzo skromny facet.

W 1982 roku dominowały dwie gry karciane – z Młynarczykiem rznąłem w pokera, natomiast z **Markiem Dziubą**, Zbyszkiem Bońkiem i Stefanem Majewskim rywalizowaliśmy w brydża. Ja w parze z Dziubą, Boniek z Majewskim. Oczywiście cały czas wygrywaliśmy, ponieważ Zbyszek i Stefan większość energii pożytkowali na wzajemne kłótnie, a z czasem – takie miałem wrażenie – zaczęli robić sobie na złość.

Marek był na boisku niezwykle ostry, nawet brutalny. Kiedy makabrycznie rozorał nogę Grześkowi Lacie, zaczęto sprawdzać stopień naostrzenia kołków przed wszystkimi ligowymi meczami. ŁKS w ogóle był wtedy klubem rzeźników, bo strach było się zbliżyć także do Mariana Galanta czy Andrzeja Milczarskiego. Sam Marek – świadomy własnych ograniczeń czysto piłkarskich – stawiał na pracowitość. Miał zdrowie do biegania jak mało kto.

Kolejny związany z Łodzią – **Włodzimierz Smolarek**. Był szybki, ciężki do przewrócenia, dysponował dobrym dryblingiem i uderzeniem z lewej nogi. Nazywano go „Walendziak”, bo jak przyjechał na Legię, to miał na sobie płaszcz z laminatu, a w ręku tekturową walizkę przewiązaną paskiem. Osiągnął niesamowicie dużo – moim zdaniem wycisnął ze swojego potencjału wszystko, co tylko mógł. To dzięki charakterowi – Smolarek podejście do piłki miał wspaniałe. Ambicja wręcz kipiała uszami.

Zapomnianym w Polsce piłkarzem jest **Andrzej Buncol**, który w 1986 roku wyjechał do Niemiec, a rok później przyjął niemieckie obywatelstwo – co zostało w kraju bardzo źle odebrane. My jednak, w gronie piłkarzy, zawsze mówiliśmy, że Buncol wrócił do swoich. Jego ojciec urodził się w Berlinie, zdaje mi się, że Andrzeja zawsze ciągnęło za zachodnią granicę i zawsze czuł się rozdarty między dwa kraje. Fajny, normalny chłopak, z jedną tylko wadą – nigdy nie miał papierosów i zawsze pytał:

– Dasz zapalić?

Przewinęli się też przez kadrę piłkarze mniej znani. **Bohdan Masztaler** u Jacka Gmocha grywał chyba tylko dlatego, że – podobnie jak Gmoch – mógł pochwalić się tytułem inżyniera. Na ligę to był niezły zawodnik, pracuś, ale do kadry nie pasował ani trochę. Trudno mu było celnie kopnąć piłkę na trzydzieści metrów. Mimo to w finałach mistrzostw świata zanotował cztery mecze w podstawowym składzie.

Zbyt dużego kontaktu nie miałem ze **Stefanem Majewskim**, ponieważ on zawsze lgnął do grupy starszych chłopaków i wręcz im się podlizywał. Marek Kusto powiedział kiedyś, że Stefan biega jak zranione gnu, z czego Tumiński długo zrywał boki. Pewnego dnia jednak odważył się i zapytał:

– Marek, a co to właściwie jest gnu?

Kiedy myślę o Majewskim, przed oczami mam jego żonę, która bardzo dobrze znała się na piłce. Domyślam się, że w domu rozmawiano tylko o futbolu, ponieważ dwie córki Stefana także zaangażowały się w ten typowo męski sport – jedna chyba sędziowała, a druga grała.

Już po mistrzostwach w 1982 do kadry wtargnął **Ryszard Tarasiewicz**. Szybko został zaakceptowany przez grupę – głównie dlatego, że dobrze grał w piłkę. Każdy, kto gra dobrze, prędzej czy później, ale najczęściej od razu, spotka się z akceptacją. „Taraś” miał też fajny charakter, dzięki czemu szybko wchodził w każde towarzystwo. Karciarz. Kiedy zadomowił się w reprezentacji, graliśmy w „szpaki”. On dodatkowo uwielbiał szachy, którymi zaraził się podczas zgrupowań kadry juniorskiej od Henryka Apostela, swojego ówczesnego trenera.

Piłkarzem był utalentowanym i obdarzonym soczystym strzałem z dystansu. Ze Śląska Wrocław odszedł do szwajcarskiego Neuchâtel Xamax, gdzie zbierał znakomite recenzje. Liga szwajcarska cieszyła się wówczas większą renomą niż obecnie i stanowiła obszar penetracji dla klubów z Francji i Włoch. Wydawało się, że „Taraś” wylądował w naprawdę mocnym, włoskim zespole, jednak popadł w konflikt z trenerem Gilbertem Gressem – dla dwóch tak silnych osobowości Neuchâtel okazało się miastem zbyt małym. W efekcie naszego rodaka odstawiano, a jak już zmienił klub, to zaledwie na Nancy.

Nancy jest znane z faktu, że grał tam Michel Platini, i niestety z niczego więcej.

Cała moja książka mogłaby nosić tytuł „Spalony” i opowiadać historię zakochanego w swoim klubie chłopaka, ładującego się w kłopoty z niebywałą konsekwencją, pogrążającego się w kolejnych nałogach i wreszcie wyjeżdżającego za pieniędzmi do Niemiec, by po latach wrócić bez grosza przy duszy. Gdyby tylko gdzieś podmienić imiona, nazwiska i miasta, ta książka mogłaby opowiadać historię **Mirosława Okońskiego**.

Bez wątpienia „Mundek” to jeden z największych polskich talentów, jakie miałem okazję widzieć. Niestety, jego potencjał nigdy nie został wykorzystany w reprezentacji. Byłem przekonany, że pojedzie z nami już do Argentyny – miał za sobą pierwszy sezon w Lechu Poznań, w trakcie

którego pokazał wszystkie te atuty, z których był słynny później. Strzelił siedem goli, wiele dograł, kiwał się bajecznie, a Jacek Gmoch to wszystko widział i zapraszał Okońskiego na zgrupowania. Ale na mundial nie wziął. Nie rozumiałem tego.

Cztery lata później Mirka odstrzelił Piechniczek, co jednak w ogóle mnie nie zdziwiło. Oczywiście sportowo wciąż Okoński na miejsce w kadrze zasługiwał, znacznie bardziej niż Ciołek czy Pałasz, jednak „Piechnik” zwyczajnie go nie lubił, co dawał odczuć na każdym kroku. W czasie zgrupowania we Francji notorycznie czepiał się tylko Mirka. Dla przykładu – gdy jechaliśmy autokarem, bardzo wielu zawodników w sposób jawny paliło w środku papierosy. Takie to były czasy, że nie widziano w tym niczego zdrożnego. Jednak Piechniczek pod adresem Okońskiego kierował pretensje:

– A dlaczego ty palisz? Co to ma być?!

Wokół pół kadry z petami w rękach, dym unosi się w całej kabinie, popielniczki pełne od niedopałków, a trener widzi tylko „Mundka”.

– Dlaczego palisz? – grzmiał.

Piechniczekowi niektórzy piłkarze – w tym ja – mogliby zgasić papierosa na czole, a i tak by niczego nie zauważył. Okoński natomiast nie miał prawa nawet mieć przy sobie zapalek.

Już wcześniej pisałem, że w tamtym czasie zgrupowania kadry nie wywoływały ekscytacji wśród zawodników i Mirek tak właśnie do tego podchodził – że jak go trener nie weźmie, to trudno. Jeśli go nie lubi, on nie będzie zgadywał dlaczego. Był to chłopak bez wybujających ambicji – po prostu cieszył się grą w piłkę, lecz nie tracił dla niej rozumu.

Dla niemal wszystkiego tracił rozum, ale nie dla piłki.

Był zawodnikiem, którego trenerzy nie byli w stanie okiełznać – trzeba było go pokochać takiego, jakim był. W całości. Z tym, co dobre, i tym, co złe. Potrafił zrobić to na przykład słynny Ernst Happel, który w Hamburgu pozwalał mu na wszystko. I „Mundek” odpłacił mu się wspaniale – został gwiazdą Bundesligi i na stałe zagościł w koszmarach sennych tak uznanych obrońców, jak chociażby Klaus Augenthaler. Cóż on z nim wyczyniał – kiwał, obiegał, znowu kiwał. Podobnie jak później Happel, tak wcześniej

Kazimierz Górski pozwalał Okońskiemu w Legii na wszystko – i z takim samym skutkiem, bo przez dwa lata Mirek był na Łazienkowskiej bezsprzecznie najlepszym zawodnikiem.

Ktoś może pomyśleć, że Piechniczek zrobił dobrze, nie zabierając Okońskiego do Hiszpanii – przy wszystkich legendach na temat tego zawodnika łatwo pomyśleć, że miałby negatywny wpływ na zespół i po prostu by go rozprowadził. To jednak wierutna bzdura. „Mundek” nigdy nie był typem wodzireja, nie rozdawał kart poza boiskiem. Owszem – bawił się jak mało kto, ale raczej to on, jako dobry kompan, wyciągany był na miasto przez innych. Zresztą, w 1982 roku w kadrze były tak wielkie nazwiska, że nie ma mowy, by Okoński miał cokolwiek do powiedzenia.

Mamy zbieżne charaktery. Przehulaliśmy życie. Wpadliśmy w alkoholizm. Przegraliśmy w kasynach wszystkie zarobione pieniądze. Jak się więc nie trudno domyślić – lubiliśmy się. Gdy w tym samym czasie graliśmy w Grecji, zdarzało mi się wsiąść w samolot z Salonik do Aten i polecieć tylko po to, by spędzić czas z „Mundkiem”. Poleciałem na przykład na mecz Lecha Poznań z Panathinaikosem Ateny, kiedy Okoński dla swoich byłych kolegów wyprawił bankiet połączony z buzuki, a potem jeszcze wypłacił wszystkim z własnej kieszeni... premie meczowe. Taki był. Kasa się go nie trzymała, ale też trzeba przyznać – umiał ją wydawać spektakularnie!

ROZDZIAŁ XVIII

IRONIA

Operacja, której musiałem się poddać po mistrzostwach świata była długa i skomplikowana – chirurg musiał „poruszać się” w mojej nodze na tyle ostrożnie, by nie zawadzić przebiegającego tuż obok nerwu – jeden nierozważny ruch i groziłby mi niedowład. Trwający trzy i pół godziny zabieg skończył się szczęśliwie, rehabilitacja przebiegła bezproblemowo i po ośmiu miesiącach mogłem wrócić na boisko. Zaraz potem w pierwszych trzech ligowych meczach zdobyłem cztery gole, więc klepano mnie po plecach i cmokano z zachwytem:

– Andrzejku, po kontuzji nie ma śladu! Grasz jak kiedyś!

Ślad jednak był i już nigdy nie grałem jak kiedyś.

Ani nie miałem takiej dynamiki, ani takiego wysokości. A i zdrowie raz po raz szwankowało. Uraz mięśnia, tak poważny, odzywał się w innych miejscach – minimalnie inaczej układałem ciało, co skutkowało bólami kręgosłupa i ścięgna Achillesa. Liczyłem jednak, że z czasem organizm przywyknie i że z każdym meczem będę zapominać o kłopotach. Poza wszystkim osiem goli, które zdobyłem wiosną, to był bardzo dobry dorobek i nawet jeśli straciłem część dawnej klasy, ciągle radziłem sobie na boiskach pierwszej ligi.

Mimo tych ośmiu goli tamtej rundy nie wspominam zbyt dobrze. Pełna była niesnasek, kłótni i podejrzeń. I to właśnie wtedy – wiosną 1983 roku – namówiłem chłopaków do odpuszczenia meczu z Gwardią, by uratować posadę trenera Brożyniaka. Żałuję, że Brożyniak zgłosił się akurat do mnie i że stanąłem przed tak trudnym wyborem. Rozumiem, jak bardzo potrzebował punktów, ale mimo wszystko wyrządził mi straszne świństwo. Wiedział, że pamiętam o ludziach, którzy mi w życiu pomogli, i nie potrafię odmówić.

Niewątpliwie byłem idolem kibiców – i to już od lat. Ci najważniejsi z „dziesiątki” – jak „Huckelberry”, Jurek „Kola” Koralus i Marek Bartnik – jeździli za mną po całej Polsce, jeszcze na mecze reprezentacji juniorskich, gdzie wywieszali transparent „Ajwen King”. Tamtego dnia na płocie musiał wisieć ten napis – zawsze wisiał. Ajwen King.

Chuj, nie King.

Chuj, złamas, sprzedawczyk. Gdyby Brożyniak się do mnie nie zgłosił albo gdyby wyrzucili go dwa tygodnie wcześniej i gdyby Gwardię prowadził ktoś obcy. Stało się jednak, jak się stało – Brożyniak zgłosił się właśnie do mnie i to ja musiałem podjąć decyzję, czy zwalniamy go z pracy, czy podajemy pomocną dłoń. Decyzja nie była komfortowa, ale – nie będę ukrywał – łatwa. Taką już mam konstrukcję psychiczną, że nie umiem odmawiać. Wiedziałem, że się zgodzę, tak jak wiedziałem, że ulegnę „Marysiowi” Pomorskiemu, gdy niegdyś przyjechał, by wyciągnąć mnie z Warszawy.

To nie był dla mnie miły mecz, dla pozostałych chłopaków też nie. Stanowiliśmy wyjątkowy zespół, złożony w praktyce z samych krakusów. Każdy z nas silnie związany był z miastem i z kibicami, wśród których siedzieli nasi koledzy i przyjaciele. Tamtego paskudnego dnia, w kwietniu 1983 roku, trybuny na szczęście nie były pełne. Ledwie siedem albo osiem tysięcy ludzi patrzyło, jak nieudolnie odgrywamy role... słabych piłkarzy. Nie potrafiliśmy sprzedawać meczów, nie mieliśmy w tym doświadczenia – jeśli handlowaliśmy, jak już wcześniej pisałem, to rzadko, incydentalnie. Pewnie dlatego „Tempo” zamieściło aż tak przerażająco trafne sprawozdanie:

„Muppet Show!”, „Oddajcie pieniądze!”, „Nie róbcie nam wstydu!” – takie okrzyki zawiedzionych kibiców krakowskich chyba wystarczają za wszelki komentarz. Oba zespoły sprawiały wrażenie, jakby rozgrywały mecz kontrolny i to z wariantem wzmocnionej defensywy! W tyle bowiem zarówno Wisła, jak i Gwardia popisywały się udanymi zagraniami. Szybkie, celne podania w szerz i do tyłu boiska mogły zaimponować, ale w lidze okręgowej. Na I ligę to stanowczo za mało. Znacznie gorzej było w przednich formacjach, gdzie zawodnicy sprawiali wrażenie jakby zupełnie nie zależało im na strzeleniu bramki. Nie wiem, jak trener Durniok ustawił Kapkę, ale z wysokości trybun wyglądało na to, że był... trzecim stoperem Gwardii.

Padły dwie bramki, choć trzeba przyznać, że przy zdobyciu ich spory udział mieli obrońcy, którzy chyba zapomnieli o tym, co do nich należy. Zarówno Chełstowski, jak i Iwan strzelili gole bez większych kłopotów, mając przed sobą tylko bramkarza.

W sumie widowisko bardzo kiepskie, stojące na słabiutkim poziomie. O ile trudno się dziwić gościom, których remis z pewnością satysfakcjonuje, to trudno zrozumieć kolejny słaby występ wiślaków.

W zespole warszawskim na wyróżnienie zasłużyli Chełstowski i Rutkowski, natomiast wśród krakowian wszyscy zagrali poniżej swych możliwości.

Dwa tygodnie później znowu się nie popisaliśmy i znowu na własnym stadionie. Tym razem przegraliśmy ze Stalą Mielec. Odpowiednio wcześniej przyjechała do nas delegacja – dwóch zawodników drużyny przeciwnej, Edek Oratowski i Kazimierz Buda, z konkretną ofertą finansową. Stal zajmowała ostatnie miejsce w tabeli i by ruszyć w pogoń za Gwardią i Cracovią, po prostu musiała zacząć jak najszybciej wygrywać. Wszędzie – nawet na tak trudnym teoretycznie terenie jak ten nasz.

Znowu zacytuję sprawozdanie zatytułowane „Smutny cyrk na stadionie Wisły”:

Przedstawienia cyrkowe zwykle kojarzą się z efektownymi pokazami ludzkiej i zwierzęcej sprawności, są wesołe, bowiem występujący clowni bawią i śmieszą widzów. To, co oglądaliśmy wczoraj, na stadionie przy ul. Reymonta to też był cyrk, ale bardzo smutny. Wprawdzie od czasu do czasu

wywoływał śmiech na trybunach, lecz był to śmiech gorzki, śmiech przez łzy.

Dwie pierwszoligowe drużyny dały bowiem pokaz futbolu podwórkowego, choć może to nawet za wielkie określenie, bowiem w grach podwórkowych chłopcy uganiający się za piłką czynią to z ochotą, zapałem, zaciętością. Natomiast ci panowie, którzy wczoraj występowali przed publicznością, panowie mieniący się piłkarzami, nie wykazywali żadnych walorów, które by pozwalały ich określić mianem ekstraklasowych zawodowców. A przecież z gry w futbol żyją i to nieźle. Może za dobrze, więc grać im się nie chce.

Było w tym spotkaniu kilku ambitnych zawodników, którzy starali się coś zdziałać. W Wiśle należeli do nich Andrzej Iwan, Marek Motyka i Robert Gaszyński, w Stali – było ich więcej nieco, stąd też drużyna gości uzyskała w pełni zasłużone zwycięstwo, stworzyła bowiem więcej sytuacji dogodnych do strzelenia gola, a że tylko raz umieścili mielczanie piłkę w siatce, to zasługa wyłącznie Gaszyńskiego, który w dwóch sytuacjach sam na sam rzucał się pod nogi szarżujących mielczan, by zażegnać niebezpieczeństwo, uchronić swą drużynę od wyższej przegranej.

Trójka wiślaków, o których wspomniałem wyżej, nie mogła jednak nic zdziałać, zdana na własne siły. Inni bowiem gracze nie kwapili się do biegania, walki o piłkę, nie dążyli do uzyskania zwycięstwa. A już prawdziwy „koncert” gry dał Zdzisław Kapka. Był w tym, co robił, po prostu śmieszny i jego akcje wywoływały najczęściej wybuchy wesołości wśród widzów.

Firma „Austropol”, z emblematami której grają wiślacy, aby ją reklamować, uczyniła doprawdy kiepski interes propagandowy. Jeśli produkty oferowane przez „Austropol” są tej jakości jak gra wiślaków, to lepiej z daleka omijać firmowy sklep przy ul. Szewskiej.

Ostro, prawda? Ale jeszcze ostrzej było w szatni. W przerwie spotkania ciskał przekleństwami pod moim adresem Marek Motyka.

– „Ajwen”, co ty odpierdalasz?

– Co?!

– Opierdoliłeś mecz!

– Co ty do mnie powiedziałaś?!

– Przecież widzę! Specjalnie strzeliłeś w słupek i w poprzeczkę! Mogłeś w bramkę, ale specjalnie strzeliłeś w słupek! I w poprzeczkę! Kurwa!

– Ty, kurwa, wielka głowo. Weźże się zamknij, bo ci pierdolnę!

Patrzyłem na niego z wściekłością – dwa tygodnie wcześniej był w grupie, która ratowała trenera Brożyniaka. Dopiero co graliśmy do tej samej bramki, nawet jeśli... była to nasza bramka. A teraz – co on sobie, kurwa, wyobraża? Palilem się ze wstydu, gdy Marek publicznie zarzucał mi korupcję. I gotowałem się w środku.

Problem bowiem z tym meczem był jeden: przegraliśmy go uczciwie. Oferta złożona przez Oratowskiego i Budę została odrzucona bez jakichkolwiek negocjacji. Od razu zapadła decyzja – nie ma takiej możliwości! Mieliśmy świeżo w pamięci mecz z Gwardią, wszyscy zapewne odczuwaliśmy jeszcze kaca moralnego i żadna siła nie zmusiłaby nas, by podłożyć się Stali.

A jednak graliśmy tak słabo, że aż podejrzenie. Marek nie wytrzymał pierwszy, ale tego rodzaju kłótnia wisiała w powietrzu. Pozostawało sprawą otwartą, kto komu skoczy do gardła.

Gdy emocje po porażce z najgorszą drużyną w lidze już opadły, gorzko żartowaliśmy:

– Trzeba było ten mecz puścić!

I wreszcie trzecie spotkanie w tym czasie, z podobnym scenariuszem i podobnie śmierzące. Musimy się minimalnie cofnąć, ponieważ miało ono miejsce na cztery dni przed wspomnianym meczem z Gwardią.

Derby Krakowa.

Odpowiednio wcześniej zadzwoniła Cracovia z prośbą o spotkanie – tym razem emisariuszami byli Andrzej Turowski i Jasiu Surowiec. Spotkaliśmy się w tajemnicy, przy zachowaniu wszelkich zasad konspiracji, w okolicach Kopca Kościuszki. Czyż można sobie wyobrazić lepsze miejsce do ustawienia meczu derbowego? Chyba tylko Wawel. Albo Sukiennice. Tam, w okolicach Kopca, zapadła decyzja, czy Wisła pomoże Cracovii utrzymać się w lidze.

I zapadła. Wisła nie pomoże.

Propozycja Cracovii nie spotkała się z żadnym zainteresowaniem. Można nawet stwierdzić, że odrzucona została kategorycznie i bez jakiegokolwiek wahania. Nie wiem, czy chodziło o to, by zachować godność, czy też decydujące okazało się położenie Wisły w tabeli – przy sporym pechu mogliśmy sami wplątać się w walkę o utrzymanie, a przy pewnej dozie szczęścia była jeszcze szansa powalczyć o puchary. Surowiec i Turowski wracali niepocieszeni.

Już w pierwszej minucie strzeliliśmy gola. Niestety, jeśli chodzi o dobre wieści, to wszystko, co mam do przekazania. Cracovia wygrała 2:1, a Surowiec wbił nam głową jedną z bramek.

Oto ironia losu. O utrzymanie walczyły przede wszystkim trzy drużyny – Cracovia, Gwardia i Stal. Właśnie w takiej kolejności z nimi graliśmy. Cracovii nie chcieliśmy sprzedać meczu – porażka. Gwardii chcieliśmy – remis. Stali nie chcieliśmy – porażka. Mecz, którym mieliśmy zamiar pomóc Brożyniakowi, w rzeczywistości tylko go pogrzyżył, skoro z jego bezpośrednimi rywalami w walce o utrzymanie wstydlive przerznięliśmy. Jeszcze większa ironia polega na tym, że Gwardii gola na 1:1 włądowałem ja sam – piłka po prostu odbiła mi się od głowy. Ustawiłem mecz, strzeliłem bramkę, a w ogólnym rozrachunku pogrzyżyłem szkoleniowca, którego chciałem uratować.

Z ligi spadła Gwardia i Stal.

Wiosną 1983 roku kibice oglądali najbardziej chimeryczną Wisłę w dziejach. Rozegraliśmy przecież w tamtej rundzie także mecze świetne – spotkanie z Lechem Poznań, późniejszym mistrzem kraju, skończyło się masakrą, bo aż 6:0. Wszyscy wtedy trafiali do siatki – 1 Janek Jałocha, i Michał Wróbel, i nawet Janusz Nawrocki, a ja nie mogłem. Dwoiłem się i troiłem – nic. W 83. minucie Kapka trafił na 6:0 i pomyślałem sobie: „Taki wysoki wynik, to wstyd nie zdobyć żadnej bramki”. Ale nie zdobyłem. W tamtym spotkaniu najlepszą być może robotę wykonałem

jeszcze przed pierwszym gwizdkiem. Podszedłem wtedy do Mirka Okońskiego, znanego zarówno z bajecznej techniki, jak i... słabej psychiki.

– Cześć „Mundek”.

– No witam cię, „Ajwen”!

– Ty... aż mi głupio... ale muszę zapytać.

– No?

– Co ty... Co ty powiedziałeś „Marcysiowi”, że jest na ciebie taki wkurwiony?

– Nie rozumiem, jak? Co ja „Marcysiowi”?

– Mówi, że ci kikuty połamie. Takiego zagrzanego to go jeszcze nie widziałem. Obraziłeś go?

– Nie, „Ajwen”, co ty mówisz? Gdzie ja i „Marcyś”? Ja nic. Ale co on mówi?

– Mówi, że już po tobie. Słuchaj, wiesz, że cię lubię. Uważaj na siebie, bo nie wiadomo, co tamtemu do łba strzeliło.

Pod „Mundkiem” ugięły się nogi. Już tak miał – panicznie bał się ostrych starć i obrońców chcących zrobić mu krzywdę. Gdy więc doszło do meczu, pozbywał się piłki tak szybko, jak to tylko możliwe, byle tylko Marek Motyka nie zdążył się do niego zbliżyć na odległość kopniaka.

Od tego meczu znowu nabraliśmy rozpędu i do końca sezonu zanotowaliśmy trzy zwycięstwa i remis. W Łodzi z ŁKS-em przegrywaliśmy po голу Marka Chojnackiego, tuż przed przerwą wyrównałem, później znów trafił Chojnacki, aż w 65. minucie obudził się Zdzisiek Kapka i uderzył na 2:2. Obudził się, ponieważ w szatni przed meczem... usnął. „Misiek”, bo i tak go nazywaliśmy, stanął przy wysoko umieszczonym oknie, oparł się o parapet i obserwował toczący się nieopodal mecz juniorów. Spotkanie nie mogło być specjalnie ciekawe, skoro w niezbyt wygodnej pozycji Zdziśka zmorzył sen.

– Co on robi?

– Zdzisiek!

– Zdziisieeek!

– Ty, on śpi.

– Jak, śpi?

Raz jeden się zdarzyło, że w szatni przed meczem piłkarz usnął. Ot tak, bez powodu.

Ale to był w ogóle dziwny dzień. Właśnie w czasie spotkania w Łodzi Roman Durniok, nasz trener, odwrócił się w kierunku ławki rezerwowych i zapytał siedzących tam chłopaków:

– A wiecie, że w Bieszczadach pojawiły się wilki?

Nie wiedzieli.

To idiotyczne pytanie miało – jak się wkrótce okazało – wielką wagę. „A wiecie, że w Bieszczadach pojawiły się wilki?” Gdy skończyliśmy mecz, chłopaki z ławki mówili nam o nietypowym zachowaniu trenera. Koncepcje były różne – zgrywał się, coś mu się nagle skojarzyło albo... Albo faktycznie pojawiły się wilki i jest to informacja niecierpiąca zwłoki.

Od tego momentu coraz częściej z Durniokiem bywało śmiesznie, ale w końcu zrobiło się niezwykle dziwnie i krępująco. Mało kto wie, że nasz szkoleniowiec miał guza mózgu, z powodu którego w 1993 roku zmarł. Już gdy nas prowadził, choroba dawała znać o sobie. Oczywiście choroba, z której wtedy jeszcze nikt zdawał sobie sprawy – ani on, ani my. W Łodzi odezwała się po raz pierwszy. To nie Durniok przemówił. To guz:

– A wiecie, że w Bieszczadach pojawiły się wilki?

Potrafił powiedzieć coś absolutnie bez sensu, co wzbudzało czasami śmiech, ale częściej zmieszanie. W czasie jednej z odpraw przedmeczowych sprawiał wrażenie zafrasowanego. Wreszcie wyznał, co mu leży na sercu:

– Całą noc nie spałem. Nie spałem. Obserwowałem samoloty. Widzicie? Zaczęło się. Samoloty lecą. Co minutę kolejny samolot. Zaczęło się.

– Trenerze, ale gdzie one lecą?

– Do Libii. Do Libii lecą. Co minutę. Zaczęło się. Do Libii.

Durniok stał przy oknie i patrzył w niebo, wypatrując samolotów zmierzających do Libii. My siedzieliśmy przerażeni, zdając sobie sprawę, że nasz trener wariuje. Panowała cisza. I przysięgłbym, że w tej ciszy słyszeliśmy silniki nieistniejących samolotów.

Ostatni mecz z tamtego sezonu godny zapamiętania – z Legią Warszawa, w 29. kolejce. Podejrzewam, że było to najbardziej dramatyczne spotkanie, w jakim przyszło mi brać udział. I z jednej strony szkoda, że odbyło się na oczach ledwie siedmiu tysięcy widzów, ale z drugiej – pretensje o to mogliśmy mieć tylko do siebie. Żenujące „spektakle” ze Stalą czy Gwardią teraz wychodziły nam bokiem.

W każdym razie widowisko – chociaż o prestiż i zupełnie o nic więcej – godne było najwyższej stawki. 16. minuta – 1:0, gol Kapki. 25. minuta – 1:1, gol Turowskiego. 57. minuta – 1:2, gol Turowskiego. 62. minuta – 2:2, gol Kapki. Gdy w 83. minucie Zdzisiek skompletował hat-tricka, byliśmy pewni zwycięstwa. 3:2! Cieszyliśmy się jednak bardzo krótko – 85. minuta, 3:3, Milewski sieknął w samo okienko. Wszystko zaczęło toczyć się w niespotykanym tempie: i my byliśmy napaleni na zwycięstwo za wszelką cenę, i legioniści mocno się rozochocili. Publika, która mogła już serdecznie mieć dosyć nas i całego sezonu, raz po raz podrywała się z miejsc. Wreszcie, w 89. minucie, wyskoczyłem do piłki i... Zajrzyjmy do gazet:

Autorem najładniejszego gola był Andrzej Iwan. Po dośrodkowaniu Kapki uderzył piłkę głową z taką siłą, iż wydawało się, że pęknie siatka.

Siatka nie pękła, ale mój serdeczny kolega, Jacek Kazimierski, tylko zajęczał:

– „Groźny”...

ROZDZIAŁ XIX

ZJAZD

W sezonie 1983/84 Durnioka zastąpił Edmund Zientara, którego znałem, ponieważ prowadził mnie w juniorskiej reprezentacji Polski. Wszyscy mówili, że był wielkim piłkarzem i z Brazylijczykami grał jak równy z równym. Lubił się zmęczyć na treningu – frajdę sprawiało mu, kiedy mógł pobiegać, pokazać nam, jak uderza się piłkę i jak dośrodkowuje. We wszystkim, co robił, miał klasę. Spokojny, kulturalny i po prostu fajny człowiek.

Zaimponował mi w Warszawie, kiedy graliśmy z Legią w koszulkach z napisem „Alvorada Cafe”. To była austriacka firma, a my – bodaj jako pierwsi – reklamowaliśmy jakąkolwiek firmę na strojach. Gdy zobaczył to obecny na meczu minister spraw wewnętrznych, zarzucił komendantowi milicji oraz prezesowi Wisły, że wspieramy imperializm. Oczywiście nakazał natychmiastową zmianę koszulek, co w przerwie spotkało się ze stanowczą reakcją Zientary. Po prostu nie mieliśmy w co się przebrać.

Zientara miał klasę. Był spokojny, kulturalny i po prostu fajny. Niestety, nie miał wyników.

Czy to jego wina? Absolutnie nie. W 1976 roku Wisła Kraków wyeliminowała Celtic Glasgow z Pucharu UEFA, w 1978 sięgnęła po mistrzostwo kraju, a potem przeszła słynne FC Brugge i z rozędu

Zbrojovkę, by znaleźć się o krok od półfinału Pucharu Europy. Na zgrupowania reprezentacji Polski jeździło nas zawsze kilku – czasami pięciu, czasami sześciu. Kiedy więc to się wszystko posypało i dlaczego?

W książce to zaledwie kilkadziesiąt stron. Godzina czytania albo dwie. Jak ktoś wyjątkowo szybko czyta – może obkoczy wszystko między jednym przystankiem tramwajowym a drugim. W rzeczywistości od mistrzostwa do momentu, gdy zespół przejął Zientara, minęło aż pięć długich lat. Piłkarze, którzy w latach siedemdziesiątych stanowili o sile „Białej Gwiazdy” – jak Kmiecik, Szymanowski, Kusto, Musiał, Gonet, Maculewicz czy Płaszewski – odchodzili. Jeszcze inni – jak ja, Nawalka czy Lipka – borykali się raz po raz z kontuzjami. Stanowiliśmy cię dawniej Wisły, byliśmy niedobitkami. Co gorsza, przez te wszystkie lata sprowadzono nam tylko jednego dobrego, znanego w kraju zawodnika – Marka Banaszkiewicza z Gwardii. Cała reszta nijak się miała do graczy, którzy jeszcze niedawno występowali przy Reymonta.

Mylne jest więc wrażenie, że stanowiliśmy wówczas zbieraninę degeneratów, którzy od poniedziałku do piątku tańczyli, a w soboty sprzedawali mecze. Bzdura, tańców było najwięcej, gdy graliśmy o mistrzostwo kraju. Później – a więc w roku 1983, 1984 czy wreszcie w 1985 – też się rzecz jasna bawiliśmy, ale nie aż tak intensywnie, a źródła braku wyników szukać należy zupełnie gdzie indziej: Wisła z roku na rok stawała się coraz słabszym zespołem. Odkąd odszedł prezes Jabłoński, klubem zaczęli rządzić ludzie z przypadku, niemający pojęcia o funkcjonowaniu w piłce.

Można by rzec, że my, piłkarze Wisły, kisiliśmy się we własnym sosie. Byłaby to prawda, ale połowiczna. Cały problem polegał na tym, że nas w tym sosie było coraz to mniej, a najsmakowitsze kąski już dawno zostały wyjedzone.

Wszystko to widać z dzisiejszej perspektywy, natomiast wtedy można było mieć nadzieję, że tak jak niespodziewany był triumf w 1978 roku, tak zdarzy się kolejny, równie zaskakujący – tylko jeszcze nie wiadomo kiedy. Gdzieś za rogiem urodzi się nowy Kmiecik i nowy Szymanowski, pewnego

dnia w trampkokorkach i z piłką pod pachą stawia się przed bramą i chojracko zakrzykną:

– Teraz my będziemy z wami grać!

Ale nikt taki się nie zjawiał.

Początek sezonu 1983/84 to nawet nie było twarde lądowanie – to było wyrznięcie nosem prosto na asfaltową jezdnię. Pierwszy mecz wygraliśmy dopiero... w jedenastej kolejce. Z Szombierkami Bytom. Dziesięć kolejek toczyło się dla nas w rytmie marszu żałobnego. Albo graliśmy fatalnie, albo nieszczęśliwie. W drugiej serii spotkań zremisowaliśmy 0:0 z Cracovią, co kosztowało mnie bardzo dużo pieniędzy. Przed meczem założyłem się ze znajomym cinkciarzem o ogromną kwotę, że strzelę „Pasom” gola. Robiłem, co mogłem, dwoiłem się i troiłem, ale trafić nie mogłem. Jakoś na samym początku zdołałem się urwać i znaleźć na naprawdę dobrej pozycji, lecz Adam Koczwara obronił.

Oj, grubo popłynąłem. Ludzie w rok tyle nie zarabiali. Pewny siebie byłem i głupi.

Niedługo potem pojechaliśmy na mecz z Górnikiem Wałbrzych – ten, po którym przebiłem sędziemu opony. Graliśmy też w Krakowie z Ruchem i czułem się niesamowicie. Miałem przekonanie, że nikt i nic mnie nie zatrzyma. W 26. minucie strzeliłem gola na 1:0, ale ciągle było mi mało – chciałem walnąć drugiego, może trzeciego. Chciałem, byśmy w końcu wygrali. Biegałem po tym boisku jak oszalały, pokazywałem się na pozycji, konstruowałem akcje i przenosiłem ciężar gry, w końcu pobiegłem na własną połowę, by odebrać piłkę przeciwnikowi. Zrobiłem wślizg i... uszkodziłem mięsień. Jeszcze przed przerwą musiałem zejść, a i na następną kolejkę nie byłem gotowy. 1:1.

Dwa razy w życiu zrobiłem wślizg – wtedy przeciwko Ruchowi naciągnąłem sobie mięsień, a w 1986 roku – już jako piłkarz Górnika – złamałem nogę. Są zagrania, których ewidentnie nie potrafiłem.

To był dziwny sezon. Najpierw dziesięć meczów bez zwycięstwa. Zaraz potem – osiem bez porażki. Indywidualnie szło mi całkiem dobrze – w 24 spotkaniach zanotowałem 11 goli. W Łodzi strzeliłem dwa Widzewowi,

a potem zasiedziałem się z Józkiem Młynarczykiem. Gdy wracałem do Krakowa, zatrzymaliśmy się przed hotelem. Wszedłem jak do siebie.

– Przepraszam, gdzie są wszyscy? – spytałem na recepcji.

– Przykro mi, nie rozumiem... – odpowiedziała zakłopotana kobieta.

– Pani jest tu nowa, prawda?

– Nie, pracuję od wielu lat. A o co chodzi?

– Nigdy pani nie widziałem. Cały personel się zmienił?

– Nie, proszę pana. Pan jest pijany? – ni to zapytała, ni stwierdziła oczywisty fakt.

– Jestem, jestem. Ale... coś mi tu nie pasuje.

– Andrzej!!! – rozległo się z tyłu. – Co ty tam robisz?! Jedziemy!

– Gdzie?!

– Do Krakowa!

To była Częstochowa, ale hotel – przysięgłbym – identyczny jak w Krakowie przy Armii Krajowej.

Rozgrywki 1983/84 zakończyliśmy na jedenastym miejscu, ledwie dwa punkty nad czternastym ŁKS-em, a liga liczyła wówczas szesnaście zespołów. Najgorsze dopiero nadchodziło. Nie podejrzewałem, że do tego dojdzie, ale doszło – w kolejnym sezonie spadliśmy z ligi. By rechet historii słyszalny był w całej Polsce, stało się to pod wodzą tego samego trenera, z którym zdobyliśmy tytuł mistrza – Oresta Lencyka.

ROZDZIAŁ XX

DNO

Zmrużyłem oczy i skoncentrowałem wzrok na tyle, na ile mogłem, by wypatrzeć jakikolwiek środek transportu. Nie było jeszcze dość późno, a raczej... dość wcześnie, by wrócić do domu polewaczką. Ta ruszała w miasto skoro świt, a zajechanie pod blok takim właśnie wehikułem zawsze robiło wrażenie. Przemierzaliście kiedyś ulice Krakowa polewaczką? Nie? No właśnie. A my od czasu do czasu tak i można było sobie nawet psiknąć tu i tam.

To jednak nie była pora na polewaczki. O drugiej czy trzeciej w nocy trzeba było szukać innego wariantu.

Przed sobą, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, zauważyłem zaparkowany radiowóz. Śmiało podszedłem, otworzyłem drzwi i zakomunikowałem:

– Na Czerwony Prądnik, panowie!

Milicjant obejrzał się dziwnie wściekły:

– Coś ty powiedział?!

– Na Czerwony Prądnik podrzucicie – powtórzyłem, bo przecież mogli pierwszej komendy nie usłyszeć.

– To nie taksówka!

– No co jest, zawsze woziliście, a dzisiaj nie? – zdenerwowałem się nie mniej niż oni i trzasnąłem z całej siły drzwiami, aż zagruchotały zawiasy.

Tak się nieszczęśliwie złożyło, że radiowóz musiał dawno nie przechodzić żadnego przeglądu technicznego i na skutek energicznego uderzenia... klamka została mi w rękach. O, to już był akt wandalizmu. Występek przeciwko władzy ludowej.

Zostałem więc podwieszony, ale wcale nie do domu, lecz na komendę – z kajdankami na rękach. Nic, czego wcześniej bym nie przeżył.

Salka jak z ponurych filmów. Biurko, na nim lampa z tępo żarzącą się żarówką. Milicjant, na którego spadł obowiązek spisania mnie – podpitego wandala i chuligana, ale mimo wszystko także szanowanego piłkarza z resortowego klubu – wziął do ręki arkusz i zapytał:

- Nazwisko?
- Ambroziak – odparłem znudzony.
- Nazwisko!
- Ambroziak.
- Nazwisko!!!
- Ambroziak, przecież mówię!
- Nie pierdol, Iwan. Nazwisko!
- To po chuj się pytasz, skoro wiesz?

Od razu przed oczami stanęła mi inna scenka – jak po jednym z wyjazdowych meczów Wisła wracała pociągiem i... zginęły w nim drzwi. Też byłem przesłuchiwany.

- Siadajcie – zarządził wtedy funkcjonariusz.
- Ależ, panie Józku, ja jestem tu sam.
- Siadajcie, nie gadajcie!

Z posterunku wyciągnął mnie kolega, machając kilka razy blachą przed oczami przestraszonych służbistów. Później zaocznie wlepiono mi kolegium. Zaocznie, ponieważ na salę wpadłem po czasie:

- Przepraszam, czy zapadł już wyrok?

Siwy mężczyzna tylko westchnął:

– Nawet nie chcę czytać raz jeszcze, co pan powiedział milicjantom. Aż się krępuję! Zapłaci pan 1200 złotych.

To chyba jedyna wesoła historia, którą pamiętam z sezonu 1984/85. Początkowo prowadził nas jeszcze Zientara, ale zbieraliśmy od wszystkich w łeb – nawet od Radomiaka Radom, co okazało się gwoździem do trumny tego akurat szkoleniowca. Dla mnie tamte rozgrywki były równie nieudane co dla całego zespołu. Zacząłem je z nogą w gipsie, ponieważ latem przeszedłem operację ścięgna Achillesa. Liczne stany zapalne i zwyrodnienia nie pozwalały dłużej uciekać przed skalpelem chirurgicznym. Pewnie przy innym trybie życia, przy lepszym prowadzeniu się organizm korzystniej reagowałby na obciążenia i szybciej regenerował. Jednak byłem, jaki byłem, i kolejnego zgrupowania reprezentacji Polski – jak zawsze w górach – już nie wytrzymałem. Raz współpraca z Piechniczkiem zaprowadziła mnie do Piekar Śląskich na zabieg mięśnia dwugłowego, a raz zbuntował się Achilles.

U Zientary zagrałem tylko w jednym meczu, w piątej kolejce, ale jeszcze przed przerwą musiałem zejść – ból był zbyt silny.

Zmiana trenera – czyli przyście Lenczyka – uratowała mnie przed konsekwencjami dyscyplinarnymi. W Krakowie nocą wdałem się w bójkę z miejscowym kapusiem i wyjechałem kontynuować „rehabilitację” do Zakopanego. Tam z zaprzyjaźnionym cinkciarzem chlaliśmy do oporu, aż pewnego dnia odezwał się telefon.

– „Dziunia”, co jest? Czemu dzwonisz? Zamiast dzwonić, przyjeżdżaj! – słyszałem jak Adam mówi do słuchawki. Najwyraźniej po drugiej stronie był Budka.

– Co? Musimy wracać do Krakowa?

I znowu wymiana zdań.

– Co ty mówisz? Czeka, nie denerwuj się, odsapnij.

– Nie, nie. Musimy wracać. Aha. – Adam wyraźnie zmarkotniał. – Powiedzieli, że jeśli natychmiast nie dostarczę „Ajwena” do Krakowa, to nigdy już nie będę miał dostępu do waluty? Odetną mnie? Wypadnę z interesu? Co? Halo! Handlować to będę mógł bajglami na Rynku? Tak powiedzieli? Bajglami? Kurwa!

– Andrzej. – Adam odłożył słuchawkę. – Fajnie było, ale się skończyło. Pakuj się.

Zientarze mój tryb życia i coraz częstsze zniknięcia nie odpowiadały, a rosnąca presja potęgowała nerwy. Zapowiedział: „Dla dobra polskiej piłki, dla dobra zespołu i dla dobra Wisły Andrzeja Iwana należy odsunąć”. Na swoje nieszczęście – a może i na moje też – swojego planu nie zdążył wprowadzić w życie. Po meczu z Radomiakiem to jego wezwano do gabinetu, by podziękować za dotychczasową pracę i życzyć powodzenia w przyszłości. Mnie natomiast oznajmiono, że wszystko, co złe, puszcza się w niepamięć.

Drużyny nie było. Rozchodziła się w rękach. Prysła gdzieś dawna atmosfera, ale też prysnąć musiała – ludzie w końcu zupełnie inni, szarzy, nieszczęśliwi. Coraz częściej grali zawodnicy, którzy kilka lat wcześniej nie załapałoby się nawet na ławkę rezerwowych. A to Jacek Mróz, a to Władysław Starościak, a to Zbigniew Klaja, a to Robert Markowski czy Krzysztof Szopa. To nie są nazwiska, które zapisały się złotymi zgłoskami. Siadałem w szatni i przypominałem sobie dawne czasy.

Przypominałem sobie nierozłącznych „Białego” i Musiała.

Przypominałem sobie inżyniera Maculewicza.

Przypominałem sobie dostojnego Szymanowskiego.

Przypominałem sobie, jak z Kmiecikiem chciałem się bić na Widzewie.

Chciałbym znowu mieć Kmiecika obok siebie, nawet jeśli znowu miałyby strzelać, zamiast podawać. Człowiek łatwo przyzwyczaja się do dobrego. Nie dałoby się cofnąć czasu? Nie dałoby się sprowadzić ich wszystkich z powrotem? Rozesłać depezę: „Ratujcie, stop, klub potrzebuje, stop”? Wisła z roku 1984 i 1985 w niczym nie przypominała tej dawnej, a więc i ja coraz mniej do niej pasowałem. Cały ten klimat był zbyt gęsty, zbyt duszny i zbyt przytłaczający. Działał depresyjnie i odbierał jakiegokolwiek chęci. Piłkarsko czułem się wrakiem i nabierałem przekonania, że długo już w piłkę nie pogram, a psychicznie odczuwałem nie mniejsze dolegliwości. Podobnie chyba było z innymi zawodnikami, którzy pamiętali inną Wisłę – z Leszkiem Lipką, Jankiem Jałochą czy Michałem Wróblem. Też już nie

grali na miarę możliwości, chodzili jakby przygarbieni i ulotniła się z nich dawna werwa.

Kiedy zdejmowałem gips, to z obowiązku, a kiedy wracałem na boisko – to z przyzwyczajenia i bez wewnętrznej radości, która powinna cechować piłkarza.

Brakowały jakości, ale też atmosfery. Porobiły się grupki, ale żeby te grupki jeszcze ze sobą chociaż trochę rywalizowały – o, to mogłoby wyjść z korzyścią dla zespołu. Tymczasem rywalizacja nie istniała – grał każdy, kto miał dwie nogi i zdrowe kolana. Ja wskakiwałem do składu, ilekroć mięsień pozwalał, mimo że daleki byłem od optymalnej formy i tak naprawdę najchętniej ze wstydu zapadłbym się pod ziemię. W szesnastu spotkaniach wbiłem marne dwa gole. Kiedy po kontuzji zacząłem grać, to na skutek samowolnego opuszczenia boiska w Lublinie – protestowałem wtedy przeciwko decyzji arbitra, który wydrukował przeciwko nam rzut karny – zostałem zdyskwalifikowany na cztery spotkania. Mecz transmitowano w telewizji i prawdopodobnie ukarano mnie na podstawie zapisu wideo jako jednego z pierwszych w dziejach futbolu. Sam arbiter mojego występku nie zauważył.

W końcówce sezonu – na cztery czy pięć kolejek przed końcem – odsunięto od drużyny mnie, Piotrka Skrobowskiego, Krzyśka Budkę, Janusza Krupińskiego, Marka Banaszkiwicza i trenera Lenczyka (jego obowiązki przejął Stanisław Chemicz). Uzasadnienie: zawodnicy o mniej znanych nazwiskach w innych klubach dają z siebie więcej niż my w Wiśle, a trener Lenczyk nie potrafi zapanować nad wymienionymi graczami.

Spadek stał się faktem na dwie kolejki przed końcem, po zremisowanym meczu z Górnikiem Wałbrzych. Wyszperałem ostatnio wycinek z „Gazety Krakowskiej”, wiele mówiący o tamtych czasach:

Jak to się stało, jak doszło do tego, dlaczego tylko zremisowali – pytają kibice „Białej Gwiazdy”, daremnie szukając odpowiedzi. Wiadomo im bowiem, nie tylko zresztą im, że u nas w sporcie wyczynowym dzieją się różne cuda, że niekiedy o losach zespołów, zawodników, decydują układy, że wiele spotkań jest reżyserowanych. Dlaczego działacze Wisły nie potrafili „załatwić” w Wałbrzychu zwycięstwa? Czy nie można było wygranej kupić,

a jeżeli nie było pieniędzy na to, to chociaż wyprosić. Przecież zwycięstwo w Wałbrzychu pozwalało zachować szansę na uratowanie drużyny, jeszcze można było przynajmniej mieć złudzenia. A górnikom ten wczoraj uzyskany punkt nic nie dał.

„Dlaczego nie kupiliście?” – z takimi pretensjami wyskakiwali dziennikarze. Czyż to nie żalosne? Z drugiej strony – celne. W sumie racja – dlaczego w lidze, w której w końcówce sezonu na każdym stadionie odbywały się transakcje kupna i sprzedaży, Wisła nie walczyła o byt wszystkimi możliwymi sposobami? Ano dlatego, że jej los wszyscy w klubie mieli głęboko w dupie, a zarówno w gabinetach, jak i niestety w piłkarskiej szatni przesiadywali ludzie nieudolni pod każdym względem. I oni ten mecz kupić próbowali, naprawdę próbowali, tylko... nie potrafili. Nie dali rady nawet załatwić spotkania o życie. Gdyby wysłać ich do apteki po lekarstwo na ból brzucha, przynieśliby plaster i szczoteczkę do zębów.

Teraz tak sobie myślę, że od 1978 roku „Biała Gwiazda” stopniowo wytracała impet i płynęła w przypadkowym zupełnie kierunku. Prędzej czy później, niesterowana, przypominająca opuszczony okręt, musiała osiąść na mieliźnie lub też po prostu rozharatać kadłub o sterczące z dna skały.

Zostały dwa mecze o pietruszkę – z Bałtykiem Gdynia i Górnikiem Zabrze. Bałtyk bardzo potrzebował zwycięstwa. Przyjechał do mnie bramkarz przeciwników, Andrzej Czyżniewski, którego dobrze znałem ze zgrupowań kadry. Poinformował, jak wygląda sytuacja i jak ważne jest to spotkanie dla jego zespołu. Rozmowie przysłuchiwali się też inni zawodnicy z Gdyni.

– Słuchaj, „Czyżyk”, ja nic ci nie pomogę. Jestem zawieszony, w tym meczu też nie zagram, nie mam głowy do takich spraw. Jak chcesz, to zawiozę cię do Janka Jałochy i Michała Wróbla. Powiesz im, co i jak.

Zawiozłem i wróciłem do siebie. Po przebiegu spotkania – które Bałtyk wygrał 3:2 – zorientowałem się, że osiągnęli porozumienie.

Tu krótki wypad do przyszłości. Przenieśmy się wprzód o kilka albo kilkanaście dobrych lat. Wspominałem dawne czasy z Jankiem i Michałem.

Mówię do Janka Jałochy:

– Ja nic nie chcę i nic nie chciałem, ale... dziwię się, że nie wpadliście na pomysł, by odpalić mi cokolwiek. Tylko po to, żebym nic nikomu nie powiedział. Nie baliście się, że wygadam? Że was wsypię?

Na to Michał Wróbel, pewny siebie:

– Odpaliliśmy ci działkę.

– Nie.

– Jak to nie? Odpaliliśmy. Pamiętam to dobrze. Specjalnie o tym rozmawialiśmy. Byłeś poza drużyną, ale kasa poszła.

– Nie, nie, Michał. Niczego nie dostałem.

– Pewnie zapomniałeś. Kasa poszła. Dostałeś tyle co każdy.

– Znasz mnie, mam dobrą pamięć. Mówię ci, że nie!

– Zaraz, zaraz. Janek! Janek miał ci dać. On wziął twoją część.

A Janek siedział obok, czerwony jak cegła. Mogłem się tylko śmiać.

1985 rok. Już wtedy zaczynałem pić za dużo i zbyt często. To były początki choroby alkoholowej. Frustracja spowodowana wynikami być może była powodem, a być może tylko pretekstem, by zaglądać do kieliszka. A być może żadnego powodu ani nawet pretekstu nie potrzebowałem, lecz jedynie z każdym rokiem zwiększałem dawki, ponieważ organizm coraz bardziej przyzwyczajał się do promili i coraz lepiej reagował?

Rok 1985 był więc moją katastrofą osobistą, a także moją katastrofą jako wiślaka. Nie czułem się na siłach, aby dać tej drużynie cokolwiek, nie byłem w stanie jej w jakikolwiek sposób podnieść. Sam siebie nie mogłem podnieść. Kiedy spadliśmy, byłem przekonany, że to koniec. Kiedy spadliśmy, powiedziałem sam sobie: kończę karierę. Miałem 25 lat, ale czułem, że to dobry moment. Żyłem w przeświadczeniu, że prześladowająca mnie kontuzja mięśnia dwugłowego, w połączeniu z odzywającym się co chwila Achillesem, stanowi wyrok. Od tej chwili, gdybym dalej chciał grać w piłkę, to tylko kiepsko, bardzo kiepsko albo fatalnie.

Jaką mogłem mieć motywację? Spadliśmy z ligi, mnie szwankowało zdrowie. Pieniądze? Nie potrzebowałem. Złotówki miałem, ale i tak

niczego z nimi zrobić nie mogłem. Co najwyżej przegrać w jakimś zakładzie czy w kasynie, bo niby po co innego mogłyby mi być potrzebne? I tak nie dało się niczego sensownego kupić. Mieszkanie? Miałem. Posiadanie dwóch było zabronione. Wyjazd zagraniczny – mrzonka. Puszczają z kraju dopiero po trzydziestce, a ja przecież nie dociągnę, bo niby jak? To jeszcze pięć lat. Mógłbym biegać po boiskach dla satysfakcji, dla fajnego życia, dla podziwu i splendoru. Tak, to wszystko by mnie kręciło, ale... ja nie byłem w stanie grać. Czułem się jak emeryt. Chciałem przyspieszyć – nie mogłem. Chciałem uderzyć na bramkę prawą nogą – też nie mogłem. To znaczy: jakoś tam przyspieszałem i jakoś tam uderzałem, ale to wszystko było ledwie namiastką dawnej siły.

W gruncie rzeczy wiem, co mogłem – mogłem się napić.

Przeżyłem w Wisłę chwile nie do zapomnienia, ale sposób, w jaki z niej odszedłem, boli do dziś. Po dziesięciu sezonach spędzonych na Reymonta wylądowałem na śmietniku historii. W dużym stopniu sam się o to prosiłem i wielkich pretensji ani nie mam teraz, ani nie miałem wtedy. Wiem tylko, że chociaż Wisłę kochałem nad życie, to należało z niej odejść wcześniej – dla własnego i dla jej dobra. Kraków, w którym znałem wszystkich i w którym wszyscy znali mnie, stał się miastem zbyt małym, zbyt przyjaznym i zbyt rozleniwiającym. Z każdym rokiem powiększało się grono znajomych, którzy przecież też mieli znajomych, a ci również mieli znajomych.

– Cześć, Andrzejku, usiądź na chwileczkę.

Ale ja nie potrafiłem z Wisły odejść. Teraz łatwo się mówi – trzeba było! Tylko że ja, gdybym nie został odstawiony, nigdy bym tego nie zrobił. Po dziesięciu sezonach rozegrałbym kolejne dziesięć: grając tak długo, aż wystarczyłoby mi zdrowia.

No dobrze, raz byłem bliski transferu – do Widzewa Łódź, w 1982 roku. Nawet wziąłem zaliczkę, zameldowałem się na Piotrkowskiej, wszystko było dograne, tylko... na mundialu odniosłem kontuzję. Kierownik łódzkiego klubu przyjechał do mnie do domu i przez kwadrans wiercił się w fotelu.

- Co, chcesz, żebym ci zwrócił zaliczkę? – spytałem w końcu.
- Nie wiedziałem, jak to powiedzieć!
- Jasne, tu jest ta kasa.

Wtedy trzeba było odejść. W 1985 roku sam z siebie nie potrafiłbym już tego zrobić. Wtedy Wisła nie była moim klubem piłkarskim. Była... stylem życia.

Nie szanowałem tego, co miałem, i nie szanowałem samego siebie. Brakowało mi klarownego celu. Dziesięć lat później piłkarz już wiedział: muszę grać jak najlepiej, bo w każdej chwili może zgłosić się zagraniczny klub i zaoferować bająnskie pieniądze. Po głowie każdemu chodziło: mogę pojechać do Hiszpanii i grać przeciwko Realowi albo do Włoch i zmierzyć się z Romą. A wtedy, w moich czasach, wyjazd możliwy był dopiero po skończeniu 30 lat. Austria Wiedeń namawiała, bym po prostu uciekł, chciała zapłacić Wiśle milion marek, ale jak można uciec z milicyjnego klubu? Jak można uciec, mając żonę i dziecko? Nie mam natury uciekiniera. Nie potrafiłbym się kryć. Nie potrafiłbym zerwać kontaktów z ludźmi, których lubiłem.

Jaki więc cel mógł mieć chłopak, który w wieku 17 lat wskoczył do pierwszej drużyny Wisły i wiedział, że wyjedzie najwcześniej za lat trzynaście? Cały ten czas miał spędzić w kraju, w którym zarabianych pieniędzy nawet nie mógł wydać i – co okazało się zgubne – każdą sprawę załatwiał się z flaszką w ręku. Nikt chyba nie zaprzeczy – gdziekolwiek się szło, to najlepiej z flaszką. Średnie wykształcenie w szkole dla milicjantów zdobywałem, ślęcząc z profesorem nie nad książkami, lecz nad kieliszkiem. Jak już wypiliśmy wszystko, powiedział mi, że zdałem. Wódka stanowiła środek płatniczy, ale też sposób spędzania wolnego czasu. Cały kraj chlał, a ja – zachęcany to z lewa, to z prawa – w szczególności. Miałem to w genach.

Powinieneś mieć w sobie więcej silnej woli! Byłeś sportowcem!

Tak, powinienem. Powinienem być jak Smolarek, Boniek albo Janas. Zdrowy, silny i zawzięty. Zdeterminowany i konsekwentny, długodystansowy w planach i zamierzeniach. Ale nie byłem. Plany miałem

co najwyżej na najbliższy tydzień, a z reguły – tylko na wieczór. Zdrowia brakowało, zawziętości – takiej codziennej, systematycznej, a nie od święta – oczywiście też. Po roku 1982 nie czułem już, że piłka może mi jeszcze cokolwiek dać, mecze wywoływały coraz mniej emocji, a przed każdym kolejnym sezonem w głowie miałem: najlepszy już był. Poważna kontuzja odbierała wiarę w sens całej tej ciężkiej pracy – bo po co ciężko pracować, jeśli efektem ma być skomplikowana operacja – a perspektywa spędzenia kolejnych siedmiu lat na meczach z Górnikiem Wałbrzych, Gwardią Warszawa czy Stalą Mielec nastrojała pesymistycznie.

Dlatego kradłem uroki życia. A co ma być – to będzie.

Mimo wszystko nie mam też zamiaru się biczować. Rozegrałem 199 meczów ligowych i zdobyłem w nich 69 goli, co jak na skrzydłowego jest moim zdaniem dorobkiem dobrym albo bardzo dobrym. Bardziej więc Wiśle pomogłem, niż zaszkodziłem, chociaż wiem, że tych meczów i tych goli mogło być więcej. Andrzej Iwan był wiślakiem i będzie na zawsze, nawet jeśli Wisła się go wyrzeknie.

Boli tylko spadek. Ale może to się musiało tak skończyć? Może Wisła potrzebowała odciąć się od drużyny z 1978 roku grubą kreską i zacząć wszystko od nowa?

ROZDZIAŁ XXI

GÓRNIK

Andrzej! Gdzie są pieniądze? – krzyknęła Basia.

– Jak to gdzie? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie, nie podnosząc się sprzed telewizora. – Tam gdzie zawsze, w kredensie!

Cały kredens mieliśmy wypełniony banknotami. Nigdy bym nie przypuszczał, że piłkarze w Polsce tyle mogą zarabiać, że tak zorganizowany może być polski klub i że pieniądze mogą nie mieścić się w zwykłej szufladzie. Wyjechałem na zachód. Niedaleko, bo tylko kilkadziesiąt kilometrów, ale na zachód – do Zabrza. Geograficznie i mentalnie to był ruch we właściwym kierunku.

Witamy w Górniku. Witamy. Kim ja w zasadzie byłem? Aha! Witamy cieślę dołowego, Andrzeja Iwana. Nasze górnictwo będzie miało z niego wiele pożytku. Kopalnia Szczygłowice nie posiada się z dumy.

Jan Szlachta, szef gwarectwa zabrzańskie, którego dziś nazwalibyśmy prezydentem klubu, spełniał każdą moją zachciankę. Już w Wiśle zdawało mi się, że zarabiam ogromne pieniądze, a było to przecież 12 tysięcy złotych. Górnik z miejsca dał mi 45 tysięcy plus wszystko inne, o czym tylko mogłem zamarzyć.

– Panie prezesie – zwróciłem się do Szlachty – chciałbym kupić wideo. Nie zna pan kogoś?

– Przyjedź jutro godzinę wcześniej na stadion.

Pojawiłem się zgodnie z planem i już z daleka zauważyłem stojącego przy samochodzie prezesa (pozwólcie, że tak go będę nazywał, mimo że teoretycznie prezesem wcale nie był). Wyróżniał się wysokim czołem, przechodzącym w świecąca łysinę, włosy rosły mu jedynie po bokach i już wtedy myślałem: „Tak będzie wyglądał podstarzały Grzesiek Lato”.

Szlachta na mój widok rozpromienił się jak zawsze, a następnie otworzył bagażnik.

– Masz! – Wyciągnął nowiutkie wideo.

– Jak mam to spłacić? – spytałem, wiedząc, że odtwarzacz kosztuje na czarnym rynku 1200 dolarów, a więc sumę astronomiczną.

– Andrzejku, niczego nie musisz płacić. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

A przecież potrzebowałem – na przykład samochodu. Bez zbędnego ociągania się pojechaliśmy do Rzeszowa po nowiutką ładę 2107. Był to model w Krakowie nieosiągalny i na ulicach wzbudzający zazdrość.

Trafiłem do innego świata.

To jak to jest? Myśmy w tej Wiśle nic nie wiedzieli? Myśmy nie zdawali sobie sprawy, jak funkcjonują inne kluby? Okazało się bowiem, że faktycznie żyliśmy w nieświadomości i zamiast upominać się o swoje, stawiać kolejne żądania i wymagać od klubu coraz lepszych warunków, po prostu graliśmy w piłkę, a wieczorem szliśmy roześmiani w miasto w przekonaniu, że niebawem nam się powodzi. W tym czasie zawodnicy Górnika – co właśnie odkryłem – kitrali kasę po kredensach, szafach, pawlaczach i wersalkach, w tych swoich Rybnikach czy Pilchowicach.

W Wiśle było tak, że jeśli chciałeś zarabiać więcej, to sam musiałeś to sobie wychodzić. Z Antkiem Szymanowskim nikt się nie mógł równać – jeden etat tu, drugi tam, trzeci jeszcze gdzie indziej. Pukał do różnych zakładów pracy, które – w ramach wdzięczności za wspaniałe przeżycia, których Antek dostarczył Polakom – wpisywały go na listę płac, sownie wynagradzały i jeszcze czuły się zaszczycone. Pierwsze mieszkanie wziął

na siebie, drugie na siostrę, trzecie na jeszcze kogoś innego. Kto jednak liczył tylko na klub, ten żył mniej więcej na tym poziomie, na którym żyłem ja: 12 tysięcy, czasami jakieś premie, krótkoterminowe umowy.

Dla mnie kasa – ze względu na brak możliwości spożytkowania jej – nie była ważna. Szwagra miałem cinkciarza i on za jeden dzień pracy płacił mi więcej, niż w Wiśle zarabiałem przez miesiąc. Nic nawet nie musiałem robić. Po prostu siadałem w samochodzie i trzymałem pieniądze. Jeśli przechodziła milicja, to grzecznie kłaniała się panu Iwanowi i nawet nie pukała w szybkę i nie zadawała głupich pytań. Ktoś taki jak ja był dla cinkciarza jak dżin z magicznej lampy. Spełniałem życzenia. Tylko, kurczę, to było takie nudne. Poszedłem raz, potem drugi i w końcu powiedziałem:

– Wiesz co, nie chce mi się siedzieć w aucie. A kasę sobie zostaw.

Górnik więc nie samymi pieniędzmi mnie oszołomił (choć nimi trochę też), ale całą organizacją.

Pierwszy mecz rozegrałem z Zagłębiem Sosnowiec, czyli ukochanym klubem towarzysza Edwarda Gierka. Szlachta traktował tę rywalizację prestiżowo. Jeszcze przed spotkaniem wszedł do szatni i ogłosił:

– Dzisiaj gracie o podwójną premię i oprócz tego płacę po pięć tysięcy złotych na głowę za każdą bramkę.

Pięć tysięcy za bramkę! Fiu, fiu! Widziałem, że chłopaki w myślach wszystko kalkulują. Mózgi pracowały, aż na skroniach dostrzec dało się pierwsze kropelki potu.

Nie wiem, czy ktoś do tyłu doliczył – wygraliśmy 6:0.

Zagłębie zostało zmiażdżone, strzeliłem dwa gole i dostałem owację na stojąco. Wielki piewca Górnika, Bolek Niesyto, przytulił mnie i powiedział:

– Tylko dwóch ludzi w historii dostało taką owację za debiut! Ernest Pol i ty!

Zwycięstwa w takich rozmiarach nie przewidywał nawet sam prezes – na głowę przypadło. 65 tysięcy złotych premii. Premii. Za zwykły mecz, z kiepskim przeciwnikiem! A w Wiśle miesięcznie miałem 12 tysięcy.

To było obłędne. Kiedy szliśmy na klubowy obiad – a klub zapewniał pełne, codzienne wyżywienie – mogliśmy wybierać z karty, w której

wypisano dwanaście dań. Dopiero wtedy zrozumiałem, dlaczego trener Hubert Kostka nie nosi pieniędzy – wszystko, nawet wodę mineralną czy papier toaletowy, brał z klubu. W klubie jadł śniadanie, obiad i kolację, a jak miał ochotę – to i podwieczorek. Nie potrzebował nawet złotówki, a jednak miał ich – ha! – pewnie całą piwnicę. Skoro ja trzymałem pieniądze w kredensie, to on potrzebował czegoś pojemniejszego.

Jak to się w ogóle stało, że zostałem cieślą dołowym w kopalni Szczygłowice?

Gdy Wisła postawiła na mnie krzyżyk, pogodziłem się z myślą, że w poważną piłkę to już grałem i teraz przede mną tylko bryndza. Tymczasem do Krakowa przyjechał Edward Socha, którego Marian Olejnik – legendarny kierownik Górnika – wprowadził w kulisy pracy.

– Może byś przeszedł do Zabrza? – spytał Edek.

Okazało się, że ktoś jeszcze we mnie wierzył.

Czy oni zdawali sobie sprawę, w jakim stanie jest mój organizm? Czy oni w ogóle brali pod uwagę, że trenerem Górnika jest Hubert Kostka – największy kat w całej lidze – i że ja tych jego obciążeń z pewnością nie wytrzymam? Czy w ogóle zapytali go o zgodę? Przecież ja i on to jak ogień i woda. Gdzieżby tam! Kostka ukręci łeb sprawie, jak tylko pojedę do Zabrza.

Ale pojechałem.

– To właśnie Kostka cię chce – poinformował mnie Socha.

Na miejscu błyskawicznie doszliśmy do porozumienia.

– Nasza oferta brzmi: 45 tysięcy miesięcznie.

– 45 tysięcy? – upewniłem się.

– Tak.

– Zgoda – ledwie wypowiedziałem to słowo, a już się na siebie wściekałem: „Głupku, trzeba się było targować! Trzeba było krzyknąć stówę! Jak dali 45 na dzień dobry, to 70 lekuchno było do wzięcia”. Ale zaraz, zaraz. 45? Toż to jak kosmos.

Można pomyśleć, że nie było ze mną wcale tak źle. Górnik w 1985 roku zdobył mistrzostwo Polski, a więc przeskoczyłem z ostatniej do pierwszej

drużyny w tabeli. Ktoś uznał, że Andrzej Iwan w Krakowie już się marnuje i że trzeba go stamtąd czym prędzej wyciągnąć. No tak, byłem dwukrotnym uczestnikiem mistrzostw świata, medalistą, jednak ztracałem pewność siebie. To ja się jeszcze w ogóle nadaję?

Ja i Górnik? Czyli miałbym dalej grać na poważnie? Tak... tak na serio? Z tym zdrowiem? Z tym stylem życia?

W sparingach grałemennie. Nawet w czasie meczów prześladowała mnie myśl: czy ja aby na pewno nie powinienem skończyć kariery? Zdawało mi się, że nie będę miał miejsca w podstawowym składzie i że Kostka jednak się mną rozczarował. Brakowało mi szybkości, dynamiki, zwinności. Ale co miałem zrobić? Przerwać grę i powiedzieć: „Panowie, przepraszam, mam 25 lat, ale jestem emerytem”?

Hmm, to by chociaż było szczere.

Zamiast się mazgaić, zacisnąłem zęby. W decydującym meczu sparingowym postanowiłem zamaskować braki szybkościowe. Kostka patrzył ze zdziwieniem, jak raz po raz obiegam przeciwnika, puszczając piłkę z jednej strony, a samemu ruszając z drugiej. To efektowny zwód, widowiskowy, stwarza złudzenie, że zwycięzca starcia dysponuje niebywałym wręcz odejściem. A wszystko tak naprawdę zależy nie od szybkości, lecz od wyczucia czasu. Za każdym razem łapałem rywala na wykroku, najpierw pozorując kopnięcie, a dopiero potem faktycznie zagrywając piłkę.

Wszystko potoczyło się w sposób zdumiewający. Pierwsza runda w Górniku Zabrze była... najlepszą w całej mojej karierze. Nie prezentowałem już atutów pozwalających grać w ataku lub na skrzydle, za to okazało się, że mogę dać drużynie bardzo dużo jako zawodnik trochę wycofany w stronę drugiej linii.

Rozkochałem w sobie publikę.

Przeskok względem Wisły był widoczny także na treningach. Tam, zgodnie z przypuszczeniami, Kostka aplikował niesamowite obciążenia. Robiłem wszystko bez mrugnięcia. Bałem się go. Nie lubiłem, bo to był chytry, wredny facet, ale bałem się, czułem respekt i szanowałem. Nigdy

wcześniej nie zdarzyło mi się, bym w czasie zajęć ćwiczył warianty stosowane później w czasie gry. Dziś jest to całkowicie naturalne, natomiast wówczas między treningami a meczami istniał absolutny rozdźwięk. U Kostki piłowaliśmy kolejne akcje, którymi posługiwaliśmy się w lidze. Potem, gdy w meczu nie skutkowałam improwizacja, wracaliśmy do schematów. Obcykane mieliśmy to do perfekcji. Jasne było, że Kostrzewa pójdzie z lewej strony i zejdzie do środka na klepkę. Wszystko toczyło się jak w rozegranej już wcześniej partii szachów. Pyk, pyk.

Kostka wprowadził też analizy wideo, ale puszczał głównie złe zagrania. Gapił się w ekran wzrokiem bazyliuszka, następnie odwracał się w kierunku piłkarzy – Leszka Brzezińskiego czy Tadka Dolnego – i syczał:

– Patrz, co, kurwa, zrobiłeś!

Wszyscy czuli się zastraszeni.

To był w gruncie rzeczy straszny typ. Kiedyś świetny bramkarz, ośmiokrotny mistrz Polski z Górnikiem, reprezentant kraju, finalista Pucharu Zdobywców Pucharów. Ten piłkarski fundament, dający mu status legendy, sprawiał, że Kostka z nikim się nie liczył. Sukinsyn chytry był do tego stopnia, że kiedy po latach prowadził Olimpię i kiedy zespół jechał na zgrupowanie do Kamienia, potrafił powiedzieć:

– Panowie, pokażę wam, gdzie buduję dom!

Gdy autokar się zatrzymywał, Kostka odwracał się w stronę piłkarzy i wydawał polecenie:

– Skoro już tu jesteśmy, to przerzućcie mi cegły i worki. O, w tamto miejsce!

Zdarzało się jednak, że na tym monumentalnym pomniku pojawiały się ryski. Wracał kiedyś zespół z Gdańska, oczywiście w pociągu rąbało się w karty. W przedziale obok Kostka przegrał z Sochą 10 tysięcy złotych, więc dla rozładowania się wpadł do nas – zawodników – i zaczął wrzeszczeć:

– Co wy tu robicie?! Dlaczego nie śpicie?! Kara! Kara!

Pech chciał, że Janek Urban dostał bezpodstawnego ataku śmiechu.

– Kara!

- Buaha, ha, ha, ha!
- Kara!!! 10 tysięcy!
- Ha, ha, ha, ha, ha, ha! – Janek już niemal leży na ziemi.
- Co ty ryczysz? 25 tysięcy kary!
- Ha, ha. Nie mogę. Ha, ha, ha, ha. – Janek się śmieje jak głupi.
- 50 tysięcy!!! 50 tysięcy kary!!! – wydarł się Kostka.

Janek w końcu zdołał opanować śmiech na tyle, by cokolwiek powiedzieć, chociaż może lepiej, gdyby jednak nie mówił nic:

- Trenerku, w ząbkach te pieniądze przyniosę.
- Co?! 50 tysięcy kary!!! Nie słyszałeś?! – kipiał Kostka.
- Słyszałem, ha, ha! Mówię, że jutro w ząbkach przyniosę.

Kostka dostawał drgawek na myśl o kupieniu obiadu za własne pieniądze, a tutaj miał przed sobą Jasia, na którym kara w wysokości 50 tysięcy złotych nie zrobiła najmniejszego wrażenia. W ząbkach przyniesie! I jeszcze rechocze!

Trzeba przyznać, że był Kostka profesjonalistą, trenerem nieprzyjemnym, ale przygotowanym do zawodu. Gdy graliśmy mecz Pucharu Polski, nakazał Jasiowi Losze przywiezienie specjalnych butów na śnieg, dzięki czemu wygraliśmy z ŁKS-em aż 6:0. Tym bardziej mnie dziwi jedna sytuacja... We wrześniu rozgrywaliśmy pucharowy dwumecz z Bayernem Monachium. U siebie – a dokładnie na Stadionie Śląskim – w obecności 50 tysięcy widzów przegraliśmy 1:2. Wiadomo, nasze szanse na awans zmalowały i to bardzo.

Niemniej nie spodziewaliśmy się, że jako pierwszy na tej rywalizacji krzyżyk postawi sam trener. Dzień przed rewanżem Kostka w Monachium zaaplikował nam morderczy trening. Taki, po którym organizm naprawdę długo dochodzi do siebie, na pewno dłużej niż 24 godziny. A dodatkowo posłał nas jeszcze na Oktoberfest i pozwolił wypić po dwa litrowe piwa, co już w ogóle w normalnych okolicznościach u Kostki nie mieściło się w głowie.

Dzień później graliśmy naprawdę świetnie. Do przerwy było 1:1 i Niemcom zajrzał strach w oczy. Brakowało nam tylko jednego gola do

dogrywki. I wtedy. Tak, właśnie wtedy odcięło nam prąd, nogi zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Trening zaaplikowany w Monachium dzień wcześniej dał o sobie znać i w ostatnich dwudziestu minutach nie byliśmy w stanie nawiązać walki. Bayern rozsmarował nas – 4:1. Po klubie chodziła później plotka, że Kostka chciał przypodobać się komuś ze strony niemieckiej. Plotka niezweryfikowana.

Aby zamknąć temat Huberta Kostki, trzeba napisać, dlaczego odszedł z Górnika – a przecież odszedł mimo pasma sukcesów. W tym momencie należy się przyjrzeć... kwitnącemu w tamtych latach przemytowi.

ROZDZIAŁ XXII

PRZEMYT

W 1975 roku niespodziewanie dla samego siebie znalazłem się... w Duszanbe. Jest to brzydkie, zaniedbane, szare miasto w Tadżykistanie. To znaczy, wyobrażam sobie, że dziś jest brzydkie, zaniedbane i szare. Wtedy było po prostu obrzydliwe, ponure i przerażające. Sam Tadżykistan, przyklejony do Chin, był wówczas jedną z republik radzieckich, zdaje mi się, że jedną z najbardziej zapomnianych.

Nie tak dawno natrafiłem na wywiad z Klausem Augenthalerem, słynnym niemieckim piłkarzem, mistrzem świata z 1990 roku. Zapytano go, co z całej kariery zapadło mu w pamięci. Odparkł:

– Turniej w Duszanbe, w 1975 roku.

A więc byliśmy tam razem, Klaus!

Jako juniorska reprezentacja Polski zostaliśmy zakwaterowani w tym samym hotelu co kadra RFN, chociaż z jakiego klucza tam – na końcu świata – znaleźli się Niemcy i to ci z zachodniej strony muru, tego nie jestem w stanie pojąć. W każdym razie oprócz tych dwóch drużyn, stawiała się też kadra ZSRR, z bramkarzem Saszą Nowikowem, który siadywał w oknie i wspaniale grał na gitarze – tak wspaniale, że schodzili się ludzie, żeby tych magicznych dźwięków i rzewnych rosyjskich melodii posłuchać.

*Minuty powoli odpływają w dal
Na spotkanie z nimi już nie czekaj,
I chociaż nam przeszłości odrobinę żal,
Lepsze, oczywiście, jest przed nami.*

Czasami dane im było w spokoju podziwiać talent Nowikowa, a czasami nastrój pryskał, bo znienacka podjeżdżały trzy gaziki wypełnione milicją. Funkcjonariusze wysypywali się z samochodów, a potem... dawaj! Pałowanie i aresztowania.

Ale schodzili się też ludzie w okolice hotelu w innym celu, nie tylko by słuchać muzyki. Wypytywali: „Macie dzinsy? Macie gumy do żucia?”.

Zaprezentowałem raz dzinsy – swoje, znoszone – by sprawdzić, co tak naprawdę mogę za nie dostać. Wierzcie lub nie, ale w czasie swoistej licytacji zdarzało się, że ktoś wyjął sztuczną szczękę, pełną złotych zębów. Złote zęby w zamian za dzinsy! Co tam! Złote zęby w zamian za gumę do żucia! To dopiero przebitka. Ostatecznie szczęki nie chciałem, to jednak trochę obrzydliwe, więc wziąłem ogromny złoty sygnet.

Ale takie było Duszanbe i takie były czasy. Słyszałem, że jak w Moskwie kanadyjscy hokeiści rzucili w tłum gumy, to ludzie się tratowali.

Poznałem wtedy w Tadżykistanie cudną blondynkę. Wraz z Piotrkiem Figlem w parku zauważyliśmy dwie niewiasty i szybko nawiązaliśmy dialog. Mówią:

– Wpadnijcie do nas, posłuchamy muzyki.

Nam nie trzeba było dwa razy powtarzać. Na miejscu jeszcze nie zdążyliśmy usiąść w ciasnym, klaustrofobicznym mieszkanku, a już ktoś zapukał do drzwi. Natasza, bo tak przyprawiająca o zawrót głowy blondynka miała na imię, wyszła, by po dwóch minutach wrócić cała we łzach.

– Niestety, musicie wyjść.

Nigdy więcej jej nie widziałem.

To był kraj pełen represji, a kontakt z obcokrajowcami należało ograniczać do minimum. Kiedy jechaliśmy na mecze, specjalnie do tego wynajęte osoby dbały, by firanki w autokarze były zasłonięte. Odsunąłeś –

podchodził człowiek i zasuwał. Odsunąłeś raz jeszcze – bez słowa zasłaniał ponownie. I tak przez całą drogę mógł kursować w tę i z powrotem, grzecznie, ale stanowczo pilnując firanek. Ten kraj był... wizualnie oceniany. Przypominał Koreę Północną, w której też swego czasu wylądowaliśmy. Tam pewnie po raz pierwszy usłyszałem pytanie, które później śniło mi się po nocach:

– Do kogo należy pokój numer.

I tu zawsze padał numer mojego. Jak na złość – zawsze mojego!

Kiedy ktoś pytał, do kogo należy któryś z pokoi, od razu wiedziałem – na pewno mój, na pewno zarzygany, albo coś zostało urwane, zdewastowane czy po prostu popsute. Mur-beton.

Wtedy w Korei Północnej wraz z Krzyśkiem Budką kupiliśmy wódkę zmijówkę. W hotelu zawinęliśmy ją w papier i schowaliśmy do szafy. Niestety, pokojem musiała zająć się sprzątaczką i... bidulka zemdląca. Powód: wódka zawinięta była w gazety z podobizną Kim Ir Sena. Wobec takiego potraktowania Wielkiego Wodza układ nerwowy sprzątaczkę odmówił posłuszeństwa, jakiś wewnętrzny bezpiecznik musiał się przepalić. I padła na miejscu.

Sorry, Kim! Nie wiedziałem, żeś taki czuły.

Dobrze, ale po co, Andrzeju, o tym w ogóle piszesz? – zapytacie. Powoli, cierpliwości, wszystko się zaraz wyjaśni.

W 1975 roku cała drużyna wracała z Duszanbe w dresach, za to ze złotem, ponieważ wszystkie pary dżinsów zostały sprzedane. Z czasem zgrupowania czy w ogóle jakiegokolwiek zagraniczne wyjazdy stawały się pretekstem do handlu. Podczas obozów w Jugosławii zdarzało się, że niektórzy spali na podłodze, ponieważ... na łóżku mie li rozłożony sklepik. Zwłaszcza Andrzej Targosz z Wisły nie widział problemu w tym, by przekimnąć się na dywanie i tym samym umożliwić personelowi hotelu nocne zakupy. Co potrzeba? Kremy Nivea?

Nie brakowało wpadek. Kiedy jako Wisła lecieliśmy na mecz pucharowy z Fortuną Sittard, zgłosił się do nas zaufany człowiek:

– Bierzcie jak najwięcej towaru. Wszystko kupi od was moja ciotka, która mieszka w Holandii. Przyjdzie do hotelu.

No to – co kto uniesie. Ja – pięć kurtek z lisów i srebro. Na miejscu jednak nikt się nie zgłosił, sprzedać towar tak po prostu było trudno, a i czas naglił, bo przecież my nie na stragan, tylko na stadion! W efekcie niemal wszystko rozdałem, głównie... dziennikarzowi „Przeglądu Sportowego”. Niech ma. Ja się z handlu ostatecznie wyleczyłem, ewidentnie nie miałem smykałki. W czasie tego samego wyjazdu, zadziwił mnie Budka, który już na miejscu podał mi swoje buty. Jezu, ile one ważyły! Jak on w ogóle się poruszał? Wojskowe glany przy jego niepozornych, słomkowych pantoflach były lekuchne jak kłapeczki dla dziecka.

– Co jest, „Budkin”? Co to za buty?

– Zaraz ci pokażę.

Krzysiek odchylił podeszwę i okazało się, że buty ma wypełnione dwudziestodolarowymi monetami, które musiał chyba wykopać z ogródka. Skarb rodzinny czy co? Miał takich monet kilkadziesiąt, więc w polskich warunkach była to istna fortuna. Problem polegał jednak na wymianie monet na jakiś bardziej tradycyjny środek płatniczy. Tylko jak? Spróbowaliśmy najbardziej klasycznie – w Sittard poszliśmy do banku, gdzie łamanym angielskim zdołaliśmy dojść do porozumienia. Pracownik poinformował nas, że będzie zmuszony wysłać monety do Amsterdamu do ekspertyzy, by tam je sprawdzono i zakwalifikowano do odpowiedniej grupy.

– Możecie przyjść jutro? – spytał.

– Jutro... A o której?

– A o której możecie?

– Wieczorem mecz. Rano.

– Dobrze, rano.

Handel rządził się swoimi prawami. Do NRD jako juniorzy braliśmy piłki, które dostawaliśmy w Polsce za darmo. Można było zgarnąć po dziesięć marek za jedną. W Skandynawii schodziła wódka albo spirytus. Tam, gdzie mieszkali Polonusi, brało się kryształy i wyroby z Cepelii. Oczywiście często korzystnie było wymienić się na inny towar. Na przykład w NRD – na czosnek, który w Polsce był wówczas bardzo drogi. Każdy

wyjazd poprzedzony był biznesową analizą: co zabrać i co przywieźć? W Wiśle brylował Jasiu Adamczyk, w Legii Zbyszek Kakietek, a w skali całej Polski najbardziej obrotni byli zawodnicy z Wybrzeża. Zawsze na czasie – co, gdzie i za ile.

Sporadycznie pojawiały się problemy na lotniskach. Raz ktoś zakapował Oresta Lenczyka i cofnięto go z granicy – zarzut: przemyt radia. Innym razem do kontroli wezwano Michała Wróbla. On, nerwus, człowiek bezpośredni, oczywiście zaraz dostał prądów. Patrzył się więc, jak celnik grzebie w jego rzeczach, z daleka było widać, jak Michał powstrzymuje wybuch gniewu.

– A tu co? – Celnik wyciąga z nogawki spodni lisa.

I szuka dalej.

– A tu co? – Celnik wyjmuje drugiego lisa.

I nie odpuszcza.

– A tu co? – Z kolejnych spodni wygrzebuje... wiertarkę.

– Kurwa, nie róbże pan obciachu! – eksplodował w końcu Wróbel.

Podobna scena rozegrała się, gdy jako reprezentacja Polski odlatywaliśmy na finały mistrzostw świata w 1982 roku. Nie mieliśmy prawa wywozić pieniędzy, a każdy z nas chciał mieć trochę na drobne wydatki – więc kto tylko mógł, ten upychał w różnych skrytkach walutę. W sali odpraw, już zadowoleni, siedzimy we czwórkę: z Młynarczykiem, Bońkiem i Skrobowskim.

– Udało się, nie znaleźli.

– Gdzie miałeś?

– Tutaj. – „Młynarz” pokazuje na jakąś malutką kieszonkę.

– A ja miałem w skarpetce! – z dumą obwieszcza uśmiechnięty Zbyszek Boniek i pokazuje palcem na stopę.

– O, skoro pan miał w skarpetce, to proszę ze mną – odzywa się nagle elegancko ubrany mężczyzna, który zdawał się nam przypadkowym podróżnym, czekającym na lot, tak samo jak i my.

Służby. I już przestało być śmiesznie.

Gdy Zbyszek został wyprowadzony, zaczęliśmy kreślić najgorsze scenariusze. Już był zawodnikiem sprzedanym do Juventusu, więc być może transfer zostanie zablokowany? A może mu odpuszczają, bo w końcu lecimy na mundial? Tak, odpuszczają, na pewno. Afera na Okęciu już nas nauczyła – oni nie odpuszczają. Dopiero co Boniek wrócił do kadry, a teraz – za kasę upchniętą w skarpetce – miałby z niej znowu wylecieć? Ostatecznie najedliśmy się nerwów, ale musiała interweniować góra, ponieważ sprawa rozeszła się po kościach.

Hubert Kostka nie miał tyle szczęścia.

Ten rozdział jest tak naprawdę o tym, dlaczego pracę w Górniku stracił Hubert Kostka. Zdaje mi się, że mało kto wie o powodach rozstania się z tym trenerem. Nawet nie dam sobie głowy uciąć, że wie o nich główny zainteresowany. A było tak.

W lipcu 1985 roku Górnik leciał na mecz Pucharu Intertoto do Danii. Oczywiście każdy zabrał ze sobą towar przeznaczony na sprzedaż, w tym wypadku – wódkę. Po litrze na głowę. Jeden z zawodników, Joachim Klemen, nie zmieścił się w limicie, wziął niestety zbyt dużo i powstało małe zamieszanie. Klemen głośno zastanawiał się, czy płacić cło za dodatkowe butelki, czy też zostawić wódkę na granicy, próbował też targować się z celnikami. W tym czasie kolejka rosła i rosła. A w kolejce – Kostka.

– Klemen, jo ci pokoże, zoboczysz! Nie wolno!

Kostki każdy bał się jak ognia, więc ostatecznie Klemen spanikował i wódkę zostawił – byle tylko usunąć się z oczu wściekłego sapiącego za plecami trenera.

Wreszcie do kontroli podszedł sam szkoleniowiec. Celnik otworzył walizkę Kostki, a w niej... hmm... a w niej... no, zapasy na dobre polskie wesele. I na poprawiny. Konkretnie: pięćdziesiąt pięć butelek. Pięćdziesiąt pięć! Wyobrażacie to sobie? Trener nie zabrał chyba żadnych rzeczy osobistych, jedynie wódkę na handel. I jeszcze stanowczo oświadczył, że towaru ani nie zostawi, ani też nie zapłaci cła. Jak trzeba – niech płaci przedstawiciel Aarhus, czyli naszego duńskiego przeciwnika.

Wysłannik Aarhus faktycznie zapłacił, ale Górnik musiał mu później te pieniądze oddać. Jan Szlachta powiedział wtedy mnie i Jankowi Urbanowi, bo nas dwóch wyjątkowo sobie upodobał:

– To ostatni sezon Huberta. Mam już tego dość, ciągle to samo.

ROZDZIAŁ XXIII

ZABRZANIE

W barwach Górnika Zabrze trzykrotnie zostałem mistrzem Polski, więc winny jestem specjalny rozdział zawodnikom, dzięki którym te sukcesy mogłem osiągnąć. Nie mam wobec nich takich uczuć jak wobec wiślaków, byli to dla mnie głównie znajomi z pracy, lecz znajomi, z którymi łało się tę ligę non stop. Natomiast przyjaźniłem się – w pełnym tego słowa znaczeniu – z Jankiem Urbanem i nikiem więcej.

Bramkarzem Górnika był **Eugeniusz Cebrat**, chociaż załapałem się tylko na jego końcówkę, a to dlatego, że Hubert Kostka uparł się, by z Ruchu Chorzów ściągnąć Józka Wandzika. Początkowo jednak Wandzik pozostawał w zawieszeniu: między klubami wybuchła awantura i Ruch nie godził się na przekazanie karty zawodniczej. Józek z nami trenował, a w meczach występował Cebrat.

Lepszy był Gienek. Moim zdaniem był to kapitalny bramkarz, który swoimi interwencjami w sezonie 1982/83 uratował Górnikowi ligę. Nie wiem, czemu Hubert tak bardzo napalił się na Wandzika, ale jako że sam był w przeszłości wybitnym bramkarzem, pewnie dostrzegał coś więcej niż ja. Bo ja – jeśli mam być szczerzy – Wandzika bym do bramki nie wpuścił, za to trzymałbym w niej Cebrata, jak długo tylko się da. Był to twardy

mężczyzna, ale pocieszny, mówił gwarą, nie wylewał za kołnierz i nie bał się ciężkiej pracy.

Opowiadano mi, jak po latach pojechał na testy do Bochum. Gienek – jak to Ślązak – kilka słów po niemiecku znał, potrafił się jako tako dogadać. Między jako tako a dostatecznie jest jednak jeszcze bardzo duże pole, które zapisać można najprzeróżniejszymi wpadkami. W czasie owych testów, gdy trenowano dośrodkowania, trener powiedział:

– Jak wychodzisz do piłki, krzyknij „leo”.

„Leo” – krótkie słowo, z niczym nie może się pomylić. W Polsce bramkarze wrzeszczą „moja”. Tam Gienek miał krzyczeć „leo”.

Trener instruował:

– „Leo”, krzycz „leo”.

A Cebrat na to z uśmiechem, z jakim wita się długo wyczekiwanych gości, z typowo polską serdecznością:

– Nie Leo. Eugenius! Eugenius!

– *Nein, nein, nein.* „Leo”! – Zrezygnowany trener pokazywał gestem, że chodzi o łapanie piłki.

– *Nein, nein, nein.* Eugenius – sprostował grzecznie Cebrat.

Gienek odpowiadał w Górniku za kwestie kulturalno-oświatowe, czyli – jako starszy zawodnik – zajmował się organizacją przyjęć i imprez, np. piłkarskich wkupnych. To on decydował, gdzie i kiedy mamy się spotkać, kto stawia i z jakiej okazji. Należało zachować szczególną ostrożność, ze względu na Huberta Kostkę, który alkoholu nie tolerował, o ile nie był to alkohol przeznaczony na handel (zwłaszcza własny).

Kolejny bramkarz – wspomniany **Józef Wandzik** – trochę podzielił szatnię, ponieważ nie brakowało zawodników przywiązanych do Cebrata i uważających, że to Cebratowi należy się miejsce w składzie. Józek bowiem był trochę niezgrabny, o dziwnej budowie, nienaturalnie długich nogach. Nawet jak bronił – a przecież świetnie bronił – to jednak cierpiała na tym estetyka. Przy tej sylwetce, sugerującej potrzebę spędzenia godzin na korektywie gimnastycznej, przy tych nogach, przypominających sękatę szczudła, Józek świetnie grał w piłkę i w czasie treningów bardzo chętnie wchodził jako zawodnik z pola. Wówczas. strzelał bramkę za bramką. Nie

to, że strzelał od czasu do czasu. Nie! Strzelał non stop. Jak maszyna. Niezgrabnie, oczywiście, ale strzelał. Myślałem sobie: „Jezu, przecież on jest groźniejszy niż Zgutczyński!”.

Ja – ponieważ dołączyłem do Górnika w roku 1985 – akceptowałem Józka w większym stopniu niż część starszych piłkarzy, przywiązanych do poprzednika. Nie miałem też specjalnych powodów, by go nie lubić. Był to chłopak miły, starający się zjednać sobie pozostałych graczy, chociaż nie miał charakteru pozwalającego zostać duszą towarzystwa. Później doczekał się ksywy „Piterek”, ponieważ ilekroć przychodziło do płacenia w knajpie, zaczynał nerwowo kręcić głową, aż w końcu przeprasząco mówił:

– Zapomniał żem piterka!

Obrońcy... **Bogdan Gunia** nie miał warunków fizycznych (175 centymetrów wzrostu), za to końskie zdrowie i mógł biegać od rana do wieczora. Chłopak z Małopolski, więc znaleźmy się jeszcze ze zgrupowań kadry województwa krakowskiego, kiedy grał w Hutniku Trzebinia. Miał niespotykany... smak – robił sobie słabiutką kawę (z niecałej łyżeczki), a następnie słodził ją dwunastoma łyżeczkami cukru albo dwudziestoma kostkami. Jakim cudem był w stanie to przełknąć, nie wiem. Kolejni w defensywie – grzeczni i ułożeni: **Józek Dankowski**, **Joachim Klemenz** i **Marek Piotrowicz**. Marka Kostrzewę zapamiętałem sobie jeszcze z czasów, gdy występował w Avii Świdnik. Wraz z innymi zawodnikami z Wisły, pokazywaliśmy go sobie palcami jak dziwadło – Marek biegał jakby był kulawy (bo chyba faktycznie jedną nogę miał troszkę krótszą), ale przede wszystkim zwracał uwagę nienaturalnie napompowaną klatką piersiową. Na chudych nóżkach poruszał się facet, którego klata przypominała wielkie bochny chleba i zdawało się, że to nie może być prawda, że to... postać z kreskówki. Później, już w Zabrze, Marek chyba popracował nad mięśniami nóg i wtedy muskulatura górnych partii ciała już tak nie rzucała się w oczy, przynajmniej nie w sposób szokujący. Muszę przyznać, że Kostrzewa był obrońcą wyjątkowo nieprzyjemnym dla przeciwników, grającym ostro, a momentami bardzo brutalnie, ale też był to zawodnik nowoczesny, potrafiący włączyć się do akcji ofensywnej

i potrafiący rozegrać piłkę. Jako jeden z niewielu mówił czysto po polsku, bez żadnych śląskich naleciałości – a to dlatego, że pochodził z Lublina.

Na prawej pomocy grał **Marek Majka**, dość mrukowaty gość, chociaż czasami – zwłaszcza gdy coś przyjął – stawał się rozmowny. Był to świetny zawodnik, aczkolwiek w skali kraju niedoceniany. Chudziutki, ale rewelacyjnie wyszkolony technicznie, z niebywałym zmysłem do zводу na zamach – i to na jedną i drugą nogę. Potrafił zresztą dośrodkowywać i walić z lewej i z prawej, bez różnicy, dlatego też zdobywał sporo goli i regularnie notował asysty.

Na środku mieliśmy **Ryśka Komornickiego** – marudę. Tym smęczeniem przypominał mi trochę Antka Szymanowskiego: obaj ciągle coś sobie mruzcili pod nosem, narzekali na pogodę, trenera, kolegów, samochód, przeciwnika, poprzedni mecz, następny mecz, święta, telewizję, dziennikarzy, prezesa, ceny, sąsiadów, mieszkanie, jedzenie. Narzekali na wszystko, co w przypadku „Koko” wzbudzało śmiech – nikt się tym jego zrzędzeniem nie przejmował, wręcz podpuszczano go, podsuwano nowe tematy, by tylko dać pretekst do kolejnej litanii żalów. Piłkarsko był to zawodnik bardzo dobry, chociaż przeznaczony do czarnej roboty, zwłaszcza od momentu, gdy przyszło mu grać ze mną. Jako że ja nie zaprzętałem sobie specjalnie głowy zadaniami defensywnymi, Rysiek musiał pracować też za mnie, co robił w sposób fantastyczny. Znakomicie czuł futbol, czytał zagrania przeciwników, notował mnóstwo przechwyty i szybko przenosił grę do przodu.

Następny do kolekcji – **Werner Leśnik**. Leśnik to nazwisko, a nie zawód. Wyjątkowo sympatyczny chłopak i ciągła ofiara żartów. Kiepsko mówił po polsku, w związku z czym ciągle powtarzaliśmy, że na ścianie w domu dla niepoznaki ma godło z białym orłem, ale już na odwrocie swastykę – a to także dlatego, że jego ojciec służył w Wehrmachcie. Werner był zafascynowany Niemcami i koniecznie chciał tam wyjechać. Po latach, kiedy już grałem w Bochum, przyjechał i szukał zatrudnienia

w jakimkolwiek klubie. Między testami pomieszkiwał u mnie. Jednego dnia troszkę popiliśmy i Werner zażyczył sobie rejsu po Renie. Pojechaliśmy do Kolonii, wchodzimy na statek, a Leśnik woła mnie z tyłu:

– „Ojwen”, ty, „Ojwen”. Jo chyba ciulna!

Pomyślałem – będzie rzygał! No trudno, co poradzę? Jak ma rzygać, to niech rzyga. Najlepiej – do wody.

– „Ojwen”, jo chyba ciulna!

– No to ciulnij!

No i ciulnął. Znaczy się – zemdłał. Człowiek poznaje nowe słowa przez całe życie.

Wielkim uznaniem cieszył się **Waldek Matysik**, o którym już w tej książce mieliście okazję poczytać. Było dla mnie ogromnym zaskoczeniem, że w Górniku zrobił się z niego taki karciarz, ponieważ w reprezentacji nie grał nigdy. A tu – zupełnie jakby był nałogowym hazardzistą. Graliśmy bardzo często, bardzo ostro, często do samej szatni, jeszcze przed meczem i często o stawki, które wielokrotnie przekraczały to, co za chwilę mielibyśmy podnieść z boiska. Po Waldku zawsze było widać, kiedy dostawał dobrą kartę – robił się blady, po chwili czerwony, włosy stawały mu dęba. Przypominał mi się wtedy szpital i ten zwichrowany, otumaniony Matysik leżący na łóżku z ręką w gipsie. Mówiłem sam do siebie:

– Tylko mi tu teraz nie zwariuj!

Fenomenalnym piłkarzem był **Janek Urban** – wtedy nasz lewy pomocnik. Razem przyszliśmy do Górnika, chociaż on za nieporównywalnie lepsze pieniądze. Chociaż... jak to w sumie policzyć? Wisła w zamian za sprzedaż mnie do Zabrze otrzymała nie tylko pieniądze, ale także awans do pierwszej ligi. W 1988 roku Jan Szlachta nakazał podlegającej mu Concordii Knurów odpuszczenie rewanżowego meczu barażowego o awans do ekstraklasy, właśnie w ramach wdzięczności za mój transfer. Grając więc w Wiśle, na sam koniec, spuściłem ją z ligi, a nie grając – pomogłem w awansie.

Wróćmy do Jasia, bo przecież zasługuje na to jak mało kto. Talentem mógłby obdzielić ze trzech innych, chociaż nie osiągnął tyle, ile w rzeczywistości mógł – i nawet fakt, jak bardzo ceniony jest do dziś w Hiszpanii, wcale mojej opinii nie zmienia. Widziałem bowiem na własne oczy, co z piłką potrafił zrobić Urban, widziałem jego gola zdobytego w Lublinie w spotkaniu z Motorem i muszę przyznać, że było to jedno z najpiękniejszych trafień, jakie przyszło mi w życiu podziwiać. Aż żal, że w Lublinie, a nie na Santiago Bernabéu, Camp Nou albo San Siro. Żal, że przeciwko Motorowi i nawet bez obecności kamer.

Magia.

Urban wziął piłkę pod podeszwę i przełożył pierwszego przeciwnika – i został w tym samym miejscu. Nadbiegł drugi, Janek zrobił dokładnie to samo, tylko lewą nogą – i znowu został w miejscu. Po sekundzie przełożył trzeciego – znowu podeszwą, i znowu został. Wreszcie na ten sam zwód, zmylił czwartego, po czym podniósł piłkę na stopę i po prostu... rzucił ją nad bramkarzem. Rzucił. No, a jak to inaczej nazwać? Przecież on tej piłki nie kopnął, tylko jakby grał w zośkę, cisnął prosto do siatki, wysokim łukiem.

Tworzyliśmy zgrany duet, nawet nasze rodziny się zaprzyjaźniły. Jaś to człowiek bardzo naturalny, bez jakiegokolwiek zawiści, pozytywny. Ale mimo całej tej wesołości, potrafił też czasami podejść do spraw chłodno i z odpowiednim dystansem. Przypominają mi się noce w czasie zgrupowań – często je zarywaliśmy, a to z powodu... gazety „Sport Śląski”. Kupowaliśmy ją tylko w jednym celu – rywalizowaliśmy, kto znajdzie w składach z niższych lig głupsze nazwisko, i zaśmiewaliśmy się do upadłego.

Wraz z Jankiem byliśmy pupilkami Szlachty i dość szybko wykroczyliśmy daleko poza role zwykłych piłkarzy – zaczęliśmy w praktyce rządzić klubem, na przykład decydując, kiedy i gdzie należy jechać na zgrupowanie. Każda istotna dla drużyny kwestia przechodziła najpierw przez nas, a dopiero później przez trenera. Kiedy należało podzielić pieniądze – oczywiście robiliśmy to my.

Raz musieliśmy się z tego gęsto tłumaczyć. Górnik pojechał na turniej do Szwajcarii, tam wygraliśmy wszystkie mecze, w zasadzie masakrując przeciwników. Wszystkich nas chciano z miejsca kupić. Dodatkowo za zwycięstwo w rozgrywkach, otrzymaliśmy dewizy, które wraz z Jankiem podzieliliśmy między chłopaków. Gdy Szlachta się o tym dowiedział, wpadł w szal.

Mieszkał koło kopalni Makoszowy. Z zewnątrz jego dom bardziej straszył niż zachwycał, w każdym razie z pewnością nie przyciągał uwagi osób trzecich. Ale w środku... Ten niepozorny obiekt należący do kopalni w rzeczywistości skrywał prawdopodobnie najbardziej luksusowe wnętrze w tej części Polski. Nogi zapadały się w miękkich, głębokich dywanach, a wzrok wędrował po ścianach przyozdobionych obrazami najwybitniejszych polskich malarzy. Kiedy czytałem „Ojca Chrzestnego”, tak właśnie wyobrażałem sobie wnętrze posiadłości don Corleone. W wygodnym fotelu, za dębowym stołem, siedział nasz dobrodziej.

Szlachta wezwał mnie i Jasia, żeby wyprostować kwestię dewiz uzyskanych w Szwajcarii. Złotówek miał on bowiem tyle, ile zapragnął, natomiast waluta mogła mu się przydać w robieniu interesów na Zachodzie (później został właścicielem jednej z pierwszych linii autokarowych Euroline). Kazał więc nam pozbierać z powrotem dewizy od reszty drużyny, a on sam zobowiązał się przekazać nam nawet więcej, niż wynosiła równowartość tej sumy, tylko że w złotówkach.

– I więcej takich numerów mi nie wykręcajcie – poradził, ale już dobrotliwym tonem.

Sprawa została zapomniana. Razem z Jankiem mogliśmy wrócić do swoich zajęć, do których zaliczało się między innymi pomeczowe przesiadywanie w pokoiku na stadionie, który to pokoik zaadaptowaliśmy dla własnych celów. To była mała kanciapa gospodarza obiektu Piotrka Koniecznego, w której mogliśmy siedzieć do woli i do której prawie nikt inny nie miał w takich momentach wstępu.

Żał mi było **Ryszarda Cyronia**, ponieważ to był kapitalny zawodnik, z wybitną techniką, swobodnym dryblingiem, a... z miejsca wygryzłem go

ja i to głównie dlatego, że zostałem sprowadzony z zewnątrz. Teść Ryśka był komendantem policji w Zabrze, więc kłopotliwe sprawy mieliśmy w stu procentach poukładane i nie zdarzało się, by którykolwiek z nas zapłacił mandat. W ataku dysponowaliśmy też **Andrzejem Zgutczyńskim**, który jako zawodnik Bałtyku niesamowicie mi się podobał i nawet wraz z innymi zawodnikami Wisły namawialiśmy działaczy, by spróbować go ściągnąć do Krakowa. Wtedy się nie udało i... chyba całe szczęście. Gdy zobaczyłem Andrzeja na treningu, musiałem dojść do jedyne go słusznego wniosku – nie umie grać w piłkę. Ta nieumiejętność, co śmieszne, nie przeszkodziła mu wywalczyć tytułu króla strzelców polskiej ekstraklasy, ponieważ – że tak się wyrażę – strzelaliśmy całe worki bramek, wykorzystując w tym celu ciało „Zgutka”. Dzięki temu udało mu się nawet wyjechać do Auxerre, bo ilekroć Francuzi przyjeżdżali go oglądać – Zgutczyński w ten czy inny sposób pakował piłkę do siatki. Ale już we Francji przestał pakować w ogóle.

Za bardzo pożytecznego zawodnika uważałem też – podobnie jak wszyscy – **Andrzeja Pałasza**, którego jednak trochę obrzydził mi Antoni Piechniczek, na siłę ciągnąc go za uszy do reprezentacji Polski. Andrzej dysponował całą gamą zalet, ale zdecydowanie był to zawodnik na rozgrywki ligowe, a nie międzynarodowe. Trzymał się swojej grupy, swojego towarzystwa, próbował rządzić zespołem, do czego teoretycznie miał odpowiednie podstawy – jako wychowanek klubu, chłopak urodzony w Zabrze. Niestety, rządzić specjalnie mu nie wychodziło.

Zawodników mniej lub bardziej skutecznie pilnowali trenerzy. Huberta Kostkę zastąpił Lesław Ćmikiewicz, mój kolega z boiska, ale jako trener – totalne nieporozumienie. Gdybym miał scharakteryzować jednym zdaniem jego kadencję, napisałbym: próbował zgrywać twardziela, ale wszyscy mieli go w dupie.

Wystarczy przytoczyć sytuację, do której doszło we wrześniu 1986 roku, po przegranym 0:2 meczu z Anderlechtem w Brukseli. Belgowie

zaprezentowali poziom kompletnie dla nas nieosiągalny, zwyczajnie nas zeszmacili i odebrali jakąkolwiek chęć do grania w piłkę. Na drugi dzień – zrezygnowani i zdemotywowani – uznaliśmy, że uratujemy ten wyjazd, na ile to możliwe, czyli pójdziemy na miasto, pozwiedzamy, może zrobimy jakieś zakupy. W końcu wycieczka z Zabrza do stolicy Belgii nie trafiała się codziennie.

Ale Ćmikiewicz na to:

– Trenujemy!

Wtedy podpadłem po raz pierwszy:

– Leszek, co ty tu, kurwa, możesz zrobić? Jaki trening? Wszyscy chcą odreagować, zapomnieć o tym, jak nas powieźli. A ty będziesz jeszcze katował jakimś bzdurnym treningiem? Daj żyć.

Doszło do dyskusji.

– Kto nie chce iść na boisko i uważa, że nie powinniśmy trenować? – spytał Ćmikiewicz.

Ta sonda okazała się złym pomysłem, ponieważ w efekcie na treningu nie stawił się ani jeden piłkarz.

I tu uwidacznia się różnica między Kostką i Ćmikiewiczem. Kostce nikt by nie podskoczył. A Ćmikiewicz, chociażby pozował na szeryfa kręcącego na dużym palcu coltem, zdawał się nam w rzeczywistości wydmuszką. Brakowało mu naturalnej charyzmy, jakże niezbędnej w zawodzie trenera. Dodatkowo zdawało mu się, że pracując w Polsce, może zdać się na pełny profesjonalizm – zaczynając od takich głupot, jak to, że nie będzie nikogo pilnował w czasie rozgrzewki, że sami będziemy dbać o siebie w klubie i poza nim. Zawodowstwo? Oj, naiwny, naiwny...

Leszek nie miał jakichś fatalnych wyników, ale i tak zmienił go Antoni Piechniczek. Ta wiadomość musiała mi zmrozić krew w żyłach. Już się zastanawiałem: uciekać z Zabrza? Próbować zmienić klub czy machnąć ręką i nie grać w ogóle? Pamiętałem przecież tego trenera z kadry i nawet w najgorszych koszmarach nie zakładałem, że spotkamy się raz jeszcze. Facet, przez którego prawie skończyłem karierę w tak młodym wieku, tyran odbierający mi całą radość z grania w piłkę, ktoś, kim straszylem własne

dzieci. Jezu, dlaczego mnie tak pokarałeś? Co takiego zrobiłem? Świat jest tak wielki, a ja musiałem znowu znaleźć się w jednym miejscu z Piechniczkiem?!

I nagle – szok.

Piechniczek – o dziwo – okazał się zupełnie normalnym człowiekiem. O ile w reprezentacji go nienawidziłem, o tyle w Górniku przeszedł zdumiewającą odmianę. Przestał się chyba ścigać z kultem Kazimierza Górskiego, przestał na siłę gonić za sławą, zszedł na ziemię, znormalniał, okazał ludzkie oblicze. Już w pierwszym meczu – wyjazdowym, z Olimpią Poznań – strzeliłem przepiękną bramkę z rzutu wolnego, kierując piłkę w samiusieńkie okienko. Tak zaczęła się nasza owocna współpraca. Nie powiem, że prosta, ale problemy tym razem miał trener, a nie ja. Zastanawiałem się – może odczuwa wyrzuty sumienia za rok 1982 roku i dlatego traktuje mnie w sposób szczególny?

Stawiał mnie za wzór na treningach – a to dlatego, że umiałem zrobić salto, przewrót w przód i w tył i ogólnie imponowałem sprawnością gimnastyczną, co zostało mi jeszcze z dzieciństwa. Piłkarsko było już ze mną tak sobie i zdaje mi się, że sam Piechniczek to widział – że zawiódł się trochę i sądził, że okażę się lepszym zawodnikiem. Gdy obejmował kadre, liczył przede wszystkim na mnie, w Górniku zapewne też, ale szybko zorientował się, że... to już nie to. W sumie mógł mnie nawet odstawić, dawałem ku temu powody – bardzo wyraźne, o czym będzie dalej – ale jednak tego nie zrobił.

Kilka lat wcześniej nie podejrzewałbym się, że kiedykolwiek napiszę słowa: Piechniczek okazał się fantastycznym gościem...

ROZDZIAŁ XXIV

KOMUNIA

Czy piłem jako piłkarz Górnika? Pilnowałem się przez chwilę za czasów Kostki, a potem – oczywiście. Czy byłem alkoholikiem? Z pewnością. Nałóg złapał mnie w sidła jeszcze w Krakowie i nie puszczał także poza jego granicami. Mogłem wyzwolić się od towarzystwa, czasami destrukcyjnego, ale nie byłem w stanie uciec przed samym sobą i własnymi demonami.

W Zabrze osiągnąłem sukcesy, strzelałem gole, zaliczałem asysty, rozkochiwałem publiczność i wszystko to udawało mi się, choć byłem już uzależniony od alkoholu. Zionąłem wódą i wybierano mnie na Piłkarza Roku. Nie, nie grałem po pijaku, ale w tygodniu prowadziłem tryb życia ulicznego beja, a nie zawodowego sportowca. Staczałem się, o czym wiedzieli tylko nieliczni. Oficjalnie – byłem piłkarzem z samego topu.

Kiedy później zostałem zawodnikiem VfL Bochum, trener Hermann Gerland – dzisiaj członek sztabu szkoleniowego Bayernu Monachium – po pierwszym meczu, słabym, przegranym 0:3 z Borussią Mönchengladbach, postawił przede mną butelkę whisky, położył karton papierosów i powiedział:

– Rób to co w Polsce i graj jak w Polsce.

W Szkocji w szatni stało whisky, żeby przepłukać sobie usta w przerwie meczu – lepiej się oddycha. Po przepłukaniu można wypluć albo połknąć. Każdy robił, co chciał. Takie to były czasy.

A wszystko przecież zaczęło się w Krakowie.

Chłopaki na Wybrzeżu pili piwo. Na Śląsku chowali się i łoilili po domach. Gdy grałem w Górniku, to po meczu w Zabrze zostawialiśmy tylko ja i Janek Urban, a reszta jechała do swoich miasteczek. W Lubinie, jak mi opowiadał Krzysiek Budka, chłopaki szli do hotelu ze skrzynką wódki, zamykali się i lagowali do rana.

W Wiśle. W Wiśle wszyscy byli krakusami. Kiedy jeszcze tam grałem, piliśmy oficjalnie i non stop. Nie każdy tyle samo, zmieniało się towarzystwo, ale ja czułem się świetnie w każdym i płynąłem na fali, bez względu na otoczenie. Czasami w czasie meczu zastanawiałem się, jak będzie wyglądał wieczór. Nie – jak będzie wyglądała druga połowa, tylko wieczór.

Nie pił Antek Szymanowski, bo to wzór profesjonalisty, bardziej niż inni dbał o siebie też Adaś Nawałka, były jeszcze pojedyncze osoby trochę bardziej rozważne. Ale uogólniając – pili wszyscy, czy to klub, czy reprezentacja Polski. Bo zgrupowanie kadry zawsze zaczynało się od wieczorku zapoznawczo-refleksyjnego. Co tam w domu, co tam w klubie, omawianie kolejki, plotki. Obojętnie, kto był trenerem – piło się. Jacek Gmoch pozwalał, Rysiu Kulesza albo jechał do domu, albo wypełniał kartki pocztowe, co go pochłaniało bez reszty, i trzeba przyznać, że zawsze miał wypełnione najładniej. Piechniczek też nie zabraniał. Różne wtedy były szlaki. Jak Warszawa, to najpierw „Nimfa” albo „Rusałka”, a potem mrożona wódka w „Adrii”.

Nigdy nie grałem pijany. Raz – bardzo mocno nieświeży, kilka razy – na tęgim kacu. Nieświeży to na Górniku Zabrze, kiedy zdobyliśmy mistrzostwo Polski i czekała nas jeszcze ostatnia kolejka. Antoni Piechniczek uznał, że na pewno wszyscy się upijemy, więc dzień przed spotkaniem z Motorem Lublin zorganizował zgrupowanie. Jakby to ująć. To był strzał w stopę. Skrzyknięci w jedno miejsce zaczęliśmy melanz, który doprowadził do tego, że Motor wygrał w Zabrze 2:1, a jeśli Motor

z nami wygrał, to znaczy, że naprawdę musieliśmy być w opłakanym stanie. Z tego powodu to była dość nietypowa feta, ale jednak ciągle feta.

Tak – zdecydowanie zgrupowania nie były dobrym pomysłem. Przed meczem ze Śląskiem wypłem z nudów piętnaście piw, ale spokojnie wygraliśmy, w czym miałem swój udział.

Komunia córki. Ciąg alkoholowy miałem od poniedziałku.

Poniedziałek – piłem.

Wtorek – piłem.

Środa – piłem.

Czwartek – piłem.

Piątek – piłem.

Przez cały tydzień nie pojawiłem się w Zabrze na treningu, nie dałem też nikomu sygnału, co się ze mną dzieje. W zasadzie to nie musiałem, bo i tak każdy się domyślał. W niedzielę rano córka miała iść do Pierwszej Komunii, a po południu Górnik rozgrywał ważne spotkanie.

Do mojego mieszkania przyjechał trener Piechniczek, szukał mnie, trafił do żony.

– Pani Basiu, jak Andrzej przyjedzie, proszę powiedzieć, żeby się zameldował.

– Trenerze, ja nie gwarantuję, że on przyjedzie.

– Ale przecież komunia! Na pewno będzie.

– Może będzie.

W domu pojawiłem się w piątek. Momentalnie zjawił się też Piechniczek, wezwany przez Basię.

– Jedziemy – zarządził.

– Ale trenerze, komunia córki, muszę pomóc żonie w przygotowaniach.

– Nie ma takiej możliwości!

– Przecież muszę być na komunii – bełkotałem pijany.

– Teraz pojedziesz ze mną, a w niedzielę przywiozę cię do kościoła na komunię. Potem zabiorę cię na stadion, a po meczu zobaczymy.

Piechniczek zaprowadził mnie na boisko, przebrał się w dres i biegał ze mną, aż wypocę chociaż trochę alkoholu. Nie krzyczał, nie komentował.

Czekał. W milczeniu. Wiedział, że awantura nie pomoże. I chyba wiedział, że jestem alkoholikiem. Było mu mnie tak po ludzku szkoda. Widział z bliska mój prywatny upadek. Domyślał się. Słowa okazywały się zbędne.

To był mecz z Olimpią Poznań, która broniła się przed spadkiem. Jakoś wieczorem dotarli do mnie biznesmeni z Wielkopolski – „Łupa” i Bolek Krzyżostaniak.

– Musimy kupić ten mecz.

– Chłopaki, wiecie, że was lubię, ale powiem wam prawdę. Mam aktualnie w klubie przejebane tak bardzo, że ten mecz z wami muszę w pojedynkę wygrać.

I wygrałem. Zdobyłem dwa gole, wygraliśmy 3:1. Piechniczek powiedział, że mogę zniknąć w Krakowie, kiedy tylko chcę.

Piechniczek. Dziwny gość, trudny do sklasyfikowania. Zupełnie inny w kadrze i inny w Górniku. W reprezentacji jak miałem jechać na zgrupowanie, to rzygać się chciało. Raz na treningi kadry w ogóle nie pojechałem, bo sama myśl o spotkaniu z Piechniczkiem skutecznie zatrzymała mnie w domu. Antek był po pierwsze strasznie sztywny, a po drugie miał jakąś obsesję, że Warszawa chce go wygryźć, wszędzie widział wrogów, potencjalnych zdrajców. Nie było miło.

Ale potrafił też się nagiąć. Przypomina mi się taki szczegół. Trzy dni do meczu z Hiszpanią, oczywiście pijemy sobie szkocką. Wchodzi do pokoju Piechniczek, patrzy na butelkę, na nas, na butelkę, na nas i mówi:

– Panowie, chciałem poinformować, że za 72 godziny gramy mecz.

Nie, że za trzy dni – za 72 godziny. To lepiej działało na wyobraźnię. Gdy piją wszyscy najlepsi piłkarze – nie tylko Iwan, ale też Boniek, Młynarczyk i inni – trener może tylko wygłosić taki suchy komunikat i modlić się, by poskutkował.

W Górniku Antek się zmienił, wyluzował. W zasadzie, to martwił się tylko tym, czy rośnie mu dom w Wiśle, klecony z materiałów podbieranych z zabrzańskich kopalni. Miał świetną drużynę, wiedział o tym i potrafił znaleźć z nami wspólny język.

Takie były czasy, że pokój hotelowy należało bez szemrania zwolnić o godzinie 12.00 i ani minuty później. Wracaliśmy ze spotkania z Pogonią, do pociągu kilka godzin. Co robić? Wiadomo – z tobołami poszliśmy do hotelowego baru.

Stoimy, gadamy, śmiejemy się, każdy sący sobie whisky z colą.

– Panowie, co tam pijecie? – pyta nagle Piechniczek.

– Colę, trenerze.

– To dajcie spróbować!

Wziął łyka, posmakował. U nas chwila niepewności.

– To zamówcie mi ze trzy takie cole!

Wypił trzy, obtarł usta i poszedł w swoją stronę.

ROZDZIAŁ XXV

MIAŁ BYĆ REMIS

Mecze Górnika, w których uczestniczyłem, z reguły nie miały wielkiej historii i nie są warte opowiadania. Po prostu je wygrywaliśmy. Monotonnie. Jeden po drugim.

Kilka zdarzeń jednak do dziś chodzi mi po głowie. Czasami są to duperele, szczególnie, a czasami spotkania mające całą nieznaną historię. Oto obrazy i opowieści, które zachowałem.

Pojechaliśmy na mecz do Lubina. Gorąco, boisko suche tak bardzo, że zdaje się, iż jedna iskierka wystarczyłaby i cały stadion poszedłby z dymem. Wraz z trenerem Kostką stoimy koło wysuszonej na wióry murawy.

- Andrzej... Dzisiaj jest strasznie grząsko. Nie wyjdiesz.
- Grząsko? – zdziwiłem się.
- Bardzo. Lepiej nie graj.

Koniec sezonu 1985/86. Słynny mecz z Legią. Słynny dlatego, że Górnik wygrał 3:0 i w Warszawie do dziś o okolicznościach tego sukcesu krążą legendy. Co drugi kibic rękę sobie daje uciąć – korupcja! Sam Jerzy Engel, trener stołecznego zespołu, zasugerował, że jego zawodnicy ten mecz sprzedali, a to była tylko taka jego cwana zagrywka, by całą złość za nieudany sezon odsunąć od siebie i skierować na innych. Podłość – wytarł sobie gębę piłkarzami dla ratowania własnej dupy. Od tamtej pory Engela nie szanuję.

Legenda głosi, że pieniądze zostały przekazane w pudełku od butów Andrzejowi Buncolowi. W rzeczywistości w pudełku od butów były – co za zaskoczenie! – buty. Od dawien dawna piłkarze pomagają sobie w zdobywaniu sprzętu do gry, a w tamtych czasach było to wręcz na porządku dziennym.

Ktoś jednak to pudełko zobaczył i już wiedział swoje – w środku pieniądze! Mecz ustawiony!

Niestety, ten ktoś musiał być dość mało inteligentny, ponieważ historia z pudełkiem od butów nie trzymała się kupy. Przy ówczesnej wartości pieniądza w pudełku nie zmieściłyby się banknoty potrzebne do kupienia meczu. Ha, to by musiała być jakaś skrzynia, szafa, coś w każdym razie wielokrotnie większego, ale nie żadne pudełko. Fizycznie suma niezbędna do ustawienia tak ważnego spotkania nie miała szans zmieścić się w czymś tak małym. Moja wypłata zajmowała pół kredensu.

Gdyby Górnik ten mecz faktycznie kupił, po prostu bym to napisał – co mi szkodzi? Wedle mojej wiedzy – nie kupił. Wygrał 3:0, bo taka była rzeczywista różnica poziomów między dwoma zespołami.

W czasie spotkania byłem naładowany energią do tego stopnia, że... wykonałem wślizg. Ilekroć próbowałem zaatakować przeciwnika w ten właśnie sposób, robiłem krzywdę samemu sobie. I tak też było tym razem. Ruszyłem w kierunku Janka Karasia, ale zahaczyłem korkami o ziemię, te wbiły się na tyle głęboko, że stopa się zatrzymała i... zламаłem nogę. Cóż za głupota! Nie dość, że chciałem przeprowadzić bezsensowny atak, to jeszcze wślizgiem, czego nie potrafiłem, i na dodatek w nogi mojego kumpla z Nowej Huty. Bo Karaś, tak jak i ja, pochodził z Huty.

Zapakowano mnie na nosze, a potem prosto do karetki. Kiedy jechaliśmy wokół boiska, co przypominało rundę honorową wykonywaną przez żużlowców, a nie trasę do szpitala, trybuny ryczały:

– Gdzie jest ta Legia?

Noga napierdała, a w głowie huczało:

– Gdzie jest ta Legia?

Mecz transmitowano w telewizji, więc gdy podjechaliśmy pod szpital, w oknach było już pełno ludzi. Wszyscy czekali, aż ze stadionu przywiozą Iwana, bo przecież mogli go przywieźć tylko w to jedno miejsce. Wydobyto mnie z wnętrza samochodu i... nagle rozległy się brawa, a po chwili ludzie – czy to personel, czy to pacjenci, pewnie wszyscy razem – zaczęli drzeć się:

– Gdzie jest ta Legia?!

Sytuacja jak z filmu, ja – w krótkich spodenkach, w getrach, w korkach, ze złamaną nogą – a wokół ludzie w kitlach, którzy cieszą się, że mnie przywieziono i że na swój sposób uczestniczą w spotkaniu o mistrzostwo Polski.

Niestety, na skutek tego złamania nie pojechałem na mistrzostwa świata w 1986 roku, a miałem realne szanse, by zaliczyć trzeci mundial w karierze.

Z Pogonią Szczecin jedyny raz w lidze nie strzeliłem rzutu karnego, ale podbiegł Janek Urban i dobił, więc w sumie „jedenastka” została wykorzystana. Przyjaciele muszą sobie pomagać. A w meczu z Zagłębiem Sosnowiec tak dosłałem piłką w jaja, że przepłakałem dwa tygodnie.

Lech Poznań – Górnik Zabrze 2:0. Ciekawa historia, bo w tym spotkaniu miał paść remis. Przyjechaliśmy do Poznania zaraz po spotkaniu z Olympiakosem Pireus, z którym zremisowaliśmy 1:1, co było niezłym wynikiem przed rewanżem. „Kolejorza” w ogóle się nie obawialiśmy, był to dla nas rywal mało wymagający, do wzięcia z marszu w dowolnej chwili.

Niemniej przed spotkaniem przyszedł kierownik Lecha, Jankowski i zapytał, czy nie zgodzilibyśmy się zagrać na remis.

– Nie – odparliśmy.

Jankowski jednak nalegał.

Postanowiliśmy, że o wszystkim powinien zdecydować trener, Marcin Bochynek (zastąpił Piechniczka). Mówimy mu, że jest taka propozycja, ale my z niej w sumie korzystać nie chcemy, bo to tylko Lech, i że spokojnie wygramy. Bochynek jednak miał ochotę się zabezpieczyć:

– Zmęczeni jesteście po meczu w Grecji, ciężka podróż za wami. Może lepiej wziąć ten remis?

– Nie, nie. Ogramy ich.

– Zastanówcie się. Remis nie jest taki zły. I tak w tabeli mamy dobrą sytuację. Po co ryzykować? – nie odpuszczał Bochynek.

– Trenerze, oni słabi są. Nie wygrali trzech meczów z rzędu!

– A jak teraz wygrają? – Po szkoleniowcu widać było, że pęka.

Doszło do niebywałej sytuacji – siedzieliśmy w szatni, drużyna chciała grać na poważnie, a trener przekonywał, że to zbędne ryzyko i że jeden punkt też należy cenić. Ostatecznie machnęliśmy więc ręką, nikt też nie miał szczególnej ochoty podpadać Bochynekowi. On rządzi – chce, żebyśmy grali na remis, jego sprawa.

Na boisku nic nie potoczyło się zgodnie z planem. Ledwie zaczęliśmy, a Lech ruszył z atakiem. Dobrze, niech atakują, przecież wiadomo, że to się musi skończyć strzałem obok. O kurwa! Gol! Przegrywamy! Za moment, gdy byliśmy przekonani, że przeciwnik pozwoli nam wyrównać i że pierwsza bramka była po prostu przypadkiem, poznaniacy znowu nacisnęli i władowali na 2:0. Staliśmy zdezorientowani, rozbici, nie mieliśmy pojęcia, jak zareagować.

– Piotrek? Co się, do chuja, dzieje?! – zapytałem Skrobowskiego, który z Wisły trafił właśnie do Lecha. Wprost szalał na boisku.

– A o co ci chodzi?

– Remis chcieliście!

– Ja nic nie wiem.

– Kurwa, remis!

– Nic mi nie wiadomo.

– Taaa, nie wiadomo. Uważaj, żeby ci zaraz krew z nosa nie poszła!

Cała sytuacja tak bardzo wyprowadziła nas z równowagi, że nie byliśmy w stanie nawiązać walki i do końca spotkania otumanieni broniliśmy się, by nie przegrać wyżej. Na największego dumnia wyszedł oczywiście trener Bochynek, który przekonywał nas, by przyjąć propozycję remisu i po spotkaniu unikał naszych spojrzeń, jak tylko mógł.

Dzień później humory nie dopisywały, ewidentnie zostaliśmy zrobieni w konia. Tak się nie oszukuje nawet w polskiej lidze! Istniał przecież swoisty kodeks honorowy: piłkarz może oszukać sędziego, trenera, kibica, ale drugiego piłkarza – no, nie! Wedle tego kodeksu, jeśli umawiasz się na wynik, a potem umowy nie dotrzymujesz, zachowujesz się niegodziwie i nikt inny już żadnych interesów z tobą robić nie będzie. Zapewne wiedzieli o tym w Lechu. Zależało im więc, by sprawę wyprostować, zanim cała liga się dowie, jak w Poznaniu kręci się przyjezdnych. Dlatego do Zabrza na stadion przyjechał Jankowski (kierownik) wraz z Jerzym Kasalikiem (trenerem). Najpierw grzecznie przeprosili za wydarzenia z dnia poprzedniego, a następnie ustalono scenariusz, który miał być najbardziej fair – w rundzie rewanżowej Lech oddaje pierwszą połowę i na przerwę schodzimy z wynikiem 2:0, natomiast drugą część meczu gramy na poważnie. I rzeczywiście, poznaniacy zrealizowali układ: wiosną Górnik prowadził do przerwy 2:0, a cały mecz wygrał 2:1.

Ostatecznie wyeliminowaliśmy Olympiakos z rozgrywek o Puchar Mistrzów. Na wyjeździe było 1:1, a u nas 2:1. Drugą bramkę zdobyłem ja, w praktyce kończąc karierę w Pireusie Jacka Kazimierskiego. Strzał nie był najgorszy, ale chyba faktycznie znajdował się w zasięgu bramkarza i Jacek mógł zareagować lepiej.

Olympiakos był wtedy mocny, ale czuł przed nami respekt. Na tyle, że... chciał ode mnie ten mecz kupić, przy czym nie miała to być korupcja w klasycznym rozumieniu tego słowa. Mistrz Grecji zakwaterował się

w hotelu „Warszawa”, dokąd dzień przed spotkaniem zaprosił mnie menedżer Janusz Oster. W restauracji czekali na mnie przedstawiciele Olympiakosu, wraz z trenerem. I się zaczęło – że jestem superpiłkarzem, że oni bardzo mnie chcą, że mają dla mnie kontrakt, że będę żył jak w bajce, że mam murowane miejsce w podstawowej jedenastce i tak dalej. Czarowanie.

Warunek był tylko jeden – dzień później mam zagrać najgorzej, jak potrafię.

Powiedziałem, że przemyślę, a potem władowałem gola.

W następnej rundzie czekali na nas zawodnicy Glasgow Rangers. Dla mnie – spełnienie marzeń. Jestem fanatykiem piłki szkockiej, kocham Szkotów, kocham ich mentalność, to, w jaki sposób grają i w jaki sposób się zachowują. Szkoci dzień przed meczem wypijają cały bar w hotelu, później idą na miasto prać się po mordach, a na boisku walczą na śmierć i życie, jakby jutra miało nie być. Ubóstwiałem Joe Jordana, napastnika bez dwóch przednich zębów, którego bali się wszyscy obrońcy w Premier League. Kiedy się uśmiechnął, rywal już wiedział, że ma problem. Już zastanawiał się: czy czasem nie zostawiłem w kieszeni kurtki ochraniacza na szczękę? Może wrócę i sprawdzę?

Joe Jordan – który przed wyjściem na boisko wyjmował dwa przednie sztuczne zęby i chował do szafki – był uosobieniem prawdziwego futbolu. Bo prawdziwy futbol to nie gra dla lalusiów, którzy w przerwie poprawiają fryzurę. Prawdziwy futbol zostawia ślady.

Mecz w Glasgow przegraliśmy jeszcze w tunelu. Staliśmy spokojnie, gdy nagle Robertson i Woods zaczęli tak ryczeć, że nogi się pod nami ugięły. A za Robertsonem i Woodsem – reszta drużyny. Wszyscy chcieliśmy się schować, wycofać, zdawało nam się, że trafiliśmy do klatki ze wściekłymi małpami, które za moment nas rozszarpią. Warczeli na nas, krzyczeli, patrzyli się z nienawiścią nieznaną nam z polskich boisk. I wtedy pękliśmy. A już całkiem po nas było chwilę później – wyszliśmy na boisko,

dosłownie kilka minut wcześniej trybuny świeciły jeszcze pustkami i spodziewaliśmy się marnej frekwencji, aż tu nagle przywitał nas tumult 47 tysięcy widzów. Zdawało nam się, że jesteśmy w piekle i że wylewają się na nas kubły gorącej smoły. Kaplica. Oddaliśmy pierwszą połowę walkowerem – 3:0. Pozbieraliśmy się, odzyskaliśmy spokój dopiero po przerwie i zdobyliśmy honorowego gola – spotkanie zakończyło się wynikiem 3:1 dla Glasgow Rangers.

Pamiętam z tego spotkania, że za punkt honoru postawiłem sobie upolowanie Terry’ego Butchera, znanego w całej Europie rzeźnika. Ta myśl mnie opętała: „Zapierdolę go!”. Chciałem się chyba sprawdzić, chciałem poczuć, czy ten słynny Butcher – reprezentant Anglii – faktycznie jest aż takim twardzielem. Czekałem tylko na odpowiedni moment, abyśmy znaleźli się wystarczająco blisko siebie. Wreszcie nadarzyła się okazja, by zaatakować go nakładką.

Uuu, jakie to było brutalne.

Ruszyłem na niego z wyprostowaną nogą i byłem pewny, że wgniotę go w ziemię. Nie umiałem faulować, ale w ten atak włożyłem całe pokłady chamstwa i agresji, jakie miałem w sobie. Wszystkie nakładki, jakie przyjąłem w życiu, teraz przetworzyłem w głowie jako materiał edukacyjny. Jak złamię mu nogę – to trudno. Nie, inaczej. Jak złamię mu nogę – to wspaniale!

I trach!

Kopnąłem go tak mocno, że aż przeszedł przez moją nogę prąd, zdawało mi się, że korki z moich butów wbijają się w moją własną stopę. Zawyłem z bólu, upadłem na ziemię, a gdy po chwili lekko podniosłem głowę...

Butcher przyjaźnie się do mnie uśmiechnął i włączył się do gry.

Zawsze chciałem grać na stałe w Szkocji, ale wtedy takich zachcianek nie dało się spełnić. Pozostały mi wspomnienia, wizyta w muzeum Rangersów i... widok boiska, które – aby woda spływała na boki, zamiast się zatrzymywać – miało na środku taką górkę, że zawodnik z lewego skrzydła widział kolegę grającego po drugiej stronie tylko od kolan w górę, a piłki przez niego prowadzonej – w ogóle.

W rewanżu zremisowaliśmy 1:1.

Aby pokazać, jak zorganizowanym klubem był Górnik Zabrze, warto wspomnieć o meczach wyjazdowych. Do Białegostoku, gdzie wygraliśmy 3:1, udaliśmy się... wojskowym śmigłowcem transportowym. Lecieliśmy – razem z tankowaniem w Warszawie – cztery godziny i do dziś mam przed oczami widok okolic stadionu w Białymstoku, gdzie pomiędzy drzewami ludzie parkowali samochody. Z kolei z Gdańska mieliśmy wracać samolotem, ale chłopaki – ci z drugiej grupy – ruszyli w miasto, popili i co gorsza pobili się. Joachim Klemenz wdał się w szarpaninę i został ugodzony nożem. Szlachta tak się wściekł, że wykrzyczał:

– Od teraz będziecie wszędzie zapierdalali na piechotę!

Jako zawodnik Wisły, w ogóle nie znałem sędziów z Krakowa – i tak nie mogli prowadzić naszych spotkań. Natomiast jako gracz Górnika – zakumplowałem się ze wszystkimi. Kiedy myślę o sędziach, przypomina mi się też dziennikarz, Wojtek Gorczyca, któremu wystarczyło dać dwie kanapki, by wystawił takie noty, jakie tylko ktoś sobie życzył.

Wojtek był strasznym ancymonem. Zasłynął z tego, że robił za tłumacza w ambasadzie koreańskiej, mimo że nie znał żadnego języka, poza polskim. Czytał jednak publicznie list od Koreańczyków i na bieżąco wymyślał jego treść – w taki sposób, że nikt nie przejrzał blefu. Za świetnie wykonaną pracę otrzymał nawet pochwały.

W tamtym czasie selekcjonerem reprezentacji był Wojciech Łazarek. Powołał mnie na trzy mecze, które rozgrywane były we wrześniu i październiku 1987 roku, w każdym z nich wystąpiłem od pierwszej do ostatniej minuty. Z Węgrami w Warszawie wygraliśmy 3:2, z Holandią w Zabrzu przegraliśmy 0:2, ale wynik zakłamuje rzeczywistość – nie mieliśmy absolutnie nic do powiedzenia, bo Gullit i Van Basten robili

z nami, co tylko chcieli, i powinniśmy przegrać wyżej. Wreszcie spotkanie z Czechosłowacją, w Bratysławie, przegrane 1:3. Tam Łazarek przeprowadził najgorszą, najbardziej demobilizującą i destrukcyjną odprawę, jaką w życiu słyszałem. Już wcześniej miałem go dość – tych jego głupkowatych żartów, którymi zakrywał własne braki i którymi maskował tchórzostwo – natomiast ta odprawa przelała czarę goryczy. Łazarek niby był luzakiem, lecz to tylko poza dla ludzi z zewnątrz. W rzeczywistości przypominał rozdygotanego, małego kotka, kryjącego się w kącie. Niszczył morale całej grupy, pozbawiał zawodników pewności siebie, sprawiał, że szli jak na ścięcie.

Kiedyś podobną odprawę przed meczem z NRD przeprowadził Piechniczek, ale to był inny zespół. Wtedy, w tunelu, Grzesiek Lato i Andrzej Szarmach mówili:

– Ale to przecież NRD, a nie RFN!

I cały zespół zbagatelizował przemówienie trenera.

W Bratysławie skutek długiej przemowy Łazarka – sprowadzającej się do tego, że najlepiej oddać spotkanie walkowerem – był opłakany.

Odechciało mi się przyjazdów na zgrupowanie kadry. Kiedy Łazarek powołał mnie raz jeszcze – wsadziłem zdrową nogę w gips i oznajmiłem, że z powodu kontuzji przyjechać nie mogę.

Stawiłem się jeszcze na zgrupowaniu kadry w Cottbus, przed historycznym, bo ostatnim w historii meczem NRD (2:1 dla Polski, po dwóch golach Jasia Furtoka). Wówczas faktycznie byłem kontuzjowany, a przyjechałem tylko po to, by – jako zawodnik Bochum – spotkać się z kolegami. Wyniknęła z tego śmieszna sprawa. Odjeżdżając, odwróciłem się, by pomachać chłopakom i... wpadłem w torowisko osadzone pół metra pod poziomem ulicy. Oznaczało to – jak się łatwo domyślić – rozpierniczenie mojego bmw. Pojawił się spory problem: jak przewieźć auto z NRD do RFN? Lawety miały przecież zakaz przekraczania granicy. Ostatecznie udało nam się znaleźć ciężarówkę, zwykłą ciężarówkę, mającą pozwolenie na wjazd do RFN, na którą zapakowano moje auto. Przekraczałem ściśle strzeżoną granicę, z szoferki obserwując obwążujące okolice wściekle wilczury.

ROZDZIAŁ XXVI

SZLACHTA

Gdzie jest Iwan? – wściekał się Szlachta, chodząc po gabinecie jak tygrys w klatce.

– Ja...

– Odpowiedz mi na pytanie: gdzie jest Iwan? Czy ja wymagam niemożliwego? Edek, masz go natychmiast znaleźć, rozumiesz? Sprzedajemy go do Niemiec i nie wiemy, gdzie się podziewa! To jest poważny interes. Ludzie przyjechali. Czekają. On musi zagrać w Gdyni!

Socha poruszył niebo i ziemię. Ale to było za mało – wciąż mnie nie mógł namierzyć. Prawdopodobnie należało jeszcze przetrząsnąć piekło.

Po meczu z Polonią Bydgoszcz w Pucharze Polski zamelinowałem się tak dokładnie, że Edward Socha siwiał z godziny na godzinę i z dnia na dzień, ale nie miał pomysłu, gdzie mnie szukać. A Szlachta poganiał: Iwan, Iwan, Iwan!

Wcześniej dochodziły do mnie sygnały, że interesują się mną zagraniczne kluby, między innymi Bochum i Schalke, ale nie miałem pojęcia, jak daleko zaszły sprawy – a zaszły bardzo daleko. Miałem tylko koniecznie zagrać z Bałtykiem w Gdyni, by przystemplować pewną już niemal transakcję. Odnaleziony zostałem przez Sochę w ostatniej chwili, zapakowany w pociąg i wysłany na Wybrzeże, gdzie trener Bochynek pozwolił mi się

chwilę przespać, a potem wpisał do podstawowej jedenastki. Niespecjalnie mnie w tym momencie interesowała piłka, więc zdążyłem jeszcze ograć kilku chłopaków w karty, a następnie wyszedłem na boisko i... Nie wiem, jakim cudem, ale zanotowałem pięć asyst, a Górnik wygrał 5:1.

Oszło mi Niemców. Wyciągnięty za fraki z meliny w Katowicach, wysłany na drugi koniec Polski, wlałem na boisko i potem wszystko zrobiło się samo, nie wiem kiedy i nie wiem jak.

Menedżer Bochum, Klaus Hilpert, czekał na nas w Warszawie, w hotelu „Victoria”. Mówił, że na potrzeby mojego transferu musiał nauczyć się pić wódkę (z działaczami Centralnego Ośrodka Sportu) i że spodobał mu się występ grupy Variete, więc postanowił zamówić sobie jej przyjazd na przyjęcie urodzinowe w Niemczech. Zdawał się już być zmęczonym pobytem w Polsce, niekończącym się chlaniem. Marzył chyba, by w końcu zapakować mnie w jakikolwiek środek lokomocji i uciekać, przed wodą i polskimi działaczami. Chyba nie zdawał sobie sprawy z groteskowości tej sytuacji – przy alkoholu, za którym nie przepadał, prowadził rozmowy na temat sprowadzenia do Niemiec nałogowego alkoholika. Może powinienem dać mu sygnał, co? Hej, Klaus, ale wiesz, że ja ten... tego... że lubię golnąć? Może na drugą nóżkę, co?

Błyskawicznie porozumieliśmy się co do zarobków. Ja rzuciłem kwotę z kosmosu, oni zzielenieli, nie za bardzo wiedzieli, jak się do mojej propozycji ustosunkować, ale ostatecznie poprosili tylko, bym nikomu w Niemczech nie przyznawał się, ile zarabiam, bo jak się pozostali zawodnicy w Bochum dowiedzą, to pójda po grupowe podwyżki i klub zbankrutuje.

– 250 tysięcy marek.

– Yyy.

– Na rękę, bo nie chcę się bawić w żadne podatki – odpowiedziałem stanowczo.

Tak to wyglądało.

Zastanawiałem się później, dlaczego poszło mi aż tak łatwo. Z takim kontraktem zostałem najlepiej opłacanym piłkarzem w klubie, a w całej

Bundeslidze intratniejsze umowy mieli tylko nieliczni zawodnicy. W Bayernie Monachium najlepsi gracze mogli liczyć na 500-600 tysięcy marek, ale przy podatku zbliżonym do 50 procent w praktyce otrzymywali takie same sumy jak ja. Dlaczego więc Bochum nie próbowało zbić ceny?

Sprawa wyjaśniła się później.

Ciężar finansowy przeprowadzenia transferu wzięła na siebie firma Eikopf, handlująca urządzeniami górniczymi. Sprowadzenie mnie do Bochum stanowiło w rzeczywistości pretekst dla transakcji na zdecydowanie większą skalę. Eikopf sprzedał ministerstwu górnictwa urządzenia górnicze warte ogromne pieniądze. Tak ogromne, że mój kontrakt – niby bajeczny – zdawał się napiwkami. Niestety, urządzenia te nie działały w Polsce, lecz wybaczcie, nie jestem w stanie wnikać w szczegóły techniczne i ustalić, co dokładnie było z nimi nie tak. Znam tylko efekt – nie działały, co oznaczało ogromne straty dla skarbu państwa. Sprawę badały połączone siły policji polskiej i niemieckiej, a mój transfer stał się jednym z wątków śledztwa.

To było kilka lat później. Przyjechałem do Polski, Szlachta miał autoryzowany salon mercedesa w Zabrze. Spotkaliśmy się u niego w biurze, na kawie.

– Prawdopodobnie będą cię przesłuchiwać w sprawie transferu do Niemiec.

– Tak?

– Tak sędzę. Z tego, co wiem, bardzo mocno badają tę sprawę. Mam do ciebie prośbę, Andrzejku. Nigdy, po prostu nigdy nie wspominaj o jakichkolwiek osobach spoza klubu zamieszanych w ten transfer. Mów tylko o osobach z Górnika i Bochum, o nikim innym.

– Chodzi ci o Eikopf?

– W ogóle nic o tym nie wiesz!

Przesłuchiwany byłem wielokrotnie, przede wszystkim przez skrupulatnego oficera śledczego, Mizerskiego. Nie posiadałem jednak informacji, które mogłyby pomóc policji, a zaszkodzić Szlachcie. I całe szczęście. Człowieka związanego z firmą Eikopf widziałem tylko raz

w życiu. W Bochum chciał się ze mną spotkać, by zobaczyć, że piłkarz, za którego zapłacił, rzeczywiście istnieje.

Śledztwo przeciwko Szlachcie nigdy nie zostało dokończzone. Rzekomo zginął w wypadku samochodowym w 1993 roku, ale jest to wersja, której nie daję wiary – bo i dać nie mogę. Sam wypadek na kilometr zalatuje kuriozalnym wręcz oszustwem. Szlachta miał wypaść z samochodu (!), a potem kobieta, która ten właśnie samochód prowadziła, miała go przypadkowo przejechać (!!), najwidoczniej cofając, by sprawdzić, czy zaginiony pasażer nie leży na drodze. Jakim cudem zakwalifikowano to zdarzenie jako wypadek – nie wiem. Sam były minister – co też bardzo istotne – nigdy nie dawał prowadzić auta nawet swojemu osobistemu... kierowcy. Po prostu uwielbiał siadać za kierownicą. Aż tu nagle miał powierzyć auto kobiecie, a samemu zająć miejsce pasażera, by ostatecznie... wypaść?!

Ile osób rocznie wypada z samochodów?

A ile wypada i... wpada pod koła tego samego pojazdu?

Jako zawodnik byłem dla Szlachty oczkiem w głowie, a później – po prostu kolegą. Szanowałem go, czułem przed nim respekt, byłem wdzięczny za liczne sytuacje, w których mi pomógł. Wiem, że gdzieś tam na boku kręcił swoje własne interesy. Na przykład okazało się, że oficjalnie jako zawodnik Górnika pobrałem aż osiem samochodów, przy czym wiedziałem tylko o jednym, a pozostałe siedem przejął Szlachta.

Dobrze, w porządku, nie mam pretensji. Jeden i tak mi wystarczył.

Transfer do Niemiec okazał się dobrym pomysłem – przynajmniej w początkowej fazie. To nawet było łatwe do przewidzenia, że – jak wszędzie – najpierw będę się pilnował, by zrobić odpowiednio dobre wrażenie, a potem oddam się alkoholowi. Początkowo zakwaterowano mnie u trenera, Hermanna Gerlanda, który niezmiernie się cieszył, że tak polubiłem jego psa i że tak często chce mi się z tym psem wychodzić. Nie podejrzewał, że mi się chce, ale zapalić papierosa, a przy nim jednak jeszcze się krępowiałem. Ciągałem więc psinę na spacerzy o przeróżnych porach dnia i nocy, byle tylko poczuć w płucach dym.

Pierwsze pół roku w Bochum miałem świetne, a może nawet rewelacyjne. Wyjechałem po rundzie jesiennej polskiej ekstraklasy, już jako Piłkarz Roku 1987. Ten tytuł z pewnością mi pomógł – Bochum pozyskało, przynajmniej teoretycznie, przynajmniej według prasy, najlepszego polskiego piłkarza, więc siłą rzeczy z miejsca patrzono na mnie przychylniej. Trener Gerland szybko się jednak zorientował, że w sensie fizycznym jestem już wrakiem, więc jednego dnia wziął mnie na bok i oświadczył:

– Nie nadajesz się do trenowania. Po prostu leż u masażyistów przez cały tydzień, w sobotę zagrasz mecz.

I ten układ funkcjonował. Jakoś tam trenowałem, ale raczej na pół gwizdka, wydolnościowo i tak przygotowany byłem ponadprzeciętnie. Liczył się weekend. Wtedy wychodziłem na boisko i grałem, szybko zdobywając uznanie na 40-tysięcznym wówczas Ruhrstadion.

Wiosną awansowaliśmy do finału Pucharu Niemiec, w ćwierćfinale strzeliłem gola Fortunie Köln, a w półfinale – HSV Hamburg. Prasa zapowiadała decydujący mecz jako pojedynek mój z Lajosem Détarim z Eintrachtu Frankfurt. Niestety, pod każdym względem wygrał go Détari, ponieważ strzelił gola, a Eintrach zwyciężył 1:0. Mimo to w Bochum jak bohaterów powitały nas dziesiątki tysięcy ludzi. Był to przecież klub z małego górniczego miasteczka, który nigdy niczego nie wygrał, a za największy sukces należało uznać awans do finału Pucharu Niemiec, osiągnięty dwadzieścia lat wcześniej. My ten sukces wyrównaliśmy i na stałe zapisaliśmy się w historii klubu.

Wkrótce potem „Bild” dał duży tytuł: „Werona chce Iwana”. I obok wielkimi literami: „Hilpert – jak sprzedam Iwana, to kibice mają prawo mi zburzyć stadion”.

Tak, byłem ceniony.

Problemy zaczęły się wraz z nowym sezonem – trener Gerland otrzymał propozycję z Norymbergi, z której postanowił skorzystać. Zastąpił go Jupp Tenhagen, zdrowy koń, który na boiskach Bundesligi rozegrał ponad 450 spotkań. Wierzył w ciężką pracę i dyscyplinę.

Wierzył, że tylko litry potu wylane w czasie treningów mogą przynieść powodzenie w meczu o punkty.

Czyli było po mnie.

W finale Pucharu Niemiec uszkodziłem łąkotkę. Z własnej głupoty, znowu pod wpływem frustracji chciałem zaatakować przeciwnika i znowu zamiast zrobić krzywdę jemu, to wyrządziłem ją samemu sobie. W nowym sezonie wchodziłem więc z urazem, a na domiar złego z nowym trenerem, którego filozofia musiała przysporzyć mi problemów. Tenhagen nawet zrozumiał, że ja się do treningowej gonitwy nie nadaję i – o dziwo – zaczął mi odpuszczać, lecz kompletnie nie potrafiłem się odnaleźć i wrócić na właściwe tory. Oczywiście także przez alkohol – piłem coraz więcej i coraz częściej. W Bochum zaaklimatyzowałem się na tyle, że miałem już znajomych, zawsze chętnych, by golnąć. Właśnie, po raz kolejny, dogonił mnie nałóg.

„Iwan pije” – wywaliła w tytule jedna z niemieckich gazet, tylko uwiarygadniając plotki, które i tak krążyły na mój temat. A piłem bardzo dużo. Gdy teoretycznie jesteś najlepszym zawodnikiem w klubie, zdaje ci się, że nawet codzienne libacje nie zdołają zepchnąć cię na dostatecznie niski poziom, byś martwił się o miejsce w składzie. To zwodnicze poczucie własnej klasy stanowi przyzwolenie na uleganie pokusom. Życie jednak szybko sprowadza na ziemię. Chociaż zdawać mi się mogło inaczej, na dłuższą metę alkoholik – zwłaszcza piłkarsko podstarzały alkoholik, ze zrujnowanym zdrowiem, bez szybkości – nie spełni wymogów Bundesligi.

Do Bochum byłem wypożyczony na półtora roku z Centralnego Ośrodka Sportu. Pogodziłem się z tym, że będę musiał wrócić do kraju.

ROZDZIAŁ XXVII

KOZUBAL

Koniec lat osiemdziesiątych i początek dziewięćdziesiątych to początek wielkiej transformacji w polskim futbolu. Kluby odcięte od dotychczasowych źródeł utrzymania, odepchnięte od górniczego, milicyjnego czy wojskowego cyca musiały zacząć radzić sobie same – to był właśnie moment, gdy pojawiali się przeróżni zagadkowi biznesmeni, rzekomi filantropi, sponsorzy z bożej łaski. Przy Górniku, dla którego upadek komuny stanowił spory problem, zaczął się kręcić Władysław Kozubal ze Szwajcarii. To trzeba podkreślić: ze Szwajcarii. Jeśli ktoś się pytał, kim jest Kozubal, odpowiedź była jasna – to biznesmen ze Szwajcarii. Nikt nie wiedział, czym się zajmuje, skąd ma pieniądze, kim w zasadzie jest. Ważne, że ze Szwajcarii. Słowo klucz. Zakłęcie. Stanowiło dowód, że Kozubal to przedstawiciel finansjery.

Postrzegałem go jako niesamowitego mecenasa sportu, człowieka obrzydliwie bogatego, nie liczącego się z pieniędzmi i żadnego sławy. Poznał nas ze sobą Jan Szlachta, podczas pobytu w Lozannie, w której to miałem kontynuować karierę. Kozubal dostał od Górnika pełnomocnictwa na przeprowadzenie transferu i w imieniu moim, a także klubu prowadził wszelkie negocjacje. Szwajcaria stanowiła wówczas eldorado dla piłkarzy, nigdzie albo prawie nigdzie nie płacono tak dobrze jak tam, przy

stosunkowo niskich wymaganiach sportowych. Dlatego się spiąłem. W barwach Lausanne rozegrałem mecz sparingowy, w którym zdobyłem trzy gole, co dało mi pewność, że transakcja zostanie dopięta. O dziwo – tak się nie stało.

Umberto Barberis, niegdyś wspaniały piłkarz, a wtedy trener szwajcarskiego zespołu, po latach przyznał:

– Władysław Kozubał zażądał kosmicznych pieniędzy. Dla siebie, jako prowizji.

W końcu zgłosił się Aris Saloniki, też z intratną ofertą. Zarobki piłkarzy z każdym rokiem szły w górę, Grecy proponowali 400 tysięcy marek na rękę, czyli zdecydowanie więcej niż płacili mi do niedawna Niemcy. Nic, tylko brać i żyć w świetnym miejscu, w ciepłym klimacie! Trener znał mnie dobrze – był nim Alketas Panagoulis, ten sam, z którym niegdyś rozmawiałem w hotelu „Warszawa” i który wtedy chciał kupić ode mnie mecz Górnik – Olympiakos. Nigdy do owej rozmowy nie nawiązywał i udawał, że nie miała miejsca. Ja też wolałem tego tematu nie poruszać, bo i po co? W Arisie współpracowało nam się świetnie, lecz niestety krótko – po miesiącu został zwolniony.

Grecja to bajka, a taką bajkę mógłby spierdolić jedynie inny Polak – bo na obczyźnie Polak Polakowi zawsze wilkiem. No i się pojawił. Na imię miał Jacek, na nazwisko Gmoch, a charakteryzowała go wysunięta szczeka i wredny charakter. Pamiętałem go walącego głową w szafki po meczu w 1978 roku. On chyba też nie czuł się komfortowo z tym, że miałem go za niezbyt dobrego trenera – tego, który rozwalił najlepszą kadrę w dziejach Polski – podczas gdy w Grecji cieszył się znakomitą opinią. Stanowiłem zagrożenie, bo kiedy tylko nauczę się greckiego dość dobrze, by wszystkim opowiedzieć.

Sportowo był to dla mnie dobry okres: cenił mnie prezes, cenili też kibice, zdaje mi się, że jako najlepiej opłacany w klubie zawodnik spełniałem oczekiwania. Dopiero Gmoch – nie wiem, czy z zazdrości, czy z czystej złośliwości, czy właśnie z obawy, że podważę jego autorytet – zaczął kopać pode mną dołki i regularnie szykanować.

Był smutnym, zakompleksionym człowiekiem. Pewnego dnia wybraliśmy się razem w góry, na zakupy, bo Jacek chciał mi pokazać, że warzywa nabywa bezpośrednio u rolników. Najlepsze. Najzdrowsze. Szliśmy więc piaszczystymi ścieżkami, a jego wzięło na zwierzenia. Temat łatwy do zgadnięcia – Kazimierz Górski.

– Z tego prostaczyny, półgłówka zrobili w Polsce bożka – mówił. – Wszystko, co osiągnęła reprezentacja Polski w 1974 roku było moją zasługą. Wszystko. On beze mnie by nie istniał, stary dureń. Ale nie, wszyscy mówią „Górski, Górski, Górski”, a nikt nie mówi „Gmoch”. Tylko w Polsce jest możliwe, by kogoś takiego wynosić pod niebiosa.

Droga dłużyła się niemiłosiernie i nie wiem, co bardziej doskwierało: lejący się z nieba żar czy pełne toksyn zwierzenia Jacka.

Z Jackiem – jak wtedy w czasie spaceru – było raz z górki, raz pod górkę. Kiedy w czasie odprawy stawiał się w opozycji do zagranicznych piłkarzy i mówił: „My, Grecy, musimy się trzymać razem”, oczy wychodziły mi na wierzch. A gdy w czasie meczu z Doxą chciał mnie ściągnąć z boiska, oświadczyłem, że może pocałować się w dupę, bo z boiska nie zejść. I nie zszedłem.

Za czasów Gmocha drużyna przestała spełniać oczekiwania, ja sam coraz bardziej byłem przez niego kasowany, chociaż starałem się prowadzić dobrze i nawet mi to wychodziło. To był dla mnie – prywatnie – spokojny okres. Wszelkie nałogi chyba jechały z Polski do Grecji stopem, na gapę pociągami albo szły pieszo – w wielkiej pielgrzymce nałogów Iwana – ale nie zdążyły na czas. Wiodłem normalne życie w uroczym, nadmorskim mieście, miałem rodzinę, psa Arisa, chociaż córka uznała, że nie powinno się na psa mówić jak na swój klub, więc wołała na niego PAOK (nazwa innego klubu z Salonik).

W drugim roku, przy nowym prezesie, zaczęły pojawiać się problemy z wypłatami, był to więc sygnał, że nie ma sensu trzymać się tej Grecji dalej.

Wiosną 1992 roku – po blisko dwóch latach spędzonych w Arisie – wróciłem na jeden mecz do Górnika. Nie miało to najmniejszego sensu,

byłem już stary i sfatygowany, ale Władek Kozubal – wtedy już prezes klubu – nalegał:

– Przyjedź, za chwilę zostaniesz menedżerem klubu. Będziesz moją prawą ręką.

Stery w Zabrze przejął w lipcu 1991 roku, w czym mu pomogłem. Prosił:

– Andrzej, potrzebuję głosów.

Jako były piłkarz Górnika, znany i szanowany, lobbowałem za jego kandydaturą. Namawiałem delegatów:

– Głosujcie na Władka! Władek to najlepszy kandydat na nowego prezesa Górnika. Władek wam się odwdzięczy.

I delegaci głosowali.

Kozubal obiecywał złote góry, a ja dla tych złotych gór – dla wspólnych przedsięwzięć, dla zarządzania Górnikiem, dla biznesów, o jakich wcześniej mi się nie śniło – przenieśliśmy się do Szwajcarii.

Posiadłość była imponująca – może nie sam dom, bo ten nie porażał kubaturą, natomiast niewiele jest na świecie lepszych lokalizacji. Od Jeziora Genewskiego dzieliło nas raptem kilka metrów. Wieczorami, w cieplejsze dni, wychodziliśmy na prywatny pomost i podziwialiśmy zjawiskowy widok. W pobliżu mieszkała sama śmietanka – między innymi słynny kierowca Formuły 1, czterokrotny mistrz świata, Alain Prost. Nie wiem, ile w tym miejscu kosztował metr ziemi i jakie dokładnie ceny osiągały nieruchomości, ale mówimy o absolutnym finansowym topie. Władek tym domem szpanował: „Patrzcie, z kim macie do czynienia!”.

Działka była prostokątna, jednym z krótszych boków przylegająca do miejskiej, rzadko uczęszczanej drogi, a drugim do jeziora. Na jednym z końców, tym bardziej oddalonym od wody, postawiono małą przybudówkę, w której mieściła się winiarnia. Gdy przyszła noc, kursowaliśmy między domem, winiarnią, a czasami jeszcze jachtem, na który często wchodziliśmy po pijaku, dając się ponieść fantazji. Ha! Przez moment grał w szwajcarskim Lausanne Sports Bogusław Cygan, sprowadzony oczywiście z Górnika. Akurat strzelił swoją pierwszą i jak się okazało ostatnią bramkę dla nowego klubu, więc z tej okazji zabraliśmy go w rejs. Na Jeziorze Genewskim generalnie nie dochodzi do żadnych

incydentów, trudno tam natrafić na jakąś niespodziankę. Ale gdy pijani za sterem.

Boguś trzymał w ręku wielki telefon i krzyczał do niego:

– Mama, mama! Jo strzelił gola! Jo!

I nagle – chlust! Zakołysało łajbą, a Bogusław Cygan znalazł się w wodzie.

Człowiek za burtą!

Przerażeni spoglądamy w wodę, a Cygana nie ma. To dopiero będzie, jak utonie! Tylko tego brakowało!

– Booouuuś!!!

Nagle – jest. Wynurzył się, uśmiechnięty:

– Wy się nie bójta, jo był ratownik! Jo radio uratował!

Spotykało się u Władka w domu przeróżne osoby – zjeżdżali bogacze z różnych stron, zjeżdżali ci, którzy bogaczami dopiero chcieliby zostać, zjeżdżali szemrani biznesmeni, a nawet... szpiegzy, bo właśnie tam, nad Jeziorem Genewskim, poznałem Mariana Zacharskiego – chociaż wtedy oczywiście już nikogo nie szpiegował, tylko robił interesy albo przynajmniej miał nadzieję na ich zrobienie. Zapamiętałem go z fotograficznej pamięci i szybkości, z jaką czytał. Rzut oka na stronę – następna. Rzut oka – następna.

Dla zabawy grałem jeszcze w piłkę – w zespołach FC Azzurri i FC Pully, których właścicielami byli poznani u Władka biznesmeni. Cały czas czekałem na ten złoty strzał – czekałem na interes, który przygotowywał Kozubal i do którego byłem taki niezbędny. Nie wiedziałem, co to takiego będzie, ale już się cieszyłem na myśl o wielkich pieniądzach, które lada moment zarobię.

– Dopinam sprawy – mówił Władek.

Mijały miesiące – i nic. Kolejne balangi, kolejne kursy z domu do winiarni. I na łódkę. Tylko że zamiast zarabiać, do mieszkania w Szwajcarii dokładałem. Wszystko się ślimaczyło, sprawy wciąż nie były dopięte.

Raz się w tamtym czasie omal nie zabiłem, a byłaby to śmierć zasługująca na Nagrodę Darwina – taką dla największych cymbałów, którzy życie stracili na własne życzenie. W kilkuosobowym gronie – między innymi z dziennikarzami Januszem Basałajem i Pawłem Zarzecznym – wracaliśmy z Cannes należącym do Kozubala chevroletem. Kierowca prowadził, my natomiast rozpijaliśmy kolejne flaszki. I samochód mógł się popsuć, ale nasze humory – nie!

Auto faktycznie padło. Kierowca zadzwonił po lawetę, ciężarówkę z wysoką naczepą.

– Jedź pan!

Dla nas, pasażerów, było bez różnicy, czy będziemy siedzieć w chevroletcie prowadzonym przez kierowcę, czy w chevroletcie wiezionym na lawecie. Wróciliśmy na zajmowane wcześniej pozycje i kontynuowaliśmy konsumpcję.

Po jakimś czasie laweta zjechała na stację benzynową. Gdy tylko się zatrzymała i gdy tylko zobaczyłem sklepową witrynę, otworzyłem drzwi umieszczonego na pace chevroleta:

– Panowie, zaraz wró...

Łubu-du!

Runąłem w dwumetrową przepaść. A że pijany ma zawsze szczęście, nie roztrzaskałem głowy o asfalt. Spojrzałem w górę, a z auta spoglądały na mnie twarze tyleż przerażonych co rozbawionych kolegów.

ROZDZIAŁ XXVIII

PIENIĄDZE

W Bochum przez półtora roku zarobiłem blisko 400 tysięcy marek, a w Arisie przed dwa lata – 800 tysięcy. Razem niespełna 1,2 miliona marek, a to było kiedyś mnóstwo pieniędzy. Zarobione przez trzy i pół roku za granicą dewizy stanowiły fortunę, dzięki której w Polsce dało się ustawić co najmniej cztery następne pokolenia.

Mieszkanie w Krakowie kupiłem za około 400 marek niemieckich, więc łatwo policzyć, że gdybym wydał wszystkie zarobione za granicą pieniądze tylko na nieruchomości i gdyby ceny wciąż były takie jak w dniu, w którym żona wzięła z portfela kilka banknotów i poszła najpierw do cinkciarzy, a potem do spółdzielni zapłacić za lokum, byłbym dziś szczęśliwym posiadaczem. 2,5 tysiąca mieszkań, czyli sporego osiedla. W porządku – to oczywiście niemożliwe, bo skąd niby miałbym dostać przydziały na taką liczbę nieruchomości? Ale nawet gdybym kupował po najwyższych cenach na czarnym rynku, po 15 tysięcy marek za lokal, miałbym tych mieszkań blisko 70.

Całe szczęście, że ich nie mam. Niech policzę. 70 mieszkań, wynajmowanych po 1,5 tysiąca złotych miesięcznie daje 105 tysięcy złotych. Nie trzeźwiałbym i nie wychodził z kasyna.

Mam jedno mieszkanie. To kupione za 400 marek. Jedyne 400 marek w moim życiu, które udało się rozsądnie zainwestować. 60 metrów kwadratowych, cztery pokoje i kuchnia, na pierwszym piętrze w bloku na Czerwonym Prądniku w Krakowie. W zasadzie to jedyne 400 marek, których nie straciłem.

Ponad milion zarobiłem w VfL Bochum i w Arisie Saloniki. Pierwszy raz na minusie znalazłem się w połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy w Warszawie w ciągu trzech dni przegrałem ponad 100 tysięcy dolarów, co przewyższało środki zgromadzone na koncie. Do myśli o bankructwie niby zdążyłem się przyzwyczaić, bo przecież topniało, topniało i topniało, ale... i tak moment wyzerowania licznika okazał się wstrząsający. Hazardzista do końca ma nadzieję, że zdoła się odbić. Do ostatniego usłyszanego „no more bets”. Dopiero potem jest przenikliwa rozpacz.

Niby się więc przyzwyczajałem, ale nie do końca. To jak z myślą o zakończeniu kariery – niby wiesz, że nadejdzie, ale w tym konkretnym dniu zawsze jesteś zaskoczony, a przez głowę przechodzi rozpaczliwie brzmiące pytanie:

– Czy to naprawdę już?

Tak, to już. Definitywnie.

Byłem goły. Może to nawet ulga? Już nic nie przegram, bo nie mam. Nie będę musiał kluczyć, udawać, oszukiwać – nie mam, więc nie przegram. Koniec. Jak mi nikt nie pożyczy, to ruletkę mam z głowy. Jeśli szukać pozytywów, to właśnie w taki sposób, bo inaczej ten rozwód by się nie udał, chociaż wiem, że to gadanie w stylu: „Amputowali ci nogę? To dobrze, już jej nie złamiesz”. Ludzie lubią się oszukiwać, zwłaszcza w takich momentach. Tak naprawdę, w głębi duszy byłem zrozpaczony. Że zawiodłem siebie. Że zawiodłem rodzinę. Że jesteśmy splukani. I, kurwa, że już nie zagram, a co za tym idzie – już się nie odegram!

Wracałem z Warszawy samochodem i wtedy po raz pierwszy pojawiła się myśl, by się zabić. Z naprzeciwnka jechały kolejne ciężarówki, a ja zastanawiałem się: „Teraz? Ta będzie dobra? Teraz?!”.

Z głośników płynął głos Bryana Adamsa. Tak pięknie nucił – do snu.

Chciałem zjechać na drugi pas. „Słynny piłkarz zginął w wypadku samochodowym”. Zdarza się. Na polskich drogach – w Babsku – z życiem pożegnał się legendarny zawodnik Juventusu, Gaetano Scirea. Skoro on mógł, to i ja.

Ale nie mogłem. Jeszcze nie. Bałem się skrócić kierownicą w lewo.

Hazardzisty nie zrozumie ktoś, kto nigdy hazardystą nie był. Żaden z nałogów nie wyniszcza człowieka w większym stopniu, a ja znalazłem się w ogniu krzyżowym – mieszanka hazardu z alkoholem zawsze daje oplakane skutki. Pijesz, więc grasz. Przegrałeś, więc pijesz. W ogniu krzyżowym człowiek degeneruje się psychicznie i fizycznie. Sam sobie pomóc nie jest w stanie, a jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz nie przyjmuje.

Hazard to opętanie. Chwile, kiedy w głowie nie prześladowuje cię myśl o zagranii, są rzadkością. Umysł zatruwa tylko jedno życzenie: żeby teraz się wreszcie odegrać.

Hazardzista nie gra, dlatego że lubi. Nie – większość hazardystów nie cierpi grania i doskonale zdaje sobie sprawę z fatalnych skutków. Ba, nikt inny nie wie lepiej od hazardzisty, jak popierdolona jest ta cała ruletka i jak wiele ludzkich żyć zakończyła. Kiedy ktoś tłumaczy, byś nie grał, bo to wcale nie jest fajne, myślisz: „Jakbym, kurwa, tego nie wiedział!”.

Hazardzista gra, dlatego że chce wyciągnąć wszystko, co przegrał, a to przecież całkowicie nierealne. Chce z tym skończyć, ale z głową podniesioną. Chce pójść na układ z kasynem – wy mi oddajcie, co wzięliście, a ja już tu więcej nie wrócę. No, najlepiej, żebyście jeszcze dorzucili z dziesięć procent od siebie, w ramach rekompensaty za spędzony u was czas, ale chociaż dajcie, co moje.

Mówię o ciężkim hazardzie – to jest wieczna próba powrotu do stanu początkowego lub chociaż walka o zminimalizowanie strat. Trudno jest machnąć ręką na własne pieniądze, a człowiek, który przegrał milion, wciąż traktuje ten milion jako poniekąd własny, tylko że złożony w depozycie. Ja go mam, tylko chwilowo nie przy sobie. Chwilowo tę sumę trzyma ta pani w okienku, za nią jest kasa pancerna, a w tej kasie. Właśnie tam są moje oszczędności.

- Dzień dobry, przyszedłem odebrać swoje pieniądze.
- Zapraszamy do stołu z ruletką.

Nawiedza też człowieka myśl o sprawiedliwości. Skoro kasyno ma tylko nieznacznie większe szanse od gracza – bo przecież pół czerwonych i czarnych jest tyle samo, tylko zielone zero robi różnicę (a kto by się przejmował jednym zerem) – to dlaczego nagle tendencja miałaby się nie odwrócić i dlaczego teraz to ja nie miałbym zacząć systematycznie wygrywać? To byłoby sprawiedliwe, prawda? Do tej pory wygrywali „oni”, więc teraz najwyższy czas na mnie.

Raz mi się to zdarzyło. Raz – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – zacząłem gromadzić kolejne żetony. Było to w kasynie w Poznaniu, wygrywałem już dziesiątki tysięcy dolarów, może nawet ponad sto tysięcy. Chciałem więcej i więcej. Czułem, że to mój dzień i moja noc. Że kulka ląduje dokładnie tam, dokąd prowadzę ją wzrokiem, i że właśnie ktoś mi zwraca kasę, którą „pożyczyłem” kasynu.

I zgasło światło.

W plecy wbijał się wystający drut z niewygodnej pryczy, na której nawet nikt nie położył materaca. W powietrzu unosił się zapach pleśni. Szare, zgrzybiałe ściany otaczały mnie ze wszystkich stron. Gdzie ja jestem? Obudziłem się w czymś, co przypominało celę, a może i w istocie celą było. Zaraz, zaraz. Muszę uporządkować myśli. Gdzie byłem? Co robiłem? Co pamiętam?

Pamiętam, że grałem i że szło mi wspaniale. Jak nigdy! I.

No właśnie. I co?

Serce dudniło mi jak oszalałe. Obolały, z ledwością podniosłem się z łóżka i podszedłem do ciężkich, mosiężnych drzwi. Będą otwarte czy nie? Czy jestem trzymany pod kluczem? Czy ktoś mnie porwał? Co się stanie, gdy nacisnę na klamkę? Trzęsącą się dłonią spróbowałem otworzyć i... udało się. Zrobiłem krok do przodu.

Opuszczony budynek stał nieopodal trasy wylotowej z Poznania. Stałem w szczerym polu i tęnym wzrokiem obserwowałem jadące kilkaset metrów dalej samochody. Nie musiałem się zastanawiać, wiedziałem, wszystko już

wiedziałem, wszystko poukładało się w głowie. Zostałem okradziony. Ktoś wsypał mi do drinka narkotyk, a następnie nieświadomego wyprowadził z kasyna – wraz z całą, gigantyczną wygraną. Naiwnie przeszukałem jeszcze kieszenie. Ani jednego żetonu. Ani jednego. Chociaż na pamiątkę.

Z kasynem nie wygrasz. A jeśli nawet – nie wygrasz z mafią.

Czy na uzależnienie od hazardu jest lekarstwo? Znam tylko jedno skuteczne – brak pieniędzy. Och, trzeba tu od razu dodać zastrzeżenie: brak pieniędzy i brak ludzi, którzy chcą ci je pożyczyć. Tacy się zawsze znajdują, ale tylko do pewnego momentu – gdy jesteś jeszcze potencjalnym dawcą.

Kiedy to się zaczęło?

Najpierw – w dzieciństwie, gdy grało się o byle co i z byle kim, ważne, by ktoś przegrał i ktoś wygrał, po prostu żeby coś się działo. Może nawet dlatego grałem w piłkę – pociągała mnie rywalizacja. Lubiłem zajęcia, które kończyły się zwycięstwem albo porażką, czyli przynosiły rozwiązanie ostateczne.

Przed osiemnastymi urodzinami trafiłem w Wiśle do ekipy pokerowej – i to już był hazard, bo graliśmy o bardzo duże stawki i bardzo regularnie. Wraz z cinkciarzami czasami robiliśmy dwudniowe, albo nawet trzydniowe nasiadówki, w czasie których łoiiliśmy w karty non stop. A że nie lubiłem grać na trzeźwo, byłem idealnym przeciwnikiem – o odpowiednio zaniżonej percepcji. W „Feniksie” na przykład gra sła o samochody. Kiedyś spisałem umowę, położyłem na stole dowód rejestracyjny, aż tu nagle... dowodu nie ma, umowy nie ma, już po wszystkim. Mówią mi: „Andrzej, przegrałeś!”. A ja jeszcze byłem dość trzeźwy, by wiedzieć, że nawet nie zagraliśmy.

Nie lubiłem oszustw. Jeśli komuś wypadła karta – odwracałem wzrok, byle jej tylko nie zobaczyć. Dlatego wtedy nie odpuściłem tak łatwo samochodu. Odszukałem gości, przez których zostałem orznięty, a że szli w zaparte, to po raz pierwszy skorzystałem z pomocy milicji. Poszedłem do znajomego funkcjonariusza, poprosiłem:

– Weź mi odzyskaj auto, bo zbyt bezczelnie ze mną postąpili.

To był rok 1984. Tamci sądzą, że to idealny moment, by mnie przekreślić – i tak się nie poskarżę, nie chcąc sobie robić problemów w klubie i przyznawać publicznie, jak spędzam czas.

Ale ja tego auta potrzebowałem.

Milicjant poszedł do oszustów i wydał polecenie:

– Odstawcie samochód Iwana albo już nigdy nie zagracie w Krakowie...

Oddali.

A ja? Ja się nie nauczyłem niczego. Z kimś grać musiałem, więc zdarzało się, że grałem i z tymi oszustami. Raz, gdy przyjechałem z Niemiec, przy stole doszło do bijatyki i szybko zostałem poinstruowany:

– Odezdziesz się, to dostaniesz kosę albo zrobimy taką aferę, że cała Bundesliga będzie o tobie mówić!

Kosy się nie bałem, bom głupi, ale już afery w Niemczech – tak.

Wykręcało się niegdyś numery też samemu. Oj, jeden przygotowany był perfekcyjnie – prawie jak skok na bank w amerykańskim filmie. Kręcił się na mieście cinkciarz – Staszek Soja, a trzeba wiedzieć, że jedynie cinkciarze mieli wówczas dostęp do prawdziwych pieniędzy. Staszek to wymarzona ofiara – bogaty, ale prymityw, no i z żyłką hazardzisty. Przesiadywał całymi dniami w hotelu „Cracovia”, więc znając miejsce urzędowania, łatwo było opracować plan. Cel był następujący: wkreślić Staszka w zakład, w którym będzie przekonany o końcowym sukcesie, podczas gdy w rzeczywistości wszystkie atuty będą po naszej stronie.

Najlepiej – coś piłkarskiego. Ale z nami, wiślakami, na to Soja nie pójdzie, bo nas zna. Może więc...

Usiedliśmy w hotelu „Cracovia”, blisko okna. Zwykły szary dzień, nic specjalnego się nie dzieje. Gdzieś przechodzi kobieta z wózkiem, gdzieś przejeżdża rowerzysta, młoda para idzie pod rękę, nieopodal ulicę zamiata jakiś cieć.

– Staszek, dawaj, założymy się o coś! – podpuszcza Soję kumpel.

– A o co?

– Hmm. Nie wiem, nie wiem.

– No, dawaj, o co?

– Dajże pomyśleć.

– No?

– Dobra, wiem. Widzisz tego ciecia?

– Tego tam?

– Tego śmieciarza, co tam zamiata, w drelichu, robol. O!

– Widzę.

– Stawiam 10 tysięcy dolarów, że trzy razy na pięć prób wkręci piłkę z rzutu różnego.

– 10 tysięcy dolarów?!

– Tak.

– Że ten robol w drelichu wkręci? Z rzutu różnego?

– Wygląda zdrowo, dokopie!

– Ty głupi jesteś.

– Wiem, wiem. Wchodzisz w to?

Soja zaczął się zastanawiać, ale już nie mógł nam się wymknąć.

– Andrzej, ty jesteś piłkarzem, co sądzisz? – spytał mnie. – Wkręci?

– Taki byle robotnik? Nie ma szans! – odparłem.

– Ej, ty! – wołamy robotnika.

Przybiega utyłany, z miotłą w dłoni.

– Słucham.

– Dostaniesz 10 dolarów, jak pójdziesz z nami na boisko.

– Ja, proszę pana, 10 dolarów?

– Tak. Damy ci piłkę. Będziesz kopał z rzutu różnego do bramki.

Kopałeś kiedyś piłkę?

– Kiedyś tak.

– A dokopiesz z różnego?

– Pewnie tak.

– No to chodź.

Staszek Soja rozpromieniony: „Głupi ten Iwan i jego koledzy, pieniądze rozdają. Kto by pomyślał, 10 tysięcy dolarów zarobione w tak banalny sposób, bez żadnej wajchy. Cóż za wspaniały dzień!”. Idzie Staszek i wesoło pogwizduje. Tyle razy mu przecież tłumaczyli, że wkręcić z różnego to nie przelewki i że byle kto nie potrafi.

Robotnik ściągnął drellich, z namaszczeniem ustawił piłkę. Pierwszy strzał – gol. Soja przełknął nerwowo ślinę. Piłka zatoczyła idealny łuk i zatrzepotała w siatce. Drugi strzał – gol. Identyczne uderzenie, identyczna parabola. Cinkciarz stoi blady jak ściana i nawet nie pamięta, że przed chwilą wesolutki był jak skowronek. Trzeci strzał. Gol!

– Staszek, chyba przegrałeś 10 tysięcy dolarów.

Robotnik dostał swoją dychę i grzecznie się oddalił. To był Czarek Tobollik, świetnie wyszkolony zawodnik Cracovii, który niedługo potem przeszedł do Eintrachtu Frankfurt.

Też grałem w piłkę o kasę – a co. I to razem z Adamem Nawalką i Krzyśkiem Budką. Jeździliśmy we trzech do Huty i... przegrywaliśmy z drużyną osiedlową, bo nie zdieraliśmy dup za kilka złotych, a przeciwnik – widząc nas, słynnych piłkarzy – walczył z nieprawdopodobną determinacją.

Ale to tylko takie wspominki, mniej lub bardziej wesołe – tylko po to, by ten pierdolony hazard trochę ugłaskać. Wierzcie mi – nie ma nic wesołego w rujnowaniu życia.

Dlaczego tyłu piłkarzy to hazardziści?

Składa się na to kilka czynników, z czego dwa są najważniejsze – pieniądze i nuda. Hazard atakuje, gdy nie masz zajęcia. Wtedy pojawia się myśl: „A może do kasyna?”. Po jakimś czasie to już nie myśl, tylko wewnętrzny przymus: „Kasyno!”. Dzisiaj, jutro, pojutrze. Gdy ktoś chodzi do pracy na ósmą i kończy o szesnastej, by jeszcze przez godzinę jechać do domu, a potem coś zjeść, pobawić się z dziećmi, obejrzeć telewizję i pójść spać – to na zostanie hazardzistą ma mniejsze szanse niż zawodnik, który zazwyczaj już od trzynastej się nudzi, często w obcym mieście, oderwany od własnego środowiska. Ewentualnie, jeśli akurat się nie nudzi, to jest na jakimś zgrupowaniu, w czasie którego – no właśnie – wszyscy grają.

Hazard jest gdzieś z tyłu głowy. Gdy głowa się wyłącza, wtedy przejmuje kontrolę. Normalne, zdrowe osoby potrafią nie myśleć o niczym. Hazardzista nie potrafi – automatycznie włącza się opcja „skoro się nudzisz, to może zagraj”. Wtedy taki ktoś myśli sobie: „W sumie to nic złego, zagram nie dlatego, że muszę, tylko dlatego, że mi się nudzi.

Mógłbym wcale nie grać, to proste, nie jestem przecież uzależniony. Ale zagram tak po prostu, dla zabicia czasu. Zagram chwilkę, no, z godzinkę. Nie muszę, wiadomo, że nie. Po prostu – co tu robić innego?”.

Ale z czasem cały plan dnia zaczynasz tak sporządzać, by chwila na „nudzenie się” w kasynie zawsze się znalazła. Odwołujesz spotkania, wymyślasz korki, spóźnione pociągi, przegapione samoloty. A potem przychodzisz do domu, zmęczony, najczęściej upity, bo przecież przegrałeś, a w kasynie drinki dają za darmo. No więc, przychodzisz zmęczony, a następnego dnia nawet nie wiesz, ile przegrałeś i nie pamiętasz czy – nie daj Boże – pożyczałeś pieniądze. Jeśli pożyczałeś, to od kogo i ile? Zrywasz się z łóżka i nerwowo wyglądasz za okno, czy nikt na ciebie nie czeka, czy nie stoi radiowóz. Boisz się odebrać telefon, bo przeczuwasz, że ktoś coś od ciebie chce. Ktoś oczekuje zwrotu. Może dzwoni rodzina, to też się zdarza, ale... po co ryzykować? Nie odbierasz. Przez tydzień nie odbierasz.

Z czasem o hazardzie myślisz nie tylko w wolnych chwilach, lecz non stop. W czasie rozmowy z żoną, w czasie treningu, w czasie obiadu z kumplami, w czasie zabawy z dziećmi, czy w czasie oglądania filmu. Zadajesz sobie różne pytania: po co, dlaczego, kiedy znowu, w jaki sposób. Ale wszystko krąży wokół pieniędzy, odgrywania się, zakładów. Kiedy ktoś się do ciebie odzywa – marzysz, żeby skończył mówić. Czy on nie widzi, że właśnie myślisz?! Czy nie widzi, że analizujesz?! Czy nie widzi, że... przeszkadza?! Nie obchodzi cię choroba w jego rodzinie! Obchodzi cię gra.

Każdy hazardzista twierdzi, że grać nie musi, że się tylko bawi, że ma za co i że to tylko symboliczne stawki. Hazardziści to pozerzy. Trzymają fason do samego końca.

Przegrałem fortunę, bo zawsze dysponowałem nadmiarem pieniędzy. W czasach komuny nie miałem co z kasą robić, nie miałem na co jej wydać – więc grałem. W czasach późniejszych płacono mi tak obrzydliwie dużo, że do samego końca uważałem się za krezusa.

Może tak miało być?

Często znajomi mnie pytają:

– Andrzejku, a gdybyś znowu miał kilka milionów?

Nie kręci mnie ta perspektywa. Nie chcę tych milionów. Przecież koniec mógłby być tylko jeden:

– Przegrałbym wszystko co do grosza, a ile bym przy tym zmarnował czasu.

ROZDZIAŁ XXIX

MAFIA

Właściwie to chciałem pójść do domu. Północ; tam był las, w którym mnie wysadzono, tam była wieś, pierwszy dom, w którym paliło się światło. Człowiek, który w nim mieszkał, bez wahania wpuścił mnie do środka, mimo iż musiałem mu się wydawać bardzo dziwnym włóczęgą. Zadzwoiłem do mojej żony, powiedziałem: „To ja. Jestem wolny”. I chciałem zadzwonić po taksówkę, pojechać do domu, tak po prostu, te czterdzieści pięć minut jeszcze wytrzymasz. I potem ta chwila, wymarzona przez 33 dni, mimo iż podczas owych 33 dni zabroniłem sobie wyobrażeń o niej: stoję przed drzwiami naszego domu, dzwonię, moja żona otwiera, i teraz, teraz mógłbym – co? Prawdopodobnie płakać, być może po prostu upaść, nie, to nie, ale zrobić się ciężkim, bardzo ciężkim w ramionach mojej żony, nie musieć znosić samemu tego napięcia i potem (albo przedtem?) uścisnąć ją, mocno, przejąć jej napięcie... Nie, pójdziemy najpierw na górę do naszego syna (a może usłyszał mnie i schodzi właśnie po schodach?), i wszyscy troje stoimy przy jego łóżku (albo siedzimy na dywanie) i obejmujemy się mocno.

25 marca 1996 roku Jan Philipp Reemtsma został porwany sprzed własnego domu, mieszczącego się w malowniczej hamburskiej dzielnicy Blankenese. Była to spektakularna, błyskawiczna akcja. Reemtsma, zanim

zorientował się, co się dzieje, miał już złamany nos i leżał na podłodze półciężarówki, z głową owiniętą taśmą klejącą i rękoma skutymi kajdankami. Przestępcy musieli być odpowiednio przygotowani – ich celem był w końcu jeden z najbogatszych obywateli w Niemczech, król papierosów, właściciel potężnego koncernu Reemtsma GmbH. Początki rodzinnego interesu sięgały początku XX wieku i z każdym rokiem rodzina Reemtsmów stawała się coraz bardziej majątna, aż stała się majątna nieludzko.

Nie uszło to uwadze grup przestępczych. Jedna z nich przeprowadziła skuteczną operację porwania Jana Philippa. Wkrótce potem członek gangu skontaktował się z rodziną ofiary i poinformował o żądaniach: 20 milionów marek. Jednocześnie do domu Reemtsmów wysłano list ze specyficzną zawartością – granatem. Tak porywacze udowodnili, że nie żartują.

Policja stawała na głowie, by rozwiązać zagadkę i wpaść na jakikolwiek trop. Niestety, bezskutecznie. Dysponowała zaledwie zapisem głosu porywacza. Ten głos okazał się jednak niemożliwy do identyfikacji.

Po kilku dniach telefon zadzwonił ponownie:

– Cena wzrosła. 30 milionów marek.

Jan Philipp Reemtsma trzymany był w piwnicy w Garlstedt, małej miejscowości znajdującej się między Hamburgiem i Bremą. Wzdłuż głównej drogi stoi tam ledwie kilka domków, gdzieś w głębi – trochę dalej od ludzkich oczu – są kolejne niepozorne zabudowania. Milioner przykuty został do ściany dwumetrowym łańcuchem – dostał więc tyle swobody ile podwórkowy pies. Chodził z nerwów całymi dniami i liczył kroki. Naliczył ich ponoć 18,5 tysiąca, aż nabawił się zapalenia ścięgien. Na dłoniach pozostawiono mu kajdanki, jednak źle założone – kciuk w jednej dłoni pozostawał zdrętwiały. Na wszelki wypadek – gdyby łańcuch, kajdanki i zamknięte na klucz drzwi nie wystarczyły – więzień był cały czas pilnowany przez uzbrojonego strażnika. Warty 30 milionów marek towar – nawet skuty – nie mógł zostać spuszczone z oczu.

Reemtsma nie miał pojęcia, czy zostanie uwolniony, czy też po prostu zabity. Zapewne bardziej prawdopodobna wydawała mu się ta druga opcja.

Kiedy dostał kawałek papieru i długopis, napisał do swoich porywaczy list. Wielkimi literami, po obu stronach kartki, zanotował: „Jeśli chcecie mi odciąć palec – najpierw to przeczytajcie”. W liście prosił, by – jeśli zajdzie konieczność obcięcia – zrobiono to na początku tygodnia. Wtedy poczta pracuje sprawniej i nie zaistnieje ryzyko, że przesyłka zawieruszy się przez weekend. Nie chciał sterczeć z krwawiącym kikutem i ryzykować gangrenę. Dlatego postanowił myśleć o wszelkich szczegółach – na wypadek gdyby porywacze byli zbyt głupi.

Gdybyście mieli odciąć mi palec, zróbcie to w poniedziałek.

Jednak po 33 dniach rodzinie Reemtsmy udało się zmylić wężącą policję i w sposób niezauważony przekazać okup. Porywacze pokierowali najbliższych porwanego do Krefeld, gdzie nakazali porzucenie samochodu. Po sprawdzeniu, że nikt nie obserwuje wozu, przejęli pieniądze – równowartość 30 milionów marek, zgodnie z życzeniem wypłaconą właśnie w niemieckich markach oraz frankach, w niskich nominałach. Dziś to jest suma nieziemską, natomiast warto pamiętać, że w 1996 realna wartość wspomnianej kwoty przewyższała tę obecną. Cóż, zdaje się, że mówimy o najwyższym, a może też najcięższym okupie w dziejach. Walizki, w których umieszczono pieniądze, ważyły 52 kilogramy i... po prostu rozplynęły się.

Jan Philipp został wypuszczony – przytoczony na wstępie rozdziału cytaty pochodzi z jego książki, wydanej pod tytułem „Im Keller”, później przetłumaczonej na wiele języków, między innymi na polski („W piwnicy”, tłumaczenie: Viktor Grotowicz).

Służby Niemiec i wszystkich ościennych państw zacieśniły kontrolę na przejściach granicznych, w portach i na lotniskach. Wszystko na nic. Reemtsma wyszedł na wolność, ale porywacze dopięli swego.

Mijały miesiące, ale porwanie pozostawało zbyt głośne, by tak po prostu o nim zapomnieć. Z czasem policji udało się zebrać próbki DNA pomocne do odnalezienia porywaczy, ale ci ciągle pozostawali nieuchwytni.

Dwa lata później mózg operacji Thomas Drach wraz z partnerką postanowił wyrwać się z Urugwaju, w którym mieszkał i odwiedzić pobliskie Buenos Aires, gdzie akurat koncertował legendarny zespół The

Rolling Stones. Z Montevideo można dostać się do Buenos samolotem, samochodem, ale najwygodniej jest promem. Podrobiony brytyjski paszport zwrócił uwagę celników i Drach został zatrzymany. Dwa lata później doszło do ekstradycji, a w Niemczech mężczyznę skazano na 14,5 roku pozbawienia wolności. Kiedy czytacie tę książkę, być może przebywa już na wolności.

Pozostali jego wspólnicy – skazani pod zarzutem uprowadzenia – to Wolfgang Koszics, Peter Richter i Piotr Laskowski. 33-letni Polak przyznał się do zarzutów. Wszystkich pieniędzy nigdy nie odnaleziono. Udało się zabezpieczyć nieznaczną część łupu.

– Co powiesz o Wojtku?

– Wojtek grubo gra. Tak jak ty. Macie coś wspólnego.

Był łysy i miał wygląd profesora wyższej uczelni. Zawsze elegancki, z nienagannymi manierami. Żona, znacznie młodsza od niego, pochodziła chyba z Portugalii i dała mu syna, którego Wojtek kochał nad życie. Ciągle mówił tylko o nim. Kiedy miał wolną chwilę, wyjmował z kieszeni zdjęcie i po prostu się gapił.

– Będę w Wiedniu – powiedziałem do słuchawki. – Ale tylko na godzinę. Przyjadę z Zurychu, później mam przesiadkę. Muszę dostać się z jednego dworca na drugi.

– O, to znakomicie. Odbiorę cię i zawiozę. Na Południowy, tak?

– Tak, na Południowy.

Wojtek rzeczywiście przyjechał i następne kilkadziesiąt minut spędziliśmy na rozmowie o Władysławie Kozubalu.

– Wydaje mi się dziwny, wiesz? Wydaje mi się...

– Wiem, co chcesz powiedzieć – przerwał mi.

– Wiesz?

– Wiem. To oszust. To. To szmondak. Cwaniak. Wszystko to jeden wielki kit. Sprawdziłem go – on nic nie ma. Już się ludzie nim interesują. Wszystkich oszukuje. Ciągle coś obiecuje, ale z tych obietnic nic nie wynika.

– Mieszkam tam w Szwajcarii...

– Omamił cię! Prześwietliłem go. Wykiwał mnie, ciebie, każdego wykiwał. Ja już nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Nic.

– Rozmawiałem z Jurkiem.

– I?

– Mówił dokładnie to co ty. I powiedział, że wiesz... że to zły człowiek. Że strasznie traktował swojego syna. Że go bił i zamykał w piwnicy.

– W piwnicy?!

– Tak.

– Jezu, co za pieprzony psychol. W moich oczach jest skończony. Jak można zamykać syna w piwnicy?! Ja mam syna.

– Wiem, że masz. Ciągle gapisz się w to zdjęcie. Jesteś tak samo pieprznięty jak Władek, tylko w drugą stronę! – powiedziałem i zanieśliśmy się śmiechem.

Wojtek zatrzymał samochód przed wielką halą.

Litery SÜDBAHNHOF oznaczały, że jesteśmy na miejscu.

– Zadzwoń, jak dojedziesz – powiedział. – No i jak będziesz znowu w okolicy, to koniecznie daj znać. Andrzej...

– Tak?

– Masz problemy?

– Sporo przegrałem. A Władek...

– Nie przejmuj się Władkiem. Olej go. Jeszcze będziemy bogaci. Naprawdę bogaci. A nie tacy... nie tacy jak ten drobny, godny pogardy krętacz. Naprawdę bogaci! – Uśmiechnął się szeroko. Dla Wojtka słowo „bogaty” zaczynało się od kilku milionów dolarów.

Monte Carlo. Przy stoliku do bakarata niezwykle ostro gra łyśy mężczyzna, mający na oko około sześćdziesięciu lat, ale jeszcze żwawy i dobrze trzymający się. Tak bogatego klienta dawno tu nie mieli – a przecież mają samych bogatych, najbardziej majątni ludzie świata puszcza w Monte Carlo swoje fortuny. Łyśy nie wstaje od stolika nawet na moment, chyba że akurat przychodzi mu ochota, by zakręcić kulką i postawić kupkę żetonów na jeden z numerów. Ruletka jednak nie pociąga go aż tak bardzo jak wspomniany karciany bakarat – ulubiona rozrywka Jamesa Bonda. Może naoglądał się filmów?

Elegancki mężczyzna nie liczy się z pieniędzmi. Wynajął najdroższy apartament w luksusowym „Hotel de Paris”, ale prawie w nim nie przebywa, nie korzysta nawet z prywatnej plaży. Liczy się jedna destynacja – kasyno.

Ogromne sumy, które a to wygrywa, a to przegrywa hotelowy gość (ale jednak częściej przegrywa), zwracają uwagę.

– Proszę mi dać zbliżenie na tego człowieka – wydał polecenie szefowi ochrony kasyna przedstawiciel tajnych służb.

– Tego?

– Tego łysego!

– Już – potwierdził pracownik kasyna, a na ekranach pojawiła się wielokrotnie powiększona sylwetka miłośnika bakarata.

– Kto to jest?

– Nie wiem, jak się nazywa, ale to nasz stały gość. Wynajął najdroższy apartament w „Hotel de Paris”.

– Najdroższy?

– Wynajął apartament Churchilla.

– Rany, wynajął Churchilla i pan nie wie, kto to jest?!

Z najlepszego apartamentu w „Hotel de Paris” – nazwanego na cześć brytyjskiego premiera – z pięknego tarasu rozciągał się niezapomniany widok – na zatokę i kasyno. Trudno zgadnąć, po co aż dwie sypialnie i salon jednemu tylko mężczyźnie, który i tak przesiaduje przy stoliku do bakarata.

– Już sprawdzam... – poprawił się szef ochrony. – Nazywa się Wojciech Papina.

– Papina? – Agent podrapał się po głowie. Następnie chwycił za telefon i zarządził: – Mamy tu człowieka, którego trzeba natychmiast sprawdzić. Wydaje ogromne sumy pieniędzy. Dowiedzcie się, skąd tyle ma i czym się zajmuje.

Wojtek opuścił Monte Carlo i udał się do Wiednia. Tam podszedł do dworcowej skrytki, by umieścić tę część pieniędzy, której zdołał nie przegrać i nie roztrwonić. Zanim jednak włożył torbę, ze wszystkich stron wyskoczyli agenci specjalsi. Otoczyli go, krzycząc:

– Ręce do góry! Pokaż ręce! Na ziemię, na ziemię! Nie ruszaj się!

W skrytce odnaleziono część łupu za porwanie niemieckiego króla papierosów, Jana Phillipa Reemtsmy.

– To ty nie wiedziałeś, czym się zajmował Wojtek? – spytał znajomy.

– Nie.

– Miał wyprać brudną kasę. Grał w kasynie bardzo grubo, ale miał zalegalizować jak najwięcej brudnej gotówki. 30 milionów marek z porwania. Wiesz, jak kurewsko trudno jest dysponować taką kasą? Do banku z tym nie pójdziesz. Musisz pokazać, skąd wzięłeś. Jak masz z kasyna, to w porządku. Wystawią ci pokwitowanie, że wygrałeś. Przecież mogłeś wygrać, prawda? No więc on chodził i wygrywał. Czasami przegrywał, ale też wygrywał. Jak z dziesięciu milionów przegrasz cztery, to ciągle ci sześć zostanie. I te sześć jest już do konsumpcji. Rozumiesz, o czym mówię?

– No...

– Wojtek trochę przesadził. Grał za szybko, za mocno i ciągle w jednym miejscu. Wciągnęło go. Nie pomyślał, że zwróci na siebie uwagę.

– Myślałem, że zajmuje się papierosami. Że przerzuca je przez granicę.

– Papierosami... – prychnął z pogardą rozmówca.

– Przecież to dobry interes. Pięciokrotna przebitka. Jak przerzucisz kontener ze Szwajcarii do Włoch, jesteś bogaty.

– Bogaty? Celował wyżej.

– Jeszcze wyżej?

– Co ja ci będę mówił...

Wojciecha Papinę poznałem w domu Władysława Kozubala. Z czasem polubiliśmy się znacznie bardziej, niż lubiliśmy samego Władka – zwłaszcza że na koniec nie lubiliśmy go ani trochę. Wojtek prowadził różne interesy, ale nie miałem pojęcia, jak różne. Wiedziałem, że siedzi w papierosach, a to była wówczas żyła złota. Do tego wymieniał walutę.

– Spotkamy się w Bazylei, a potem pojedziemy do Włoch. Tam Wojtek wymieni naszą kasę. Będzie jeszcze Peter Sander. Razem musimy wymienić półtora miliona franków na liry. A „Łysy” będzie miał z tego 100 tysięcy dla siebie. Z jednego takiego numeru można żyć, rozumiesz „Ajwen”? On z tego żyje. Wymienia nam walutę i dostaje działkę – wytłumaczył mi Bolek Krzyżostaniak.

Sander był przystojnym, wysokim Szwajcarem, który pomagał polskim dorobkiewiczom w inwestycjach. Dzisiaj użylibyśmy słowa – lobbysta. Ale też biznesmen. Od Bolka za 650 tysięcy marek kupił Olimpię Poznań, a w praktyce karty zawodnicze piłkarzy. Pytał mnie:

– Andrzej, to są dobrzy gracze? Zarobię na nich?

A ja co miałem mówić? Że nie?

– Peter, oczywiście. Sprzedaż ich do Szwajcarii z łatwością – odpowiadałem. Taka była w końcu moja rola.

Bolek martwił się, że wygadam Sanderowi, że jego nabytki nadają się co najwyżej do Miedzi Legnica, ale powstrzymałem atak szczerości.

Wyprawa do Bazylei – i potem na południe, do Włoch – nie zakończyła się dobrze. Do pokoju hotelowego, w którym liczono pieniądze, nagle wparował mężczyzna z karabinem i kazał wszystkim położyć się na ziemi. Następnie zwinął kasę i uciekł. Transakcja może nie życia, ale roku, przeobraziła się w koszmar. Napastnik sterroryzował Bolka, Wojtka i Petera bronią, a następnie ograbił ich z fortuny.

– Andrzej... Musisz tu przyjechać. Koniecznie! – poinformował mnie Peter.

Wsiadłem w samolot i następnego dnia byłem w Bazylei, a dokładniej – w hotelu mieszczącym się tuż przy lotnisku. Przy recepcji czekał na mnie Peter wraz z wielkim ochroniarzem – mistrzem świata w kick-boxingu. Ledwie się razem zmieściliśmy do windy.

– Jest jakiś problem? – spytałem. Ciągle nie wiedziałem, o co chodzi.

– *Ein großes Problem* – odparł posępny kick bokser.

Peter stał obok blady jak ściana. Po chwili wydukał:

– Napadnięto nas. Facet ze strzelbą. Zabrał wszystko. Ktoś nas wystawił. I trzeba się dowiedzieć kto.

W pokoju czekał już Wojtek Papina i Bolek Krzyżostaniak. Trwały nerwowe dyskusje, kto stał za napadem i kto w ogóle wiedział o wymianie. Peter uważał, że mam na rodaków dobry wpływ i że uda mi się cokolwiek od nich dowiedzieć. Ale nic z tego – wszyscy wyglądali na przerażonych. Albo tacy byli, albo genialnie odgrywali swoją rolę.

– Załatwię kasę. Wróci! – powiedział w końcu Wojtek.

– Musi wrócić – przyznał mu rację Peter.

Pod ścianą stał wielki jak niedźwiedź wojownik i mierzył nas wzrokiem. W głowie prowadził chyba własne śledztwo. Niby był ochroniarzem Sandera, ale rozkazy przyjmował z samej góry.

Otworzyłem gazetę i z nudów zacząłem pochłaniać kolejne artykuły. Nagle aż mnie zmroziło – zatrzymany został Wojciech Papina, jeden... jeden z szefów polskiej mafii?! Szefów? Mafii? Wojtek? Przecież on... przecież on papierosami handlował. I wymieniał kasę. Marki na liry. Albo liry na franki. Zależy, co się bardziej opłacało. I co, nagle miałby być zamieszany w porwanie? W narkotyki? Nagle został... Co tu jest napisane? Jednym z najpotężniejszych bossów narkotykowych w Europie?

Nie mogłem w to uwierzyć – razem przegadaliśmy dziesiątki albo i setki godzin, wypijając przy tym hektolitry gorzały. Widzieliśmy się w Szwajcarii, w Austrii, w Polsce. Przez moment w zasadzie pomieszkiwaliśmy razem – w Pully, na czwartym piętrze w miłym apartamentowcu. Z okien rozpościerał się magiczny widok na Jezioro

Genewskie, można było usiąść na tarasie i obserwować światła znajdującego się po drugiej stronie francuskiego kurortu Evian. To stamtąd pochodzi podobno najlepsza woda na świecie.

Zacząłem pytać tu i tam, zacząłem też czytać wszystko na temat Wojtka. Z czasem wszystko stawało się jasne – nawet to, kto napadł na samego Wojtka, ale też Bolka i Petera we Włoszech. Kasa oczywiście nie wróciła, a za atakiem stał sam Papina, który poinformował odpowiednie osoby, gdzie będzie można znaleźć łatwy łup. Sam miał dobre alibi – leżał z twarzą przyciśniętą do podłogi, a uzbrojony bandyta i do niego mierzył z długiej broni. Co się później stało z Peterem, nie wiem. Niby kupił Olimpię, a pieniądze dał w gotówce, nie wiadomo jednak, czy cokolwiek podpisał, a sprawa tych wszystkich kart zawodniczych umarła śmiercią naturalną. Może on też? Nie wiem. Nigdy więcej go nie widziałem. Piłkarzami dalej dysponował Bolek.

O Papinie prasa donosiła raz po raz – że współnik „Baraniny” z Wiednia i że rezydent polskiej mafii. Zaglądam teraz do książki Sylwestra Latkowskiego „Polska mafia”. Już na wstępie pada znane mi nazwisko...

19 listopada 1987 roku w gazecie wiedeńskiej „Neue Kronen Zeitung” ukazał się artykuł pt. „Przemyt heroiny wartości ponad 100 milionów szylingów”.

800 tysięcy szylingów rocznego zarobku nie wystarczało byłemu mistrzowi CSRS w hokeju Jifiemu Bubli (38), dlatego został handlarzem narkotyków. [...] Na ślad siatki handlarzy narkotyków z siedzibą w Vancouver (Kanada) wpadli żandarmi z Wydziału Kryminalnego w Wiedniu. Po zgonie 28-letniego mieszkańca Neustadt, który przedawkował heroinę, ślad zaprowadził policjantów do Polaka mieszkającego w Wiedniu. Jego zeznania były szokujące.

Nikt inny jak Jin Bubla, przez 10 lat gwiazda narodowej reprezentacji CSRS w hokeju, uczestnik mistrzostw świata w 1977 roku w Wiedniu i następnie działacz kanadyjskiej NHL, był hurtowym dostawcą trucizny. On przemycał heroinę do Wiednia, on skłonił działaczkę opieki społecznej w Wiedniu do składowania trucizny i on porcjował heroinę o wadze 33 kilogramów i wartości 100 milionów szylingów. Mieszał ją z mlekiem

w proszku i pakował w pudełka po papierosach Marlboro i bombonierkach Ildefonso.

Kim był Polak, dzięki któremu austriacka policja dopadła mistrza hokeja Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej Jifiego Bublę? To urodzony w 1939 roku w Warszawie Wojciech Bohdan Papina. O ludziach takich jak on nigdy nie mówiło się w Polsce jako o ludziach mafii. Do dzisiaj niewiele osób ma pojęcie, że oni istnieli. Skąd się w ogóle wzięli?

Kawałek dalej znajduję jeszcze inny interesujący mnie fragment.

Marek Minchberg, zwany „Grubym Markiem”, o którym będzie mowa w dalszej części książki, dobry znajomy Wojciecha Papiny, mówi:

– Papinę znałem, zanim wyjechał do Wiednia. To był krętacz i oszust, a do tego konfident. Ile razy siedział, tyle razy kapował.

Nie dziwi mnie ta opinia. O ile Wojtkę uważałem za świetnego kumpla, o tyle nie miałem wątpliwości, że jest powiązany z austriackimi służbami – to one zapewniały mu w pewnych kwestiach nietykalność, na przykład wyciągnęły go z aresztu po zatrzymaniu na dworcu i znalezieniu części okupu z porwania. Podobną opinię przedstawił mi też Bolek Krzyżostaniak, którego Papina pomógł o pomoc w budowaniu narkotykowego imperium. Jak twierdził w czasie przesłuchań, to Bolek przekazał mu środki na inwestycje i właśnie z tego powodu Krzyżostaniak trafił do więzienia. Sam tłumaczył, że owszem – pieniądze Papinie dawał, ale w zupełnie innym celu. Miał bowiem Wojtek rozkręcać interesy, przede wszystkim przerzucać papierosy. Bywałem świadkiem ich rozmów, przy mnie Bolek przekazywał „Łysemu” ogromne kwoty, ale – co mogę potwierdzić – zawsze mowa była tylko i wyłącznie o fajkach.

Okazało się jednak, że Papina nad Wisłą (a także w innych krajach) zbudował narkotykowe imperium. W materiale przygotowanym przez dziennikarzy TVN czytam:

Pozostaje pytanie, kto finansował produkcję narkotyków w Polsce? Na czyje polecenie działał doktor Jakubczyk? On sam konsekwentnie nie przyznaje się do produkcji narkotyków. Ujawnia jednak, że nadzorował nielegalne laboratoria chemiczne, należące do Wojciecha Papiny, tajemniczego biznesmena z Wiednia. Ich współpraca rozpoczęła się przed

siedmioma laty, kiedy Papina zaprosił Jakubczyka do Wiednia. W Rumunii Papina potrzebował specjalisty do nadzoru nad produkcją komponentów, z których pod Kielcami można było wytwarzać narkotyki.

Wojciech Papina pod koniec lat 80. wpadł w Hiszpanii na wielkim przemyśle narkotyków. Później szmuglował diamenty, alkohol i papierosy, ściśle współpracował z gangiem pruszkowskim. W połowie lat 90. był zamieszany w głośne porwanie niemieckiego przemysłowca, właściciela koncernu tytoniowego Rothmans. Papinę oskarżono o pranie pieniędzy pochodzących z okupu. Niedawno wyszedł z austriackiego więzienia po odsiedzeniu wyroku za przemyt 115 tys. tabletek extasy.

Narkotyki w obie strony przemycali pracownicy LOT-u, lotnicy i stewardesy. Według słów Andrzeja dostawali za jeden lot od 200 do 800 dolarów. W rozmowie z dziennikarzami, jedna ze stewardes powiedziała, że lotniczy przemyt także narkotyków był powszechny. Pracownicy LOT-u, którzy choć raz poszli na współpracę z mafią, byli potem zmuszani szantażem do kolejnych przerzutów. Kilku z nich zostało aresztowanych w USA. Ostatnie zatrzymanie miało miejsce 30 maja w Nowym Jorku.

Kiedy przerzucałem kolejne artykuły, czułem, jak kropelki potu zbierają mi się na czole. Wojtek – ten elegancki, wytwornie ubrany mężczyzna, powtarzał mi:

– Jeszcze będziemy bogaci. Naprawdę bogaci. A nie tacy... nie tacy jak ten drobny, godny pogardy krętacz. Naprawdę bogaci!

Czy już w momencie wypowiedzania tych słów był bogaty? Jak bardzo był potężny? Zatracił się w hazardzie i jego przegrane na pewno przekroczyły dziesięć milionów dolarów. Czy miał cokolwiek jeszcze? Czy całe zyski z przestępczej działalności przepuszczał w kasynach? Może przegrał nie dziesięć, tylko trzydzieści milionów baksów? Czy w narkotyki zainwestował dlatego, że na gwałt potrzebował kasy? Myślę, że to możliwe. Grał grubo, a kto gra grubo... przegrać musi! Dokładnie odwrotnie niż w filmowym powiedzonku.

Skoro ściśle współpracował z „Baraniną”, to czy wiedział cokolwiek o zabójstwach generała Marka Papiły i ministra Jacka Dębskiego? Teraz odpowiadam bez wahania: nie! Ale kiedyś bez wahania odpowiedziałbym,

że wcale nie jest żadnym narkotykowym bossem, tylko szmuglerem fajek. Odpowiedziałbym, że to podstarzały lowelas, który zrobił dzieciaka młodziutkiej, zjawiskowej Portugalce i tylko gapi się na fotografię potomka.

Papinę zatrzymano na dworcu w Wiedniu, wypuszczono, następnie zatrzymano jeszcze raz – już za narkotyki – i potem długo przesłuchiowano. Znowu cytat.

W III RP rzeczywiście istniał układ, o którym mówi Jarosław Kaczyński. Dziennikarze „Wprost” programu „Konfrontacja” TVP 2 dotarli do zeznań, m.in. Zdzisława Herszmana i Wojciecha Papiny, ważnych postaci w polskiej mafii, którzy odsłaniają kulisy jej powstania i funkcjonowania. Nieprzypadkowo w ich zeznaniach pojawiają się największe afery III RP, w tym zabójstwo generała Marka Papyły, czy sprawy badane przez sejmową komisję ds. PKN Orlen. Z tych zeznań wynika, że mafia poruszała się po politycznych salonach, że jej bossowie znali najważniejsze osoby w PRL, a potem wysokich urzędników III RP.

O dziwo, Papina wystąpił jako główny ekspert do spraw formowania się zrębów mafii w Polsce. A więc musiał w tym siedzieć i to głęboko. Musiał znać te struktury. Dlaczego więc zadawał się ze mną – upadłym piłkarzem? Może hazardzista zawsze polubi hazardzistę? Swój wyczuje swego? Jest szczególny rodzaj porozumienia, który łączy osoby pogrążone w tym nałogu. Wyczuwają się, rozpoznają i traktują ze szczególną troską. Nikt inny nas, hazardzistów, nie rozumie tak, jak my rozumiemy się nawzajem.

Nie wiem, jakim cudem porywacze – a zapewne wspomniany Piotr Laskowski – wpadli na pomysł, by kasę z okupu przeparał właśnie Papina. Przecież on by jej nie przeparał, tylko w całości przegrał, zanim tamci odsiedzieliby połowę kary. A może. Może on zamieszany był bardziej, niż sądziłem? Może zlecił tę akcję? Nie wiem, gubię się, nie mam pojęcia, co o Wojtku myśleć, kim on w ogóle był – poza tym, że był kumplem, z którym lubiłem rozmawiać do rana.

Jaki on był dyskretny. Jaki dyskretny! Słowem nie pisań. Nic a nic!

Podobno nie żyje. Nie wykluczam jednak, że kiedyś będę szedł ulicą w jakimś miłym miasteczku i stanę na chodniku jak wryty:

– Wojtek?

On wtedy powie:

– *Sorry, I don't speak Polish.* – I podenerwowany czym prędzej przejdzie na drugą stronę ulicy. Ujdzie pięćdziesiąt metrów, odwróci się przez ramię na dwie sekundy, a potem przyspieszy kroku.

Siedem lat temu na telegazecie przeczytałem następującą depezę Polskiej Agencji Prasowej:

Policja i prokuratura sprawdzają, czy Wojciech Papina zwany królem ecstazy nie sfingował swojej śmierci, informuje „Życie Warszawy”.

Papina jest jednym z największych handlarzy narkotykami w Europie. Przed kilkoma tygodniami został zwolniony z austriackiego więzienia. Rzekomo był ciężko chory. Niedługo potem pojawiła się informacja, że zmarł. Problem jednak w tym, że nigdzie nie ma aktu zgonu ani dowodów, że rzeczywiście nie żyje.

Tymczasem jego gang uaktywnił się i oferuje grupom z Europy i USA znaczne ilości narkotyków. Sam mafioso jest poszukiwany przez polską policję. „Życie Warszawy” sugeruje, że mógł sfingować swoją śmierć, by uciec wymiarowi sprawiedliwości. Nie jest wykluczone, że załatwił sobie fałszywy akt zgonu, a nowe fałszywe dokumenty pozwalają mu działać dalej.

Gdybym miał zgadywać – tak właśnie jest! Jednak ciągle naiwnie wierzę, że Wojtek nie handluje prochami, tylko bawi się z synem albo – jak zawsze – gapi się na jego zdjęcie. Ile lat będzie miał teraz ten chłopak. Chyba ze dwadzieścia. A Papina, rocznik 1939, już siedemdziesiąt trzy. Mój kolega, szef mafii.

Przez lata w polskich kasynach spotkać można było wielu mafijnych bossów. Do Krakowa lubił przyjeżdżać Nikodem Skotarczak, pseudonim „Nikoś”. Wiele razy widziałem go przy stole do ruletki, jednak się nie znaliśmy. Wiem natomiast, że Skotarczak sprowadzał swego czasu

kradzione samochody z Niemiec i rejestrował je w Polsce. Kiedy w latach osiemdziesiątych Lechia Gdańsk chciała skusić na transfer Krzyśka Budkę, jeden z asystentów „Nikosia” zabrał „Budkina” na parking pełen luksusowych zachodnich samochodów i powiedział:

– Możesz sobie jeden wybrać.

Oto drobna inwestycja mafii w polski sport. W środowisku piłkarskim nie było i nie jest do dziś tajemnicą, że Lechia dzięki wsparciu „Nikosia” zyskała na znaczeniu jak nigdy wcześniej. Skotarczak został nawet odznaczony przez prezydenta miasta tytułem „Zasłużony dla Gdańska”.

ROZDZIAŁ XXX

OSZUST

Im dłużej mieszkałem w Szwajcarii, tym bardziej docierał do mnie bezsens tej przeprowadzki. Władek Kozubal coraz rzadziej wspominał o interesie, który mieliśmy razem robić. Cały mój pobyt sprowadzał się do wspólnych popijaw z kolejnymi zapraszanimi gośćmi, czasami jechaliśmy gdzieś razem na wakacje – np. do Cannes, gdzie robiliśmy to samo, czyli garowaliśmy w luksusowych warunkach.

To był jeden wielki kit. Dopracowana w najdrobniejszych szczegółach mistyfikacja.

Władysław Kozubal, znany w Polsce dobrodziej Górnika Zabrze, mieszkający nad samym Jeziorem Genewskim biznesmen, do którego zjeżdżali interesanci z całej Europy, nie miał nic. Był finansowym golasem. Willa, w której urzędowaliśmy, okazała się być wynajęta od sąsiada, który zbudował ją jako dom dla gości. Łódź – pożyczona. Firmy, którymi Władek zarządzał – zadłużone, bez jakiegokolwiek majątku. Kozubal w rzeczywistości był bankrutem, lawirującym między osobami majątnymi, by naciągać je na lipne interesy. Sam mu niechcący pomogłem – ładując przyjaciela, Mirka Gaczorka, w interesy z Kozubalem. Mirek zapytał mnie kiedyś: „Nie znasz kogoś, kto pomógłby mi zainwestować pieniądze za granicą?”. Ja na to, że tak, oczywiście znam, przyjeżdżaj! I tak stracił kilka

milionów dolarów. Rozpłynęły się we mgle nad Jeziorem Genewskim. Mam przeczucie, że to tę kasę – w rzeczywistości należącą do Gaczorka – Władek zainwestował w Górnika.

Ale kto by się bał powierzyć mu oszczędności? Przecież on ma tyle...
tyle...

No właśnie, co on właściwie ma?

Nic.

Gdy oszustwo się wydało – strzelił sobie w łeb.

ROZDZIAŁ XXXI

ŻYCIE PO ŻYCIU

Co robić, gdy nie gra się już w piłkę? Cóż ze sobą począć, kiedy żadnego złotego, szwajcarskiego interesu nie będzie i gdy człowiek, któremu się zaufało, okazał się krętaczem? Kozubal nigdy nie miał żadnych poważnych planów związanych z moją osobą, a gdy zbyt często zacząłem pytać o nasz wspólny biznes, zaprosił mnie na drinka, później odprowadził do poobijanego ze wszystkich stron samochodu, życzył szerokiej drogi i... zadzwonił na policję, by poinformować, że właśnie widział wypadek z udziałem auta prowadzonego przez pijanego człowieka. Żadnego wypadku nie było, ale cały chytry zabieg okazał się skuteczny – musiałem opuścić Szwajcarię.

Tak zaczął się najgorszy okres w moim życiu, którego zwieńczeniem okazał się pobyt w ośrodku zamkniętym w Kobierzynie. Hazard wypłukiwał mnie z pieniędzy, a alkohol każdego dnia obdzierał z godności. Z młodego chłopaka, który uganiał się za piłką i dawał radość ludziom, przeistoczyłem się w zniszczonego życiem mężczyznę w średnim wieku, zapomnianego, z masą wspomnień i niczym więcej.

Jeśli piłki już nie kopniesz, to co będziesz robił, Andrzejku? Niczego innego się przecież nie nauczyłeś.

Nie tęskniłem za bogactwem, luksusowymi samochodami, którymi kiedyś – w przenośni i dosłownie – codziennie się rozbijałem. Ten cały blichtr nie był mi pisany i nigdy do mnie nie pasował. Byłem zwykłym człowiekiem z Nowej Huty, któremu nagle zaczęto płacić chore sumy za głupie w końcu zajęcie, jakim jest gra w piłkę. Kiedy więc z kasą zrobiło się naprawdę krucho, kiedy żona musiała pójść do pracy, nie rozpamiętywałem utraconej fortuny czy niedostępnych już dla mnie drogich gadżetów. Męczył mnie tylko brak spokoju – że może zabraknąć mi pieniędzy na produkty pierwszej potrzeby, że nie będę w stanie kupić dzieciom tego, na co będą miały ochotę.

Marzył mi się domek na wsi. Bardzo bym chciał wyprowadzić się z Krakowa, przenieść się do małej chatki, z której wychodziłbym gołymi stopami na trawę i patrzył na budzącą się przyrodę. Tego żałuję – tej małej chatki, a nie aut, zegarków, złota. Kiedy z Niemiec przyjeżdżałem do kolegów oplem omegą lotusem, katowaliśmy to nowiutkie, nadzwyczajne wtedy auto tak bardzo, że po powrocie mechanicy łapali się za głowę:

– Ten samochód jeszcze jeździ?

To tylko przedmioty.

Chatki nie kupiłem, ale to żadna strata – przecież i tak bym ją przegrał. Przynajmniej nie muszę żałować: durniu, miałeś i straciłeś. Może jeszcze kiedyś to swoje ostatnie marzenie spełnię? Pewnie nie, ale... może?

Trudne to były dla mnie lata. Bez pomysłu na siebie, bez perspektyw, za to z masą kamieni przywiązanych do szyi i ciągnących na dno. Wszyscy kochają piłkarzy, ale to miłość ulotna. Kto pamięta o nich po latach? A przecież oni są, gdzieś obok. Czasami wrzucicie żebrakowi dwa złote do kapelusza i kto wie – może to był właśnie człowiek, którego nazwisko przed laty skandowaliście. Strzelał wspaniałe gole, ale nic innego w życiu robić nie potrafił. Gdy piłkarz po raz ostatni zda sprzęt do magazynu, zostaje sam. Smuga pozostawiona na niebie rozplywa się tym dłużej, im bogatsza była to kariera, ale w końcu bezpowrotnie zanika.

Odkąd skończyłem karierę aż do teraz, było wokół mnie wielu ludzi dobrej woli – pomagających mi w najtrudniejszych momentach. Staszek Bisztyga – senator, Staszek Wójcik, Mirek Gaczorek, Irek Adamus,

Zbyszek Bury, Wojtek Kwiecień, Jurek Zając, Mariusz Urban, Jarek Krzoska, Janusz Basała, „Boberek”, bracia „Daltonowie”. I inni. Dziękuję. Bez was nie dałbym rady. Pomogła mi Wisła, wyciągając dłoń i dając pracę. Koniec lat dziewięćdziesiątych i początek XXI wieku to dla mnie również powrót do ukochanego klubu, w roli kierownika drużyny, członka sztabu szkoleniowego czy też trenera odpowiedzialnego za obserwowanie rywali.

Obserwowanie rywali. Uśmiecham się teraz sam do siebie. Poleciałem kiedyś przygotować raport na temat Parmy.

– Trenerze, Adriano to która noga? – spytał Arek Głowacki.

A ten pieprzony Adriano w meczu, na którym byłem, wszedł w samej końcówce i nie dotknął piłki.

– Adriano, tylko prawa! – walnąłem więc na czuja.

Niestety, pudło. Tylko lewa! A prawa – jak to się mówi – do tramwaju. Po spotkaniu Arek podszedł i uśmiechnął się ironicznie, chociaż ciągle ciepło:

– Dziękuję za wskazówki.

Pracowałem w Wiśle z Henrykiem Kaspercakiem, którego podziwiałem za profesjonalizm i spokój. Pracowałem z Orestem Lenczykiem, który wprawdzie był fatalistą, a w dodatku w ogóle nie znał się na piłce i nie miał pojęcia o taktyce, ale był przyzwoitym człowiekiem, potrafił przygotować zespół fizycznie, a taktykę powierzyć np. Waldkowi Fornalikowi. Pracować tylko nie chciałem z Frankiem Smudą – jako że nie odpowiadał mi jego styl prowadzenia drużyny. Skoncentrowałem się więc na wspomnianych obserwacjach.

Tak było. Aż do opisanej w pierwszym rozdziale ucieczki ze zgrupowania.

Po opuszczeniu Kobierzyna nabrałem większej rozwagi w picciu, ale przecież pozostałem alkoholikiem. Piłem zrywami, po porze suchej następowała pora wilgotna – zupełnie jak z klimatem w niektórych częściach świata. Dramatyczny moment przeżyłem w roku 2008, kiedy piłem bardzo długo i bardziej intensywnie. Później znowu przestój, wyciszenie, aż coś we mnie pękło w czasie weselnych poprawin. Rodzina z przerażeniem obserwowała, jak sięgam po kieliszek, nie mogąc opanować

pokusy. Skończyło się to najgorszym w moim życiu detoksem. Niewtajemniczonych, których mam nadzieję nie brakuje, muszę powiadomić, że detoks to oddział zamknięty i nie można go opuszczać pod żadnym pozorem.

W tym samym szpitalu – piętro wyżej, umierała moja mama.

Była moim największym oparciem, ona i żona. W czasie bezsennych nocy leżałem na łóżku i przypominałem sobie dawne historie.

Trener Marian Pomorski przyszedł kiedyś do nas do domu i poprosił matkę, by kupiła mi narty. „Będzie zwinniejszy, to mu się przyda na boisku” – mówił. Nie wiem skąd, ale ona te narty wytrzasnęła. Były za duże, ciężko mi było skręcać, ale jeździłem. Kto wie – może to był ten szczegół, który pozwolił mi zostać piłkarzem lepszym od innych? Rozpierała ją duma, z pewnością. Na osiedlu mówiono: „Idzie matka Andrzeja Iwana!”. Nie do końca orientowała się, ile piłkarze zarabiają, więc zaskakiwał ją każdy przyniesiony przeze mnie prezent, chociażby głupi odkurzacz. W największym stopniu ceniła tylko jeden podarunek – różaniec, który wręczył mi Jan Paweł II. Zdjęcia z tamtej audiencji wisały na ścianie.

Uprosiłem lekarza i pozwolił mi złamać sztywne zasady detoksykacji i trzy razy dziennie kursować piętro wyżej, bym mógł być przy matce w ostatnich chwilach jej życia. Zmarła na moich oczach – na oczach pacjenta z oddziału detoksykacyjnego – 27 października 2008 roku. Miała 85 lat.

Rok 2008, jesień. Śmierć kroczyła wtedy za mną, odczuwałem jej obecność bardzo wyraźnie.

ROZDZIAŁ XXXII

SAMOBÓJSTWO

Gdybym miał wymienić najważniejsze samobójstwa, z którymi się zetknąłem. Zabił się Staszek, który miał problemy z alkoholem, a i w interesach przestało mu się wieść. Z magnum.44 w łeb wycelował sobie Władek Kozubał, uprzednio usypiając żonę tabletkami nasennymi. Kiedy Krysia rano wstała i w coś wdepnęła, pomyślała, że to pies się sfajdał. A to nie pies. To był mózg Władka.

Jednak ze wszystkich samobójstw, najwięcej mogę napisać o... tych swoich. Dwa razy próbowałem się zabić.

Podcinanie żył nie jest łatwe. Samo cięcie to oczywiście banał, ale trudno osiągnąć zamierzony efekt, o czym miałem się dopiero przekonać. Tamtego dnia, we wrześniu 2008 roku, około dziesiątej rano, specjalnie poszedłem po żyłtkę, potem poczytałem instrukcje w internecie i wreszcie położyłem się w wannie wypełnionej ciepłą wodą, dzięki czemu żyły miały być bardziej nabrzmiące, a i ból mniejszy. Nie zostawiałem listu. Położyłem się w wannie, czekając na nicność.

Podobno jesień to czas samobójców i coś w tym musi być, bo obie moje próby miały miejsce jesienią. Było kilka stopni na plusie, dość szaro, czasami pokropił deszcz. Nie odczuwałem, by pogoda faktycznie wpływała

na mój nastrój i by cokolwiek od niej zależało, by coś się we mnie właśnie na skutek tej szarugi zniecka zmieniło, ale gdzieś podświadomie czułem, że zbliża się koniec. Od kilku dni nie myślałem o tym, co mam do zrobienia w weekend, bo zakodowałem sobie głęboko w głowie, że weekendu nie będzie. W weekend pewnie odbędzie się pogrzeb. Na Czerwonym Prądniku ludzie będą mówić, że Iwan się zabił.

Wanna była obietnicą. Napiłem się jeszcze wódki, żeby uspić instynkty obronne. Powiesiłbym się, ale na to byłem chyba mimo wszystko za wielkim tchórzem. To znaczy, samobójcy nie są tchórzami – zawsze uważałem, że to naprawdę odważni ludzie. Ale ci, którzy się wieszają, są najodważniejsi z odważnych.

Kiedyś nawet kupiłem sobie linkę. Żona znalazła. Zirytowany i oczywiście pijany przewalałem rzeczy w szafce, a ona tylko spytała:

– Co? Szukasz? Jednak tego szukasz?!

Linka mnie przerażała i nie wiem, czy faktycznie wtedy zdołałbym zrobić z niej użytek. Może stąd przerażenie, że w ten sposób skończył ze sobą Staszek? On był dla mnie pewnym wzorem – były alkoholik, dusza towarzystwa, wszędzie go było pełno. Był nadzieją, że można jeszcze wyjść na prostą, wrócić do normalnego życia w wielkim stylu. Aż nagle ten obraz rozpadł się na milion kawałków: kiedy Staszek wrócił do wódki i kiedy znaleziono go wiszącego w szklarni...

Linki nie miałem. Pozostało mi pudełko żyletek, kupione na tę okazję.

– Poproszę paczkę żyletek.

– Cztery pięćdziesiąt.

Sprzedawca w kiosku z pewnością nie podejrzewał, jak wielką przysługę mi wyświadcza.

Cięcie było rozkoszą. Krew zaczęła tryskać z żyły tak szybko, że sam byłem zdziwiony, ile jeszcze energii drzemie w moim organizmie. Poczułem nawet satysfakcję – że wreszcie coś mi się udało, nawet jeśli to tylko prymitywne samobójstwo. Byłem spokojny. Bardzo spokojny. Nic mnie nie bolało. O czym myślałem? O niczym. Wreszcie o niczym. Piękna cisza w głowie, żadnych rozterek, żadnych wątpliwości. Kiedy zamknąłem oczy, ze świadomością, że już ich nigdy nie otworzę, poczułem błogą ulgę.

I chuj.

Obudziłem się dwie czy trzy godziny później w wannie pełnej czerwonej cieczy. Rana na nadgarstku była już praktycznie zasklepiona, a ja czułem się jak skończony debil. Nigdy, po żadnym meczu, nie byłem tak sfrustrowany jak tamtego dnia. Żadne tam „druga szansa” czy „uśmiech losu”. Czułem się przegrańcem, który nawet nie potrafi odebrać sobie życia.

Wstałem i wyciągnąłem kurek. Krew wymieszana z wodą spłynęła rurami. Pustym wzrokiem patrzyłem na ten wirujący, czerwony taniec na dnie wanny. Następnym razem muszę się bardziej postarać.

Przenieśmy się w czasie do października 2009 roku. Droga Kraków–Kielce, siedzę jako pasażer, kieruje Zdzisiek Kapka. Wszystko normalnie, zwyczajne rozmowy samochodowe, w drodze na mecz. Na miejscu idę na stanowisko komentatorskie, robię swoją robotę i... zaczyna się.

– Czy ty komentowałeś po pijaku? – pyta mnie kilka osób, niektórzy tonem napastliwym, inni współczującym.

Janusz Koziół z „Dziennika Polskiego”, ten sam, który nakręcił „Ruletkę z Iwanem” (film, w którym przyznałem się do alkoholizmu i uzależnienia od hazardu), napisał, że niestety, ale zasiadłem za mikrofonem pod wpływem alkoholu.

Zadzwoiłem do niego:

– Janusz, znasz mnie dobrze, wiesz, że powiedziałbym ci prawdę, zawsze mówiłem. No to ci mówię: nie piłem. Brałem tabletki, nie piłem. Może kiedyś opowiem ci więcej.

Nie opowiedziałem. Ani jemu, ani nikomu innemu. Dopiero teraz nadszedł właściwy moment.

Nie byłem tamtego dnia pijany, chociaż podobno strasznie plątał mi się język. Byłem świeżo po... wybudzeniu ze śpiączki, w której się znalazłem po drugiej próbie samobójczej. Ta próba nie miała prawa się nie udać. A jednak.

Tabletki zbierałem od dawna. Brałem kolejne recepty, ale nie wszystko zużywałem, dzięki czemu lekarstw miałem ciągle więcej i więcej. W zasadzie była to cała reklamówka środków nasennych,

antydepresyjnych, przeciwbólowych, obniżających ciśnienie. Ale głównie nasennych. Żona przez miesiące, a może i lata, całą tę reklamówkę brała ze sobą do pracy. Przeczuwała, do czego tak naprawdę jej zawartość może mi być potrzebna. Jednak jesienią 2009 straciła czujność – zapewne dlatego, że wpadłem w wir pracy, dużo komentowałem, telefon dzwonił raz za razem. Odbudowałem się. Pozornie. W głowie mi się kotłowało, ale na pierwszy rzut oka byłem bardziej normalny niż kiedykolwiek wcześniej.

Tamtego dnia wszystko miałem dokładnie zaplanowane. Najpierw wyszedłem z amstafem Frankiem na spacer, po drodze spotkałem się z kumplem, który też w tych godzinach wyprowadzał swojego psa. Rozmawialiśmy najnormalniej w świecie, jak to podczas codziennych spacerów bywało. Samobójstwo zamierzałem popełnić około dziesiątej, bo wiedziałem, że żona wróci z pracy o piętnastej, a te pięć godzin to wystarczająco dużo czasu, by nikt nie zdołał mnie odratować. Drzwi zamknąłem na zasuwę od wewnątrz – przeanalizowałem, że żona zapewne zadzwoni po zięcia, a on, wysportowany chłopak, do mieszkania dostanie się przez balkon i wtedy zobaczy mnie pierwszy. Tak rzeczywiście było. Kiedy wyłamał drzwi balkonowe, znalazł mnie nieprzytomnego na kanapie. Oraz list: „Przepraszam za wszystko, nie mam siły już dłużej żyć. Opiekujcie się Frankiem”.

Tylko Franka było mi żal.

Czułem, że jestem to samobójstwo winny rodzinie. Czułem, że jestem dla nich wszystkich balastem, problemem, zadrą. Czułem, że będzie im się łatwiej żyło, kiedy umrę. Zżerało mnie poczucie winy. Coś w głowie szeptało: „Zrób to, będzie im łatwiej...”. Robiłem to dla nich. Dlatego nie czułem smutku, myśląc o śmierci i o najbliższych.

Żal mi było jedynie Franka, który kochał mnie bezwarunkowo i któremu do życia nie było potrzebne nic poza moją obecnością. Leżał przy mnie do końca. Tak mi się wtedy wydawało – do końca.

Światło, które zobaczyłem, nie było światłem niebiańskim, tylko żarówką, która wypalała mi oczy. Po podniesieniu powiek zobaczyłem kolegę, Janusza Jurka, też alkoholika, ale specyficznego – raz do roku przyjeżdżał do Polski na dwa tygodnie, w czasie których bezustannie pił, następnie

zaszywał się na dwanaście miesięcy i wylatywał do Stanów, gdzie odliczał kolejne dni, aż będzie mógł się zdrowo i bez ryzyka napić. Stał nad moim łóżkiem i płakał.

– Dlaczego, Andrzej? Dlaczego?

Obok niego stała moja żona.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Znowu się, kurwa, nie udało.

Śpiączka trwała trzy dni, w czasie których podpięty byłem do respiratora. Nie wiem, dlaczego się obudziłem. Napiłem się alkoholu, połknąłem sto dwadzieścia tabletek, a następnie jeszcze raz zmiksowałem to z wódką. Taki koktajl nie miał prawa nie zadziałać. Potworną niesprawiedliwość czułem, gdy na łóżku obok położono chłopaka, który zażył dziesięć tabletek relanium i popił piwem. On, taki niechluj, chłystek, nawet zabić się próbował tak, żeby go uratowali, a ja zrobiłem wszystko, co mogłem i ciągle tkwiłem na tym pieprzonym świecie – w dodatku wylądowaliśmy w tym samym pokoju. Niczego świat nie chciał mi dać, poza problemami, ale też nie chciał mnie puścić. Kpił sobie ze mnie.

– Masz pięćdziesiąt procent szans na wyjście z tego – usłyszałem, więc nadzieja jeszcze była, ale coraz mniejsza, bo organizm, na złość właścicielowi, szybko się regenerował. Pierdolony, medyczny żart.

– Panie Andrzeju, wie pan, że miał pan szczęście? – spytał lekarz.

– Szczęście?

– A nie?

– Nie.

– Mógł się pan obudzić jako roślina. Pański mózg mógł już nie funkcjonować.

Dopiero to zdanie dało mi do myślenia. Chciałem zdjąć ciężar, jakim byłem, z barków rodziny, a prawie wyhodowałem dla najbliższych roślinę, którą musieliby podlewać przez kolejne lata i patrzeć, czy za szybko nie gnije.

Dlatego już wiem – samobójstwo metodą tabletkową nie ma sensu.

Teraz, Janusz, znasz prawdę. Nie byłem tamtego dnia w Kielcach pijany. Byłem na psychotropach, które miały przywrócić mi radość życia.

Widocznie wzięłem trochę za dużo.

Wkrótce ktoś zada pytanie – czy już nigdy nie spróbuję? Nie wiem. Nigdy nie mówię, że już nigdy nie napiję się alkoholu, bo jestem pewny, że takiego przyrzeczenia nie zdołam dotrzymać.

I w kwestii samobójstwa na wszelki wypadek wolę nie dawać słowa. To we mnie tkwi, gdzieś głęboko, to dążenie do autodestrukcji, ta poszerzająca się rozpadlina. Może być całkiem normalnie przez kilka miesięcy, a kiedy w końcu się napiję i kiedy w końcu odstawię wóde, pojawiają się wyrzuty sumienia. Niemożliwe do zniesienia.

Dlaczego się napiłeś, Andrzej? Dlaczego znowu? Dlaczego pękłeś?

Kiedy sięgam po alkohol po długiej przerwie, czuję się najszcześliwszym człowiekiem na świecie. Ale kiedy go odstawiam, chcę się zabić.

W zasadzie można powiedzieć, że mój ojciec umarł na własne życzenie. Przez lata był alkoholikiem, a potem rozchorował się tak bardzo, że miał absolutny zakaz zbliżania się do wszelkich procentów. „Chcę umrzeć z flaszka” – powtarzał i pewnego dnia wziął do ręki butelkę wódki. Moja mama, Waleria, podbiegła, ale ojciec powiedział tylko stanowczym głosem:

– Walerciu, odpiardol się!

I wziął hausta.

Po chwili w kącikach ust pojawiła się krew. Umarł tak, jak chciał: ściskając flaszka. Czy to nie rodzaj samobójstwa? Czy ja po prostu nie idę utartym szlakiem?

Byli też piłkarze, którzy dali mi przykład. Pamiętam Staśka Burzyńskiego, bramkarza Widzewa. To tak już jest, że kiedy przed meczem wyjazdowym witasz się z przeciwnikami, z niektórymi łapiesz lepszy kontakt, z innymi gorszy albo w ogóle żadnego. Ze Staśkiem miałem dobry kontakt, lubiliśmy się. W wieku 43 lat wyskoczył z okna. Podobno chciał to zrobić kilka razy, ale zawsze drogę zagrażała mu żona. Tamtego dnia już nie zagroziła. Może się spóźniła, a może była już zbyt zmęczona? Skoczył. Jak zginął Marek Banaszek, znany głównie z Gwardii Warszawa, do końca nie wiadomo, ale samobójstwo wydaje się

prawdopodobne. Było takich przykładów sporo... Nawet te świeże – Ledwoń, Rutka. Z zainteresowaniem czytałem relacje mediów i wyciągałem z nich coś... coś dla siebie.

Kilka tygodni po drugiej próbie napisałem też tekst dla istniejącej jeszcze wtedy gazety „Futbol News” na temat samobójstwa bramkarza piłkarskiej reprezentacji Niemiec, Roberta Enkego. Nikt wtedy nie sądził, że w dziedzinie samobójstw nie jestem tylko teoretykiem, ale że całkiem niedawno sam próbowałem umrzeć. Nie tak skutecznie jak Enke, który niczego nie pozostawił przypadkowi i po prostu rzucił się pod pociąg, ale próbowałem. Chyba nie było w środowisku piłkarskim lepszego... żyjącego fachowca ode mnie, chociaż nikt o tym nie wiedział.

Przy samobójstwach zawsze gdzieś tam jest alkohol, jako czynnik sprawczy. Jeśli byłeś na szczycie i nagle spadasz, tracisz wszystko i co gorsza wszystko traci też twoja rodzina. Kiedy nie jesteś w stanie zapewnić jej życia na odpowiednim poziomie, popadasz w rozpacz i pijesz coraz więcej. A im więcej pijesz, tym bardziej ta spirala się nakręca. Nie ma odwrotu – dochodzisz do momentu, w którym samobójstwo wydaje się logicznym rozwiązaniem problemów. Może to i głupie, ale człowiek gdzieś tam ma w sobie furtkę z napisem „śmierć”. Wystarczy podążać śladem alkoholu, by tę furtkę znaleźć i otworzyć.

Kiedy spadniesz na dno i kiedy jakimś cudem uda ci się podnieść, wtedy z kolei ogarnia cię paniczny strach, że to tylko chwilowe.

Wpadasz na pomysł, że można uprzedzić nieunikniony, ponowny upadek, zaoszczędzić sobie wstydu i po prostu błyskawicznie zniknąć.

Najdziwniejszy jest ten upór samobójcy. Ja na przykład na co dzień wiem, że rodzina ani nie oczekuje mojej śmierci, ani jej nie pragnie. Wręcz przeciwnie, kochają mnie bardzo i serce im się kraje na myśl o tym, co robię. Jednakże od czasu do czasu przestaje to mieć znaczenie – coś się w mojej głowie przestawia i... „wiem swoje”.

Nie rozmawialiśmy na temat moich prób, na temat motywacji. Żona nie chce wywoływać wilka z lasu, Bartek jest zamknięty w sobie, Kasia chyba bała się ten temat poruszać i wyczuwała, że ja wcale na rozmowę nie

czekam. Tak naprawdę dopiero z tej książki najbliżsi się dowiedzą, co siedziało i siedzi w tym moim pustym łbie.

Jestem przygotowany na wszystko. Nie zbieram zaświadczeń z zakładów pracy, bo wiem, że nie dożyję wieku emerytalnego. W ten czy inny sposób już mnie nie będzie. Chociaż może teraz trochę się sprawy w mojej głowie pozmieniają, może znajdę silniejszą motywację do życia, bo w ciągu roku na świat przyszło troje wnucząt, które kiedy tylko zjawiam się w pobliżu, zapominają o całym bożym świecie i garną się do mnie. Kocham je tak bardzo. Kocham je tak bardzo, że trudno będzie mi odejść.

Kocham, ale. Znam siebie, więc żadnego słowa nie daję, niczego nie gwarantuję. Znam tego diabła, który lubi siąść na moim ramieniu i sączyć truciznę do ucha. Jesteśmy zaprzyjaźnieni, pojawia się zawsze we właściwym momencie.

– Cześć, Andrzej.

– Cześć, diabeł.

– Piłeś.

– Tak.

– Wstyd ci chyba?

– Tak.

– Czas na ciebie...

– Już?

– Zrób to.

Jestem na jego podszepty podatny, bo nie boję się śmierci. Widzę w niej ukojenie i nadzieję. Kiedy spyta mnie ktoś w piekle, jaka była moja ostatnia myśl, to odpowiem: nareszcie.

ROZDZIAŁ XXXIII

UŚMIECHNIJCIE SIĘ

Wiecie, po co powstał ten rozdział? Żeby poprzedni – o samobójstwie – nie był ostatni. Początkowo taki miałem plan – niech się skończy słowem „nareszcie”. Ale czy to wypada? Czy książka powinna kończyć się w ten sposób? Ciężko? Przygnębiająco? Zapowiedzią śmierci? Czy książka powinna pozostawiać mętlik?

Uśmiechnijcie się. Cokolwiek się stanie – bądźcie pogodni. Kiedy usłyszycie o Andrzeju Iwanie, pomyślcie: „To był ten zdrowo szurnięty koleś, który przeżył kilka smutnych historii, ale jeszcze więcej wesołych”.

Żeby było łatwiej, opowiem wam na koniec jeszcze jedną. Jak zapewne wiecie, w piłce nożnej zespoły najgorsze tytułuje się mianem „kelnerów”. Kelner to słabiak, lamus, ciamajda, pierdoła itd. Zdarza się, że faworyt przegra spotkanie i wtedy mówi się: „przegrał z kelnerami”. Nie wiem, dlaczego akurat z kelnerami, a nie cieślami, ślusarzami, kucharzami czy księżmi, ale tak jest i już. Kelner to kelner, grać nie umie.

Teraz przejść możemy do rzeczy – jeszcze za czasów trenera Franczaka Wisła pojechała na zgrupowanie do Jugosławii, gdzie zorganizowano nam mecz towarzyski z miejscową drużyną. Niestety, nie udawało nam się strzelić gola. W końcu jednego straciliśmy, w nerwach nie byliśmy już

w stanie odrobić strat i spotkanie zakończyło się porażką 0:1. Jakież było nasze zaskoczenie, gdy następnego dnia spotkaliśmy naszych rywali w hotelowej restauracji.

Byli kelnerami. Prawdziwymi kelnerami. Czołowa polska drużyna przegrała z kelnerami.

Kelnerzy górą! Kłaniam się nisko!

Rozmowa z Lucjanem Franczakiem

Andrzej Iwan był jednym z najtrudniejszych piłkarzy, jakich pan prowadził.

O charakterze piłkarzy różnie się mówi. Na pewno nie będzie dobrze grał taki ę-ą, filiżanka z kawą. To muszą być twardzi ludzie. Grają o różnych porach roku, na różnych boiskach. Trzeba mieć charakter. Iwan nie przejmował się pogodą lub tym, czy murawa jest równa, interesowało go tylko strzelanie goli. Ale wokół takich zawodników kręcą się różni ludzie. Andrzej też ożenił się w młodym wieku, szybko urodziło mu się dziecko. Wszystko przychodziło mu bardzo szybko.

Nie za szybko?

Życie przyjął bardzo szybko. Rodzice go kochali, ale wychowywany był raczej przez środowisko. Jak zaczął grać w seniorach, pojawiało się mnóstwo fanów. Potem ta przykra sprawa, czyli „spotkanie” w Nowej Hucie, w „Stylowej”. Dziś różnie się o tym mówi. Fakt jest taki, że młody chłopak został zawieszony.

Próba charakteru. Andrzej mógł się już z tego nie podnieść.

Wtedy o wielu sytuacjach się nie mówiło, a tu nagle pojawia się informacja, że zawodnik Wisły pchnął kelnerkę. Wybucho awantura, sprawa zostaje nagłośniona. Niektórzy twierdzą, że była to prowokacja, inni, że Andrzej faktycznie był winny. Dziś znamy tych kelnerów i pojawiają się plotki, że temu czy tamtemu nie zapłacił. Nie wiem, nie było mnie przy tym. Ale Iwan zniknął na jakiś czas z firmamentu piłkarskiego. Kiedy objąłem drużynę w 1979 roku, starałem się od samego początku,

żeby został odwieszony. Robiłem wszystko, rozmawiałem z pułkownikiem Jabłońskim i doszliśmy do wniosku, że trzeba mu dać szansę. Pierwszy mecz po przerwie rozegrał z Szombierkami Bytom, był jednym z najlepszych zawodników i strzelił czwartą bramkę. Przez jakiś czas zachowywał się spokojnie, był dość stonowany, ale potem znowu zaczęły się spotkania z kolegami, kibicami, karty...

Iwan przyciągał kłopoty jak magnes. Nie sądzi pan, że ta „Stylowa” była nieunikniona? Że to była kwestia czasu, kiedy wpakuje się w grubsze kłopoty?

Nie chodzi o przyciąganie kłopotów. On po prostu był człowiekiem agresywnym. Miał wszystkie cechy fightera. Nie obawiał się, czy go ktoś napadnie. Był chłopakiem wychowanym na przedmieściach, który nie bał się niczego. Nie dawał sobie w kaszę dmuchać bez względu na to, ile miał lat. Nie pękał, był impulsywny. Jak ktoś mu nadepnął na odcisk, to Andrzej szedł do końca. To czasami go gubiło. A „Stylowa”? No, stała się rzecz, która nie powinna się stać.

Ale wtedy podejście do alkoholu też było inne. Zawodnicy pozwalali sobie na więcej.

Jakie inne? Nie sądzę, żeby wtedy piło się więcej. Nikola Mijailović, który grał w Wiśle nie tak dawno, po pijaku rozbijał sobie głowę o mur. Za czasów Iwana takich akcji nie było. Były wyskoki, piłkarze szukali sytuacji, żeby umilić sobie życie, ale nie piło się jakoś wyjątkowo dużo. Przed meczem ani w trakcie meczu nie pili. Po meczu mogli się spotkać. W tamtych czasach nie było celebrytów, Jacyków w garniturkach. Piłkarze byli idolami. Ale nie tylko oni. Wojtka Fortunę, który zdobył złoty medal olimpijski w skokach narciarskich, upijali i wozili w dorożce po Zakopanem, żeby pokazać go ludziom. Jeśli młody chłopak spotyka się z czymś takim, to może różnie zareagować. Akurat gracze Wisły podołali temu i nie poddali się tej sławie. Życie nauczyło ich odpowiedzialności. Same wyniki o tym świadczą. Andrzej przez ten czas dostał kilkanaście powołań do reprezentacji. Doceniali go w Europie. Skłamałbym jednak, mówiąc, że nie było problemów. Oczywiście, że były. Ale nie tylko

z Iwanem. Trafiliśmy na imprezie albo jednego, albo drugiego. Znajdowało się tych zawodników wszędzie.

Tym bardziej, że ekipa była wesola i – przede wszystkim – zgrana. To kolejny kontrast z obecnymi czasami.

Lubili się, nie było między nimi większych spięć. Byli przystojni, wyraziści, niektórzy nawet pokończyli uczelnie, jak Maculewicz. Gdyby przesunąć takiego Iwana w dzisiejsze czasy, to w wieku 18–19 lat błyskawicznie trafiłby na Zachód. Ale niestety, wtedy wyjazdów nie było, zawodnicy mogli wyjeżdżać dopiero po trzydziestce. Szkoda, bo Andrzej był jednym z najbardziej utalentowanych zawodników na swojej pozycji w Polsce. Jeśli miałbym porównać go do jakiegoś piłkarza z ostatnich lat, to byłby to Wayne Rooney. Taka sama sylwetka, charakter, przypuszczam, że też podobny. Silny, dobrze zbudowany chłopak. Jeden z trenerów bokserskich powiedział, że Iwan powinien być bokserem z taką sylwetką, nawet chciał go przekwalifikować. Jak Andrzej był juniorem, to grał już z seniorami, bo miał ku temu predyspozycje. Uderzał prawą i lewą nogą, a najbardziej znany był z niesamowicie silnego uderzenia głową. Strzelał z taką siłą jak inni nogami. Wynikało to z jego budowy. Miał 176–177 centymetrów wzrostu i wygrywał pojedynki główkowe ze stoperami, którzy mieli po 192 centymetry. Potrafił się ustawić, wyprzedzić i na końcu uderzyć.

Ale mógł i powinien osiągnąć zdecydowanie więcej.

Oczywiście, ale czasy były inne. Nie było tyle pieniędzy co dzisiaj. Ktoś powie, że piłkarze nie zarabiali źle. Zgoda, porównując z ludźmi wykonującymi „normalny” zawód, proporcje były jak trzy do jednego. Zawodnicy, którzy zarabiali dwa tysiące złotych, po dwóch, trzech latach mieli dwadzieścia tysięcy, potem trzydzieści. A dziś mają sto osiemdziesiąt tysięcy. Gdyby taki chłopak jak Iwan miał taką kasę, to może by się zastanowił nad jakimiś inwestycjami. A wtedy wykorzystywali to, co mieli. Żyli na niezłym poziomie, ale nie mieli jakichś olbrzymich luksusów. Jak się podobały dziewczyny, to były dziewczyny, jak impreza, to impreza. Przecież to nie byli księża czy zakonnicy.

Szczerść przede wszystkim – takiej zasadzie pan hołdował?

Kiedy gramy, to gramy. A jak ktoś się ukrywał, to i tak po dupie dostawał. Andrzej był takim zawodnikiem, że nawet jak przyszedł „pod wpływem” na trening, to mówił: „Panie trenerze, jestem dziś niedysponowany”, ubierał dwa dresy ortalionowe i biegał, aż to wszystko wypocił. Nie był to środek tygodnia, ale np. poniedziałek po imprezie. Wiedziałem o takich rzeczach i zawodnicy mnie szanowali. Natomiast inni zarzucali mi, że trzymam z piłkarzami. Ale jak piłkarz podpadł, to dostawał też karę – dziesięć tysięcy. A to była duża kasa.

Pan też chyba wiedział, że nie ma sensu prowadzić z nimi wojen.

Wie pan, to byli zawodnicy o dużych umiejętnościach, ale byli też niezastąpieni. Andrzej był niezastąpiony. A miał jeszcze się przy kim uczyć. Kapka, Nawałka, Jałocha – oni wszyscy tworzyli grupę, która się wyróżniała. Rywalizacja była duża, ale Andrzej wybijał się jeszcze ponad nich. Dlatego trzeba było się z nim obchodzić wyjątkowo. Starłem się być dla niego jak ojciec i on to chyba może potwierdzić. Mało tego, trzymałem nawet z jego rodziną, wymieniałem z nimi rowery. Kładło się to na mnie cieniem, bo przy wyskokach Andrzeja w klubie mówili, że go foruję. A ja uważałem, że chłopaka trzeba forować bez względu na to, co kto mówi. Mogłem jednym cięciem, jak Lenczyk, odsunąć go od drużyny, ale nie chciałem. Bo takiego zawodnika nie można było zmarnować.

Gdyby nie protekcja trenera Franczaka ta książka dziś by nie powstała?

Nie można tego wykluczyć. Taka sytuacja: Staszek Gonet był jednym z lepszych bramkarzy, a nagle ściągnęli mu zmiennika z Bytomia, Karweckiego, który mieszkał i chyba dalej mieszka pod Andrzejem. I Karwecki mówi do mnie: „Panie trenerze, przecież pan wie. Byłem abstynentem w Szombierkach. Jak odchodziłem, to Kostka płakał”. A potem się okazało, że Karwecki ze trzy razy był w izbie wytrzeźwień. Bardzo porządny chłopak, ale miał ciągoty do różnych sytuacji. Taka dwójka mieszkała obok siebie. I nie sądzi pan, że lepiej było czasem tam podejść i usiąść z nimi lub ich żonami? I jak się kończyła każda taka wizyta? „Trener z Iwanem pije” albo: „Trener Iwana robi”. Śmieszyło mnie to. Wyniki nas broniły, a one nie przychodzą same z siebie. Po meczu

z Legią Krzysiek Budka – ponad 190 centymetrów wzrostu – trzyma mnie za rękę, a tu działacze przejeżdżają samochodem i wiadomo, jakie odzywki: „Budka prowadził pijanego trenera”. Nie było sensu się z nimi kopać. Gdyby wtedy istniał „Fakt” albo inne tabloidy, to Wisła non stop byłaby na czołówkach. Siedzą chłopaki w „Dnieprze”, ktoś postawi flaszkę na stole, ktoś inny zrobi zdjęcie i już jest tabloid.

W Krakowie za wiele lokali nie było, życie koncentrowało się właśnie wokół „Dniepru”. Byłem świadkiem takiej sytuacji: siedzimy z zawodnikami, piękna pogoda, pijemy coca-colę, herbatę, kawę, a tu nagle przybiega kierownik i wacha nasze szklanki, czy nie ma tam wódki. Służba bezpieczeństwa krążyła w tych okolicach, bo tam był pewex, i nasłała go na nas.

Warunki pracy nie sprzyjały osiągnięciu sukcesu.

Byłem podobny do Iwana. Nie przejmowałem się tym, co się o mnie mówi, dlatego prowadziłem pierwszą Wisłę przez dwa i pół roku. A potem jak ta Wisła spadała, to mnie ścigali, żebym ją wyciągał ze stagnacji. Jak już byłem w Kielcach, to jeden z trenerów, chyba Lenczyk, posądził mnie, że sprzedali mecz. Zawiesił wszystkich zawodników, Skrobowski poszedł do Lecha, Andrzej do Górnika, Budka do Lubina i wszystko się porozjeżdżało. Drastyczne pociągnięcie i drużyny nie było. Czy to było słuszne? Potem okazało się, że nie. Lepiej byłoby poczekać.

Mam wrażenie, że czuł pan pewną słabość do Iwana, że lubił go pan tak po ludzku.

Bo to naprawdę porządny facet! Mimo że nie kończył szkół, bardzo lubił czytać. Był trudnym chłopakiem, ale tę jego mądrość widać było na boisku. Inteligentnie rozwiązywał każdy problem. Wiedział, kiedy przyjąć, czy ma kogoś na plecach, czy się odwrócić z tej strony, czy z tamtej. Na tym polega inteligencja piłkarska. A w życiu umiał się zachować wszędzie. Facet z klasą.

Większą słabość czułem jednak do Krzyśka Budki. Nie miał rodziców, adoptowali go dziadkowie, wychowywał wujek, a wszyscy mówili, że to mój syn. A ja się tymi chłopakami – Budką, Nawałką, Jałochą –

opiekowałem już od juniorów. Staralem się ich wyprowadzić na ludzi i chyba nam – mnie, kierownikom, trenerom – się to udało.

Andrzej twierdzi że jego głównym problemem było to, że nie potrafi ludziom odmawiać. Za to go lubili, ale przez to wpadał też w kłopoty.

Ale nie było takiego zawodnika, który odmawiał! I nie chodzi mi o samo picie alkoholu, tylko o towarzystwo. A w towarzystwie różnie bywa. Andrzej był otoczony ludźmi z piedestału finansowego. Większość została właścicielami kantorów lub kamienic. Środowisko z kasą. Jeśli jakiegoś dnia Iwana nie było na treningu, nie wiadomo było, czy nie pojechał po coś do Zakopanego – takie rzeczy się zdarzały.

Dużo panu Andrzej zjadł nerwów?

Było sporo sytuacji spornych, nie da się ukryć. Jako trener mogłem też wykończyć każdego zawodnika – wyrzucić, zawiesić – ale wolałem do tego podejść rzeczowo. Po tym całym zawieszeniu, gdyby ktoś się dowiedział o wszystkich jego wybrykach, to Andrzej mógł dostać dożywotnią dyskwalifikację. Takie opcje też chodziły wśród działaczy: „Trzeba przeciąć wrzód, rozbić, skończyć tę sprawę!”. Nie zgadzałem się na to, a potem wysłuchiwałem, że trener ma miękką rękę, trener to, trener śmo. Dziś bywają podobne sytuacje – rozważania, czy jakiś piłkarz w samolocie wypił jedno wino, czy dwa.

W porównaniu z tamtą epoką takie historie brzmią jednak absurdalnie.

Pewnie, że tak! Ale weźmy tę wymyśloną i niepotrzebnie rozdmuchaną aferę na Okęciu. Najporządniejszy chłopak na Wiśle, Kaziu Gazda, został ukarany najbardziej, a Zbyszek Płaszewski, który dochodził do siebie po kontuzji, zrezygnował z gry w piłkę i jeździ taksówką. Kulesza zostaje zawieszony, bo Młynarczyk z Bońkiem za trzy dni mieli zgrupowanie i szampana się napili. Nagle trzeba wszystkich wyrzucać, reprezentację rozdupczyć i trenera zawiesić. Potem pokazują tego Kuleszę, najporządniejszego trenera z tamtych lat, że może nawet z nimi pił. O czym my mówimy?! To jest śmieszne.

Iwanowi też wytykano „Stylową” na ulicach?

Nie, nie wierzę w to. „Stylowa” to jednak Nowa Huta, peryferie świata. A Andrzej był ulubieńcem nie tylko kibiców, ale też niektórych pułkowników, którzy ściągnęli go do Wisły. Oczywiście, mieli mu to za złe: „A coś ty, dziewczynę popchnął?! No jak to?!”. Najgorsze było to zwarcie z milicjantami. A on milicji nienawdził, mimo że grał w milicyjnym klubie. Poszedł na całość, trafił gościa głową. Ale ta sprawa to pestka.

Pestka? To jednak bardzo istotny moment w jego życiu.

Dla niego tak! Bo młody chłopak został zawieszony prawie na rok. Ale wyszedł z tego i potem nawet w Górniku był czołowym zawodnikiem. A nie wiem, jak się tam prowadził. Jak go znam, nie zmienił charakteru. Miał też przy sobie charakternych gości. Przecież Urban czy inni to nie są święci zawodnicy. W Niemczech Andrzej był jednym z najlepszych, ale miał za długi język. Bo z tego co wiem, zaczął w polskiej prasie opowiadać o swoim niemieckim trenerze. Ten przeczytał, a że Niemiec jest Niemiec, to zaczęli go kruszyć.

Wie pan, gdyby Andrzej robił karierę dzisiaj, to inaczej wyglądałaby też jego sytuacja finansowa. Wielu byłych zawodników Wisły nie składało pieniędzy na kupkę, tylko zainwestowało w mieszkania, postawiało domy na obrzeżach Krakowa. A Andrzej ma tylko mieszkanie na Prądniku.

Przykra sprawa.

Przykra dla wszystkich, dla mnie tak samo. Ja miałem trzy i pół czy cztery tysiące złotych, a dziś trenerzy zarabiają czterdzieści tysięcy euro miesięcznie. Dlatego nikt nie ma prawa rozliczać tamtych czasów na zasadzie: „Jak on się zachowywał?”. To była sprawa indywidualna i wszystkie oceny biorą dziś w łeb. A zawodnicy dalej się bawią, tylko za większe pieniądze. Popatrzmy na Anglię. Jakie tam skandale? Cały czas panienki, dziewczynki. Może nie powinienem tego pochwalać, ale piłkarz ma to do siebie, że chce gdzieś rozładować adrenalinę. Ale u nas jest to samo, tylko nie wychodzi tak często. Niedawno połapali jakichś piłkarzy w agencji towarzyskiej. I co? Zabić ich za to?

Patrzę na dzisiejszą piłkę. Myśmy nie mieli zamkniętych treningów. Ale myśmy się nie wstydzili, tylko żeśmy się chwalili! Tysiąc osób na każdym treningu i brawa za udaną akcję większe niż na meczu. A teraz zamknięty

trening, tajemnica. No jaka tajemnica? Messiego wszyscy znają, i tak strzeli, po co to zamykać?

Reprezentacja nie do końca skorzystała z potencjału Iwana.

Tak jak nie skorzystała z Kazka Kmiecika, ale takich zawodników było w lidze kilkunastu. Szarmach był niezastąpiony, wcześniej Lubański. To były tuzy. Nie dało się zmieścić w takim składzie. Andrzej osiągnąłby więcej, gdyby w Hiszpanii nie odniósł kontuzji. Tak samo Skrobowski, który w ostatniej chwili złamał nogę. Ale takie to były czasy. Kolega Andrzeja, taki stoper z Wandy, Płonka, „złapał” łękotkę w Hiszpanii i do dziś ledwo chodzi. Ma dopiero z pięćdziesiąt lat. A Andrzej? Kontuzja kontuzją, a inna sprawa to te jego karty. Z tym ciężko było walczyć. Grali, grali, ograli Motykę na parę tysięcy złotych, wyszedł chłop spocony z autokaru, bo poszła premia za mecz (*śmiech*). A wiele było spraw, o których ja do tej pory nie wiem. Może się dowiem z książki, choć mam nadzieję, że więcej będzie o karierze sportowej.

Jest pan rozczarowany tym, jak potoczyły się losy Iwana?

Jestem rozczarowany tym, że mógł osiągnąć w życiu więcej.

W życiu czy w piłce?

W życiu i w piłce. Jego kariera jednak się rozmyła w porównaniu z innymi zawodnikami, którzy albo są trenerami, jak Nawalka czy Motyka, albo byli wschodzącymi gwiazdami biznesu, jak Skrobowski. Andrzejowi ludzie starają się pomagać, on o tym doskonale wie, choć nie zawsze trafia na odpowiednie osoby. Szedł w innym kierunku. Pieniądze, które mógł zainwestować, przegrał. Cieszę się dziś, słuchając jego komentarzy w telewizji. To jeden z najbystrzejszych piłkarskich ekspertów. I oby tak było jak najdłużej. Bez kolejnych wpadek. Bo tego człowieka nie da się nie lubić.

Rozmowa z Jerzym Fedorowiczem

Powiedział pan, że wywiadu akurat do książki Andrzeja nie mógłby odmówić. Dlaczego?

Zawsze jestem do dyspozycji piłkarzy Wisły z tamtych czasów. Kiedy Andrzej grał w Grecji, ale miał jeszcze dom w Niemczech, mój syn dostał stypendium na studiach prawniczych w Bochum. Zadzwoiłem do „Ajwena”, czy mógłby mu jakoś pomóc, a on tak serdecznie się nim zaopiekował. Wspieramy się w każdych sytuacjach, nawet tych rodzinnych. Jak się dzieci rodziły, to sobie pomagaliśmy. Ja na przykład jeździłem odebrać dziecko Zdziśka Kapki, bo on akurat trenował. My, aktorzy Starego Teatru, od początku byliśmy kibicami Wisły. Jako młodzi ludzie i artyści kibicowaliśmy już bardziej świadomie. Przyjaźniliśmy się z Adasiem Musiałem, Staszkiem Gonetem, Kaziem Kmiecikiem. Potem, kiedy „Ajwen” zaczął grać w juniorach, już wiedzieliśmy, że wyrasta niesamowity talent. Gość, który urodził się dla piłki. Miał wszystkie cechy motoryczne i psychofizyczne do uprawiania tego sportu. Poza jedną – jak życie pokazało, miał słabą wolę, jeśli chodzi o hazard i alkohol. To mu zrujnowało życie „popiłkarskie”.

Kiedy zorientował się pan, że alkohol i hazard przestały być dla Andrzeja zabawą, a stały się nałogami?

Do pewnego momentu nie uważałem, że alkohol może mu wyraźnie szkodzić. On był tak szalenie utalentowany, że potrafił znaleźć sobie miejsce na boisku, na którym nie musiał się aż tak wysilać. Nie było widać, że ten alkohol znacząco wpływa na jego organizm. Ale o hazardzie

wiedzieliśmy. Tu przestrzegałem bardzo. Moje dzieciństwo było ciężkie i głodne, ale pochodziłem z inteligentkiej rodziny i miałem inne wzorce. Andrzej natomiast pochodził z Nowej Huty, czyli z zupełnie innego otoczenia.

Mimo to potrafiliście znaleźć wspólny język.

Zakolegowaliśmy się dopiero w połowie lat osiemdziesiątych. Myśmy chodzili na wszystkie mecze koszykówki i w sposób naturalny poznawaliśmy też piłkarzy. Przychodzili do nas do teatru, a potem naszym wieczornym spotkaniom towarzyszył alkohol. Poza sportem, Wisłą i pracą nie mieliśmy nic specjalnego do roboty. A w szarej komunistycznej rzeczywistości to byli ludzie wybitni. Każdy z nich był reprezentantem Polski i z naszej strony to był też pewien snobizm, że możemy się z nimi widywać.

Dziś aktorom, ludziom sztuki bliższe relacje z zawodnikami nie przysparzałyby większego splendoru. Piłkarze są postrzegani jako osoby bogate, ale niezbyt inteligentne.

Mam taką teorię, że najwybitniejsi sportowcy są inteligentni z natury, a samo wykształcenie czy nauka to inna sprawa. W piłce nożnej głowa też się liczy. Kiedy w teatrze graliśmy wielkie przedstawienia, „Biesy” Wajdy, „Noc Listopadową”, „Dziady”, „Wyzwolenie”, to były wielkie hity. Stary mecz może pan obejrzeć w telewizji, a ja mogę tylko opowiadać, jak ludzie nas na rękach nosili, a w kasach teatru brakowało biletów. Ci zawodnicy też się na nas snobowali, cieszyli z tej znajomości. Poza tym byłem prawdziwym zawodowcem i wymagałem tego samego od moich aktorów. Szanowałem też profesjonalistów w każdej innej dziedzinie. Ale nie wtrącałem się w ich sprawy, żeby nie wyjść na głupka. Ile razy bym nie powiedział, że gram w piłkę, to ci chłopcy się śmiali: „Ty nie grasz, ty kopiesz!”.

A oni grali... W Górniku z Urbanem i Matysikiem rozklepywali przeciwników jak Barcelona. W Wiśle zresztą tak samo. Najbardziej było nam żal, że Andrzej nie mógł zagrać w rewanżu z Malmö. Gdyby tworzył parę z przodu z Kmiecikiem, to pewnie weszlibyśmy do finału Pucharu Europy. Wisła była w ogromnym gazie i miała szansę na wielki sukces.

Rozkwit jego talentu nastąpił na początku lat osiemdziesiątych. Mieliśmy wtedy głuszę stanu wojennego, graliśmy mało przedstawień i spotykaliśmy się po treningach Wisły w kawiarni „Kabaret”. Grywaliśmy też wtedy różne dziwne mecze w Parku Jordana, między innymi z kibicami. Prosiliśmy wówczas „Ajwena” o różne dziwne rzeczy. Był taki zawodnik Legii, którego specjalnie nie lubiliśmy, i namawialiśmy Andrzeja, żeby założył mu podwójną „siatę”. Robił to tylko dla nas. Podjeżdżał z nim pod same trybuny, tak chłopą torturował!

Kiedy „Ajwen” wrócił do Polski na stałe, powołaliśmy drużynę oldboyów Wisła 78. Opiekunem ze strony mediów był Krzysiek Mrówka, a ja udawałem trenera. Jeździliśmy na mecze do Żywca, Bukowna, Okocimia. Graliśmy o 17, potem ja z kolegami i koleżankami dawaliśmy kabaret dla mieszkańców, a sponsorzy stawiali kolację. Pamiętam taką sytuację. Mecz z trzecioligowym Okocimskim, do połowy 0:2, a ja, jako że jestem coachem, mówię: „Jaki wstyd, przecież po połowie siądziecie i te chłopaki was zajadą”. „Poczekaj, damy radę”, odpowiada ze stoickim spokojem Marek Kusto. I co się okazało? Że tamci biegali za piłką, nasi stali, podawali jeden do drugiego i wygraliśmy 4:2.

Nigdy też nie zapomnę, jak wygraliśmy na wyjeździe z Hiszpanią, a „Ajwen” strzelił dwie bramki Arconadzie. Mówiło się wtedy, że mamy w Polsce najlepszy duet napastników – Włodzimierz Smolarek i Andrzej Iwan. Z reprezentacją, która jechała na mundial do Hiszpanii, wiązaliśmy ogromne nadzieje. Spełnione, ale Andrzej złapał kontuzję. Szkoda, bo oczekiwaliśmy, że zostanie królem strzelców mistrzostw. Ja pisałem wtedy wierszyki o każdym piłkarzu Wisły. Wybrałem panu dwie zwrotki o „Ajwencie”.

*Już oczyma wyobraźni
widzę mecz na miarę kaźni.
Madryt, finał Polska–Sowiet,
w bramce stoi komsomolec,
no a gola, każdy to wi,
Ajwen strzela Iwanowi.*

(...)

*Spełnij me marzenia ciche,
zasuń Ruskim taką kicę,
aby mówił brat do brata,
Ajwen królem mistrzostw świata.*

Śpiewałem to dla chłopaków przy różnych okazjach i muszę powiedzieć, że była w tym zawarta wróżba, bo ze Związkiem Radzieckim Andrzej już nie grał, ale było 0:0 i weszliśmy do półfinału. Długo rozmawiałem z nim i z Piotrkim Skrobowskim. Tam był jakiś pech, bo Jałocha też złapał kontuzję.

Oni nie mieli tam praktycznie żadnej opieki medycznej.

Tak, bo mięsień, który się zerwał Iwanowi, był rozciągnięty i jakby zrobiono od razu tę operację, to okres rekonwalescencji byłby krótszy. Skutkiem tego błędu było to, że Andrzej nie był już nigdy tak bardzo sprawny. To było okropne, kibice o tym nie wiedzieli. Piłkarze zapłacili karę za to, że komuna oszczędzała, a dolar był drogi. Myśmy się rozumieli, bo byliśmy w tej samej sytuacji. Jeździliśmy z Teatrem Starym za granicę, mieliśmy dwanaście dolarów diety i nieraz piliśmy wodę z Fontanny Di Trevi, zagryzając szprotkami w tomacie. Piłkarze byli w o tyle lepszej sytuacji, że trochę lepiej zarabiali, zwłaszcza jak coś zaoszczędzili na dietach. Byli głównymi fundatorami różnych przyjęć i spotkań.

Bardzo się wtedy kolegowałem z Krzysiem Budką, liczyłem, że kiedyś zagra w Interze Mediolan, a ja go będę tam odwiedzał. Ci chłopcy zapłacili za brak pomocy kogoś silnego. Autorytetu, który wytłumaczyłby im, na czym polega zawodowy futbol.

Problemy Andrzeja widział pan za to „na żywo”. Był pan świadkiem i uczestnikiem wielu jego imprez.

Andrzej się bardzo pogubił. Wiem, co to znaczy, bo sam zajmuję się pracą z trudnymi ludźmi i młodzieżą, która popadła w tarapaty związane z narkotykami i alkoholem. Takie choroby trzeba leczyć. „Ajwen” miał ten sam problem co bokserzy. Był szalenie popularny i każdy chciał się z nim

zmierzyć. Piłkarze znajdowali się na świeczniku i wszyscy byli obserwowani. Nieraz się zastanawiałem, czy mam prawo do oceny takiego człowieka. Trzeba być w środku, żeby zrozumieć, co znaczy samotność po treningu. Trening trwa trzy godziny, potem można coś zjeść i cały wieczór wolny. Jeżeli ci piłkarze nie mieli domu, rodziny, jakichś dodatkowych zajęć, a mieli pieniądze i zdrowie, to większość spędzała czas tak jak my. Nie oszukujmy się, kiedy kończyliśmy przedstawienie, to szliśmy do SPATiF-u, piliśmy wódkę i rozmawialiśmy. W naszym przypadku to było twórcze, mieściło się w stereotypie artysty.

A w przypadku sportowców? Andrzej szybko się ożenił, w młodym wieku został ojcem.

Tak, i to była prawdziwa miłość. Ale niech pan popatrzy, ile jest afer dotyczących Giggsa, Terry'ego, Ronaldo czy Ronaldinho. Psują ich ogromne pieniądze oraz popularność i łatwość kontaktu z pięknymi kobietami. Przeważnie żenią się z modelkami. Ja nie wierzę w miłość z lalkami z pierwszych stron gazet. Z tym nasi wiślaczy nie mieli problemu, ale wiele razy tłumaczyłem im, że jak mają kontuzję i nie mogą trenować, a pozwalają sobie na balangi alkoholowe, to dłużej się goi.

Jak reagowali?

Nie bardzo, choć w sumie... trudno się dziwić. Jak Andrzej przyjechał z Bochum pięknym oplem omegą, to było coś! Krzysiek Budka prowadził, a my z „Ajwenem” podróżowaliśmy i zwiedzaliśmy różne miejsca. Jeśli mam być szczery – nocne lokale w centrum. Więc ja mogłem im radzić, a i tak siedziałem obok i piłem z nimi. Andrzej i Budka nawet mnie czasami słuchali, bo byli dwanaście lat młodszy, a na dodatek obok siebie w drużynie mieli wzór czystego zawodowstwa, czyli Adama Nawałkę.

Myśmy się tak strasznie lubili, że nawet sylwestra razem spędzaliśmy. A luksusów nie było. Mała hala sportowa na Zwierzyńskim, gdzie ogrzana była jedna sala, śmierdziało trampkami, a my tańczyliśmy do rana. Zawodnicy czasem przychodzili do nas na kolacyjki, żeby zjeść coś lepszego, bo moja żona Elunia strasznie ich lubiła. Łączyło nas z piłkarzami to, że mimo siermiężności komunistycznej byliśmy ludźmi sukcesu. Stary

Teatr był na ustach wszystkich, z Wisłą było podobnie. Tyle tylko, że mówiliśmy, że to drużyna niespełnionych marzeń.

Proszę rozwinąć tę myśl.

Mieli szalone ambicje, praktycznie nie przegrywali na swoim stadionie. Andrzej raz mi powiedział, że jak remisuje u siebie lub nie daj Boże przegrywa, to trzy dni go głowa boli. Na mecze z Legią i Widzewem to się czekało! Trzydzieści tysięcy ludzi na stadionie. Nie mówię już o Celticu czy FC Brugge, bo tych spotkań nigdy nie zapomnę. Na niektórych meczach siedzieliśmy nawet na dachu nad trybuną, bo nasz kolega strażak, który pracował w teatrze, działał też w ochronie klubu. Wchodziliśmy po metalowej drabinie przeciwpożarowej, można było spaść, ale mieliśmy lepszy przegląd wydarzeń boiskowych, bo z tego miejsca słychać było każdą rozmowę między chłopakami. Taka dziwna akustyka. Oglądało się te mecze fantastycznie, ale mam takie poczucie, że mogli osiągnąć znacznie więcej. Może gdyby mieli takiego dzisiejszego menedżera, który postawiłby sprawę jasno – nie ma picia, angażujecie się tylko w futbol – to ich kariery potoczyłyby się inaczej?

Przez lata grywałem w tenisa, widzi pan zresztą te puchary. Ale mam już swoje lata i organizm przestaje nadążać. Nie mam już siły wygrywać singlowych meczów, ale nieraz łapię się na tym, że przeglądam stare gazety, w których jest napisane „Fedor–Federer”, mimo że byłem przecież tylko amatorem. Wciąż wspominam, że nauczyłem się tak trudnego sportu i miałem sukcesy. Niech pan to teraz porówna do zawodnika piłkarskiego, który kończy karierę. Jeśli nie skieruje się zainteresowania w poważną stronę życia, można popaść w tarapaty.

Ostrzegałem: „Nie graj, bo nie wiesz, z kim grasz”. Jak na początku lat dziewięćdziesiątych otworzyli kasyno w hotelu „Forum”, bo wcześniej było na Floriańskiej, to jako dyrektor teatru dostałem pięciodolarowego czipa. Zagrałem i wygrałem sto dolarów. Ale nie mogłem grać dłużej, bo miałem przyjęcie imieninowe. Moja miesięczna pensja wynosiła wówczas trzydzieści dolarów. Następnego wieczoru poszedłem z żoną i przegrałem czterdzieści. Nie chodziło mi już nawet o przegraną, bo i tak byłem na plusie, ale cztery godziny zeszły mi na próbach ogrania maszyny.

A z maszyną ani z szulerem nikt nie wygra. Nie mam dowodów na to, że Andrzej był oszukiwany, ale takie plotki chodziły. Wiem, że jeżeli gra się w towarzystwie ludzi, którzy zajmują się kartami zawodowo, w podziemiu, to nie ma czystości. Potrzebna jest niesamowita koncentracja, a jeśli się przegrywa, to w człowieku następuje szalone napięcie. Nie wygrywa się prawie nigdy.

Hazard generalnie przebiega w miłej atmosferze. W luksusowym kasynie możesz zapalić i dadzą ci drinka. Ale widziałem gości, którzy stawiali dziesięć razy na czerwone, podwajali stawki i wychodzili zrujnowani. Czytałem książki na ten temat, oglądałem filmy. Sam grałem rolę bilardzisty, który wygrywał zakłady, bo był mistrzem świata, a udawał w knajpie, że jest amatorem. Połamali mu palce i na powrót do sprawności musiał czekać dziesięć lat. Mam ogromną nadzieję, że Andrzej już do niej wrócił. Choć podejrzewam, że to dlatego, że nie ma już pieniędzy. Z tego powodu cieszę się, że media wyciągnęły do niego rękę.

Rozmowa z Krzysztofem Budką

Wraca pan czasem myślami do czasów kariery piłkarskiej? Chyba jest za czym tęsknić...

Wie pan, wtedy Wisła była jedną wielką rodziną. Klub był dla nas drugim domem, wszyscy wiedzieliśmy o swoich sprawach osobistych, byliśmy ze sobą bardzo zżyci. Nie traktowaliśmy meczów lekceważąco, na zasadzie – wygrać i do domu. Ale czy tęsknię. Raczej nie, nie ma sensu. Nie wspominam tych czasów zbyt często. Dziennikarze o mnie pamiętają, dzwonią zwykle przed meczami Wisły z Legią, ale zawsze odmawiam wywiadów. Było, minęło. Wyjątek zrobiłem dla tej książki, dla „Ajwena”.

Może nie chce pan rozmawiać, bo patrzy na swoją wiślacką karierę z niedosytem. Pewnie zresztą nie tylko pan...

Na pewno mogłem osiągnąć dużo więcej. Gdy pojechałem w 1975 roku z reprezentacją na Wyspy Kanaryjskie, zgłosił się do mnie facet ze szkółki Barcelony. Mówił, że zabiera mnie od razu. Ja na to, żeby poszedł do kierownictwa. Ale w głębi duszy nie byłem przygotowany na wyjazd. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym wtedy zostawić dziadków. Czułem, że zdradziłbym Wisłę, popełniłbym wielkie przestępstwo, gdybym tylko zmienił klub. W tych czasach głównym problemem było to, że nie mieliśmy menedżerów. Kiedy ktoś odznaczał się ponadprzeciętnym talentem, wszyscy powinni na tym korzystać. Zawodnik, klub i agent. Pod tym względem byliśmy drużyną niewykorzystanych szans. Ale Andrzej akurat osiągnął bardzo dużo. Grał w reprezentacji, zaliczył mundial, a mógł zrobić jeszcze więcej. Gdyby nie pamiętna kontuzja mięśnia w Hiszpanii,

wszystko pewnie potoczyłoby się inaczej. Bo to był jeden z najlepszych zawodników, jakich spotkałem. Piłkarz wybitny. Cieszę się, że mogłem widzieć go na co dzień.

Pamięta pan pierwszy trening Andrzeja w Wiśle?

Treningu nie, bo minęło od tego czasu ze trzydzieści lat, ale pamiętam, że w Krakowie sporo się mówiło o wielkim talencie, który pojawił się w Wandzie Nowa Huta. Bo Andrzej w wieku 17 lat to był talent czystej wody. Nie miał problemu z grą głową, przyjęciem piłki, strzelał prawą i lewą. Przy tym świetny przegląd pola. Piłkarskie wyżyny. Oglądam czasem Premiership i w Manchesterze jest ten Rooney. No, jakbym widział „Ajwena”.

Trener Lucjan Franczak też porównał Iwana do napastnika Manchesteru United.

Taka surowa twarz i świetna budowa. Może to dziwnie brzmi, ale Iwan naprawdę prezentował taki poziom. Mało tego, grał lepiej od Rooneya lewą nogą i głową. Nawet kiedy był niedotrenowany, to niwelował te braki charakterem. Wychodził, zaciskał zęby i grał. Przez to praktycznie od początku cieszył się w szatni dużym szacunkiem. Wiedzieliśmy, że to ponadprzeciętny chłopak, czas pokazał, że w wielu momentach tej drużynie pomógł. Pamiętam taki mecz z Odrą Opole. W 20. minucie meczu doznał ciężkiej kontuzji, rozerwał torebkę stawową, a dotrwał do końca i nawet bramkę strzelił. Cały „Ajwen”.

Poseł Jerzy Fedorowicz twierdzi, że Nowa Huta tak zahartowała Andrzeja.

Ja też tam mieszkałem i mogę powiedzieć, że życie na osiedlach było zupełnie inne niż w samym Krakowie. Więcej łobuzerki, wewnętrznych konfliktów. Człowiek żył tym na co dzień. „Ajwen” mieszkał Na Stokach, czyli na naprawdę niebezpiecznym osiedlu. Były tam hotele robotnicze i miejscowi często tłukli się z przyjezdnymi. Andrzej często o tym opowiadał. O bloku „dziewiętnastce”, którego mieszkańców nikt nie lubił. Kiedyś „Ajwen” przyszedł zresztą na trening po takiej bitce. Nie dawał sobie w kaszę dmuchać. Ja starałem się trzymać z boku, unikałem konfliktów. Z czasem człowiek zaczynał zresztą „wychodzić” z Huty. Rano

wyjeżdżało się na trening, a wracało wieczorem. Poza tym mecze, zgrupowania, obozy.

Pyta pan, czy Huta zahartowała Andrzeja. Nie wiem, możliwe. Ale jedno muszę powiedzieć – ten gość nigdy nie miał problemów z sodówką. To aż do niego nie pasowało. W jego otoczeniu wszyscy zawsze dobrze się czuli.

„Ajwen” sam twierdzi, że jego głównym problemem było to, że nie potrafił odmawiać.

Chyba tak. Chyba mogę się z tym zgodzić.

Czyli wracamy do braku menedżerów. Dziś agent przede wszystkim szuka zawodnikom klubu, ale też z założenia może im doradzać, wskazywać właściwą drogę w życiu.

Jak ktoś ma talent, to menedżer nie musi szukać klubu, bo on i tak sam się znajdzie. Nam był potrzebny menedżer kompleksowy, który przekazałby wprost, że kariera trwa dziesięć lat i trzeba maksymalnie wycisnąć to, co dali bogowie i natura. Zawodnik musi zrozumieć, że luksus nie będzie trwał wiecznie. Przychodzi moment, gdy ma się trzydzieści parę lat i trzeba się przestawić. To, co się umiało wcześniej, już się nie przydaje. Czas na nowe życie, nowy zawód i... wiele nowych problemów.

Szczególnie widać to po waszej Wiśle. Pechowa drużyna.

Nie chodzi tylko o nas. Jak pan prześledzi inne kluby z mojego pokolenia, to jest to samo. Zdarzają się wyjątki, piłkarze, którzy załapali się do większego biznesu, ale najlepszym rozwiązaniem jest pozostanie w sporcie. Koszula bliższa ciału, jak to mówią, i ten przeskok też nie jest tak duży. Ale w większości przypadków widać nieprzygotowanie do tego „drugiego” życia. Tu ma pan talent, przychodzi do pracy, na której zna się bardzo dobrze i gdzie wszystko przychodzi z łatwością. Fajna zabawa, za którą jeszcze płacą. Ma pan jakiś problem, to pomogą, zgubi dokument, to znajdą. Aż nagle – znowu wracamy do menedżerów – łapie się kontuzję, koniec kariery i człowiek jest w innym świecie. Wie pan, my jak na tamte czasy naprawdę byliśmy uprzywilejowani. Dostał człowiek mieszkanie, na które inni czekali po dwadzieścia lat, samochód. W drużynie to nawet trenerzy nie mieli na nas większego wpływu.

Potrafili do was trafić tylko szkoleniowcy „do rany przyłóż”? Chyba nie było sensu, żeby wam się otwarcie stawiali...

Mieliśmy kochanego trenera Franczaka, któremu do dziś wiele zawdzięczam. Andrzej miał też Pomorskiego. A na przykład twarda ręka Brożyniaka jakoś na nas nie działała. Myśmy nie byli łatwą drużyną do prowadzenia. Trzeba było z nami mądrze postępować, żeby to wszystko się nie rozleciało. Franczak potrafił z każdej sytuacji wyjść obronną ręką. Zdawał sobie sprawę, że jeśli piłkarz jest niepokorny, to tylko działa na jego korzyść.

Można półzartem powiedzieć, że trener był wam niepotrzebny?

Tak mawiali na ulicy. Człowiek spotykał ludzi i słyszał: „Taką drużynę to i ja bym poprowadził”. Ale ja się nie do końca z tym zgadzam. Gdyby tak było, to po co Barcelonie trener? Sukces polega na tym, że Guardiola jest „ich”, a Franczak był „nasz”. Nieźle też sobie radził Lenczyk. Dziwny facet, na swój sposób *crazy*, ale potrafił nas świetnie przygotować. Dla mnie to fenomen, pracuje do dziś. Trzydzieści cztery lata minęły od tego, jak zdobyliśmy mistrzostwo, i nadal jest na topie.

Jak Andrzej odnajdywał się na początku w waszej szatni? Siedział cicho czy od razu rozstawiał zawodników po kątach?

U nas nikt nie siedział cicho. Wszyscy mieli coś do powiedzenia i zawsze było wesoło. Na imprezy nie chodził tylko Motyka, który stronił od alkoholu. Cały czas z niego żartowaliśmy. Sam pan rozumie, dwudziestu chłopów w szatni. Tyle że Marek nie musiał z nami balować, bo był świetnym zawodnikiem i za to mieliśmy do niego szacunek. Choć oczywiście woleliśmy, żeby z nami chodził.

Nie było w tej szatni nikogo, kto by powiedział: „Panowie, dajmy spokój, bo przesadzamy”?

Nie bardzo. A jak już ktoś próbował, to i tak nie miał żadnego wpływu. Mógł coś pogadać, a my robiliśmy swoje.

Pan był w Wiśle chyba najbliższym „Ajwena”, najlepiej się z nim rozumiał. Wasze kariery toczył się równolegle.

Na pewno lubiliśmy ze sobą przebywać zarówno na boisku, jak i poza nim. Przeżyliśmy wiele sytuacji bezpiecznych i niebezpiecznych.

Chodziliśmy po linie i trzeba się cieszyć, że dziś jesteśmy zdrowi i w ogóle żyjemy. Od razu złapaliśmy wspólny język i przypadliśmy sobie do gustu. Do pewnego momentu mieliśmy dobry kontakt, chyba nawet aż za dobry. Bo w wielu sytuacjach naprawdę przesadzaliśmy. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

Dla Andrzeja chyba nie do końca. W jego przypadku alkohol i hazard były nie tylko zabawą...

Każdy z nas tego dotknął. Wie pan, dziś jest więcej rozrywek, ale wtedy piłka była dla wszystkich bardzo ważna. Bezdyskusyjnie sport narodowy. Tym bardziej, że były to czasy po Wembley i mundialu w Niemczech. Człowiek stykał się z alkoholem i hazardem bardzo często, ale dziś wiem, że tego picia było za dużo. Alkohol ze sportem wyczynowym nie może iść w parze. Stąd te wszystkie wzloty i upadki. Ludzie sądzili, że Wisła powinna zdobywać mistrzostwo rok w rok, przez siedem lat. A nie zdobywała. Mieliśmy mecze lepsze i gorsze, bo sport szedł równolegle z zabawą. Choć wiadomo, że nie piliśmy przed meczami w europejskich pucharach czy na przykład z Legią. Potem drużyna się posypała, odeszło kilku zawodników, a przyszli słabsi.

Andrzej po wyjazdach do Niemiec i Grecji powinien mieć lepszy start finansowy od nas, a jak to się potoczyło. No, różne rzeczy się słyszało, chociaż szczegółów nie znam. Ale zazwyczaj tak to bywa. Najpierw człowiek się bawi, a później ma problem, z którym nie może sobie poradzić. Ja nigdy nie słyszałem, że Andrzej jest na dnie. Wiedziałem, że chodzi po linie, że miał problemy z trzustką, ale ta „bomba” chyba całkiem nie pękła. Zresztą to urodzony szczęściarz. Zawsze spada na cztery łapy.

Rozmowa z Bartoszem Iwanem

Po synu wielkiego polskiego piłkarza oczekiwano, że pójdzie w ślady ojca i zbliży się do jego sukcesów. Tobie się to nie udało. Chyba nie tak miała wyglądać twoja kariera.

Na pewno nie tak. Poza tym w moim przypadku nie można mówić o karierze, to raczej przygoda z piłką. Karierę to zrobił choćby mój tata. Miałem predyspozycje, żeby wybić się jak on, ale coś zaszwankowało. Błędy i niewłaściwe decyzje z młodości sprawiły, że stanąłem w miejscu. Nie osiągnąłem nawet w pięciu procentach tego co on. Chciałbym jeszcze wrócić na mój dawny poziom, ale teraz jest coraz trudniej zaistnieć w ekstraklasie. Mam 28 lat, jestem bliżej końca kariery. Ale nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa.

Andrzej pełnił też rolę twojego menedżera. To on negocjował w twoim imieniu i dzwonił do różnych klubów.

Nie potrzebowałem nigdy agenta, bo tata zawsze mi pomagał. Nie robił tego łąpczywie, żeby na siłę gdzieś mnie wepchnąć, tylko zawsze liczył się z moim zdaniem. Nie wiem, w jakim miejscu byłbym teraz bez jego pomocy.

Nazwisko bardziej ci pomagało czy przeszkadzało w karierze?

Kiedy grałem w trampkarzach lub juniorach, drażniło mnie. Wiadomo, młodzi chłopcy myśleli, że gram tylko dlatego, że mój tata był piłkarzem. Denerwowało mnie, że jestem z nim porównywany, bo wiedziałem, że ciężko będzie powtórzyć tak barwną i fajną karierę. Kilka razy zdarzyły się też groźniejsze sytuacje. Idę wieczorem ulicą Królewską i nagle słyszę za

sobą: „Iwan, wiślacka kurwo!”. Odwracam się, a tam samochód, czterech gości z maczetami, nożami i siekierami. Gonili mnie nawet, ale byłem wtedy w formie i zdołałem uciec. Schowałem się, a oni chyba odpuścili. Całe szczęście.

A kiedy nazwisko pomagało?

Wtedy, kiedy byłem bez klubu i trzeba było coś znaleźć. Tata ma szerokie grono znajomych, zna działaczy, trenerów i zawsze mógł gdzieś zadzwonić. To między innymi dzięki temu przez cały czas byłem albo w ekstraklasie, albo w pierwszej lidze. Miałem kilka propozycji od różnych menedżerów, ale tata zawsze był dla mnie autorytetem i w stu procentach mu ufałem. Jak coś doradził, to był to dobry wybór. Niczego nie żałuję.

Uważasz, że miałeś ciężkie dzieciństwo?

Nie, nie odczuwam tego w ten sposób. Przeżyłem swoje, ale niczego nigdy nam nie brakowało.

Mówisz, że Andrzej był twoim autorytetem, mimo że z bliska i w zasadzie od początku widziałeś jego problemy.

Tata znalazł się parę razy na zakrętach, ale nigdy nie przestałem go szanować. Większość ludzi, którzy znali go poza boiskiem, twierdzi, że był dobrym piłkarzem i świetnym kolegą. Bardzo przeżywałem wszystkie jego kłopoty. Nie rozmawiało się o tym w domu otwarcie, a mama nie musiała mi nic mówić. Sam na własne oczy widziałem, że coś jest nie tak. Zawsze jednak w podświadomości miałem przecucie, że tata wyjdzie z tego i będzie dobrze. Że przyszłość będzie lepsza. Nigdy się na tatę nie obraziłem, nawet bym nie potrafił, bo tyle w życiu mi pomógł. Miał z naszej strony pełne wsparcie i gdyby nie ono, to nie mam pojęcia, jak potoczyłyby się jego losy. Słowa uznania należą się mamie za jej stalowe nerwy i złote serce, bo w tylu sytuacjach, kiedy tata coś nawywijał, była z nim i nigdy nie dała na niego powiedzieć złego słowa. Nas – mnie i siostrę – chyba też zaraziła takim myśleniem.

Andrzej wspominał, że twoja siostra częściej z nim rozmawiała o jego problemach, a ty wolałeś tego nie komentować.

Jestem osobą nieśmiałą i głupio mi było zwrócić tacie uwagę, że coś robi źle. Nie wiedziałem, jak zareaguje, byłem w niego zapatrzony. Zostało mi

to do dziś. Jak tata miał jakieś problemy, to się nie odzywałem i czekałem, aż wszystko wróci do normy. Dopiero wtedy po cichu mówiłem, czego od niego oczekuję. Prosiłem, żeby się zastanowił, bo tyle lat pracował na swoje nazwisko, że szkoda, aby paroma wybrykami wszystko zniweczył. Przecież ma fajną pracę, która sprawia mu przyjemność, rodzinę, wspaniałe wnuki. Czego więcej chceć? Często mu to powtarzam.

A on jak reaguje?

Nieraz odpowiada, że to silniejsze od niego. Mówi, że będzie się starał, że będzie dobrze. On generalnie nie opowiada o swoich problemach. Zamyka się i dopiero mama musi z niego wydusić, co się stało albo gdzie był. W dzieciństwie zazwyczaj zamykałem się w swoim pokoju, bo nie chciałem być świadkiem takich rozmów. Ale im byłem starszy, tym więcej pytań zadawałem. Do dziś mam z mamą bardzo dobry kontakt, często rozmawiamy o tacie i staramy się znaleźć złoty środek.

Jaki jest ten złoty środek?

Tak naprawdę niewiele możemy zrobić. To nałóg ciężki do przewyciężenia. Chyba nie ma złotego środka. Możemy tylko powtarzać, że może na nas liczyć i ma dla kogo żyć. Jak on to zrozumie, fajnie, ale z alkoholem nie jest tak łatwo. To chyba najgorszy możliwy nałóg.

A hazard?

Można przegrać w kasynie, ale to, co się dzieje z człowiekiem po alkoholu. A jak jeszcze idziesz „pod wpływem” do kasyna, to wyłączają się wszystkie szare komórki i nie patrzysz na nic, tylko na grę. Nie liczysz się z konsekwencjami i masz wszystko gdzieś.

Coś wiesz na ten temat. Sam też byłeś uzależniony od grania.

Problemy rozpoczęły się, jak miałem 22 lata. Zadzwoił prezes Boniek, zapytał, czy chcę grać w Widzewie, krzyknął sumę, a ja, młody chłopak, się zgodziłem. Zaczęło się moje życie w Łodzi, na początku mieszkałem sam, potem z Kamilem Kuzerą. Nie mieliśmy, co robić, i całe dni spędzaliśmy poza domem. Szliśmy na obiad, potem do kasyna, znowu coś zjeść i do rana w kasynie. Wciągnęło mnie to na przynajmniej pół roku. Popadłem w długi.

Zaczął się od stołu z ruletką, wygrałem bodajże pięćset złotych. Była to niemała kwota, więc wróciłem do domu ucieszony. Posiedziałem z dwie godziny i od razu pojawiła się myśl, żeby pójść jeszcze raz. Może znowu się uda, może będę miał na jakiś fajny gadżet. Wróciłem i los tym razem nie był szczęśliwy. Nie dość, że oddałem te pięć stów do kasyna, to jeszcze przegrałem z tysiąc złotych z własnej kieszeni. Wkręciłem się i coraz większe kwoty wchodziły w grę. Były pożyczki od „grubych ryb” na mieście, poznałem szemrane towarzystwo. To byli głównie kibice Widzewa, więc pożyczali mi, kiedy tylko ich o to prosiłem. Parę razy nie oddałem w terminie i zaczęły się telefony. Na szczęście nie musiałem czekać na drugie połączenie, bo zawsze szybko zbierałem pieniądze.

A co na to klub, drużyna? Jak się gra do szóstej, to przecież musi się odbić na formie boiskowej.

Pewnego razu, tuż przed derbami z ŁKS-em, siedzieliśmy z Kamilem Kuzerą przy ruletce i tak nas to zaabsorbowało, że wyszliśmy z kasyna o czwartej rano, a o dziesiątej mieliśmy zbiórkę na mecz. Trener Stefan Majewski wziął nas na rozmowę. Powiedział, że o wszystkim wie i jeżeli nie wygramy meczu, to poniesiemy konsekwencje swojego zachowania. Na szczęście zwyciężyliśmy 3:1 i wszystko poszło w niepamięć. Niestety. Graliśmy wtedy notorycznie i innym razem trener Józef Młynarczyk poprosił nas po cichu, żebyśmy się w końcu uspokoili, bo ludzie z kasyna zaczynają dzwonić do klubu i o wszystkim opowiadać. Zachował się jak kolega, bo uratował nas przed wylotem z zespołu.

Od razu go posłuchaliście?

Tak, bo to legenda Łodzi. Poza tym był dla nas jak kumpel, wiele razy nam pomagał. Poważniejsza rozmowa wystarczyła, żebyśmy trochę spuścili z tonu. Gdyby nie on, nie wiem, jak to wszystko by się skończyło.

Ale przeniosłeś się do Odry Wodzisław i grałeś dalej.

Na moje nieszczęście wynająłem mieszkanie na samym rynku, gdzie miesiąc później, naprzeciwko mnie, otworzyli salon gier. Na początku mnie to ucieszyło, ale wpadłem w takie tarapaty, że nie byłem w stanie spłacać kredytu na samochód. Po prostu mi go zabrali. Zostałem sam z tymi kłopotami, bałem się powiedzieć rodzicom prawdę. Przypuszczali, że coś

jest nie tak, bo zacząłem pożyczać pieniądze od mamy. Mówiłem, że to na życie, a wszystko przegrywałem. Przestałem sobie dawać radę. Chodziłem na treningi i nie myślałem o piłce, tylko o tym, żeby się odegrać, bo nie miałem pieniędzy. Nie mogłem wejść do szatni i spojrzeć kolegom w oczy, bo każdemu wisiałem pieniądze. Było tylko: „Kiedy oddasz?”. Odpowiadałem: „Po wypłacie”.

Wypłata przychodziła, a ja od razu do kasyna. Siadłem psychicznie, popadłem w depresję, zadzwoniłem do mamy i opowiedziałem o wszystkim. Płakała. Pojechałem do Krakowa, usiedliśmy w czwórkę. Tata jeszcze wcześniej uczył mnie, żebym nawet nie grał w STS-ie, ale akurat wtedy, podczas tego spotkania wiele nie mówił. Pewnie było mu głupio, bo sam kiedyś w tym siedział. Pomocną dłoń wyciągnęła do mnie siostra. Powiedziała, że pożyczy mi pieniądze na spłatę długów – piętnaście, dwadzieścia tysięcy złotych – jeśli obiecuję, że moja noga nigdy nie postanie już w salonie gier ani w kasynie. Przed wyjazdem na Legię przyjechała do Wodzisławia, porozmawiała z kapitanem, Jankiem Wosiem, żeby wypisał jej, ile komu jestem winien. Przygotowała pieniądze, wszedłem z nimi do szatni i po kolei uregulowałem długi.

Było mi cholernie głupio, że doprowadziłem do takiej sytuacji. Czuję się w tej szatni inny, ale z drugiej strony kamień spadł mi z serca, bo w pewnym momencie chłopaki prosili, żebym oddał im przynajmniej część. A czas leciał. Muszę powiedzieć, że jestem bardzo wdzięczny Jankowi, bo widział, w jakim jestem stanie, i bez mojej wiedzy porozmawiał nawet z właścicielem mieszkania, które wynajmowałem, i wytłumaczył mu, na jakich zasadach spłacę długi. Nie każdy by się tak zachował. Cieszę się, że udało mi się z tego pozbierać, bo wyjście z kasyna jest niesamowicie ciężkie. Nie da się tego opisać.

Alkohol też temu towarzyszył?

Nie, do picia nigdy mnie nie ciągnęło. Do dziś stronię od mocniejszego alkoholu, od czasu do czasu wypiję dwa, trzy piwka, toastu też nie odmawiam, ale nie przepadam za wódką. Nie ma to związku z problemami taty, po prostu tego nie lubię, nie smakuje mi.

Został nam jeszcze jeden temat. Chyba najbardziej przykry – próby samobójcze twojego ojca.

Strasznie to przeżywałem. Kurde, o niczym innym nie myślałem, byłem odcięty od wszystkiego. Przed tą próbą rozmawialiśmy przez telefon. Był strasznie podłamany, mówił, że chce skończyć ze sobą. Starłem się podtrzymać go na duchu, powtarzałem, że wszystko może jeszcze się zmienić. Rozłączył się. Strasznie się zmartwiłem i powiedziałem o wszystkim mamie. Mija jakiś czas i dostaję od niej telefon. Tata zamknął się w mieszkaniu. Zorientowałem się, o co chodzi. Szwagier w końcu wszedł do mieszkania, tata nieprzytomny. Pojechałem do mieszkania rodziców, tatę wzięła już karetka. Usiedliśmy wszyscy i byliśmy załamani. Szok. Co mu przyszło do głowy? Musiał być w fatalnym stanie psychicznym. Nie wierzyliśmy w to, co się stało. Człowiek nie zdawał sobie sprawy, co on zrobił. Myślałem, że połknął parę tabletek i zasnął. A tu się okazuje, że ta ilość była kosmiczna i jego stan jest ciężki. Nic nie robiłem, siedziałem w domu cały dzień i płakałem. A tu jeszcze telefon, mama strasznie zapłakana mówi, że się pogorszyło. Wpadłem w histerię, żona mnie pocieszała, a ja nie mogłem się opanować. Na drugi dzień odwiedził go któryś znajomy. Tata odzyskał przytomność.

Nie obawiasz się o przyszłość? Że to się może powtórzyć?

Obawiam się. To taki zapalnik, to się może stać w każdym momencie. Jak tata ma jakieś problemy, od razu myślę o tym, co było. Ale staram się też myśleć pozytywnie. Żeby nie reagował tak drastycznie. Jestem wdzięczny ludziom, którzy wyciągnęli do niego rękę i dali pracę w mediach. Widzę, jak go to pochłania. Te wszystkie notatki, zapiski, tabelki. Ale człowiek tak naprawdę nie wie, co się wydarzy. Żyje na bombie. To może być dzisiaj, jutro albo za pół roku. Żyjemy w niepewności i po prostu cieszymy się, że jest normalnie. Nie musi być kolorowo, ważne, żeby było spokojnie.



Trening Wandy, zdjęcie autorstwa Mariana Pomorskiego. Ja to ten najmłodszy, najmniejszy, w białej koszulce. Oprócz mnie, czterech zawodników z tej fotografii grało w ekstraklasie.



Ja, Basia i głupie miny.



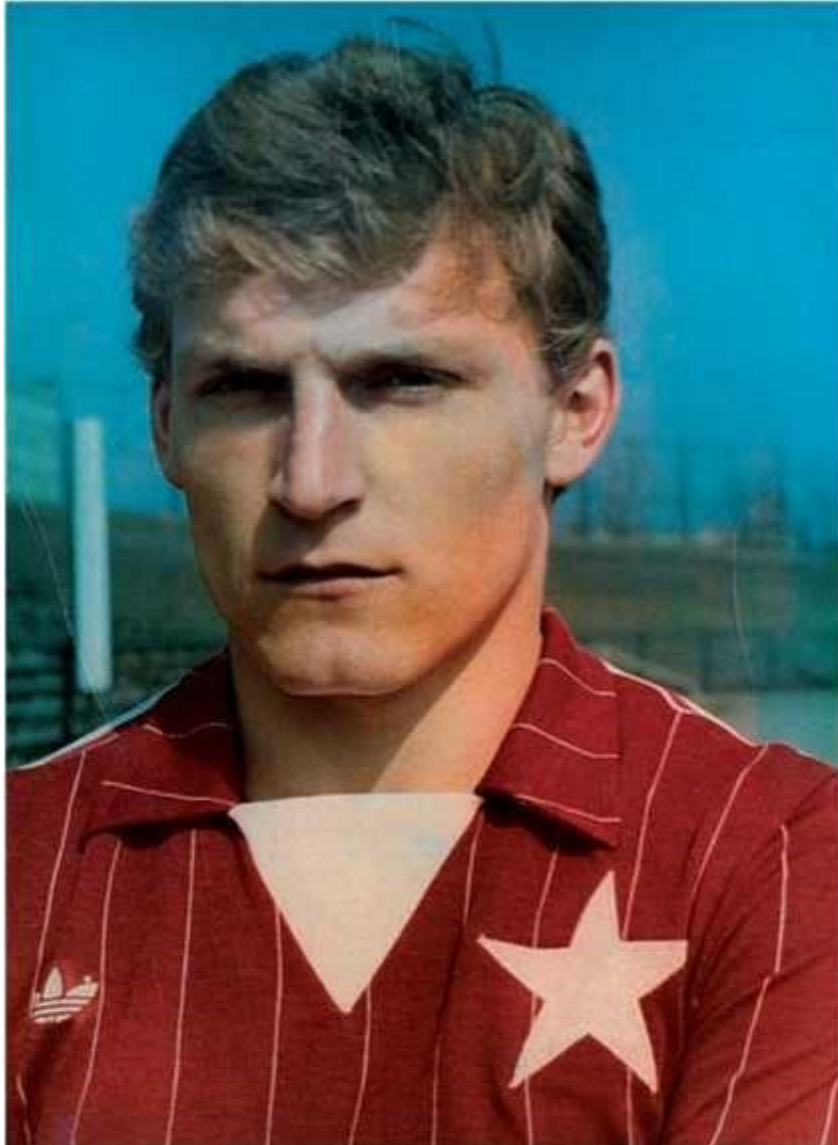
Rok 1978, mistrzostwa w Argentynie. Od lewej: Roman Wójcicki, ja, Janusz Kupcewicz, Mirosław Justek, Włodzimierz Mazur, Bernard Blaut. Trzej z prawej już nie żyją.



Rok 1977, Wisła-Legia 3:1. Mecz w strasznym błocie, pięknego gola zdobywa Henryk Maculewicz.



Impreza z okazji moich osiemnastych urodzin.



Na odwrocie tego zdjęcia napisałem przed laty: „Kochanej mamusi na pamiątkę”.



Rok 1978, przed meczem ze Zbrojovką.



Wesele szwagierki w „Stylowej”. Pięć miesięcy przed awanturą.



Z Grażyną Skrobowską i Michałem Wróblem.



Jako świadek na ślubie Adama Nawalki.



Rok 1978, przysięga wojskowa w jednostce MSW. Drugi z lewej to ja, w środku Marek Motyka.



Ja i Basia na zdjęciu ślubnym. Po lewej stoi Adam Nawałka.



Z rodziną na krakowskim Rynku.



Rok 1980, Wisła pokonuje Cracovię 5:1. Strzelam gola szczupakiem.



Rok 1981, wygrywamy 1:0 z NRD. Z tyłu Grzegorz Lato.



Rok 1980, Chorzów, Włodzimierz Lubański strzelił swojego ostatniego gola w reprezentacji Polski. Składam gratulacje dawnemu idolowi.



Rok 1980, zgrupowanie reprezentacji Polski.



Rok 1981, Wisła wygrywa z Widzewem 3:2.



Wizyta u Ojca Świętego, zaraz po aferze na Okęciu (jeszcze jesteśmy w komplecie).



Rok 1982, jedna z najpiękniejszych bramek w mojej karierze. Jakimś cudem znalazłem korytarz między nogami obrońców Gwardii.



Jedna z najcenniejszych fotografii.



Reprezentacja Polski świętuje, a Piechniczek... jak zawsze smutny.



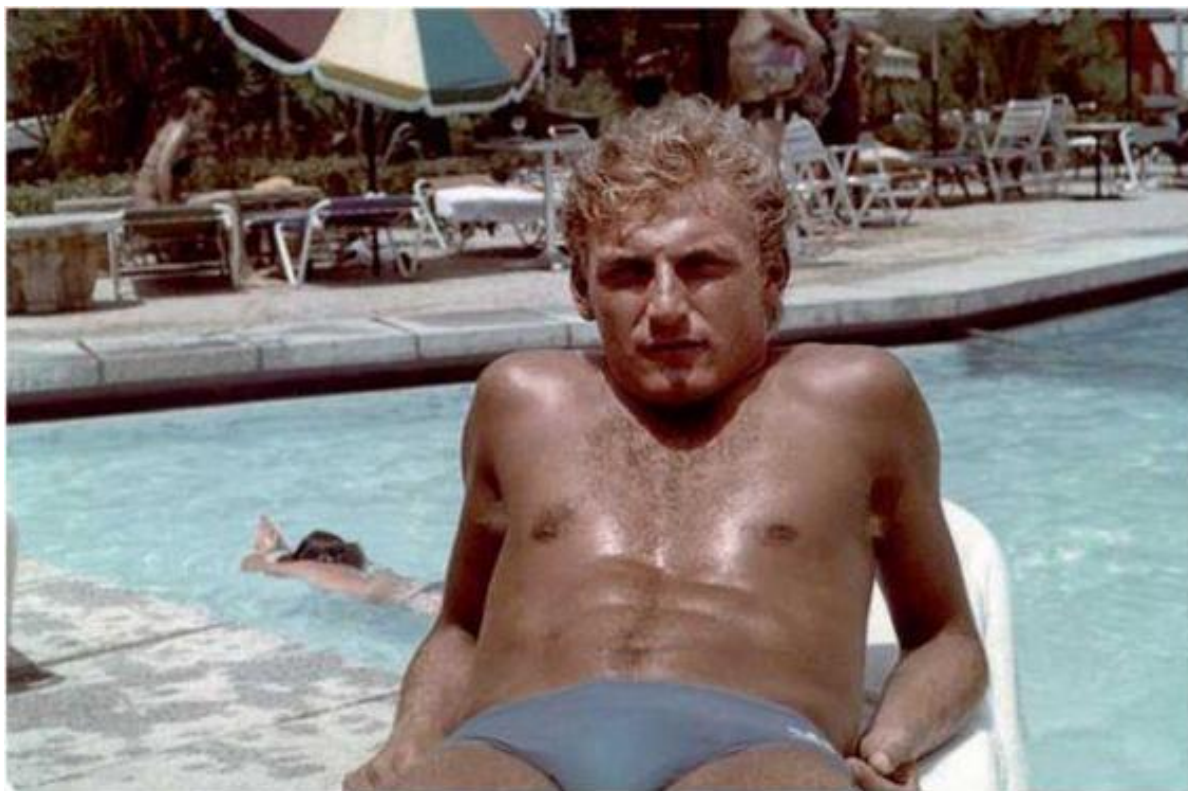
Rok 1982, ostatnie chwile przed wyjazdem na mistrzostwa świata. Z tyłu Piotr Skrobowski.



Rok 1981, zgrupowanie reprezentacji w Niemczech, VfB Stuttgart-Polska 0:4.



Piłka po moim uderzeniu nożycami wpada do siatki Widzewa Łódź.



Tak właśnie spędziłem większą część mistrzostw świata w 1982 roku.



W doborowym towarzystwie przed meczem reprezentacji Polski.



Po powrocie z Indii, z Janem Karasiem, Janem Jałochą, Józefem Młynarczykiem i Piotrem Skrobowskim.



Rodzina w komplecie: ja, Kasia, Bartek i Basia.



GWARDYJSKIE TOWARZYSTWO SPORTOWE **WISŁA** KRAKÓW

OŚRODEK SPORTOWY: 30-050 KRAKÓW, REYMONTA 22. TEL.: WICEPREZES 10-15-10, SEKRETARZ 37-53-70,
SEKRETARIAT 37-37-00, 10-15-00, KSIĘGOWNIA 37-03-42, PRACOWNIA 37-57-02, STADION 33-03-03, KONTA: NIP II GW N: 55020-25221-132



I. Nr.

Kraków, dn. 11.02.1984

Z a ś w i a d c z e n i e

GTS "Wisła" w Krakowie zaświadcza że zawodnik Sekcji Piłki Nożnej naszego Towarzystwa Ob. Andrzej IWAN s. Henryka ur. 10.11.1959, aktualnie nie posiada dowodu osobistego który znajduje się w Centralnym Ośrodku Sportu w Warszawie.

SEKRETARZ
Gwardyjskiego Towarzystwa Sportowego
„Wisła” w Krakowie

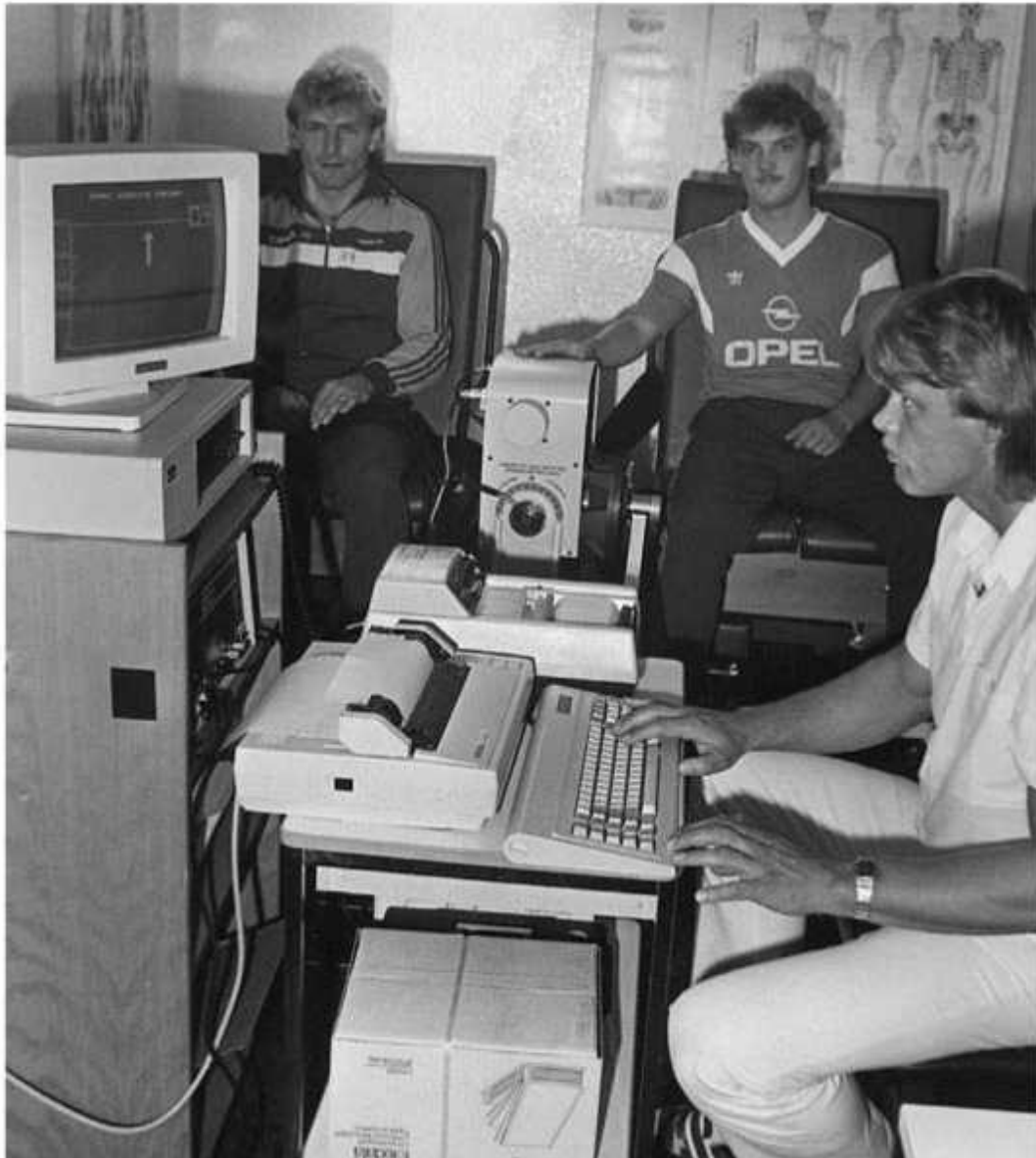
mjr Wiesław Tondos



Rok 1984, jak zwykle problemy. W rzeczywistości dowód został zgubiony.



Wracamy z turnieju o Puchar Nehru. Z lewej Piotrek Skrobowski, z prawej Janek Jałocha (już nie świruje).



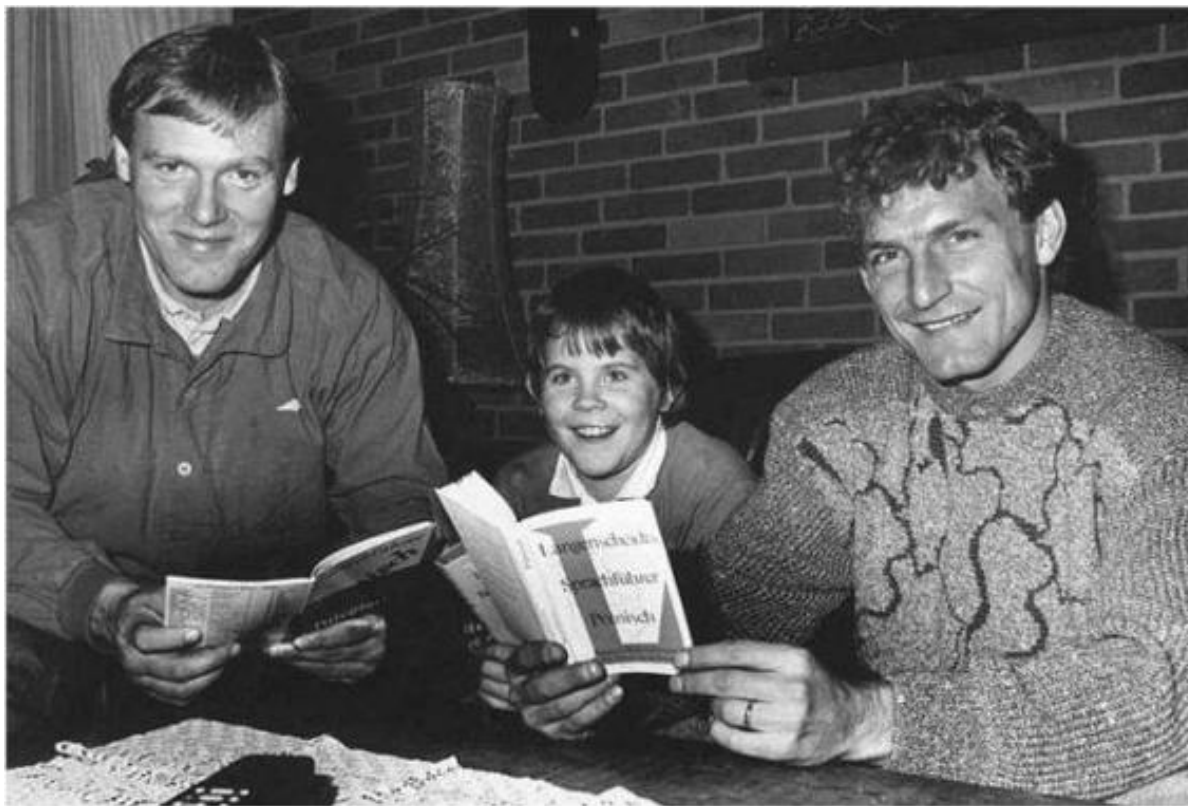
Rok 1988, w czasie badań w Bochum.



Jako piłkarz VfL Bochum, na masce wymarzonego opla.



W Niemczech, goszczę drużynę Górnika Zabrze.



W Bochum, w domu trenera Gerlanda, gdzie początkowo mieszkałem.



W samolocie z drużyną VfL Bochum. Przede mną siedzi trener.



Jeden z wielu... bankietów.



Tysiące takich kart musiałem podpisać w Niemczech.



Bochum po raz drugi w historii awansuje do finału Pucharu Niemiec. Właśnie pokonał^{ismy} HSV.



TRÄNEN DER RÜHRUNG bei Andzej Iwan beim Empfang am Rathaus. Mit solch einer Begeisterung hatten die Spieler sich gerechnet.



DICHT GEDRÄNGT standen die VfL-Fans auf dem Rathausvorplatz. Schon eine Stunde vorher hatten sich einige tausend Anhänger eingefunden, am Ende mögen es über 10 000 gewesen sein.

waz-Bilder (Z): Hartmut Beifuß

Dem 0:1 zum Trotz: Die Fete fand doch statt

10 000 feierten VfL Bochum am Rathaus – Stimmung wie beim Karnevals-Emfana des OB

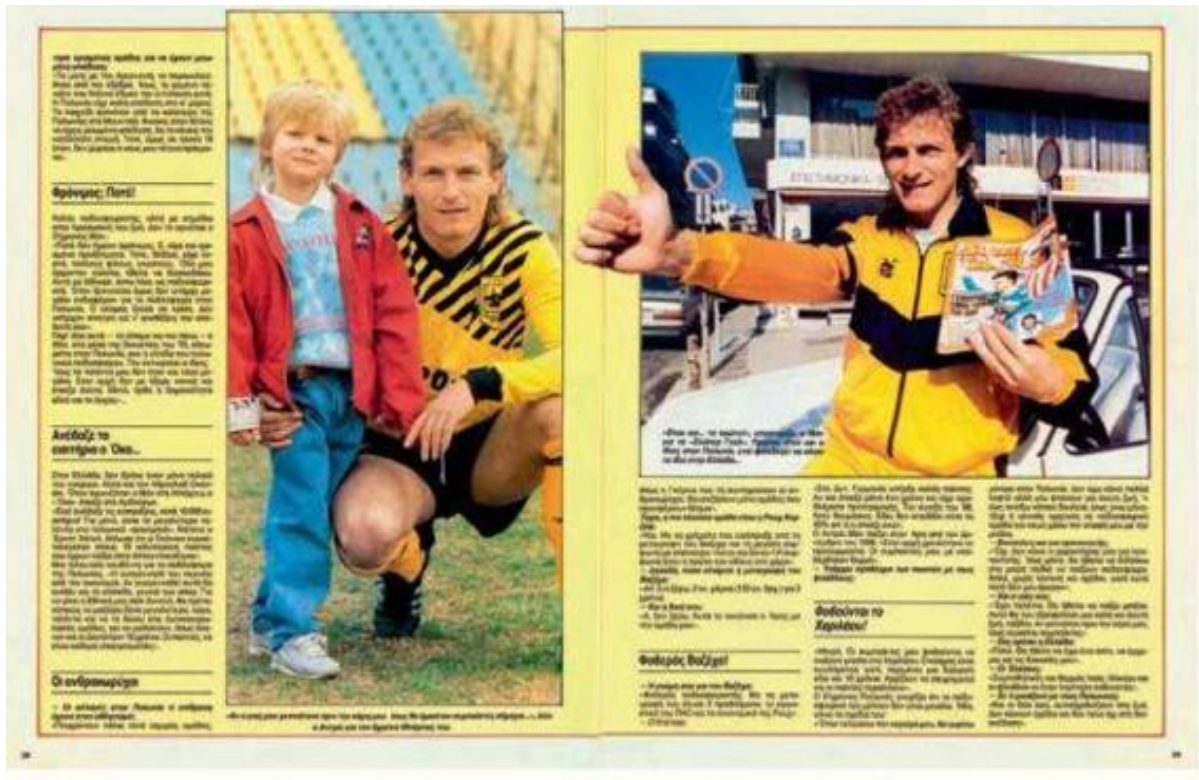
Kibice VfL Bochum dziękują nam po... przegranym finale Pucharu Niemiec.



W barwach Arisu Saloniki.



Kiedy w Grecji spadł śnieg, zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcie.



Jeden z wywiadów dla greckiej prasy.



Cannes, ja w środku, a po mojej lewej stronie Władysław Kozubal.

Table of Contents

[Dedykacja](#)

[Słowo wstępne](#)

[ROZDZIAŁ I](#)

[ROZDZIAŁ II](#)

[ROZDZIAŁ III](#)

[ROZDZIAŁ IV](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[ROZDZIAŁ VIII](#)

[ROZDZIAŁ IX](#)

[ROZDZIAŁ X](#)

[ROZDZIAŁ XI](#)

[ROZDZIAŁ XII](#)

[ROZDZIAŁ XIII](#)

[ROZDZIAŁ XIV](#)

[ROZDZIAŁ XV](#)

[ROZDZIAŁ XVI](#)

[ROZDZIAŁ XVII](#)

[ROZDZIAŁ XVIII](#)

[ROZDZIAŁ XIX](#)

[ROZDZIAŁ XX](#)

[ROZDZIAŁ XXI](#)

[ROZDZIAŁ XXII](#)

[ROZDZIAŁ XXIII](#)

[ROZDZIAŁ XXIV](#)

[ROZDZIAŁ XXV](#)

[ROZDZIAŁ XXVI](#)

[ROZDZIAŁ XXVII](#)

[ROZDZIAŁ XXVIII](#)

[ROZDZIAŁ XXIX](#)

[ROZDZIAŁ XXX](#)

[ROZDZIAŁ XXXI](#)

[ROZDZIAŁ XXXII](#)

[ROZDZIAŁ XXXIII](#)

[Rozmowa z Lucjanem Franczakiem](#)

[Rozmowa z Jerzym Fedorowiczem](#)

[Rozmowa z Krzysztofem Budką](#)

[Rozmowa z Bartoszem Iwanem](#)

[Fotografie](#)